

Nancy Fisher

Kod Czerwony

(Code Red)

Przełożyła Wolera Dobosz

Sarze, z wyrazami miłości

KOD CZERWONY:

Wezwanie do natychmiastowego działania w zagrażającej życiu sytuacji.

NINIEJSZE OSTRZEŻENIE JEST PUBLIKOWANE W INTERNECIE OD MARCA 1996 OŚRODEK ZWALCZANIA CHORÓB ZAKAŹNYCH ZWRACA SIĘ Z PROŚBĄ, BY NINIEJSZE OSTRZEŻENIE ZOSTAŁO PRZEKAZANE WSZYSTKIM CZŁONKOM TOWARZYSTWA WIRUSOLOGICZNEGO W ZWIĄZKU Z ZASZŁYMI NIEDAWNO NIEPOKOJĄCYMI ZDARZENIAMI POŁĄCZONYMI Z PRZESYŁANIEM NIEBEZPIECZNYCH CZYNNIKÓW BIOLOGICZNYCH NIEUPRAWNIONYM DO TEGO ODBIORCOM:

11 marca 1996

Ośrodek Zwalczania Chorób Zakaźnych (CDC)

W ostatnich latach zagrożenie terrorystycznymi atakami z udziałem czynników biologicznych wzbudza troskę służb związanych zarówno ze zdrowiem, jak i bezpieczeństwem narodowym. Także Ośrodek Zwalczania Chorób Zakaźnych (CDC) obawia się nielegalnego użycia i międzynarodowego transportu czynników chorobotwórczych, które mogłyby mieć zgubne skutki dla ludzkiego zdrowia i bezpieczeństwa.

W związku z powyższym, CDC apeluje do wszystkich osób odpowiedzialnych za sprowadzanie i transport czynników chorobotwórczych o wzmożoną czujność, by zminimalizować ryzyko nielegalnego dostępu do patogenów poprzez:

1. dokładną analizę wszystkich podań poprzedzającą przekazanie czynników chorobotwórczych i toksyn, zwłaszcza zaś każdej prośby dotyczącej zarasków wywołujących wąglik, zatrucie jadem kielbasianym, brucelozę, dżumę, gorączkę Q, tularemię oraz wszelkich patogenów zakwalifikowanych do pracy na poziomie czwartym zabezpieczenia przed zagrożeniem dla życia ze strony organizmów żywych;

2. ustalenie, czy czynniki chorobotwórcze znajdują legalne zastosowanie w nauce lub medycynie;

3. natychmiastowe powiadomienie o podejrzanych prośbach lub transakcjach Biura ds. Zdrowia i Bezpieczeństwa CDC, tel. (404) 639-3235 (w godzinach nocnych i w weekendy proszę dzwonić do Dyżurnego CDC tel. 404 639-2888).

Opisane powyżej środki bezpieczeństwa stanowią pierwszy krok w kierunku wzmocnienia zabezpieczeń statutowych i prawnych. CDC współprzewodniczy rządowemu zespołowi – w skład którego wchodzi przedstawiciele wszystkich Departamentów – opracowującemu plan kontroli nad sprowadzaniem i przesyłaniem czynników chorobotwórczych. Ów plan obejmuje środki bezpieczeństwa, które ograniczą kontakt z patogenami będącymi przedmiotem najwyższej troski, zapewniając jednocześnie naukowcom i innym uprawnionym osobom właściwy do nich dostęp. Takie działania będą wymagały ścisłej współpracy naukowców, urzędników i komitetów czuwających nad zabezpieczeniem przed zagrożeniem ze strony organizmów żywych oraz dostawców owych czynników.

CDC już wkrótce wystąpi z propozycją nowych regulacji prawnych dotyczących sprowadzania i przesyłania konkretnych biologicznych czynników chorobotwórczych. Regulacje te zostaną opracowane przy współpracy stowarzyszeń zawodowych, ludzi świata nauki, instytucji strzegących prawa oraz członków opinii publicznej. Obwieszczenie Proponowanych Zmian w Prawodawstwie zostanie opublikowane i poddane publicznej dyskusji w Dzienniku Rządowym w przeciągu stu dwudziestu dni. Dodatkowo, Departament Sprawiedliwości pracuje nad

zaostrzeniem stosownych przepisów tak, by umożliwić ściganie osób, które usiłowałyby uzyskać nielegalny dostęp do niebezpiecznych patogenów.

Z poważaniem
Dr David Satcher

Dyrektor Ośrodka Zwalczenia Chorób Zakaźnych.

Wciąż na wpół śpiąca dotknęła stopami podłogi, wyciągając rękę w stronę budzika i łamiąc sobie głowę, czemu tak przeraźliwie brzęczy. Siedziała przez chwilę na brzegu metalowego łóżka, mrugając w ciemności. Czuła się otępiała, lecz podenerwowana. Zadrżała w chłodzie wczesnego poranka, wiedząc, że to nie tylko przez temperaturę. Zaczynała w niej krążyć krew. Nie sama krew – do niej była przyzwyczajona – ale przerażenie, które z sobą niosła.

Obróciła się do człowieka, który leżał obok niej, i szturchnęła go delikatnie.

– Pora wstawać, Jean.

Mężczyzna jęknął, przekręcił się na plecy i usiadł.

– Merde* [merde (fr) – gówno, cholera]. Która godzina?

– Wpół do szóstej. Pilot chce wystartować przed siódmą.

– Jesteś pewna, że chce ci się jechać? Do lądowiska jest prawie godzina drogi. No i z powrotem będziesz jechała sama.

– Już to wcześniej robiłam. Wyjeżdżałam po ciebie, kiedy tu przyleciałeś, pamiętasz?

– Jak mógłbym zapomnieć? Prowadzisz jak kaskader.

Od jego uśmiechu zaraz zrobiło się jej cieplej. Przebiegł palcami przez jej krótkie, ciemne kędziory, potem obrócił się i podjął codzienny rytuał wytrząsania butów; kto mógł wiedzieć, jakie świństwo wpęzło w nocy przez szpary w podłodze z surowego drewna?

– Wiesz, że przez zmęczenie można popełnić błędy, niekiedy fatalne w skutkach... – Słowa niosły się ponad jego ramieniem. – A ty od wielu dni pracujesz na pełnych obrotach.

– Podobnie jak ty – odparła.

– Tak, ale ja dziś wieczorem zasnę w miękkim łóżku w Limie. A tobie wciąż będzie grozić niebezpieczeństwo w tej zapomnianej przez Boga dżungli. Powinnaś spać ile tylko się da.

– Zdam się wyspać – rzekła z uśmiechem. – Będę na to miała dwa tygodnie, gdy ty będziesz we Francji. – Uklękła na łóżku za jego plecami i oplotła go ramionami. – Zresztą ja też lecę za parę dni do domu. Wracam do Nowego Jorku.

Mężczyzna upuścił but i odwrócił się, by ją objąć.

– Zadzwoń do ciebie z Marsylii, jak tylko wrócisz. Od dziś za trzy dni, tak? I zanim się obejrzyś, moja ciotka poczuje się lepiej, a ja wskoczę do samolotu i przylecę do ciebie.

Pocałowali się, długo i namiętnie. Jak szybko wszystko się potoczyło, ten ich affaire de coeur* [affaire de coeur (fr.) – romans]. Dwoje lekarzy wysłanych z misją miłosierdzia przez cieszącą się szacunkiem organizację Międzynarodowa Pomoc Medyczna (IMA), Ignących do siebie pośrodku piekła śmierci... W końcu mężczyzna puścił ją i oboje zaczęli się ubierać.

Załadowali na zabłoconego jeepa jego walizkę, niewielką podręczną torbę oraz torbę ze sprzętem z charakterystycznym biało-niebieskim logo IMA i ruszyli z łoskotem przez wciąż pograżone we śnie obozowisko. Za szerokim wypełnionym wapnem rowem, który oddzielał – i miał za zadanie chronić – kwatery mieszkalne służb medycznych od „gorącej strefy” prowizorycznego laboratorium i szpitala, Lucy dostrzegła słabe światło latarki, podskakujące

wzdłuż wyboistej ścieżki – pielęgniarka szła sprawdzić, jak czują się jej pacjenci. Dzielna kobieta, pomyślała. Ona sama, doktor Lucy Nash, spędziła jakiś czas na stypendium na oddziale chorób zakaźnych, a potem odbyła dwa lata rygorystycznego stażu z epidemiologii i wirusologii w Ośrodku Zwalczenia Chorób Zakaźnych (CDC) w Atlancie, gdzie uzyskała upragnione pozwolenie na pracę w warunkach o specjalnym rygorze bezpieczeństwa, na tak zwanym poziomie czwartym. Widziała całe mnóstwo chorób wirusowych, ale nigdy czegoś równie potwornego.

Zachmurzone niebo rozjaśniło się nieco, gdy podskakiwali na nierównej drodze poprzez dżunglę w stronę oddalonego o trzydzieści kilometrów małego lotniska, gdzie czekał samolot mający zabrać doktora Jean-Pierre'a Didiera ponad górami do Limy. Lucy przyglądała się jego silnym dłoniom na kierownicy.

– Żadnego nowego przypadku od przeszło dziesięciu dni – powiedziała. – Myślę, że udało nam się to opanować. Dzięki Bogu, że nie przenosi się w powietrzu.

– Chryste, to prawda – zgodził się, myśląc, że to naprawdę szczęście. Przenoszony przez powietrze, wirus byłby po prostu nie do opanowania. – Sądziś, że uda nam się kiedyś zidentyfikować żywiciela?

Lucy wzruszyła ramionami.

– Skupiłam się na najbardziej prawdopodobnych nosicielach: ptakach, owadach, gryzoniach i małpach, ale badania mikroskopowe jak dotąd kompletnie nic nie wykazały. Ostatecznie Mackenziemu cztery lata zajęło odkrycie żywiciela arenawirusa Machupa w Boliwii w latach sześćdziesiątych...

– To była mysz, prawda?

– Tak.

Dokoła nich ćwierkał, postękiwał, pogwizdywał i brzęczał deszczowy las. Tyle w nim życia, tyle możliwości...

– Oczywiście wirus mógł zostać przywieziony przez kogoś spoza regionu, kogoś, kto zjadł mięso zakażonej małpy setki kilometrów stąd. Albo miał styczność z ptasimi lub mysimi odchodami...

Przerwała i zastanowiła się.

– Problem w tym, że poza antropologiem, który tu był, a potem powiadomił IMA, co się dzieje, od miesiący nikt nie odwiedzał wioski, jak twierdzą. Oni są tu raczej odcięci od reszty świata. A gdyby nawet wirus rzeczywiście miał zostać przywieziony z jakiegoś odległego miejsca, nosiciel musiałby tu przylecieć – dosłownie przylecieć – zaraz po zarażeniu. Sangre negra zabija tak niewiarygodnie szybko.

– Oficjalna nazwa to peruwia – poprawił ją.

– Sangre negra bardziej pasuje.

Sangre negra to nazwa, jaką chorobie nadali tubylcy. Sangre negra. Czarna krew.

– Jak wygląda dotychczasowy bilans? Czterdzieści sześć zgonów, tak? – W jego głosie

zabrzmiało napięcie, nerwowość. Spojrzał w górę, na obniżające się niebo.

– Czterdzieści osiem. Przeszło pół wioski.

– Cóż, przynajmniej nie jest tak śmiertelny jak Ebola.

– Jest wystarczająco śmiertelny. – Lucy zawahała się. – Pamiętasz tego starca, tego z bliznami w kształcie półksiężyca na szyi? Mówił, że sangre negra to zły duch, który powrócił.

Jean-Pierre wzruszył ramionami.

– Bredził na wpół oszalały z gorączki. Przeklinał pielęgniarki, mnie i każdego, kto usiłował mu pomóc. Sfiksował tak, że razem z żoną opuścili namiot-izolatkę i pognali do lasu...

– Tak, ale miał blizny po pęcherzach. Jego żona też. Jeśli to rzeczywiście jest coś, co powróciło...

– Wtedy byłby odporny, a przynajmniej oporny.

– Ale miał blizny.

– Miał także peruwię – przypomniał jej Jean-Pierre.

– Hm, miał wysoką gorączkę. Zniknął, zanim pojawiły się typowe objawy sangre negra, więc nie mam pewności, czy...

– Daj spokój, Lucy. W próbkach jego krwi znajdował się wirus peruwii, tak?

Skinęła głową.

– W takim razie miał peruwię – orzekł. – Tak jak jego żona. I oboje zmarli na nią gdzieś tam.

Machnął ręką w stronę morza zieleni, które właśnie przemierzali.

Lucy znów pokiwała głową; Jean-Pierre oczywiście miał rację. Jedna z najstarszych form życia na ziemi, filowirusy, zaczynały właśnie opuszczać lasy deszczowe. Kto wie, ile się w nich czai nie odkrytych odmian?

– Dziwi mnie jednak, że to filowirus, a nie na przykład hanta czy arena... – Przerwała. – Pierwszy filowirus wykryty poza Afryką.

– Marburg został odkryty w Niemczech – przypomniał jej Jean-Pierre.

Wykryty w 1967 roku u pracowników laboratorium zajmujących się koczkozanami, Marburg był śmiertelną formą gorączki krwotocznej wywoływanej przez filowirus przypominający wirus Ebola – kolejny nowo odkryty zabójca.

– Tak, ale trop Marburga prowadził bezpośrednio do źródła afrykańskiego – odparła Lucy. – Sangre negra – przepraszam, peruwia – takiego powiązania nie ma.

Pomyślała o strumieniach ciemnej krwi, która w końcowym stadium choroby wypełniała płuca i lała się z każdego otworu w ciele, o czarnych, krwawych pęcherzach, które tworzyły się na karku, klatce piersiowej i udach, pozostawiając na skórze ocalałych blizny w kształcie półksiężyca. Stawanie co dzień twarzą w twarz z takim ogromem ludzkiego cierpienia było emocjonalnie znacznie bardziej wycieńczające aniżeli badanie śmiertelnych wirusów w warunkach laboratoryjnych, jak to robiła w CDC.

– Sangre negra... czarna krew.

Pomyślała o swoim ciężkim, szczelnym kombinezonie i wysokich butach, o jałowej koszuli i

spodniach, grubych gumowych rękawiczkach, o dołach, w których pod koniec każdego dnia palili, a potem zakopywali zużyte przybory. Czy płomienie były dość gorące? Czy popioły zakopano wystarczająco głęboko?

Jean-Pierre popatrzył na Lucy, wyczuwając jej nastrój.

– Twoja pierwsza misja dla IMA była wyjątkowo trudna.

– A czy zdarzają się łatwe? – spytała. – Ty zaliczyłeś już ile? Dziesięć, dwanaście podróży dla IMA? Czy kiedykolwiek trafiłeś na coś łatwego?

– Nie, oczywiście, że nie.

Uśmiechnęła się do niego.

– Naprawdę jesteś... godny podziwu, Jean.

Jean-Pierre spojrział na nią zaskoczony.

– Ja?

– Poświęcasz tyle czasu, podejmujesz takie ryzyko. A tak łatwo byłoby ci machnąć na to wszystko ręką.

Patrząc na nią, Jean-Pierre uniósł brew.

– Jesteś bogaty, odniosłeś sukces... Malujesz, kolekcjonujesz antyki, grasz na fortepianie. Nie pasujesz do mojego wyobrażenia o ochotnikach pracujących dla IMA.

Roześmiał się.

– Myślałeś, że wszyscy nosimy brody, plecaki i sandały, jak ci z Korpusu Pokoju?

Lucy także parsknęła śmiechem.

– Być może. W każdym razie uważam, że to wspaniałe. Uważam, że ty jesteś wspaniałą.

Jean-Pierre pochylił głowę zażenowany.

– Lubię pomagać innym – powiedział cicho. – Czuję się, jakbym spłacał jakiś dług. Wiem, że ty czujesz podobnie.

Spojrzał w górę, słysząc dochodzący z daleka grzmot.

– Mam nadzieję, że samolot wystartuje. Jorge...

Przerwał, gdy samochód wjechał na korzeń i mocno podskoczył.

– Jorge?

– Przyjaciół, z którym mam się spotkać w Limie. Może spędzić ze mną tylko dzisiejszy wieczór, a ja jutro muszę lecieć do Nowego Jorku...

Zamilkł na odgłos kolejnego, tym razem bliższego, grzmotu i skrzył na drogę dojazdową do lotniska.

Mimo tak wczesnej godziny ludzie gromadzili się już w niewielkim terminalu, podczas gdy Lucy i Jean-Pierre z bagażami torowali sobie drogę do odprawy. Trzydziestokilkuletni grubas, paradujący z hitlerowskim wąsikiem i urzędowo wyglądającym identyfikatorem, pospieszył przez pomieszczenie, by ich powitać.

– Jack McNulty, przedstawiciel IMA na Południową Amerykę – rzucił energicznie. – Chyba

spotkaliśmy się w zeszłym roku w Nowym Jorku, doktorze Didier.

Jean-Pierre kiwał głową i uśmiechał się, podczas gdy McNulty zamasyżuje potrzywał jego ręką.

– A pani to zapewne doktor Nash – dodał, zwracając się do Lucy. – Sporo o pani słyszałem i Cieszę się, że razem pracujemy. A teraz może oboje napijcie się kawy, a ja zajmę się bagażem.

Lucy z ulgą oddała mu ciężką torbę ze sprzętem, lecz Jean-Pierre zawahał się, jedną ręką trzymając za skórzany uchwyt walizki, zaś drugą ściskając małą torbę podręczną.

– No, dalej – ponaglił McNulty. – Wciąż jeszcze tankują samolot, tak więc macie jakieś dwadzieścia minut. Dopilnuję, żeby wszystko trafiło na pokład.

– Dziękuję. To dobry pomysł – rzekł Jean-Pierre, lecz wciąż stał niezdecydowany, rozglądając się dokoła, jakby kogoś szukał.

– Przejdźcie numer trzy – poinformował go McNulty. – Coś nie w porządku?

Jean-Pierre pokręcił głową i zmarszczył brwi. Powoli puścił walizkę, ale wciąż ścisnął torbę.

– Niech mi pan da swój bilet – powiedział McNulty. – Żebym mógł zdać bagaż.

Jean-Pierre podał mu bilet, a McNulty zaczął go przeglądać.

– Lima... Nowy Jork... Marsylia... i z powrotem do Nowego Jorku. Nie ma wytchnienia dla zapracowanych, co?

Jean-Pierre wzruszył ramionami.

– Zachorowała moja ciotka. Obiecałem matce, że ją odwiedzę.

– Woli pan mieszkać w Nowym Jorku niż we Francji? – spytał McNulty. – Ja wybrałbym chyba Europę.

– W Nowym Jorku mam większe możliwości w pracy zawodowej – odparł Jean-Pierre. – A przy tym udaje mi się od czasu do czasu pojechać do Paryża i odwiedzić rodzinę.

– Ale bilet ma pan do Marsylii.

– Tam mieszka moja ciotka – powiedział Jean-Pierre nieco już rozdrażniony. – Chyba pójdziemy już na tę kawę.

– Jasne, proszę bardzo. Spotkamy się przy przejściu.

McNulty dźwignął bagaże i odsunął się, zaś dwoje lekarzy ruszyło w stronę czegoś, co miało służyć za kawiarenkę. Nagle Jean-Pierre stanął.

– Muszę pójść do toalety – oznajmił. – Kupisz kawę? Zaraz wracam.

– Dobrze.

Lucy patrzyła, jak idzie w stronę sanitariatów. Całe jego ciało wyrażało niepokój i napięcie. Trudno mu się dziwić, pomyślała Lucy. Paskudna pogoda na lot. Kupiła kawę, zaniosiła oba kubki na ławkę i siedziała, popijając. Co go tak długo zatrzymało? Zdażyła prawie wypić, gdy usłyszała, jak ją woła. Obróciła się; furka przejścia numer trzy była otwarta, a tuż za nią stał Jean-Pierre i usiłował jej coś pokazać.

– Chcą zaraz startować – rzekł, gdy Lucy podbiegła.

Wziął łyk kawy, którą mu podała, i rozejrzał się dokoła z wypisanym na twarzy niepokojem.

– Doktor Didier?

U jego boku stanął członek załogi samolotu z folderem w dłoni.

– Proszę za mną – rzekł, podając bilet Jean-Pierre’owi. – Niech pan się pośpieszy.

– Czy mój bagaż jest już na pokładzie?

– Tak. Pan McNulty prosił, by panu przekazać, że bilety bagażowe są w tym folderze. Proszę już iść do samolotu, doktorze.

Jean-Pierre rozejrzał się jeszcze szybko po terminalu.

– A gdzie jest McNulty?

– Jest już na pokładzie.

– Na pokładzie? To on leci tym samolotem?

Członek załogi potaknął. Na zewnątrz deszcz padał coraz bardziej ulewny. Zwracając się do Lucy, Jean-Pierre wziął ją w ramiona. Ustami dotknął jej ucha.

– Uważaj na siebie.

– Słucham?

Przestraszona Lucy odskoczyła, ale on przyciągnął ją znów do siebie.

– Uważaj na siebie – powtórzył cicho.

– Zawsze uważam – odparła zaintrygowana. – Dwie pary rękawiczek, kombinezon...

– Nie o to mi chodzi.

– Doktorze Didier, proszę. Musimy już wsiadać – ponaglał członek załogi.

Ale Jean-Pierre wciąż ją trzymał.

– Mam coś dla ciebie w mojej walizce – wyszeptał.

– Prezent? Uwielbiam prezenty.

Nie miała pojęcia, co się dzieje, ale instynkt podpowiadał jej, by zachowywała się naturalnie.

– Dasz mi go, kiedy spotkamy się w Nowym Jorku – powiedziała lekko i uśmiechnęła się.

Ale on nie odpowiedział jej uśmiechem.

– Mam nadzieję – rzekł.

Jego oczy wysyłały wiadomość, której nie potrafiła odczytać. Potem Jean-Pierre odwrócił się raptownie i podążył za członkiem załogi samolotu prosto na deszcz.

Odebrał swój paszport od pracownika urzędu imigracyjnego i poszedł po bagaż. Torby z lotu z Limy do Nowego Jorku krążyły już na metalowych karuzelach. W ciągu ostatnich kilku dni był bardzo zajęty i nieco spięty, ale znalazł się już prawie w domu i bardzo się z tego cieszył. Krótki przystanek w mieszkaniu w Nowym Jorku, potem z rana start do Marsylii... Ładował akurat ostatnią torbę na wózek bagażowy, gdy po obu jego bokach pojawili się dwaj mężczyźni.

– Doktor Didier? Zechce pan pójść z nami?

– Słucham? Dlaczego?

Jean-Pierre przyglądał się dwom celnikom ze zdziwieniem i konsternacją. Ochotnicy IMA

traktowani byli w sposób szczególny przez każdy rząd na świecie. Na lotniskach zawsze załatwiano ich szybko i sprawnie, nigdy nie sprawdzano bagażu.

– Wiecie, kim jestem? – spytał i natychmiast głupio się poczuł. Jasne, że wiedzieli, kim jest; przecież zwrócili się do niego po nazwisku. – Czy coś się stało? – spytał.

– Proszę tylko pójść z nami.

Jeden z celników złapał go za łokieć, podczas gdy drugi zaopiekował się wózkiem z bagażem.

– Tędy, proszę.

Jego walizka i torba ze sprzętem zostały zdjęte z wózka i umieszczone na odrapanym drewnianym stole.

– Mógłby je pan dla nas otworzyć?

Rzucił im klucze.

– To niedorzeczne. Jestem lekarzem, ochotnikiem IMA.

Jean wciąż protestował, gdy znaleźli pierwszą paczkę heroiny...

Samolot zatrzymał się z dala od budynku lotniska i podjechały do niego ruchome schody, które pozwoliły Lucy i załodze zejść z pokładu. Stała teraz na asfalcie w słabym już świetle dnia; przyglądała się, jak zaplombowane pojemniki z żywym wirusem peruwii opuszczają luk bagażowy, i sprawdzała ich numery na swojej liście. „Pudła na kapelusze” – nazwane tak ze względu na charakterystyczny kształt – na czas lotu z Peru do Nowego Jorku zamknięte były w pojemnikach z tworzywa odpornego na wybuchy. Należąca do IMA furgonetka bez okien stała w pobliżu gotowa do przetransportowania pudeł z Lotniska Kennedy’ego w miejsce ich ostatecznego przeznaczenia, to jest do Centrum Zwalczenia Chorób Zakaźnych.

Pakowano akurat do samochodu ostatni pojemnik, gdy nadjechał czarny range rover. Zatrzymał się. Wskoczył z niego szczupły blondyn w kurtce od Armaniego, dżinsach i sportowych butach i pospieszył w stronę grupki ludzi koło furgonetki.

– Gratuluję – zawołał do Lucy. – Dobra robota.

Odwróciła się mile zaskoczona.

– Doktor Miller? Bill?

Nowo przybyły objął ją ciepło, po czym odciągnął od reszty zgromadzenia i przyjrzał się.

– Wyglądasz na wykończoną. A obawiam się, że ja też ci tego dnia nie umilę.

– Co masz na myśli?

Jednak mężczyzna nie odpowiedział. Zamiast tego zwrócił się do kierowcy furgonetki:

– Wszystko załatwione? Papiery w porządku? No to lepiej już jedź.

Gdy samochód ruszył, wziął Lucy pod rękę i poprowadził do range rovera.

– Odwiozę cię do domu. Będziemy mogli porozmawiać w samochodzie.

– O co chodzi? Co się stało?

Musiała zająć coś naprawdę niedobrego, pomyślała, skoro sam Bill Miller, charyzmatyczny

szef IMA i uznany lekarz, przybył dziś wieczorem na lotnisko.

– Wyjedźmy stąd najpierw.

Skręcili na drogę szybkiego ruchu Van Wycka. To, co miał jej do powiedzenia, było tak strasznie trudne. Ale byłoby okrucieństwem pozwolić jej dowiedzieć się w jakiś inny sposób.

– Doktor Didier... Jean-Pierre...

– Coś mu się stało?

Lucy czuła, jak przyspiesza jej puls. Bill spojrzał na nią z boku. Czy między nimi coś było? – pomyślał. Jeśli tak, powiedzieć jej o wszystkim będzie znacznie trudniej, znacznie gorzej.

– Został aresztowany dwa dni temu, gdy przyleciał z Limy.

– Aresztowany? Za co?

– Celnicy dostali jakieś informacje, jak twierdzą. Przeszukali jego bagaż...

Lucy patrzyła na niego przestraszona.

– Znaleźli narkotyki. Heroinę.

– To niemożliwe!

– Sześć kilogramów.

– Nie wierzę – rzekła w osłupieniu.

– Ja też nie wierzyłem – mówił delikatnie Bill. – Ale po tym, co się stało...

– Musi być jakieś wyjaśnienie – wtrąciła się. – On jest niewinny, jestem tego pewna. Gdzie go trzymają? Muszę z nim...

Ale Bill pokręcił głową.

– Obawiam się, że to niemożliwe. – Zawahał się. – Aresztowali go, jak już mówiłem, i zamknęli. Wciąż powtarzał, że jest niewinny, że nic nie wiedział o heroinie.

– Oczywiście, że nie wiedział. Nie mógł!

– Ale w nocy... Boże, Lucy, to okropne. W nocy popełnił w swojej celi samobójstwo.

Lucy sapnęła tylko:

– Nie.

Bill przechylił się i dotknął jej ramienia; jego twarz zmarszczyła się od współczucia i troski.

– Tak mi strasznie przykro – rzekł. – Nie wiem, co powiedzieć.

Lucy czuła się zziębnięta i oziębiała. Jean-Pierre handlarzem narkotyków. Jean-Pierre nie żyje.

– Jean i ja... – zaczęła. – Byliśmy...

Bill spojrzał na nią. A więc jednak coś między nimi było. Nieszczęsna kobieta.

– Nie powinnaś być dzisiaj sama – stwierdził i sięgnął po telefon komórkowy. – Czy jest ktoś, po kogo mógłbym zadzwonić?

Lucy pokręciła głową.

– Nic mi nie będzie.

Niemożliwe, wszystko to było niemożliwe... O, czyżby? Przypomniała sobie jego nerwowość

na małym lotnisku, jego obawę, że może nie zdążyć na spotkanie z Jorge w Limie. Potem, wzdrygnąwszy się ze strachu, wspomniła jego ostrzeżenie, żeby na siebie uważała, i wzmiankę, że ma dla niej prezent w swojej walizce. W co on ją wpłatał? Zaczęła drżeć, wyglądając przez okno niewidzącymi oczami, podczas gdy samochód mknął w ciemnościach.

Kilka razy w czasie półgodzinnej jazdy Bill próbował się odezwać, ale za każdym razem zmieniał zdanie. Co miałby powiedzieć? Lepiej pozwolić jej przetrwać tę wiadomość w milczeniu. Lecz gdy tylko zjechali z drogi ekspresowej i ruszyli w dół York Avenue, spojrzał na Lucy. Siedziała z rękoma ciasno oplecionymi wokół ciała, z pobielającymi knykciami i bardzo bladą twarzą.

– Dobrze się czujesz? – spytał Bill.

Lucy potaknęła, czując, jak ściska się jej żołądek. Przy pierwszym czerwonym świetle otworzyła drzwi i zwymiotowała na ulicę.

Może dlatego, że jej ojciec, lekarz wojskowy, tak wiele razy kazał im zmieniać miejsce zamieszkania, a może w związku z tym, że ona sama usamodzielnij się nigdzie nie pozostała na tyle długo, by zapuścić korzenie: college w Kolorado, akademii medycznej w Michigan, potem dwa lata w Centrum Zwalczenia Chorób Zakaźnych w Atlancie i osiem miesięcy temu powrót do Nowego Jorku. Niezależnie od przyczyny, Lucy zwykle zawierała przyjaźnie szybkie, ale płytkie. Teraz, w wieku lat trzydziestu dwóch uświadomiła sobie, że ma licznych dalekich znajomych, lecz niewielu bliskich przyjaciół. Z tego też powodu romans z Jean-Pierrem wydawał się jej tym cenniejszy.

Leżała zagrzebana w pościeli z twarzą mokrą od łez. Bill Miller pytał, czy mógłby po kogoś zadzwonić, ale po kogo? Kathy w Hongkongu? Nie rozmawiały ze sobą od miesięcy. Lynn w Seattle? Monice w Atlancie? Wiedziała, jak wyglądałyby te konwersacje. Wszystkie one byłyby, rzecz jasna, przerażone, a potem usiłowałyby ją pocieszyć i podnieść na duchu. Ale prędzej czy później zaczęłyby zadawać te same znajome pytania, najpierw delikatnie, potem bardziej stanowczo. Czy naprawdę wierzyła, że mogła kochać Jean-Pierre'a, prawdziwie go kochać po spędzonych razem zaledwie trzech tygodniach? Czy nie był to po prostu kolejny z jej szybkich, wariackich związków, niezwykle intensywnych, ale bez szans na przetrwanie? A ona zaczęłaby się zastanawiać, czy nie mają racji. Zaś to uczyniłoby jej ból jeszcze bardziej nieznośnym. Bo tylko czas mógłby pokazać, czy miały rację, czy nie. A ten czas się skończył.

Już prawie o świcie zapadła w niespokojny sen, z wycieńczonym ciałem i duszą. Obudziła się około południa, mrugając w świetle słabego listopadowego słońca, które wpadało przez nie zamknięte z wieczora żaluzje. Czowała się podle. Wzięła prysznic, zmywając z siebie brud z podróży, ale nie przenikający do szpiku kości smutek, po czym opadła z powrotem na łóżko, a po twarzy popłynęły jej łzy. Dźwigając się na nogi, otarła oczy i poszła spakować torbę do siłowni. Utrzymywanie dobrej kondycji zawsze było jej pasją, a po latach odkryła, że monotonne

powtarzanie ćwiczeń pomaga też w odzyskaniu spokoju ducha. Po rozpadzie związku najczęściej wędrowała na salę gimnastyczną, gdzie waliła w lżejszy worek treningowy lub jak oszalała robiła pompki.

Szybko minęła portiera i z ciemnymi krótkimi lokami spadającymi na twarz wybiegła na ulicę. Gdy skręciła w Drugą Aleję, zbliżył się do niej, szurając nogami, krępy, niechlujny mężczyzna, wymachujący ramionami i mamroczący coś do siebie. Odziany był w całe mnóstwo koszul i swetrów zwieńczonych starą ocieplaną kurtką, a potargane, siwiejące włosy częściowo przykrywała niebieska baseballówka z żółtym napisem FBI. Gdy jego bladobłękitne oczy spoczęły na Lucy, uśmiechnął się szeroko, ukazując braki w uzębieniu.

– Znam cię – powiedział, stając nad jej drobną figurą. Wyciągnął przed siebie papierowy kubek z kilkoma monetami i potrząsnął nim przed nią.

– Jesteś lekarką, nie?

Uśmiechał się do niej z dziecięcą szczerością osoby chorej umysłowo.

– Zgadza się. Jestem lekarką.

Lucy nie potrafiła odgadnąć, czy ów człowiek z chorobą się urodził, czy też może za stan jego umysłu odpowiedzialny był jakiś błąd w leczeniu. Tak czy inaczej, z czasem zaczęła uważać Raya za jeden ze swych szczególnych obowiązków.

– Jak się masz, Ray?

– Dobrze. Naprawdę dobrze.

Zmarszczył brwi.

– Nie było cię, co?

– Pracowałam w Peru, ale już wróciłam.

Ray mocno pokiwał głową.

– Ja też pracuję – oświadczył.

– Naprawdę? To wspaniale.

Twarz Lucy rozjaśniła się. Całymi miesiącami starała się go przekonać, by poszukał pomocy w którejś z wielu organizacji i misji zajmujących się bezdomnymi mieszkańcami miasta. Udało się jej jedynie nakłonić go do przyjęcia kartki z adresem i numerem telefonu pewnej instytucji, którą polecił jej szpital.

– A więc gdzie pracujesz?

– No, zaczynam chyba w przyszłym tygodniu – rzekł Ray. – Mam dostać naprawdę fajną robotę.

Uśmiech Lucy zgasł.

– Rozmawiałaś z ludźmi, o których ci mówiłam? – spytała. – Dzwoniłeś pod tamten numer?

Ray popatrzył tępo.

– Dzwoniłem? Gdzie?

– Zapisałam ci numer telefonu przed moim wyjazdem... Nieważne, dam ci go jeszcze raz.

– A, tamten telefon. Zadzwoń jutro. Na pewno. A na razie mogłabyś mi pomóc, pani

doktor, dać na coś do jedzenia...

Znów wyciągnął do niej papierowy kubek i potrząsnął nim. Lucy westchnęła.

– Jasne, Ray.

Pogrzebała w kieszeniach dzinsów i wyciągnęła ćwierćdolarówkę.

– Nie mam więcej przy sobie – przeprosiła, wrzucając monetę.

Ray spojrział na nią chmurnie.

– Portfel zostawiłam w domu. Znajdę cię później, obiecuję.

Ray spojrział na ćwierć dolara wielce zde gustowany. Potem, gestykulując gniewnie, powlókł się w dół ulicy, klnąc i mamrocząc coś pod nosem. Lucy popatrzyła, jak odchodzi. Mówiono jej, że nie należy dawać bezdomnym pieniędzy, że to tylko powstrzymuje ich od szukania bardziej długofalowej pomocy w ośrodkach, które mogłyby zaoferować pracę i rehabilitację. Jednak Szalony Ray, jak nazywano go w okolicy, najwyraźniej nie uważał się za kandydata na klienta takich instytucji. Poza tym Lucy widywała go w kolejce w McDonalddie na tej samej ulicy i świadomość, że przynajmniej część pieniędzy, które zbierał, została wydana na jedzenie, poprawiała jej samopoczucie związane ze wspomnieniem go dolarem lub dwoma, gdy tylko się do niej zbliżył. W ciągu ostatnich ośmiu miesięcy te stosunkowo hojne datki wzbudziły w Rayu niemal psie przywiązanie, a w chwilach, gdy rzeczywiście ją poznawał, niekiedy nawet udało im się w miarę sensownie porozmawiać.

Byli też inni bezdomni nawiedzający okolicę, w której mieszkała Lucy: młoda, odziana w ła chmany kobieta z szerokim, brudnym bandażem na szyi, mężczyzna z dreadami na głowie, który wydawał się na stałe przywiązany do wózka na zakupy, gdzie zbierał po śmietnikach puste butelki. Lucy nie raz wrzucała w ich wyciągnięte dłonie jakieś drobne, ale w szczególny sposób interesowała się Szalonym Rayem. Niektórzy ludzie skarżyli się na żebraków policji, zwłaszcza gdy Ray zapomniał zażyć lekarstwa i stawał się niespokojny. Mówiło się nawet o usunięciu go z ulicy siłą. Ale tak długo, jak się tu kręcił, Lucy zawsze wrzucała coś do jego papierowego kubka. Prawda była taka, że poza tym żadnej innej pomocy nie przyjmował.

Szła ulicą, a myśli o Szalonym Rayu z wolna ustępowały miejsca wizerunkowi Jean-Pierre'a. Wspaniałego kochanka. Zdolnego lekarza. Miłośnika pięknych przedmiotów. Jean-Pierre przemytnikiem narkotyków? To zwyczajnie nie miało sensu. Mimo tego, co powiedziałyby Monica i Kathy, i Lynn, Lucy wierzyła, że w ciągu tych zaledwie trzech tygodni zdążyła poznać Jeana na tyle dobrze, by mieć tę pewność. A zatem, co powinna zrobić? Co jest w stanie zrobić? – zastanawiała się, mijając drzwi siłowni i kierując się do szatni. Mogę spróbować to udowodnić, postanowiła z determinacją. Zmieniwszy zdanie, ruszyła szybko ku telefonom.

Bill Miller, znany współpracownikom jako „doktor Bill”, wychylił się przez otwarte drzwi swego gabinetu.

– Alicia? Lucy Nash tu jedzie – oznajmił swojej sekretarce. – Chcę się z nią zobaczyć, jak

tylko się zjawi.

– Ale doktor Wolff...

– Tak, wiem. Zobacz, czy da się go jeszcze złapać, i spytaj, czy bardzo by mu przeszkadzało, gdybyśmy przesunęli nasze spotkanie na jutro.

– Spróbuję – rzekła z powątpiewaniem Alicia. – Ale pewnie i tak już wyjechał.

– Cóż, postaraj się. Chyba że chcesz mieć przyjemność zabawiania go rozmową przez jakieś dwadzieścia minut.

Szeroki, zaraźliwy uśmiech odmłodził jego twarz i sprawił, że nie wyglądał w tej chwili na swoje pięćdziesiąt jeden lat. A uśmiechał się w ten sposób dość często.

– Nie ma mowy – oświadczyła kategorycznie Alicia. Mimo wsparcia świadczanego IMA, humorzasty doktor Wolff nie był lubiany przez współpracowników.

– W takim razie dzwoń – polecił ze śmiechem Bill. – Dzwonź prędko!

Alicia również się roześmiała i sięgnęła po słuchawkę, zaś Bill powrócił za swoje biurko, a jego uśmiech zgasł. W co, u licha, wplątał się Didier? – pytał sam siebie setny już chyba raz. Usiadł, założył ręce na karku i oparł się wygodnie w fotelu. Droga granatowa kurtka wisiała przerzucona niedbale przez oparcie. Jak zwykle był bez krawata, choć w dolnej szufladzie biurka trzymał niewielką, acz kosztowną kolekcję na spotkania z ludźmi, dla których takie rzeczy miały znaczenie. Mimo bogactwa lubił uchodzić za swojego chłopca. Rozejrzał się po wyłożonym boazerią biurze gdzieś wysoko ponad Park Avenue, obejmując spojrzeniem oprawione w ramki artykuły sławiące liczne heroiczne misje IMA, po czym przeszedł do niskiego stolika, gdzie kilkanaście gazet – nie tylko brukowców – używało sobie na aresztowaniu za przemyt narkotyków i samobójstwie jednego z ochotników organizacji. Westchnął głęboko. Co za beznadziejnie głupia sprawa.

IMA było ukochanym dzieckiem Billa Millera. Jakies sześć lat wcześniej zaniechał pracy jako lekarz, by tę organizację stworzyć, a teraz poświęcał się jej zarządzaniu i finansowaniu, większość czasu spędzając na gromadzeniu funduszy i rekrutacji ochotników. Utrzymywał kontakt ze społecznością medyków poprzez różnorodne konsultacje i był zachwycony, gdy spotkawszy na jednej z konferencji Lucy Nash, ta przyznała się, że byłaby zainteresowana pracą dla IMA. Była dokładnie tą osobą, której szukał: inteligentną profesjonalistką z głową pełną ideałów. Jej młody wiek i świetna kondycja fizyczna także stanowiły plus: warunki pracy w terenie były zazwyczaj niebywale trudne. Praktyka zawodowa uczyniła z niej osobę idealną do zmagania się z wybuchem wywołanej wirusem epidemii w Peru i wszystko wskazywało na to, że wywiązała się ze swego zadania ze zręcznością, ale i stosowną wrażliwością. Chętnie wysłałby ją na kolejne misje, ostatecznie może zaproponowałby jej stałą współpracę. Ale musiało wydarzyć się to...!

Wstał i przeszedł przez wyfroterowany parkiet, zatrzymując się przy wąskim stoliku pod ścianą, by nalać sobie kawy. Ta wiadomość mocno dotknęła wszystkich, ale najmocniej Lucy z racji jej związku z Jean-Pierre'em. Ucieszył się, że zadzwoniła i poprosiła o rozmowę; gdyby

tego nie zrobiła, Bill odczekałby jeden dzień i sam do niej zadzwonił. Zależało mu, aby dowiedzieć się, co myślała teraz o IMA i jej misji. Fatalne było już to, że stracili Jean-Pierre'a; miał nadzieję, iż uda mu się zatrzymać chociaż Lucy.

– Złapałam doktora Wolffa akurat, gdy wychodził – stając w otwartych drzwiach, przerwała jego rozważania Alicia. – Nie był szczęśliwy, słysząc o przełożonym spotkaniu.

– On nigdy nie jest szczęśliwy. – Bill uśmiechnął się słabo. – Za to zawsze bardzo hojny.

– A doktor Nash już tu jest.

– Dobrze.

Podniósł się szybko i wyszedł przed biurko w tym samym czasie, gdy w drzwiach pojawiła się Lucy. Miała na sobie szyte na miarę spodnie i błękitny sweter, a w rękę niosła skórzaną kurtkę lotniczą. Wyglądała blado, lecz zdecydowanie.

– Cóż mogę ci powiedzieć? – mruknął Bill, wiodąc ją w stronę skórzanej kanapy.

Sam usiadł w obitym tkaniną fotelu naprzeciwko niej.

– Takie straszne zdarzenie. Prawdziwy szok dla nas wszystkich.

– Wciąż nie mogę w to uwierzyć – odparła Lucy, kładąc kurtkę na kanapie obok siebie.

– Wszyscy czujemy się podobnie. Napijesz się kawy? Czegoś mocniejszego?

– Nie, dziękuję. Rzecz w tym... Bill, nie chodzi o to, że nie mogę w to uwierzyć. Ja w to po prostu nie wierzę.

– Mimo wszystko obawiam się, że to jednak prawda – powiedział smutno Bill. – Jeśli rzeczywiście nie wiedziałby o narkotykach, czemu miałby się zabić? Gdyby był niewinny, z pewnością chciałby oczyścić swoje imię.

Lucy milczała. Bill miał rację: samobójstwo Jeana istotnie wyglądało na przyznanie się do winy. A jednak...

– Nie zostawię tak tego – oznajmiła stanowczo.

Bill zmarszczył brwi.

– Co masz na myśli?

– Mam na myśli to, że chcę dotrzeć do sedna sprawy, spróbować oczyścić jego imię. Pomożesz mi?

– Jasne, jasne. Ale... co zamierzasz zrobić?

– Jeszcze nie wiem. Porozmawiam z kimś z Biura do Walki z Narkotykami, może z jego przyjaciółmi, znajomymi... – Przerwała. – Jak długo pracuje dla IMA Jack McNulty?

– McNulty? – Bill zmarszczył czoło. – Czemu pytasz?

– Spotkaliśmy się na lotnisku w Mayarunie. To on zdawał bagaż Jeana na samolot do Limy.

– I uważasz, że mógł podrzucić heroinę? Ten pomysł zdawał się bawić Billa.

– Mało prawdopodobne – rzekł kategorycznie. – Jack pracuje dla nas od lat.

– Podobnie jak Jean.

Bill pokręcił głową.

– Nie, znam Jacka McNulty'ego. Znałem też jego ojca, gdy pracował w Langley. Nie ma

mowy, żeby był wplątany w podobną aferę. Poza tym ludzie z Biura do Walki z Narkotykami uważają, że heroina trafiła na pokład samolotu w Limie.

– Skąd mogą to wiedzieć? – spytała Lucy.

– Dzięki różnicy w wadze bagażu. W Mayarunie zważono wszystkie torby ze względu na rozmiary samolotu i fatalną pogodę. Urzędnicy z Biura zważyli je ponownie w Nowym Jorku, jak tylko znaleźli narkotyki.

– W Limie mógł włożyć do walizki coś innego.

– Coś ważącego dokładnie sześć kilo? – Bill uśmiechnął się smutno. – Niemożliwe.

Lucy pomyślała o obawie Jeana, że może nie zdążyć na spotkanie z Jorge w Limie. Wszystko tak świetnie do siebie pasowało, lecz mimo to jej nie wydawało się prawdziwe.

– Czy ktoś zawiadomił już jego rodzinę? – spytała w końcu.

Bill kiwnął głową.

– Zadzwoń do jego matki, jak tylko się dowiedziałem. IMA zajmie się przetransportowaniem ciała do Francji, gdzie ma być pochowany... Przykro mi – dodał, widząc jej minę. – Ktoś będzie musiał zająć się jego rzeczami.

– Dasz mi numer telefonu pani Didier? Chciałabym do niej zadzwonić.

– Ona nie mówi po angielsku.

– Nie szkodzi. Znam trochę francuski. Wystarczy, żeby przekazać jej to, co mam do powiedzenia.

– Rozumiem. Alicia poda ci numer.

Nachylił się w jej stronę i mówił dalej poważnie:

– Byłoby oczywiście cudownie, gdyby udało się oczyścić imię Jean-Pierre'a. Cała ta sprawa przysporzyła nam okropnych problemów z prasą i pozyskiwaniem funduszy. Ale co tak naprawdę możemy zrobić? Jedyna osoba, która знаła prawdę, nie żyje. A gdyby rzeczywiście był zamieszany w narkotyki – też nie chce mi się w to wierzyć, ale wydaje się to prawdopodobne – czy nie byłoby lepiej pozwolić prawdzie spocząć w grobie razem z nim? Czy nie byłoby lepiej żyć po prostu dalej?

Ale Lucy pokręciła głową.

– Nie mogę. Muszę wiedzieć.

Bill westchnął.

– Cóż, oczywiście pomogę ci. Ale...

Przerwał i zmarszczył brwi. Po chwili spytał:

– Czy pomyślałaś o ryzyku, jakie podejmujesz?

– O ryzyku?

– Zastanów się. Jeśli Jean-Pierre był zamieszany w handel narkotykami – nawet jako zwykła płotka – a ty zaczniesz zadawać pytania...

Lucy uśmiechnęła się.

– Czy nie dramatyzujesz trochę tego wszystkiego?

– Mówimy o heroinie, Lucy. Zorganizowana przestępczość, kolumbijskie kartele...

Przyglądał się, jak jej uśmiech gaśnie.

– Lepiej dać temu spokój – dodał.

Ale ona znów pokręciła głową.

– Cóż, to twoja decyzja. Jednak informuj mnie o wszystkim, dobrze? Na pewno nie napijesz się kawy?

Wstał i ponownie napełnił swoją filiżankę.

– Kiedy masz wrócić do pracy w szpitalu? – spytał.

– W przyszły poniedziałek. Wzięłam sześć tygodni urlopu. Ale zastanawiam się, czy nie wrócić szybciej. Lepiej będzie, jak się teraz czymś zajmę.

– Dobry pomysł. W Peru wykonałaś kawał dobrej roboty – powiedział, wracając na fotel.

– Dziękuję. Rzecz jasna, trzeba zrobić znacznie więcej.

– I zajmą się tym twoi koledzy z CDC.

Bill zamilkł na chwilę.

– Mam nadzieję, że ta okropna afera nie zniechęciła cię do IMA. Naprawdę cenimy twój wkład. Jesteś nam potrzebna.

Lucy uśmiechnęła się.

– Teraz, gdy zobaczyłam wszystko na własne oczy, tym bardziej możecie na mnie liczyć. To, co robicie, jest takie ważne.

– Miło mi to słyszeć.

Lucy sięgnęła po kurtkę, lecz zawahała się.

– Bill... nie wierzysz chyba, że on to rzeczywiście zrobił, co?

Nachylił się i dotknął jej dłoni.

– Nie wiem, co o tym myśleć – rzekł delikatnie. – Ale przecież ja nie byłem w nim zakochany.

Zabrał rękę i wstał.

– Weź sobie ten numer telefonu...

Zarządca budynku czekał na nią w eleganckim hallu. Owszem, otrzymał od madame Didier upoważnienie, by wpuścić ją do mieszkania pana Didiera. Właśnie dostarczono jakieś walizki. Czy chce, by wniesiono je na górę? Zajmie się tym portier. Proszę, oto klucz do mieszkania 34G; czy byłaby tak uprzejma i zwróciła go portierowi, gdy będzie wychodziła?

Od rozmowy Lucy z Bilem Millerem upłynęło półtora jakże męczącego dnia. Odbyła w tym czasie dwie trudne emocjonalnie i językowo rozmowy z matką Jean-Pierre'a w Paryżu, zapewniając ją o swoim współczuciu, wyjaśniając, co łączyło ją z doktorem Didierem, informując o swoim postanowieniu oczyszczenia jego imienia oraz proponując, że przejrzy jego rzeczy i załatwi z międzynarodową firmą zajmującą się przeprowadzkami spakowanie i przesłanie do Francji przedmiotów, które mogłyby mieć jakąś wartość. Lucy była ekspertem od

przeprowadzek.

Znacznie gorzej wypadła rozmowa z Biurem do Walki z Narkotykami. Mimo telefonu od doktora Billa, nie byli skorzy do wyjaśnień, częstując ją przeważnie tym, co wiedziała już wcześniej. Na pytanie o to, jak mimo rewizji osobistej Jean-Pierre'owi udało się ukryć „pigułkę śmierci”, przy pomocy której popełnił samobójstwo, odmówili jakiegokolwiek odpowiedzi, uważając najwyraźniej, że to oczywiste. Jedyne zwycięstwo, jakie zdołała odnieść, to ich obietnica, że zwrócą bagaż Jeana, gdy już nie będzie im potrzebny. Widać właśnie to zrobili.

Teraz, czując lekkie zdenerwowanie, przekreśliła klucz w zamku i wkroczyła do mieszkania Jean-Pierre'a. W pokoju dziennym dominował fortepian. Ponad nim rząd połączonych ze sobą okien wyglądał na ocean dachów i zachmurzone niebo. Ściany pomalowane były na subtelny odcień kremu, zaś większą część podłogi z jasnego drewna pokrywały chińskie dywany w błękicie, bieli i różu. Kolekcja sztuki stanowiła eklektyczną mieszankę najlepszych dzieł wielu okresów, wielu twórców i zawierała kilka afrykańskich masek oraz niewielką kamienną figurę, która na jej nie szkolone oko wyglądała na prekolumbijską. Płatała się po mieszkaniu, usiłując się zorientować, zdecydować, od czego zacząć. Okno sypialni wychodziło na przydomowe ogrody. Jej ściany miały kolor gołębi. Pościel w siwo-niebieskie pasy przykrywała ogromne łóżce, a zasłony z podobnego materiału związane były szarym, welurowym sznurem. Pod ścianą stał staromodny sekretarzyk z opuszczoną przykrywą.

Całe mieszkanie było wręcz obsesyjnie schludne. W zlewku w niewielkiej jasnej kuchni nie czekała na umycie ani jedna szklanka; ręczniki w wypucowanej łazience były idealnie poskładane, a inne powieszono w równym rzędku. Pomyślała o własnym, raczej przypadkowo prowadzonym gospodarstwie domowym i stwierdziła, że ona i Jean doprowadziliby się nawzajem do szału.

Wróciła do pokoju dziennego i zatopiła się w jednym z foteli. Zaproponowała, że spakuje jego rzeczy, bo to dało jej możliwość powęszczenia. Lecz co właściwie spodziewała się znaleźć? Jego niewinność musiałaby zostać udowodniona nie przez obecność, ale przez brak dowodów.

Jej rozważania zostały przerwane przybyciem walizek. Zamknąwszy drzwi za portierem, zaczęła wyrzucać ich zawartość na podłogę. Ubrania... sprzęt medyczny... książki... przybory toaletowe... Wszystko poprzewracane i wygniecione, w niektórych przypadkach nawet porozrywane. Boki i dna toreb były porozcinane. Jean mówił, że ma coś dla niej w swoim bagażu, ale nie oczekiwała, że to znajdzie. Biuro do Walki z Narkotykami usunęłoby i zatrzymało wszystko, co miałoby choć najmniejsze znaczenie. Tak więc z niejakim zdziwieniem na dnie drugiej torby natknęła się na dwie okropne drewniane figurki przepiłowane na pół przez ludzi z Biura, którzy pewnie szukali w nich narkotyków. Była pewna, że nie wykorzystano ich do ukrycia prochów. Gdyby było inaczej, Biuro bez wątpienia by je zatrzymało.

Pamiętając rozmowę z Billem Millerem, z nadzieją przytrzymała w dłoni wydrążone kawałki drewna. Nie, nie było mowy, żeby ważyły sześć kilo. Postawiła je na ławie, przytrzymując części górne na dolnych, i patrzyła uważnie. Czy to możliwe, żeby te dwie szkaradne figurki były

prezenterem, o którym mówił Jean-Pierre, gdy się rozstawali? Jedna przedstawiała kobietę, druga mężczyznę, obie postaci o przesadnie wyeksponowanych narządach płciowych. Z pewnością nie wyglądały na wartościowe, pomyślała. A może wydaje się jej tak tylko dlatego, że tego rodzaju dzieła nigdy nie były w jej guście? Nie, stwierdziła, bez wątpienia wyglądały na tanie, masowo produkowane imitacje przedmiotów, jakie widywała w oknach wystawowych galerii specjalizujących się w sztuce prymitywnej. Wykonane nie wprawioną ręką klocki bez uroku. Skąd w posiadaniu Jeana, człowieka o tak wysublimowanym smaku i tak wielbiącego prawdziwą sztukę, wzięły się podobne przedmioty?

Wróciła do walizek i wysypała na podłogę resztę bagażu, po czym wpakowała wszystko z powrotem. Niezniszczone ubrania mogła oddać do sklepu z używaną odzieżą, a pozostałe wyrzucić. Uzgodniła z madame Didier, że tylko porządne meble i dzieła sztuki mają zostać przesłane do Paryża. Inne rzeczy miała sprzedać lub oddać na cele charytatywne. Na wierzchu walizek postawiła drewniane figurki; jakiś sklepik z rupieciami mógłby je przyjąć, gdyby tylko komuś chciało się je skleić.

I co dalej? Sekretarzyk – zdecydowała. Weszła do sypialni. Na niebie na zewnątrz gęstniały chmury. Włączyła światło i podeszła do biurka. Wykonany z listewek wierzch zdawał się mieć zacięty zamek; poruszała nim w przód i w tył, próbując otworzyć. Nagle zamek puścił i pokrywa odskoczyła z trzaskiem, a Lucy zatkało. Biurko zarzucone było papierami, panował na nim nieopisany bałagan. Powyrywane kartki z notatnika, listy, świstki powyciągane ze swoich przegródek, papier listowy podarty na strzępy. W szufladach było to samo; poniewierały się w nich książeczka czekowa i wyciąg z konta z imponującym saldem. Najwyraźniej ów chaos nie był dziełem Jeana. Czy mogli tego dokonać ludzie z Biura do Walki z Narkotykami? Ale w pozostałej części mieszkania pozostawili przecież taki porządek.

Podeszła do interkomu i zadzwoniła na dół do hallu.

– Mówi Carlos – odezwał się portier.

– Tu doktor Nash z 34G. Kto był ostatnio w mieszkaniu pana Didiera?

– Poza panią, nikt.

– Jest pan pewien?

– Tak. W mieszkaniu nie było nikogo, nie licząc dwóch wizyt ludzi z tej agencji rządowej.

– Dwóch wizyt? Kiedy?

– Chce pani wiedzieć dokładnie? Muszę sprawdzić w księdze.

Lucy usłyszała przewracane kartki.

– Człowiek od narkotyków był tu we wtorek wieczorem, akurat jak kończyłem dyżur.

To ten wieczór, kiedy umarł Jean-Pierre.

– A potem jeszcze dwóch przyszło nazajutrz po południu.

– Pokazywali panu jakieś dokumenty? – pytała Lucy. – Nakaz rewizji?

– Nie, za pierwszym razem nie. Ten człowiek powiedział po prostu, że jest z Biura do Walki z Narkotykami. Pokazał mi legitymację, więc dałem mu klucz.

- A ci dwaj, którzy przyszli w środę? – dopytywała się Lucy. – Pokazali panu nakaz rewizji?
- Tak, proszę pani.
- I nie wydało się to panu dziwne, że jeden z ich ludzi był tu dzień wcześniej?
- Mówił, że pracuje dla rządu – bronił się Carlos. – Miał legitymację...
- Czy to był jeden z mężczyzn, którzy przyszli nazajutrz?
- Nie, w środę byli inni. Byli czarni. A ten pierwszy urzędnik był biały.

Taki z niego urzędnik, jak z koziej dupy trąba, pomyślała Lucy. W Biurze powiedzieli jej, że przeszukali mieszkanie Jean-Pierre'a nazajutrz po jego samobójstwie i nie znaleźli nic podejrzanego; nikt nie wspominał o wcześniejszej wizycie. Poza tym prawdziwi agenci na pewno wychodzili ze skóry, żeby pozostawić mieszkanie tak, jak je zastali, a więc sekretarzyk musiał zostać splądrowany, zanim zjawili się tu z nakazem rewizji w środowe popołudnie. Ciekawe, czy oszust znalazł to, czego szukał.

- Nieważne – powiedziała do portiera. – Wszystko w porządku.

Wróciła do sypialni, przyjrzała się bałaganowi na biurku i ze złością opuściła pokrywę. Jeśli znajdowało się tu coś ważnego, na pewno już stąd znikło. W szafce nocnej odnalazła książkę telefoniczną i zaczęła dzwonić do sklepów z używanymi meblami.

Półtorej godziny później, załatwiwszy wszystko, wyszła z mieszkania i wezwała windę, ale gdy drzwi zaczęły się zamykać, rozsunęła je nagle i wyszła na korytarz. Wróciła do mieszkania i w szafce kuchennej znalazła biały worek na śmieci. Zabrała z walizki drewniane figury, wpakowała je do środka i zawiązała worek. Mimo swej oczywistej brzydoty – jeśli rzeczywiście miały stanowić prezent dla niej od Jean-Pierre'a – może wcale nie były tak bezwartościowe, jak jej się zdawało. To mógł ocenić jedynie fachowiec. Poza tym tylko one jej po nim zostały.

Ponownie wyszła z mieszkania, dokładnie zamykając za sobą drzwi, i zjechała windą do hallu.

- Pokazywał mi swoją legitymację – usprawiedliwiał się Carlos, gdy wręczała mu klucz. – Mam nadzieję, że nic się nie stało.

- Nie, nic się nie stało – zapewniła go.

Pewnie.

Portierowi wyraźnie ulżyło.

- Skończyła już pani tam na górze?

– Nie. Wrócę tu w przyszłym tygodniu – odparła Lucy – spotkać się z ludźmi z komisów meblowych i od przeprowadzek... – Przerwała na chwilę. – Jak on wyglądał? – spytała.

- Mężczyzna z Biura?

- Ten pierwszy, ten, który tu był we wtorek.

Carlos zmarszczył czoło, próbując sobie przypomnieć.

- Był w garniturze – rzekł w końcu.

- Był młody czy stary? Wysoki? Niski? Jakiego koloru miał włosy?

– Chyba brązowe. Brązowe albo czarne. I nie był zbyt wysoki.

– To znaczy?

– Wyższy od pani, niższy ode mnie.

Portier miał około metra osiemdziesięciu.

– Ile miał lat?

Carlos wzruszył ramionami.

– Pewnie był młodszy ode mnie. A ja mam czterdzieści jeden.

– Ma pan dobrą pamięć – pochwaliła go Lucy.

Mężczyzna uśmiechnął się.

– To w związku z moją pracą – odparł. – Muszę rozpoznawać wszystkich lokatorów i pamiętać ich nazwiska, jeśli chcę dostać dobry napiwek na Gwiazdkę.

Gdy Lucy opuszczała budynek, chmury spuściły na ziemię zimny, ulewny deszcz.

– Cholera – zaklęła na głos.

Przez chwilę rozważała możliwość wrócenia na górę i pożyczania parasolki z mieszkania Jean-Pierre'a. Nie warto, pomyślała, odrobina deszczu nikomu jeszcze nie zaszkodziła. Na rogu ulicy znajdował się kryty dachem przystanek autobusowy, do którego pobiegła, przyciskając do piersi worek na śmieci. Ciemnowłosa mężczyzna średniego wzrostu wychylił się z wejścia do budynku i obserwował ją.

Czuła się dziwnie, wróciwszy do pracy po czterech tygodniach w dżungli. Nowojorski Szpital Ogólny wydał się jej bardziej przytłaczający, a jego korytarze jeszcze bardziej zatłoczone niż przedtem. Pokazała strażnikowi swój identyfikator, weszła do windy dla personelu i pojechała na siódme piętro, gdzie mieściło się laboratorium badań epidemiologicznych.

Kilka osób przywitało ją, gdy z ociekającym prochowcem i parasolem szła korytarzem do swojego biura. Deszcze zainaugurowane w piątkowy wieczór padały przez cały weekend, a przejaśnienia zapowiadane na początek tygodnia jak na razie pozostawały tylko pobożnym życzeniem.

Powiesiła mokre rzeczy na haku za drzwiami, potem wyciągnęła ze swojej wielkiej torebki dwie prymitywne rzeźby, które uratowała z bagażu Jean-Pierre'a. Zdołała je nawet porządnie skleić i stały teraz całe i tryumfujące w swej brzydocie. Umieściła je na parapecie – krople deszczu spływające po szybie stanowiły dla nich odpowiednie tło, stwierdziła – i poświęciła uwagę swemu zagraconemu biurku. Nie minęło dziesięć minut, gdy przeszkodził jej głos.

– Słyszałem, że wróciłaś. Jak było?

Lucy podniosła wzrok znad stosu różowych karteczek z wiadomościami, jakie nagromadziły się podczas jej nieobecności.

W drzwiach stał Jake Weiss, szef działu epidemiologii. W rękach trzymał stertę kart pacjentów.

– Tylko nie mów, że to wszystko dla mnie – jęknęła Lucy.

– Tylko jedna. Chcę się z tobą skonsultować. A więc, jak było?

– Ciężko. I strasznie. I fascynująco. Znaleźliśmy pierwszego filowirusa poza Afryką.

– Filowirusa? Żartujesz. Przysiadł na rogu jej biurka.

– Wiecie coś o żywicielu? – zapytała.

– Nic pewnego, ale intuicyjnie czuję, że to będzie jakiś ptak. Ktoś będzie musiał tam wrócić, przeprowadzić znacznie więcej badań.

– Ty?

Lucy wzruszyła ramionami.

– Akurat w tej chwili mam mnóstwo pracy tutaj.

– To prawda. – Jake uśmiechnął się do niej. – A więc spisałaś się jak zwykle doskonale, skończyłaś szybciej i wróciłaś tu do mnie, jak mogłaś najprędzej – droczył się.

Lucy odpowiedziała mu uśmiechem.

– Nie mogłam się oprzeć.

– Tak już działałam na ludzi.

Krępy i misiowaty, o dwadzieścia lat starszy od Lucy, Jake Weiss słynął z inteligencji, która porażała wręcz młodszych kolegów robiących u niego kolejny stopień specjalizacji. Jednak Lucy uważała go za tyleż dobroniusznego, co zabawnego, i między nimi dwojgiem szybko nawiązała się nić spokojnej, koleżeńskiej przyjaźni.

– Widzę, że przywiozłaś mi prezent – wskazał na dwie pokraczne rzeźby na parapecie. – Nie trzeba było. Naprawdę.

Lucy uśmiechnęła się szeroko.

– Okropne, nieprawdaż? Dostałam je od... przyjaciela. Jej uśmiech zgasł.

– Jake, znasz się na sztuce?

– Sztuce mięsa?

– Mówię poważnie. Czy według ciebie wyglądają na autentyczne?

Weiss rzucił karty na biurko i sięgnął po figurkę kobiety.

– Może na autentyczny kicz. Do diaska, nie mam pojęcia o takich przedmiotach. Czemu nie zapytasz tego, kto ci je dał?

– Chciałabym, żeby to było możliwe.

Weiss przyjrzał się jej.

– To od tego Didiera, co?

Lucy kiwnęła głową.

– Widziałem w telewizji. – Zawahał się. – Chciałabyś o tym porozmawiać?

– Chyba nie, Jake. Nie teraz.

– W porządku – rzekł lekko Weiss.

Obrócił figurkę w dłoniach.

– Wygląda, jakby ktoś ją rozciął, a potem skleił. To twoja robota?

– Druga część, owszem. Pierwsza – nie.

Jake uniósł brwi, ale Lucy milczała.

Sięgnął po statuetkę mężczyzny i przytrzymał je razem.

– Prześliczna para. Zamierzasz je tutaj rozmnażać?

Lucy uśmiechnęła się słabo.

– Prawdę mówiąc, myślałam, że powinien je zobaczyć Joe Carr z radiologii. Może on byłby w stanie coś mi o nich powiedzieć. Czy jego żona nie pracuje w jakiejś galerii w So-Ho?

Weiss popatrzył z powątpiewaniem.

– Wydaje mi się, że oni tam zajmują się sztuką współczesną, ale możesz spytać.

Odstawił figurki na parapet.

– Wyglądasz na zmęczoną – powiedział po chwili.

– Miło, że mi o tym mówisz.

– Może powinnaś wziąć jeszcze parę wolnych dni...

– Muszę pracować, Jake. Praca i zmęczenie pracą to najlepsza terapia, jaką znam. No, do rzeczy. Która z tych kart jest dla mnie?

Siedział w zaparkowanym samochodzie od kilku godzin, badając ulicę, gdy dostrzegł te nianie wracające ze swoimi wózkami. Deszcz przestał padać około południa, lecz popołudnie nadal było pochmurne, więc kobiety pozwoliły sobie tylko na krótki spacer do parku. Gdy zbliżały się do wielkiego, wielopiętrowego budynku, zjawił się też dostawca ze sklepu spożywczego. Zaczął wypakowywać torby ze swego wózka na kółkach i wnosić je do hallu. Stwierdziwszy, że na lepszą sytuację nie ma co liczyć, mężczyzna wysiadł i ruszył w górę ulicy – zaszedł drogę dwom kobietom, akurat gdy weszły pod zadaszenie.

– Pani pracuje dla Boydów z 12B, nieprawdaż? – spytał tę młodszą, otwierając jednocześnie ciężkie drzwi i pozwalając im przejść. – Ja mieszkam w 12G.

Poufałym gestem kiwnął ręką do portiera, który usiłował wytłumaczyć dostawcy, że swój towar powinien wnieść wejściem służbowym.

– Nie – zmarszczyła brwi kobieta. – Pracuję dla Leesonów.

– O, przepraszam. Jest pani do niej taka podobna... Czarujący młodzieniec w garniturze i krawacie uśmiechnął się do pasażera wózka.

– Jak się masz, koleżko?

Malec zagruchał.

– Moja żona ma rodzić na wiosnę – oznajmił, prostując się i ukrywając lewą dłoń.

Dość długie brązowe włosy opadły mu na czoło, a on odgarnął je chłopięcym gestem.

– Szukamy kogoś do pomocy. Może mają panie jakąś koleżankę, która mogłaby dla nas popracować?

Obie kobiety uśmiechnęły się do niego, starsza zaczęła odpowiadać i zapracowany portier, zajęty akurat rozmową przez interkom, ledwo zauważył zaprzyjaźnioną, sympatyczną grupkę, która go minęła, idąc w stronę wind.

Mężczyzna wysiadł na dwunastym piętrze i piechotą zszedł na siódme, odkrył, że znajduje się w niewłaściwym skrzydle, zjechał do hallu i pojechał na górę inną windą. Korytarz na siódmym piętrze był pusty, zaś dzięki kluczom nie miał żadnych problemów z dwoma antywłamaniowymi zamkami.

Wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi i rozejrzał się. Znajdował się w typowym mieszkaniu wielopiętrowego bloku: wąski, krótki przedpokój – z szafami po jednej stronie, a kuchnią po drugiej, dalej prostokątny pokój dzienny z aneksem jadalnym, potem kolejny krótki korytarz prowadzący do sypialni i łazienki. Postanowił zacząć od pokoju dziennego.

Urządzony był wygodnie, ale bez przepychu: kanapa i dwuosobowy narożnik obite żółtym materiałem w esy-floresy, szklany stół jadalny i kilka sztuk sosnowych mebli. Ciągający się wzdłuż jednej ściany regał zawierał pozycje najróżniejsze: powieści, biografie, teksty medyczne, książki kucharskie. Stary sosnowy stół z szufladą pośrodku, który służył za biurko, znajdował się w doskonałym porządku. Nie narobił wśród jego zawartości – takiego bałaganu jak u Didiera, wiedząc, że jego właścicielka powróci. Potem zauważył niską sosnową skrzynię pod jedną ze ścian. Zestawiwszy ostrożnie rozmaite przedmioty na podłogę, otworzył ją, ale znalazł tylko koce. Zdejmował z półek książki i sprawdzał za nimi, przewracał ich kartki, by upewnić się, że naprawdę są książkami, nie zaś zmyślnymi skrytkami, po czym odstawiał je na miejsce. Podniósł niewielki dywan, zajrzał za obrazy i lustra, pomacał pod stołami.

Sypialnia urządzona była w brzoskwini i zieleni, z łososiowymi zasłonami. Łóżko było wymiętoszone, kołdra z zielonym nadrukiem naciągnięta byle jak na prześcieradło i poduszki z takim samym wzorem. Sprawdził pod materacem i w każdej poduszce, potem naciągnął kołdrę prawie tak jak przedtem. W szafach też nie znalazł niczego, co by go interesowało, choć wszystkie przejrzał bardzo uważnie, wyjmując i oglądając każdy but, każde pudło ze swetrem.

Wrócił do przedpokoju i zbadał szafy z pościelą i płaszcami, po czym przeniósł się do kuchni. Działając szybko, sprawdził po kolei wszystkie szafki, obmacując każdą miskę i każdy garnek, zaglądając za porcelanowy serwis i do zamrażalnika. Potrząsał pojemnikami ze spaghetti i z ryżem, by upewnić się, że rzeczywiście zawierają to, na co wskazują nalepki, ważył w ręku puszki, zajrzał nawet do kosza na śmieci.

W łazience robota była łatwiejsza, ale skutek poszukiwań równie mizerny. Cholera, pomyślał, podnosząc klapę na sedesie. Co, u licha, mogła w piątek wynieść z mieszkania Didiera w tym foliowym worku i co z tym zrobiła?

Zapadał już zmierzch, gdy odjeżdżali spod Misji Salva Regina na Ósmej Alei. Jak doktor Bill zawsze szybko wyjaśniał sponsorom IMA, jego samochód i szofer to nie był żaden zbytek, jak by się mogło wydawać. Gdyby zmuszony był polegać na publicznym transporcie lub szukać miejsca na parkingach prywatnym samochodem, nigdy nie udałooby mu się dotrzeć wszędzie tam, gdzie powinien.

Gdy Bill Miller porzucił swą lukratywną praktykę, nie zerwał z medycyną w ogóle. Praca

charytatywna, jak lubił mówić, mogła dać tyle satysfakcji, co gabinet przy Park Avenue. Z tą tylko różnicą, że owa satysfakcja była natury raczej emocjonalnej, niż finansowej.

Rzecz jasna, stać go było na luksus pobierania opłat w postaci wdzięczności, nie gotówki. Sam doszedł do bogactwa, zgromadziwszy niezłą fortunę podczas prowadzenia własnej praktyki i mądrze ją inwestując. Teraz był postacią znaną zarówno na balach charytatywnych, jak i w misjach i przytułkach w całym mieście, gdzie leczył z ran i chorób nie na tyle groźnych, by obarczać nimi miejscowe szpitale, oraz zapewniał darmowe szczepienia podczas epidemii grypy czy odry.

Spojrzał na zegarek: prawie piąta. Nieźle. Krótki przystanek w Przymierzu Bezdomnych, gdzie zostawi obiecaną maść z antybiotykiem, a potem do centrum. Miał mnóstwo czasu; stolik w Bouley zarezerwował dopiero na ósmą. Ale ruch w okolicy Tunelu Lincolna odbywał się nadzwyczaj powoli i przed pięciokondygnacyjnym, ceglany budynek misji zaparkowali dopiero o wpół do siódmej. Było już ciemno, a lampa zawieszona wysoko nad wejściem rzucała światło na opustoszały chodnik. Ta zapuszczona część miasta, niegdyś dzielnica przemysłu lekkiego, nigdy nie została zmodernizowana, a lampy uliczne i przechodniów widziało się tylko z rzadka i w niewielkiej liczbie.

Gdy wchodził, powitała go siostra Margareta otoczona zapachami kiełbasy, fasoli i środka do dezynfekcji.

– Macie tu dzisiaj ruch – stwierdził, gdy prowadziła go wzdłuż kolejki czekających na jedzenie bezdomnych.

– Zawsze mamy ruch, gdy zrobi się mokro i zimno – odparła siostra z ciężkim, holenderskim akcentem.

Surowa, wysoka jak filar siostra Margareta, mając sześćdziesiąt cztery lata, niedawno wyemigrowała do Nowego Jorku, by przejąć kierownictwo misji, i teraz władała nią z wielką stanowczością i jeszcze większym poświęceniem. Bill przekonał się do niej, gdy tylko ją poznał, zaś jej wykształcenie medyczne w połączeniu z rzeczowym podejściem sprawiły, że postanowił odwiedzać tę misję regularnie.

– Co siostra dla mnie ma? – spytał, gdy podążali wyściełanym zielonym linoleum korytarzem do ambulatorium.

– To co zwykle. Kaszel. Przeziębienia. Jeden przypadek grypy. Kilka zadrapań i skaleczeń. I ta biedna kobieta z owrzodzoną szyją znów zerwała sobie bandaż. Wygląda na paskudnie zainfekowaną...

Bill najpierw zajął się raną na szyi: oczyścił, nałożył lekarstwo i na nowo zabandażował, potem dał kobiecie kilka tabletek antybiotyku.

– Tym razem proszę je wziąć, nie wyrzucać – nakazał, ale wiedział, iż szansę na to, że chora posłucha jego zaleceń, wynosiły co najwyżej pięćdziesiąt procent.

Zadrapania i skaleczenia okazały się niegroźne i szybko się z nimi uporał, jednak z kaszlami i przeziębieniami nie poszło tak łatwo. Wydał krople na kaszel tabletki witaminy C, czując, że

nie ma to większego sensu. Misja miała dość skromne możliwości noclegowe: dwadzieścia dwa łóżka i ograniczenie pobytu do trzech nocy. A co dobrego mogło wyniknąć z zalecania ludziom śpiącym w kartonach w kanałach ciepłowniczych przebywanie w cieple i picie dużej ilości płynów? Ci, którzy zapadli na grypę, odrę i inne poważniejsze choroby, byli zatrzymywani w izbie chorych znajdującej się zaraz za pokojem badań, ale liczba przeziębionych i kaszlących szybko przerastała możliwości pomieszczenia z pięcioma łózkami i większość osób odsyłana była z kwitkiem.

Pacjenci z szuraniem nóg wychodzili na korytarz, zaś Bill i pielęgniarka zajęli się człowiekiem cierpiącym na to, co siostra Margareta wzięła za grypę. Szczupły, dwudziestokilkuletni Murzyn siedział owinięty w kilka koców na wytartym fotelu z odchylanym oparciem za parawanem.

– Bill, nieprawdaż? – spytał przyjaźnie lekarz. – Nietrudno mi zapamiętać to imię. – Położył delikatnie dłoń na ramieniu pacjenta. – Od jak dawna źle się czujesz?

– Od wczoraj – odparł cicho mężczyzna.

Oczy miał przestraszone i rozbiegane. Doktor Miller zbadał go dokładnie, marszcząc czoło, gdy przyłożył słuchawkę do piersi, po czym zwrócił się do Margarety.

– Czy podobne objawy miał jeszcze któryś ze stałych bywalców misji?

– Nie.

– Choruje ktoś z personelu?

Siostra pokręciła głową.

– Chciałbym zrobić mu rentgen klatki piersiowej.

– Mogłabym wysłać go z kimś do Bellevue... – zasugerowała Margareta.

– Tylko nie Bellevue. – Młody człowiek dźwignął się z fotela, rozrzucając dokoła siebie koce. – Nie idę do Bellevue. W Bellevue zamykają. Nigdy się stamtąd nie wychodzi.

– Nie, nie – próbował uspokoić go lekarz. – Nie to miałem na myśli.

– Idę stąd – oznajmił mężczyzna, telepiąc się w stronę wyjścia z ambulatorium.

Bill wyciągnął rękę, żeby go zatrzymać, ale pacjent strząsnął ją. Dotarł do drzwi, gdzie zatrzymał się i stał na chwiejnych nogach, z płonącymi oczami.

– Myślę, że moglibyśmy zabrać go do gabinetu doktora Jensena na Siedemdziesiątej Zachodniej – myślał głośno Bill. – Jest naszym ochotnikiem i sądzę, że mógłby nam oddać tę przysługę. Dla tego chłopaka byłoby to z pewnością łatwiejsze.

– Nie idę do Bellevue... Mężczyzna stał niezdecydowany, kołysząc się.

Margareta podeszła i zarzuciła mu na ramiona koc, ale kiedy próbowała zaprowadzić go z powrotem na fotel, chłopak zaparł się.

– Nie do Bellevue – zapewniła go. – Masz moje słowo.

– Mógłbym załatwić kogoś, żeby zawieźć go tam i z powrotem – mówił Bill. – Pozwoli siostra, że zadzwonię.

– Co mu według pana jest? – spytała cicho Margareta, odciągając doktora na bok.

– Nie jestem pewien. Ale niewykluczone, że to gruźlica.

– To by było fatalnie. Zwłaszcza w takim miejscu jak to.

– Tak, to prawda.

– Co wy tam szepczecie? – zapytał podejrzliwie mężczyzna. – Chcecie mnie gdzieś zawieźć, zamknąć?

– Nikt cię nie zamknie – zapewnił stanowczo Bill. Zwracając się do Margarety, spytał: – Myślisz siostra, że uda się go tu zatrzymać? Przynajmniej dopóki nie upewnię się co do diagnozy?

Potaknęła.

– Odseparujemy go w izbie chorych. W tej chwili zajęte są tylko trzy łóżka, a po dezynfekcji możemy przenieść tych pacjentów tutaj. Obejrzała się za siebie i popatrzyła na młodego człowieka.

– Wiem, że szpitale robią, co w ich mocy – kontynuowała – ale są takie bezosobowe. A choroba to dość przerażające doświadczenie dla każdego.

– To będzie oznaczało dodatkową pracę dla siostry i reszty personelu...

Margareta wyprostowała się.

– Nawykliśmy do pracy – odparła rzeczowo. – Poza tym kto o nich zadba, jeśli nie my?

Uśmiechnęła się do młodego Murzyna.

– Możesz tu zostać. Pan doktor zabierze cię gdzieś na rentgen, a potem cię tu przywiezie. Ale musisz robić dokładnie to, co ci powiem.

Chłopak uśmiechnął się słodko.

– Tak jest, siostrze – powiedział.

Przewrócił oczami i osunął się powoli na zdartą od butów podłogę.

Lucy rzuciła kurtkę i swą wielką torbę na krzesło. Galeria, w której pracowała żona Carra, rzeczywiście specjalizowała się w sztuce nowoczesnej i ani Joe, ani jego połowica, do której był łaskaw zadzwonić, nie potrafili ocenić figurek, choć dostrzegła, jak radiolog skrzywił się na ich widok. Postawiła rzeźby na sosnowej skrzyni, po czym przeszła do kuchni, gdzie z otwartej butelki w lodówce naląła sobie wina i pomyślała o jedzeniu. Wietnamskie, postanowiła. Nie była w nastroju do gotowania, ale w pobliżu znajdowała się dobra restauracja oferująca dania na wynos.

Wróciwszy do pokoju dziennego, zamówiła kurczaka w czerwonym sosie curry z cytryną i mleczkiem kokosowym, potem sprawdziła automatyczną sekretarkę. Huknął głos Moniki, która przypominała jej, że wraz z Howardem oczekują jej w środę wieczorem razem z jej słynnym przepisem na kaczkę, i pytała, co się z nią właściwie, u licha, dzieje? Lucy uśmiechnęła się. Monica była pracownikiem naukowym w CDC i obie kobiety zaprzyjaźniły się bardzo, gdy Lucy odbywała tam staż. Druga wiadomość była od międzynarodowej firmy spedycyjnej, z którą wcześniej się skontaktowała; dzwonili, żeby potwierdzić datę odbioru rzeczy Jeana z Nowego Jorku – wtorek w jego mieszkaniu – i dostarczenia ich do Paryża.

Podeszła do regału z książkami i zaczęła przeglądać część kucharską. Jako zapalona kucharka – gdy naszedł ją nastrój na gotowanie – przez lata zgromadziła niemało przepisów. Ten na kaczkę znajdował się w niepozornej broszurce, która zwykle zawieruszała się między bardziej okazałymi tomami. Znalazła ją w końcu i właśnie wyciągała, gdy przystanęła ze zmarszczonym czołem. Co robiła „Trylogia Saltertona” między „365 sposobami na makaron” a „Kuchnią Grecji”? Spojrzała na półkę wyżej: „Dania węgierskie” obok Somerseta Maughama? Dziwne; nie czytała Maughama od miesięcy, podobnie jak nie używała książki z węgierskimi przepisami. Wzruszając w duchu ramionami, umieściła nie pasujące tomy na właściwych miejscach i przeniosła „Potrawy z dzikiego ptactwa” na biurko, gdzie spisała recepturę na kaczkę, by zabrać ją do Atlanty. Cieszyła się, że Monica zgodziła się na kaczki na Święto Dziękczynienia; indyki stały się takie nudne.

Wróciła do biurka, aby zadzwonić do madame Didier w Paryżu. Chwilę zajęło jej znalezienie numeru; widać zostawiła go pod terminarzem na blacie biurka, a nie w szufladzie, jak jej się zdawało. Telefon dzwonił dobrą chwilę, zanim ktoś podniósł słuchawkę, i Lucy uświadomiła sobie poniewczasie, że we Francji jest już jedenasta wieczorem.

– Madame Didier? Tu ponownie Lucy Nash.

Podczas rozmów telefonicznych z matką Jeana Lucy odkryła, że jej stopień opanowania francuskiego nie był aż tak wysoki, jak myślała.

– Ach, Lucy – rzekła ciepło starsza kobieta. – Jak się masz?

– Dobrze, madame, dziękuję. Mam nadzieję, że nie dzwonię zbyt późno. Chciałabym powiedzieć pani o ludziach od przeprowadzki.

Matka Jean-Pierre’a odszczebiotała coś szybko, a Lucy westchnęła. Choć jej znajomość francuskiego wyniesiona z college’u pozwalała jej na taką komunikację, to nie zawsze była w stanie zrozumieć odpowiedzi na swoje pytania.

– Czy mogłaby pani mówić wolniej? – błagała.

– Chcę ci podziękować – zaczęła madame Didier w ślimaczym tempie. – A więc co z tą przeprowadzką?

– Firma spedycyjna potwierdziła dziś...

Z jakimś trudem Lucy zdołała wyjaśnić, co zostanie wysłane i kiedy przybędzie, oraz podać nazwę i numer telefonu lokalnego przedstawiciela firmy we Francji.

– Resztę rzeczy oddam na cele charytatywne, tak jak ustaliłyśmy – dodała. – Tak?

– Tak. Nie chcę jego ubrań – odparła madame Didier, znowu nabierając prędkości. – To by było zbyt przykre. Chcę ci jeszcze raz podziękować, moja droga. Rodzina Jeana jest ci wdzięczna za wszystko, co zrobiłaś.

Nie chce ubrań, zdołała zrozumieć Lucy. Zbyt przykre. Rodzina Jeana.

– Będziemy mieli tu w Paryżu nabożeństwo ku jego czci – kontynuowała jego matka. – Przyjadą wszyscy krewni. Będą kuzyni, których nie widziałam od wielu lat. To dość smutny powód spotkania tych, których kochamy.

Nabożeństwo. Paryż. Cała rodzina. Smutny kosz... Kosz? Nie, to chyba nie to...

– A czy pani siostra czuje się już na tyle dobrze, żeby przybyć z Marsylii na ceremonię? – spytała Lucy. – Wiem, że jest bardzo chora.

Odpowiedziała jej cisza i Lucy zaczynała się już zastanawiać, czy aby na pewno powiedziała to, o co jej chodziło, gdy madame Didier przemówiła wreszcie.

– Moja siostra mieszka w Paryżu.

– Mówię o tej pani siostrze, która mieszka w Marsylii – upierała się Lucy. – O tej, która jest bardzo chora. Jean miał odwiedzić ją w przyszłym tygodniu.

– Ale... ja nie mam siostry w Marsylii. – Madame Didier była wyraźnie skołowana. – Mówiłaś to już przedtem, a ja ci wyjaśniłam. Może nie rozumiałaś. Moja siostra mieszka w Paryżu... – Przerwała na chwilę. – Twierdzisz, że Jean miał być we Francji w tym tygodniu?

– Mój francuski nie jest najlepszy – przeprosiła Lucy. – Pewnie źle rozumiałam.

– Zapewne. Jean miał przyjechać dopiero na Gwiazdkę. Czyżby?

– Tak, pewnie tak właśnie miało być. Cóż, madame Didier, nie powinnam zabierać pani więcej czasu. Proszę dać mi znać, gdyby były jakieś problemy z przesyłką.

– Dobrze. Jeszcze raz dziękuję.

Lucy odłożyła słuchawkę i odchyliła się w fotelu. A więc Jean-Pierre kłamał na temat chorej ciotki w Marsylii. Ale dlaczego? Odpowiedź – ohydnie oczywista – nie była tą, którą chętnie przyjęłaby do wiadomości. Marsylia była portem, nader częstym miejscem przemytu narkotyków.

Wstała i podeszła do okna. Zza rozdzielających się chmur wyzierał półksiężyc. Wietnamskie danie, które zamówiła, miało zostać dostarczone lada chwila, ale ona nie była już głodna. Poszła do kuchni i naląła sobie jeszcze wina. Popijając, wróciła do pokoju i opadła na kanapę. Udało się jej wmówić sobie, że Jean był niewinny, że ktoś podrzucił mu heroinę. Ale jeśli miałyby to być prawda, jaki był prawdziwy powód jego wyjazdu do Marsylii? I dlaczego postanowił zmyślić historijkę o nieistniejącej ciotce?

Nic? Ani w jego mieszkaniu, ani w jej. Zupełnie nic? Starszy z mężczyzn popijał piwo z nachmurzoną miną.

– Już o tym mówiliśmy – odparł jego znużony kompan.

Mimo że ich boks z połatanymi siedzeniami z dermy i odrapanym stolikiem znajdował się daleko w tyle hałaśliwego baru, mężczyźni rozmawiali półgłosem.

– Ale przecież wyniosła coś z mieszkania Didiera, kiedy była tam w zeszłym tygodniu.

– Cóż, widziałem, jak wychodzi z torbą, której nie przyniosła, to fakt. Ale co było w tej torbie... Wzruszył ramionami.

– Prochy? Gotówka?

– Niczego takiego nie znalazłem. W ogóle nic nie znalazłem.

– Może nie dość dokładnie szukałeś. Ciemnowłosa mężczyzna nagle wstał ze złością.

– Cholera. Jak mi nie wierzysz, to przeszukaj to mieszkanie sam. Zwróciły się na nich twarze pełne oczekiwania. Mały irlandzki pub przy nabrzeżu nie gościł raczej dystyngowanych dżentelmenów.

– Siadaj, Rossetti.

Rossetti siadł.

– A zatem, co mamy? Nie dowiedziałeś się niczego w jej mieszkaniu?

– Trochę. Jest ładna, niezbyt porządna i lubi gotować.

– O, to faktycznie bardzo nam się przyda. Posłuchaj, chcę wiedzieć, co wyniosła z mieszkania Didiera i dlaczego.

– Ejże, może zabrała plik miłosnych listów, które wcześniej do niego napisała. Może odbierała jakieś książki, które on od niej pożyczył.

– A może to ona handluje teraz narkotykami. A w tym wypadku...

– Ona jest lekarzem. Coś się jej tak uczepił?

– Didier też był lekarzem.

Rossetti westchnął.

– Tak, wiem.

Wstał.

– Słuchaj, muszę iść. Już i tak jestem spóźniony.

– Nie trać z nami kontaktu – polecił starszy mężczyzna.

Rossetti posłał mu krzywy uśmiech.

– Tak jakbym miał jakiś wybór.

Proszę tutaj – ciągnęła Lucy, prowadząc trzech mężczyzn z „Cartrighfs – Spedycja Międzynarodowa” do sypialni Jean-Pierre’a – tylko to biurko.

– Ale cudo – skomentował jeden z tragarzy, oglądając sekretarzyk. Naszywka na kombinezonie mówiła, że ma na imię Chad.

– To oryginał; antyk. Już się wiele takich nie spotyka.

Zwrócił się do Lucy:

– Nie chce pani przez przypadek tego sprzedać, zamiast wysłać do Francji?

– Niestety nie – odparła Lucy. – To nie należy do mnie.

– Szkoda – stwierdził Chad. – To takie moje hobby: wiktoriańskie meble.

Nachylił się i badał okucia szuflady.

– Widzi pani? Prawdziwy mosiądz.

Otworzył szufladę.

– Wyjęła pani wszystko?

– Tak, oczywiście – odparła zdziwiona Lucy. Przecież ten człowiek na pewno widział, że szuflada jest pusta. Słyszac w jej głosie zaskoczenie, mężczyzna podniósł wzrok i mrugnął.

– Mam na myśli inne szuflady. Te ukryte.

– Co takiego?
– Wszystkie wiktoriańskie sekretarzyki mają tajemne schowki. Nie wiedziała pani?

Lucy pokręciła głową.

– Ludzie chowali w nich miłosne listy, biżuterię... o, pokażę pani.

Wyciągnął szufladę z prowadnic i obmacał dokoła w środku.

– Zwykle jest jakiś zamek sprężynowy... mam go.

Wyciągnął małą, prostokątną skrytkę otwartą od góry.

– Pusta. Spróbujmy gdzie indziej.

– To ile ich jest? – spytała Lucy z oczami coraz większymi ze zdumienia.

– Och, kilka. Zwykle jest jedna za szufladkami na blacie. Odsunął pokrywę biurka.

– Mogę?

– Proszę bardzo. Oczywiście.

– Ej, facet – przerwał jeden z tragarzy – mamy plan do wykonania, wiesz?

– Sekundę – odparł spokojnie Chad.

Wyciągał po kolei szufladki i macał za każdą, aż zatrzymał się przy trzeciej od lewej.

Pogrzebał przy niewidocznym mechanizmie i Lucy usłyszała ciche puknięcie, gdy zamek puścił.

– Szuflada się zacięła.

Chad zmarszczył czoło.

– Chyba coś tam utknęło.

Popatrzył na Lucy.

– Jeśli pociągnę mocniej, pewnie uda mi się to wyciągnąć. Ale może być rozerwane. Albo mogę zniszczyć szufladę.

– Niech pan próbuje – rzekła Lucy. – Ma pan moje pozwolenie. Wielkie palce Chada szperały i wykręcały się w wąskiej niszy.

– Złapałem – obwieścił w końcu. – To chyba coś skórzanego... Wykręciwszy jeszcze raz palce, energicznym pociągnięciem wydostał w końcu mały oprawiony w skórę notes, cały w drzazgach.

– Obawiam się, że zepsułem szufladę – przeprosił, wręczając Lucy wydobyty przedmiot.

– Nic nie szkodzi – zapewniła Lucy.

Jej tętno stawało się coraz szybsze, gdy przewracała kartki kasztanowego notesu. Pierwsza strona była czysta, druga – pokryta zagadkowymi symbolami i skrótami, lecz pismo należało do Jean-Pierre'a.

– Nie wiem, jak panu dziękować – zaczęła.

– Przykro mi, że to nie biżuteria – powiedział Chad, ale Lucy pokręciła głową.

– Niepotrzebnie. To dla mnie znacznie cenniejsze.

Podczas gdy trzej mężczyźni owijali i pakowali meble Jean-Pierre'a, Lucy siedziała na podłodze w pustoszejącym pokoju dziennym i łamała sobie głowę nad zawartością notatnika. Widniały w nim litery i daty, i symbole, których nie umiała odczytać, nazwy i nazwiska –

Vieillesse, Sun God, Stanislas, Noone – a obok nich zanotowane kwoty pieniędzy, niektóre całkiem spore. Była raczej pewna, że Vieillesse to po francusku „starość”, i nie miało to według niej większego sensu. Za to Sun God brzmiało jak potoczna nazwa jakiegoś narkotyku. Natomiast Stanislas i Noone mogli być odbiorcami. Kilka razy przewinęło się Jorge M. i, przypomniawszy sobie obawę Jeana, że może nie zdążyć na spotkanie z Jorge w Limie, zaczęła się zastanawiać, czy nie mógł to być łącznik handlarzy w Południowej Ameryce. Uświadomiwszy sobie nagle, dokąd ją te myśli mogą zaprowadzić, zatrzasnęła notes. Jean nie mógł handlować narkotykami. Musi być jakieś inne wyjaśnienie tych słów i wyrażen. A te duże sumy pieniędzy? Tak, powiedziała sobie dobitnie, to się musi jakoś wyjaśnić.

– Zrobione.

Stał przed nią Chad.

– Może pani tu podpisać?

Lucy podniosła się, wsuwając notes do kieszeni dzinsów.

– Jeszcze raz dziękuję, że pokazał mi pan te sekretne schowki – rzekła, podpisując zlecenie transportu. – Aha, niech pan zaczeka.

Wzięła do ręki torebkę i wyciągnęła z portfela dwadzieścia dolarów.

– To dla pana – powiedziała do Chada. – Jestem naprawdę wdzięczna.

– To dla mnie przyjemność – zapewnił ją, chowając banknot do kieszeni. – Mówiłem pani, że uwielbiam te stare biurka.

Gdy panowie od przeprowadzki wyszli, Lucy ostatni raz rozejrzała się dokoła. Mieszkanie stało się zimne, puste i smutne. Jean odszedł na dobre. Z wrażeniem czegoś ostatecznego wyszła i zamknęła za sobą drzwi na klucz.

Ale idąc do domu w zapadającym zmierzchu, nie czuła, że sprawa dobiegła końca. I wiedziała, że tego nie poczuje, dopóki nie oczyści Jeana z zarzutów. Albo ich nie potwierdzi – podszeptał jej jakiś wewnętrzny głos.

Gdy skręciła w Drugą Aleję, sięgnęła do torebki, by dać kilka dolarów Szalonemu Rayowi, ale o dziwo nie było go w miejscu, które zwykle okupował wieczorami – przed wypożyczalnią wideo; nie stał też przy wejściu do McDonalda, gdzie zwykle otwierał drzwi klientom, wymachując im przed nosami swym papierowym kubkiem. Cóż, złapie go nazajutrz rano.

Kiedy otwierała drzwi, dzwonił telefon, więc podbiegła do niego, chwytając za słuchawkę w chwili, gdy już miała się włączyć automatyczna sekretarka.

– Lucy? Tu Monica. Chciałam się tylko upewnić, o której jutro przylatujesz. Howard twierdzi, że o piętnastej dwadzieścia pięć, ale mnie się zdawało, że wcześniej...

– Howard ma rację. Próbowaliśmy zmienić rezerwację na dziesiątą, ale wszystkie miejsca mieli już sprzedane.

– A więc dwadzieścia pięć po trzeciej. Będziemy czekać przy odbiorze bagażu. Na pewno poznasz nas po tylu miesiącach?

– Nie próbuj mnie tu teraz wpędzać w poczucie winy. Widzieliśmy się wcale nie tak dawno.

– Raptem w maju.

Lucy uśmiechnęła się.

– Aż tak bardzo chyba się nie zmieniliście.

– Ja mam coraz bardziej blond włosy. Za to Howard ma ich po prostu coraz mniej. Kobiety starzeją się całkiem inaczej niż mężczyźni.

Lucy roześmiała się.

– Aha, i mam te twoje kaczki. Kupiłam je na farmie dzikiego drobiu i są wręcz przepiękne. I pięć pomarańczy, tak jak mówiłaś. I dziki ryż. Na pewno nic więcej nie trzeba?

– Ja przywiozę mieszankę przypraw i butelkę henneseya. Czego nie zużyjemy do kaczki, będziemy mogli wypić.

– Niezły pomysł! – Monica zawahała się. – Luce, pamiętasz Teda Wileya? Pracował nad tymi próbkami peruwii, które przysłałaś. I doszedł do ciekawych wniosków.

– Tak? – Lucy usiadła na krześle przy biurku. – Mianowicie?

– Wygląda na to, że istnieje drugi szczep tego wirusa. Jest naprawdę bardzo, bardzo zbliżony do oryginału.

– Dziwne – stwierdziła Lucy. – Widzieliśmy tylko jedną wersję choroby...

Przypomniała sobie mężczyznę z gorączką i bliznami – tego, który przeklął ich wszystkich i zniknął w dżungli.

– Chociaż był człowiek, który twierdził, że peruwia – nazywał ją sangre negra – to stara choroba, która teraz wróciła.

– Cóż, jesteśmy dopiero na etapie odkrywania filowirusów. Pewnie okaże się, że istnieją tysiące tych małych sukinsynów. W każdym razie, gdybyś została do poniedziałku, Matt może pozwoliłby ci rzucić okiem na ten nowy szczep.

– Tak sądzisz?

Matt Kravitz był kierownikiem czwartego poziomu w CDC i dawnym szefem Lucy.

– Jeśli nie, będziesz mogła obejrzeć wideo z mikroskopu elektronowego. Możesz zostać?

– Pięć dni? Jesteś pewna, że nie będziecie mieli mnie po dziurki w nosie?

– Oczywiście, że nie. Prawie cię teraz nie widzujemy. Będzie świetnie. Lucy pomyślała przez chwilę.

– W porządku, jeśli szpital poradzi sobie beze mnie, spakuję dodatkową parę majtek i zmienię rezerwację na powrót.

– Wspaniale. Aha, i weź ze sobą dobre, mocne buty za kostkę. Na sobotę Howard zaplanował dla nas błoto.

– Ho, ho.

Obie parsknęły śmiechem na ten ton Lucy. Howard, nauczyciel chemii w liceum, uwielbiał spędzać czas na wolnym powietrzu, a im więcej trudu go ta rozrywka kosztowała, tym bardziej mu się podobała.

– Aha, Monica?

Jej głos zabrzmiał teraz poważnie.

– Mam ci coś ciekawego do pokazania. Chodzi o notatnik... Ale to dłuższa historia. Opowiem ci, jak się spotkamy.

– Nie mogę się doczekać.

– Ja też.

Atlanta okazała się popularnym miejscem w wigilię Święta Dziękczynienia i jej samolot musiał krążyć przez półtorej godziny nad miastem, nim zdołał wylądować. Lucy pośpieszyła przez jasno oświetlony terminal, odsuwając od siebie wspomnienie małego lotniska w Peru, a zamiast tego koncentrując się na kaczkach, błocie i starych przyjaciółach.

Monica i Howard ustawili się przy karuzelach z bagażem i kiwali do niej z zapalem, gdy tylko się pojawiła. Monica – znacznie jaśniejsza blondynka, Howard – tylko trochę bardziej łysy. Mimo protestów Lucy, Howard złapał jej wielką zieloną torbę, która nadjechała właśnie na karuzeli, i paplając bez przerwy, ruszyli na parking szukać cherokee gospodarzy. Na przednim fotelu siedział głupio wyglądający corgi* [corgi – rasa małych psów o krótkich łapach i spiczastych nosach], który na ich widok zaczął dziko ujadać.

– Nie zwracaj uwagi na Maxa – powiedziała Monica. – Dużo hałasuje, ale jest niegroźny.

– Nowy nabytek?

– Dość nowy – odparł Howard. – Dostał nas około Halloween.

Otworzył drzwi.

– Max, zostań – nakazał stanowczo.

Małe zwierzę na krótkich łapach natychmiast wyskoczyło z samochodu, pognało obwąchać Lucy, zaznaczyło, że to do niego należy lewa tylna opona samochodu, i pogalopowało nadzorować ładowanie torby do bagażnika, po czym wskoczyło na tylne siedzenie i zaczęło drapać tapicerkę, machając grubym ogonem z prędkością godną jakiegoś rekordu.

– Sam go tresujesz? – spytała Lucy z miną niewiniątka.

– Bardzo śmieszne.

Howard zasiadł za kierownicą, potem odwrócił się i poklepał psa po brązowej głowie.

– Dobra psina.

– Ach, Metoda Pozytywnej Informacji Zwrotnej – roześmiała się Lucy.

– Żartuj sobie do woli – odparł obronnym tonem Howard. – A jeśli chcesz wiedzieć, corgi to bardzo inteligentna rasa. To doskonale psy pasterskie.

– A to taka przydatna cecha w mieście – dodała Monica z uśmiechem. – No, teraz powiem ci, kto przychodzi jutro na kolację...

Cztery rezusy zawyły i załomotały swoimi klatkami na widok świątecznej kolacji wniesionej przez człowieka w żółtym kombinezonie. Postawił jedzenie na metalowym stole do badań i podszedł do klatek. Żadnych zmian. Choć w zasadzie to wcale się ich nie spodziewał. Kiedy

badał je kilka godzin wcześniej, wydawały się całkiem zdrowe. Ostatecznie minął przeszło tydzień. Gdyby miały zachorować, już by to nastąpiło.

Szedł od klatki do klatki, otwierając niewielkie drzwiczki, przez które podawał jedzenie i usuwał puste naczynia, i porządnie je zamykając. Mimo iż chciał jak najszybciej skończyć i udać się na własną świąteczną kolację, pracował powoli i ostrożnie. Przy metalowym stoliku napełnił naczynia, potem wrócił do klatek i zaczął karmić zwierzęta. Małpy zwykle cofały się, gdy wkładał do klatek dłón w rękawiczce – odpychała je bliskość jaskrawej żółci i zapach środka do dezynfekcji.

Wkładał właśnie ostatnie naczynie, gdy się to stało. Bez żadnego ostrzeżenia rezus przyskoczył z odległej części klatki, złapał za rękawicę i mocno ugryzł go w kciuk.

Upuścił naczynie z karmą i odskoczył, miotając przekleństwa. Serce waliło mu dziko, ale zachował się na tyle przytomnie, by zatrzasnąć drzwiczki klatki przed przystąpieniem do oględzin przegryzionej rękawicy. Czy ząb małpy dotarł dostatecznie głęboko?

W normalnych okolicznościach wyszedłby z laboratorium i odkaził się pod prysznicem w pozbawionym dopływu powietrza pomieszczeniu, a dopiero potem zdjął kombinezon i rękawiczki. Teraz nie było na to czasu. Obok małego laboratorium ze zwierzętami znajdowała się umywalka z płynem do dezynfekcji. Nacisnął stopą na pedał, ściągając jednocześnie grubą rękawicę, gdy z kranu popłynął środek. Obie pary rękawiczek chirurgicznych też były przedziurawione. Cholera. Ściągnął je, dziękując Bogu, gdy nie zobaczył krwi, i wsadził dłón pod strumień. Nie poczuł ukłucia, a skóra na palcu zdawała się nienaruszona.

Jego oddech powoli wrócił do normy. Do diabła, powtarzał sobie, nie ma się czym przejmować. Małpy nie są zarażone. Jednak wiedział, że to niezupełnie tak. To, że nie były chore, nie oznaczało, że nie zostały zainfekowane. Pewna odmiana gorączki krwotocznej kończyła się śmiercią u szympanów, gdy tymczasem dla ludzi była całkiem niegroźna. Mogło też być odwrotnie.

No, i co o nim myślisz?

Lucy zeskrobała resztki obfitej świątecznej kolacji z ostatniego z pięknych porcelanowych talerzy Moniki, po czym wstawiła go do zlewu. Kaczki okazały się stuprocentowym sukcesem i zostały po nich tylko kości.

– Co myślę o kim?

– O Charliem. Charliem Mossie.

Lucy spojrzała na przyjaciółkę przez ramię.

– O, nie – jęknęła. – Nie zaprosiłaś go chyba ze względu na mnie.

– Oczywiście, że tak. Idealnie do ciebie pasuje. A Howard twierdzi, że uwielbia włóczyć się po lesie.

– To rzeczywiście najważniejsze kryterium. – Lucy odkręciła kran i zaczęła płukać naczynia.

– Wiesz, jak nie znoszę tych swatów.

– Daj mu tylko szansę – błagała Monica. Wzięła od Lucy talerz i umieściła go w zmywarce.
– Jest przystojny i inteligentny. I wiem, że poszukuje.

Lucy przerwała płukanie i zwróciła się do przyjaciółki:

– Wiem, że chcesz jak najlepiej, kotku, ale to nie jest najszcześniejsza chwila.

– Co masz na myśli? Co się stało?

Brązowe oczy Moniki wypełniły się troską.

– Ja... związałam się z kimś w Peru – zaczęła Lucy. – A potem wydarzyła się cała kupa gówna...

Wahając się, z przerwami opowiedziała Monice o swoim romansie z Jean-Pierrem, o jego aresztowaniu i śmierci, i o swoim postanowieniu, by dowiedzieć się prawdy. Gdy mówiła, z jadalni dochodziły odgłosy śmiechu i szczekanie, a na ich tle jej słowa brzmiały tym bardziej tragicznie i nierealnie. Monica słuchała w milczeniu. Gdy Lucy skończyła, objęła ją ramieniem.

– Tak mi przykro – rzekła po cichu. – Nie miałam pojęcia. Czemu nie powiedziałaś mi wcześniej?

– Miałam zamiar zrobić to w ten weekend – odparła Lucy. – Pamiętasz notatnik, o którym wspominałam ci przez telefon? Należał do niego. To jedyna wskazówka, jaką mam, i chyba nie pozwoli mi wierzyć w to, co bym chciała.

– Czytałam o tym w gazetach – powiedziała Monica. – Ale nie miałam pojęcia... Naprawdę myślisz, że był niewinny?

– Wierzyłam w to na początku. Wciąż chcę wierzyć, ale...

– Ciasto dyniowe i strudel z jabłkami. Już niosę! – zawołał przez ramię Howard, wchodząc do kuchni. – Lucy, Monica, zostawcie te naczynia. Charlie i ja załatwimy to później.

– Oto prawdziwy książę – obwieściła Monica, pewnie zatraskując zmywarę, i zwróciła się do Lucy: – Pogadamy sobie dłużej, jak wszyscy pójdą do domu.

– Babskie pogaduchy?

Howard puścił oko do Lucy.

– Niezły ten Charlie, co? Kapitalny z niego wędrowiec. Wiesz, że pewnego razu...

Lucy przewróciła oczami, a Monica posłała mężowi pełne cierpienia spojrzenie.

– Howard? Idź spytać, czy ktoś życzy sobie lody do ciasta.

Nazajutrz po Święcie Dziękczynienia w Nowym Jorku spadł pierwszy śnieg; wielkie, mokre płatki fruwały ciężko w zimnym powietrzu i układały się w rozmokłe warstwy na chodnikach, okapach i dachach. Bill Miller jak zwykle spędził Święto w Vermont. Miał w okolicy Manchester kilkoro bliskich przyjaciół, z którymi zjadł indyka, a w pobliżu wyciągu na Stratton Mountain czekał na niego apartament. Bill kochał narty i zwykle mógł liczyć na kilka dobrych tras czynnych już pod koniec listopada, nawet jeśli śnieg na stokach był w przeważającej części sztuczny. Jednak w tym roku był zbyt zajęty, by świętować więcej niż dwa dni, i sobota zastała go już w mieście. Od lat nie spędzał tego szczególnego weekendu w Nowym Jorku i, objeżdżając

noclegownie i schroniska, dziwił się eksodusowi, który pozostawił ulice przyjemnie puste i spokojne.

Gdy wchodził do misji, siostra Margareta pospieszyła, by się z nim przywitać.

– Nie ma wielkiej poprawy – oznajmiła bez żadnych wstępów.

– Na to trzeba czasu.

Podążył za jej odzianą w biały fartuch postacią na tyły budynku.

– Cicho tu – zauważył.

– Nie przyjmujemy nikogo na noc, tak jak pan polecił – wyjaśniła. – Jadłodajnię zamykamy teraz o trzeciej. Oczywiście wrócimy do dawnego porządku, gdy tylko się to skończy.

Zatrzymali się przy metalowych drzwiach, najwyraźniej nowych, na których widniał wielki, czerwony napis:

KWARANTANNA. WSTĘP WZBRONIONY

– Cieszę się, że zdobył pan pozwolenie na pozostawienie ich tutaj.

– To nie było takie trudne, jak się obawiałem – odparł Bill. – Mojemu koledze z Komisji Zdrowia bardzo zależało na uniknięciu paniki. W im większej tajemnicy uda nam się to utrzymać, tym bardziej go uszczęśliwimy.

Odwrócił się i spojrzał na nią srogo. I dodał:

– Jednak sprawą najistotniejszą jest to, by siostra i wszyscy pracownicy bezwzględnie przestrzegali zasad bezpieczeństwa.

– Oczywiście. Rozumiemy to.

– Nikt z personelu ani ochotników nie zachorował?

– Dzięki Bogu, nie.

Stanęła do lekarza bokiem i otworzyła drzwi do małej przebieralni.

– Położyłam już pana rzeczy na wierzchu. Thelma i Pat są w środku. Pomogą panu... – Margareta nagle przerwała. – Wszyscy jesteśmy panu tacy wdzięczni, doktorze Miller.

Uśmiechnął się ciepło.

– Cieszę się, że mogę zrobić chociaż tyle. Obawiam się, że to nie ostatnie przypadki odpornej na antybiotyki gruźlicy – dodał, a jego uśmiech zgasł. – Poza tym wciąż nie jestem do końca przekonany, że ukrywając ich tutaj, postępujemy właściwie, mimo że członkowi komisji zdaje się ten pomysł podobać...

– Szpitale są przepelnione – rzekła stanowczym głosem Margareta. – Poza tym jeśli ludzie dowiedzą się, że kilku bezdomnych ma oporną na antybiotyki gruźlicę, wybuchnie panika. Sam pan mówił.

Bill wzruszył ramionami, co miało oznaczać, że się z nią zgadza.

– Zamknięto by wszystkie schroniska i misje, a ci biedni ludzie znaleźliby się na śniegu – kontynuowała siostra.

Doktor z wolna pokiwał głową. Od chwili, gdy w zeszłym tygodniu tamten chłopak upadł na podłogę pokoju badań, Margareta przedstawiała mu swoje poglądy i zamiary jasno i wyraźnie. Sam Bill mógł się im co najwyżej podporządkować.

– Cóż, zadbajmy przynajmniej o to, by nie przysporzyć sobie dodatkowych problemów – powiedział. – Zgadzam się, że pewnie oddajemy wszystkim przysługę, zamykając chorobę w tym miejscu. Ale musimy skrupulatnie przestrzegać procedury sterylizacji. I dbać o własne bezpieczeństwo.

W przebieralni zdjął z siebie ubranie i powiesił je w szafce, potem założył czysty zielony uniform i gumowe buty przygotowane na ławce przez siostrę Margaretę. Z obitego tkaniną haka w ścianie zwisał pomarańczowy kombinezon z niezależnym, zasilanym baterią zapasem powietrza. W kapturze wbudowany był mikrofon i słuchawki. Z trudem wbił się w kombinezon, myśląc o tym, jak nie znosi tego uczucia zamknięcia. Od zawsze miał lekką klaustrofobię. Wziął kilka oddechów na próbę; wyglądało na to, że mechanizm działa bez zarzutu. Naciągnął dwie pary chirurgicznych rękawiczek, które zostawiła mu Margareta, i ciasno zapiął na rzepy rękawy wokół nadgarstka. Czując się jak pomarańczowa wersja ludzika reklamującego opony Michelin, poczłapał na korytarz, wziął głęboki wdech i pchnął stalowe drzwi.

Przeszedł szybko przez komorę do dezynfekcji, którą Carl Anders, szef laboratorium IMA, kazał tu ostatnio zainstalować. Prysznic z chemicznego środka zwanego Envirochem będzie konieczny dopiero w drodze powrotnej z oddziału.

Thelma podniosła wzrok znad stolika na kółkach, na który odkładała instrumenty do pobierania krwi – jednorazowe igły, próżniowe pojemniki, nasączone alkoholem waciki – i uśmiechnęła się do Billa przez osłaniającą twarz czystą szybką kombinezonu. Thelma była doskonałą pielęgniarką, zaś misja mogła sobie na nią pozwolić tylko dzięki specjalnemu wkładowi IMA. Pat, jej pomocnica, odwróciła się od pacjenta, którego akurat doglądała, i pomachała. Ona także miała na sobie jałowy zielony komplet, rękawice i kombinezon z nieprzepuszczalnego tworzywa.

Do dwudziestu dwóch leżanek, które stanowiły normalne wyposażenie misji, dostawiono jeszcze cztery, tak że po trzynaście łóżek stało pod kątem prostym do dwóch równoległych ścian na całej długości pomieszczenia. Mężczyzn umieszczono po jednej stronie, kobiety po drugiej. Thelma podjechała z wózkiem do pierwszego łóżka po prawej i wraz z Billem zaczęli. On badał po kolei wszystkich pacjentów, ona robiła notatki i pobierała krew. Od czasu do czasu Bill prosił, by użyła jakiegoś konkretnego pojemnika; kolorowe wierzchy wskazywały na rodzaj badania, jakie miało zostać wykonane na danej próbce krwi.

– Wciąż są dosyć apatyczni – informowała Thelma, nie przerywając pracy, głosem wątłym i stłumionym przez mikrofon i słuchawki.

– To normalne – zapewnił ją Bill. – Prawdę mówiąc, są w lepszym stanie, niż się spodziewałem. Czy kaszel jest wciąż z plwociną?

– U jednych tak, u innych nie. Na początku mieli bardzo wysoką gorączkę i strasznie się

pocili, ale zdaje się, że najgorsze mają już za sobą...

Zawahała się, nim dodała:

– Jednak zauważyłam jakąś wysypkę u kilkorga pacjentów.

Bill zmarszczył brwi.

– Proszę mi pokazać.

Thelma zaprowadziła go do łóżka kobiety w średnim wieku o pulchnej j twarzy i siwiejących włosach.

– Pan doktor chce zobaczyć twoją wysypkę – oznajmiła Thelma drzemiącej pacjentce, delikatnie odciągając szpitalną koszulę.

Kobieta otworzyła podkrążone na czerwono oczy i z niepokojem spojrzała na Billa, lecz on uśmiechnął się uspokajająco i poklepał ją po rękę, po czym nachylił się, by zbadać niewielkie, ciemne pręgi.

– Tak, widziałem już wcześniej takie zmiany – zwrócił się do Thelmy. – Jedna z odmian podostrej gruźlicy przenoszona przez krew. To raczej powszechna komplikacja przy szczepach opornych na antybiotyki, zwłaszcza w przypadku nawrotu zaleczonej choroby.

Pielęgniarka potaknęła i oboje przeszli do kolejnego pacjenta.

Była prawie ósma, gdy skończyli, i Thelma zaczęła pakować fiolki z krwią, by je odkazić i oddać do analizy.

– Poprawa jest powolna, ale stała – powiedział Bill obu kobietom. – Myślę, że pokonamy to paskudztwo. Radzicie sobie z kombinezonami ochronnymi?

Na drugim końcu pokoju Pat podniosła oba kciuki w górę, ale wzruszyła ramionami.

– Trochę przeszkadzają – rzekła. – Jest pan pewien, że ich potrzebujemy? Czy zwykły kombinezon, maska i rękawice...

– Gumowe kombinezony są może rzeczywiście trochę na wyrost – odparł Bill – ale mówimy tu o przenoszonym przez krew i powietrze patogenie gruźlicy, na który nie znamy lekarstwa. Wciąż nie mogę się nadziwić, że wirus nie zaatakował całej misji, nim uświadomiliśmy sobie, z czym mamy do czynienia i odizolowaliśmy zakażonych. Do diaska, siostra Margareta i ja badaliśmy pierwszego chorego, nachylaliśmy się nad nim, dotykaliśmy go. Lepiej noście te kombinezony.

Zmarszczył brwi, wchodząc do kabiny pod siedmiominutowy odkażający prysznic. Zadowolony był z postępów swoich pacjentów, ale bardzo martwił się ryzykiem. Stał pośrodku maleńkiego pomieszczenia i poddawał się działaniu środka. Cóż, nie było już odwrotu; tkwili w tym po uszy. Odwrócił się i podniósł ręce, by płyn dotarł też pod pachy. Tak długo, jak zachowane były środki bezpieczeństwa, misja była w stanie się z tym uporać. Tak długo, jak wszyscy pamiętali o odkażaniu. Tak długo, jak nikt z niczym nie nawalił.

O Boże. Pomocy. Proszę...

Mężczyzna jęczał cicho, a z oczu płynęły mu ciemnoczerwone łzy. Jego poduszka umazana

była krwią, która lała się z nosa, ust, z uszu.

Pielęgniarka stała przy łóżku z oczami wielkimi z przerażenia. Dokoła niej szesnaścioro innych pacjentów stękało i rzucało się, umierając w ciemnych skrzepach własnej krwi. Czym była ta dziwna i jakże straszna choroba?

Zadrżała, napełniając strzykawkę. Nic z tego, co robiła ona czy pozostałe dwie pielęgniarki, nie zdawało się pomagać, lecz mimo wszystko próbowały, bo nie mogły po prostu stać z boku i beczynnie się przyglądać. Miała na sobie niebieskie szpitalne spodnie i koszulę, a na nich długi po kostki chirurgiczny fartuch z długimi rękawami. Jej dłonie i nadgarstki pokrywały lateksowe rękawiczki, a usta i nos zasłaniała chirurgiczna maseczka. Mówili, że choroba przenosi się tylko przez kontakt z krwią, ale po co ryzykować?

Podniosła strzykawkę do góry i wypuściła kroplę na czubek igły, potem spojrzała na wiszący na odległej ścianie zegar. Jeszcze półtorej godziny i jej ośmiogodzinna zmiana dobiegnie końca. Nie mogła się już doczekać, by zedrzeć z siebie zakrwawione ubrania i przespać się trochę w maleńkim pomieszczeniu dla personelu. Ostatnio coraz bardziej żałowała, że się w to wpakowała. Ale komu przyszłoby do głowy, że będzie tak strasznie? Pierwszego dnia pacjenci wyglądali jak wielu innych...

Płaca, jaką zaoferowano, wynosiła trzykrotność jej szpitalnej pensji; no jasne, to powinno było dać jej do myślenia. I nie rozumiała tak naprawdę, że będzie żyła w całkowitym odosobnieniu. Przynajmniej miała inne pielęgniarki i sanitariuszy do towarzystwa. I tego mężczyznę, który mienił się lekarzem, choć miała co do tego wątpliwości.

– Pomóżcie...

Ciałem mężczyzny wstrząsały drgawki.

– Jestem tu.

Pochyliła się nad pacjentem i położyła wolną rękę na jego ramieniu.

– Mam tu coś, co ci pomoże.

Mężczyzna zwrócił do niej zakrwawioną twarz, jego drzenie stało się mniej gwałtowne.

– Pomóżcie...

Sięgnęła do tyłu po wacik i potarła drżące ramię ze świadomością, że zasady higieny i tak nie mają już znaczenia. Ten człowiek umierał. Tak jak oni wszyscy. Upuściła wacik, chwyciła go mocno za rękę i wbiła igłę w siną, nakrapianą tkanę. Mężczyzna jęknął. Wpuściła zawartość w ramię, wiedząc, że to bez sensu. Wpatrywał się w jej twarz, szukając jakiejś pociechy, jakiejś iskierki nadziei, lecz niczego takiego nie znalazł.

Wyciągała akurat igłę, gdy ciałem pacjenta znowu wstrząsnęło. Jego rękę wyrwała się z jej uścisku, uderzając strzykawkę i posyłając zakrwawioną igłę przez sterylną rękawicę na lewej dłoni w tkanę pomiędzy palcem wskazującym i kciukiem.

Wydając z siebie gardłowy krzyk, upuściła strzykawkę i stała zapatrzona we własną rękę.

– Co się stało? Co zrobiłaś?

Podniosła pełne strachu oczy. Stał za nią jeden z sanitariuszy.

– Muszę to odkazić – rzekła, przeciskając się koło niego. Pobiegła w stronę zamkniętych na klucz drzwi prowadzących poza oddział, ale on był szybszy.

– Pokaż ręce – zażądał, zagroziwszy jej drogę.

– Zostaw mnie.

Serce biło jej szybko, gdy próbowała go wyminąć. Gdyby tylko udało się jej to zdezynfekować, może wszystko byłoby w porządku. Złapał ją za przeguby i spojrzał w dół na rękawiczki.

– Masz skaleczoną skórę.

– To nic takiego – powiedziała, wrywając się. – Daj mi się tylko odkazić.

– Jasne. Ali!

W jednej chwili została otoczona. Dwóch sanitariuszy – dwóch wielkich facetów – trzymało ją mocno, podczas gdy siostra Raphaela, ta, której nigdy nie lubiła, zdarła z jej lewej dłoni przekłutą rękawiczkę. Smużka krwi zajaśniała na kakaowej skórze. Walczyła z całych sił, krzycząc, wiedząc, co ją czeka, ale sanitariusze byli silni. Raphaela wstrzyknęła jej środek nasenny, a mężczyźni przywiązali do łóżka. Preparat zadziałał szybko i jej krzyki stały się cichsze, aż ustały.

Stali wpatrzeni w nią w sidłach palącego do białości strachu. Taki wypadek mógł się zdarzyć każdemu z nich. Była dobrą pielęgniarką...

Wczesnym rankiem w poniedziałek po Świącie Dziękczynienia biała, nieoznakowana ciężarówka do walki ze skażeniami biologicznymi zatrzymała się przy krawężniku i czekała z cicho pracującym silnikiem. Z cienia wyłoniło się trzech mężczyzn w czarnych kosmicznych skafandrach. Podciągnęli do tyłu ciężarówkę jednaście worków ze zwłokami. Z wnętrza kabiny kierowca otworzył szczelny kontener i mężczyźni wrzucili worki do środka. Kontener zamknął się z trzaskiem i upiorny pojazd odpłynął w mrok.

Wszystko wyglądało zupełnie inaczej niż w jej pamięci, stwierdziła Lucy, gdy wraz z Monicą przeciskały się przez wejście do komory z podciśnieniem i wkraczały na poziom czwartego zabezpieczenia przed zagrożeniem ze strony organizmów żywych. Podłączyła się do jednego ze zwisających z sufitu czarnych, grubych węży doprowadzających powietrze i rozejrzała się dokoła. Upiorne błękitne światło rozlewało się po pustym laboratorium. Gdzie się wszyscy podziali? Monica chwyciła ją za łokieć i poprowadziła do stanowiska, na którym w stojaku umieszczone były próbówki z błyszczącą na czerwono zawartością.

Lucy nachyliła się, by odczytać napis na etykiecie: PERUWIA. Czemu tak błyszcząły? Monica wyciągnęła rękę i odetkała jedną z probówek, uwalniając różowe opary, które wirowały, rozchodziły się w powietrzu i wypełniały pomieszczenie wokół dwóch badaczek, pokrywając osłaniające twarze szybki ich kombinezonów. Lucy nabrała powietrza i zrobiła krok do tyłu, uderzając w rękę Monice i strącając stojak, który roztrzaskał się o podłogę. Probówki

ekspłodowały, posyłając w powietrze odłamki szkła. Lucy poczuła ukłucie i spojrzała w dół. Rozcięcie w kombinezonie odsłoniło krwawiącą nogę. Wpatrywała się w ranę z przerażeniem, czując, jak chłodne opary sączą się do rany, potem upadła na podłogę, krzycząc słabo w kapturze swego kombinezonu. Monica chwyciła ją za ramię i zaczęła ciągnąć w stronę komory z podciśnieniem, ale obie wiedziały, że było już za późno. Lodowato zimna noga sterczała z rozciętej nogawki, podczas gdy Monica ciągnęła ją po wyłożonej kafelkami podłodze...

– No dalej, Lucy. Wstawaj!

Z walącym dziko sercem Lucy otworzyła oczy. Monica stała nad nią i trzymała ją za ramię.

– Już prawie siódma. Czas ruszyć tyłek.

Do świadomości Lucy powoli dotarła obecność wzoru na tapecie, niebieskich zasłon i przenośnego telewizora na szafce nocnej. Jej tętno stawało się wolniejsze. Różowy koc zsunął się w nocy i odsłonił prawą nogę, narażając ją na działanie niezwykle chłodnego jak na tę porę roku powietrza, które ogarnęło Atlantę poprzedniego dnia.

– Przedziurawiłaś sobie kiedyś kombinezon ochronny? – spytała cicho.

Budzi się wreszcie Śpiąca Królowna – rzekła Monica i dopiero wtedy dostrzegła na twarzy Lucy napięcie. – Zły sen? Często dręczyły mnie koszmary, gdy zaczynałam w CDC. Wszystko w porządku?

Jak najlepszym – pewnie odparła Lucy. Usiadła i zwiesiła nogi z łóżka.

– To tylko sen.

– No to ruszajmy się. Po wpół do dziewiątej będą koszarne korki.

Przed budynkiem stanowiącym Sekcję Patogenów Szczególnego Ryzyka CDC znalazły się tuż przed dziewiątą. Przeszły szczegółową kontrolę i udały się do baru na kawę. Nic nie mogły zrobić bez pozwolenia Matta Kravitza, a obawa Moniki przed korkami przygnała je tu przed nim.

Chrupiąc cytrynową bułkę, Lucy znów pomyślała o swoim koszmarze. W przeciwieństwie do Moniki, nigdy nie miała złych snów w czasach gdy pracowała w CDC. Lucy była dumna z własnej odporności, zaś myśl o dobierającej się do niej peruwii bardzo ją irytowała.

– Przykro mi, że nie pomogłam ci z tym notatnikiem – powiedziała Monica, przerywając jej rozmyślenia. – Ale raczej nie ma w nim istotnych informacji, prawda?

– Prawdę mówiąc, to są aż za bardzo istotne i wszystkie prowadzą do narkotyków – odparła z goryczą Lucy.

Jej ślepa wiara w niewinność Jean-Pierre'a została podkopana przez zawartość notesu.

– Żałuję, że w ogóle to cholerstwo znalazłam.

– Ważny jest każdy dowód, nawet gdybyś nie wiedziała, gdzie go dopasować – stwierdziła Monica. – Sama wiesz; jesteś przecież naukowcem. – Leniwie zamieszała resztkę kawy. – A więc jaki będzie twój następny ruch, Sherlocku?

Lucy wzruszyła ramionami. Bill Miller miał rację. Jeśli Jean-Pierre handlował narkotykami, dociekanie prawdy mogło ją narazić na poważne niebezpieczeństwo.

– Nie wiem, czy w ogóle mogę jeszcze wykonać jakiś ruch – rzekła.

– W takim razie daj sobie na jakiś czas spokój, niech to wszystko dojrzeje – poradziła Monica. – Kto wie? Może pewnego dnia będziesz siedziała w swoim gabinecie, a nazwiska i symbole nabiorą znienacka całkiem nowego znaczenia.

– No pewnie. A może któregoś dnia Howard powie: „Max! Zostań!” i Max go posłucha.

Monica roześmiała się.

– Ejże, to całkiem możliwe.

– Nie za mego życia. A teraz, jeśli dopiłaś już pomyje, które wciskają tu za kawę, to może pójdziemy sprawdzić, czy Matt postanowił zjawić się dzisiaj w pracy...

Matt Kravitz nadchodził właśnie korytarzem, gdy dwie kobiety stanęły przed drzwiami jego gabinetu. Był zaskoczony – rzecz jasna, mile – widokiem Lucy i bardzo chciał usłyszeć o jej pobycie w Peru.

– Jednak niestety, ze względu na warunki ubezpieczenia nie będę mógł cię wpuścić do gorącej strefy – powiedział, używając żargonowego określenia laboratorium poziomu czwartego.

– Mogą tam przebywać tylko aktualnie zatrudnieni w CDC. Jeśli chciałabyś zobaczyć wideo z mikroskopu elektronowego, zawołam Teda, żeby ci pokazał.

I tak oto znalazła się w towarzystwie Teda Wileya przed monitorem komputera i studiowała obrazy, które tak dobrze znała z własnych badań: hordy wirusowych włókien przypominających pastorały. Kolory zostały nieco przesycone, by było je lepiej widać; poplątane łańcuchy miały barwę czerwoną na bladożółtym tle.

– Oto peruwia – powiedział Ted.

Niski blondyn po trzydziestce specjalizował się w filowirusach i miał wielkie doświadczenie w badaniach laboratoryjnych nad wirusem Ebola.

– A tu mamy ten drugi szczep – kontynuował, wystukując jednocześnie polecenie. – Nazwałem go peruwia dwa.

Obraz zmienił się, ale włókna wyglądały tak samo.

– Widzisz różnicę? – spytał.

Lucy uważnie przyglądała się obrazom, podczas gdy Ted włączał to jeden, to drugi.

– Poddaję się – powiedziała w końcu. – Nie widzę.

– Ja też nie – przyznał. – W tym właśnie rzecz. To jak szczepy Ebola: Reston i Zair. Na pierwszy rzut oka różnicy nie widać.

– Dzięki Bogu – rzekła z uśmiechem Lucy. – Już myślałam, że tracę kwalifikacje. Jak więc go wykryłeś?

– Pracowałem nad kodem genetycznym jednego z trzech białek, które byliśmy w stanie zidentyfikować...

Lucy pokiwała głową.

– ...i odkryłem minimalną różnicę. Naprawdę maleńką. Nie wiem oczywiście, jak właściwie ta różnica w genach zmienia dane białko ani w jaki sposób taka zmiana mogłaby wpłynąć na

działanie czy też przenoszenie wirusa. To wymaga czasu i wielu testów.

– Łącznie z takimi testami, do wykonywania których nie masz prawa – przypomniała mu Lucy.

Testowanie śmiertelnych patogenów przez agencje rządowe było ściśle nadzorowane, by nie dopuścić do oskarżeń o próbę stworzenia broni biologicznej.

Ted pokiwał głową.

– Tak czy inaczej, na dzień dzisiejszy mogę ci powiedzieć tylko tyle, że wygląda na to, iż mamy do czynienia z dwoma szczepami peruwii.

– Ile z próbek krwi, które ci przysłałam, zawiera oryginalną peruwie, a ile ten nowy szczep?

– Prawie wszędzie jest oryginał. Peruwie dwa znalazłem tylko w jednej próbce. – Zmarszczył czoło. – To dość niezwykle, jak się tak nad tym zastanowić.

– Może wcale nie – odparła Lucy. – Do obozowiska przyniesiono kiedyś mężczyznę i jego żonę z gorączką; oboje mieli stare blizny po peruwii. To pewnie w ich krwi wykryłeś ten drugi szczep.

Ted znów pokiwał głową.

– Brzmi prawdopodobnie. Ale... Mówisz: kobieta i mężczyzna? Znalazłem go tylko w jednej z przysłanych przez ciebie próbek. A powinienem przynajmniej w dwóch. Pobierałaś chyba krew od każdego kilkakrotnie...?

– Tak, ale nie od tych dwojga – odparła Lucy. – Uciekli z obozu niemal natychmiast, jak się tam znaleźli.

Ted uniósł jedną brew.

– Mężczyzna bredził o sangre negra – tak nazywają tam peruwie – że to choroba sprowadzona przez białego człowieka. Przeklinał nas, wrzeszczał, próbował nawet uderzyć pielęgniarza.

– Bez wątplenia zawieźliśmy im odrę i gruźlicę – rzekł Ted – ale te filowirusy wyłoniły się prosto z lasów deszczowych... – Przerwał. – A więc powinny być dwie próbki?

– Tak. Czy to możliwe, że jedną przeoczyłeś?

– Nie sędzę. Gdy wykryłem ten drugi szczep, byłem taki podekscytowany, że jeszcze raz dokładnie sprawdziłem wszystkie czterdzieści pięć probówek. Nada* [nada (hiszp.) – nic].

– Czterdzieści pięć? – Lucy pokręciła głową. – Niemożliwe. Zapakowałam po piętnaście próbek do każdego pudła. Piętnaście razy pięć pudeł to siedemdziesiąt pięć...

– Trzy pudła.

– Słucham?

– Dostaliśmy trzy pudła, nie pięć.

Lucy gapiła się na niego przerażona.

– Przywiozłam pięć pudeł, Ted. Widziałam, jak wyładowywali je z samolotu na Lotnisku Kennedy’ego. Widziałam, jak pakowali je do furgonetki Millera. Cóż, dwa z nich do nas nie dotarły.

Lucy wpatrywała się w zabójcze obrazy na ekranie monitora. Trzydzieści próbek – nietłukących, w przeciwieństwie do tych z jej koszmaru, lecz o równie śmiertelnej zawartości – były nie wiadomo gdzie, całkiem nie notowane.

– Gdzie jest jakiś telefon?

Ted zaprowadził ją do niewielkiego pokoju po drugiej stronie korytarza i stał z boku, gdy wybierała numer.

– Z biurem Billa Millera, proszę... Alicia? Mówi Lucy Nash. Muszę pilnie z nim porozmawiać.

Przez chwilę słuchała, marszcząc brwi.

– Dziś wieczorem? O której? Do diabła. Nie, to nie może czekać. Możesz go gdzieś złapać? Myślisz, że zadzwoni? Podaj mi numer jego telefonu, żebym mogła wykłócić, jak tylko wróci. Cholera, Alicia, to niezwykle ważne.

Uspokój się, nakazała sobie. Denerwowanie sekretarki Millera nic tu nie pomoże.

– W porządku. Wpisz mnie na jutro rano do jego kalendarza spotkań.

Rzuciła słuchawkę i zwróciła się do Teda:

– Miller poleciał dziś rano do Chicago i nie zostawił żadnego telefonu. Sekretarka nie chciała mi podać jego numeru domowego, który jest zastrzeżony, jak raczyła mnie poinformować, ale powiedziała, że zostawi wiadomość na jego automacie w domu.

– A ten Miller to...

– Dyrektor IMA. Był ze mną na lotnisku, gdy wyladowywano pudła. Widział też, jak pakowano je do furgonetki.

– Zadzwon do mnie, jak z nim porozmawiasz – poprosił Ted. – Jeśli próbki rzeczywiście zostały dostarczone, a my coś schrzaniłiśmy...

– CDC miałyby coś schrzanić? – rzekła z powątpiewaniem Lucy. – Mało prawdopodobne. – Środki bezpieczeństwa związane z ochroną patogenów w CDC były niemal owiane legendą. – Ale oczywiście dam ci znać, czego się dowiedziałam – dodała. – Tymczasem nie wpadajmy w panikę.

– Racja.

Przeszli z powrotem przez korytarz. Na monitorze komputera włókna peruwii świeciły krwistą czerwienią w ciemnym pokoju.

– Filowirusy – paskudne małe sukinsyny – rzekł cicho Ted.

– Najpaskudniejsze.

Wpatrywali się w ekran przez dłuższą chwilę. Potem Ted wystukał na klawiaturze polecenie, wcisnął jeszcze jeden klawisz i ekran zrobił się czarny.

Lucy wcześniej zarezerwowała bilet na popołudniowy lot z Atlanty do Nowego Jorku, planując wczesny lunch z Monicą po ranku spędzonym w CDC. Jednak teraz za bardzo się denerwowała, żeby spokojnie siedzieć, a co tu mówić o jedzeniu, zaś Monica, przeładowana pracą po długim świątecznym weekendzie, nie protestowała zbyt, gdy przyjaciółka oznajmiła,

że z lunchu nic nie będzie.

Wezwała taksówkę i ruszyła na lotnisko z nadzieją, że uda się jej zmienić rezerwację na jakiś wcześniejszy lot. Jednak nie była jedyną osobą, która o jeden dzień przedłużyła sobie weekend, w związku z czym wszystkie miejsca w samolotach były już zajęte. Pocieszała się myślą, że do powrotu Billa i tak nic nie mogła zrobić.

Taksówka przywiozła ją pod dom prawie o szóstej. Wcisnęła walizkę portierowi, a sama poszła do sklepu za rogiem po karton mleka. Mokry śnieg, który spadł podczas jej pobytu w Atlancie, zrobił się czarny i stwardniał na mrozie, a ona poczuła, że drży mimo podpinkki przy prochowcu. Wychodząc ze sklepiku, pamiętała, żeby wsunąć do kieszeni płaszcza dwa dolarowe banknoty dla Raya, ale nigdzie go nie zobaczyła. Może siedział skulony w wejściu do jakiejś kamienicy, chroniąc się od wiatru. Smutna to była myśl.

Rozpakowała walizkę, potem zrobiła sobie kanapkę i zasiadła z nią przed telewizorem. Leciał akurat stary film z Bogartem, jeden z jej ulubionych, ale jej myśli błąkały się gdzie indziej, gdy co chwila spoglądała na zegarek, życząc sobie, żeby zadzwonił telefon. W końcu, piętnaście po jedenastej zadzwonił.

– Lucy? Tu Bill Miller. Przepraszam, że dzwonię tak późno, lecz Alicia zostawiła mi wiadomość, że to pilne.

– Zgadza się, Bill, to pilne. Mamy wielkie kłopoty.

Chwila milczenia.

– Jakie kłopoty?

– Najgorsze z możliwych. Pamiętasz, jak spotkaliśmy się na lotnisku podczas wylądowywania peruwii? Pamiętasz, jak przyglądaliśmy się, gdy wszystkie pięć pudeł pakowano do furgonetki?

– Tak...

– No więc tylko trzy z nich dotarły na miejsce. Pozostałych dwóch brakuje.

– Brakuje?

– Cóż, nie wiem, gdzie się znajdują. Mówimy o peruwii, Bill... o zabójczym wirusie. Co my teraz, u licha, zrobimy?

– Przestaniemy się martwić – odparł pewnie Bill – i pójdziemy spać. Pudeła nie zginęły.

– Ale CDC ich nie dostało.

– Bo nie miało ich dostać.

– Ale...

– Uspokój się, Lucy. Są absolutnie bezpieczne.

– Nie rozumiem.

– Jasne, że nie. Nie jesteś wtajemniczona w tę część naszej działalności... – Przerwał. – Posłuchaj, wyjaśnię ci wszystko jutro. O ile wiem, mamy spotkanie z samego rana.

– Ale...

– Jestem wykończony, Lucy. Miałem długi, męczący dzień. Jutro, dobrze?

– Więc twierdzisz, że są bezpieczne. Peruwia jest bezpieczna.

– Tak, absolutnie bezpieczna. Porozmawiamy rano.

Lucy odłożyła słuchawkę uspokojona, lecz zaintrygowana. O jakiej to części działalności IMA mówił jej Bill? No dobrze, peruvia była bezpieczna, a to najważniejsze. Wzdrygnąwszy się w duchu, wyłączyła telewizor i udała się do sypialni.

Spała dobrze i nie śniła żadnych koszmarów. Wstała wypoczęta o siódmej i przed spotkaniem w IMA wybrała się na pół godziny do siłowni. Na dworze wciąż było zimno i nadciągały chmury; idąc, założyła rękawiczki. Rozglądała się po ulicach, ale Raya wciąż nie było. Czyżby jej sąsiedzi wprowadzili w czyn groźbę usunięcia go z okolicy? A może on sam posłuchał w końcu jej rady i poszukał pomocy w którejś z organizacji wspierających bezdomnych? Może z nastaniem chłódów znalazł schronienie w przytułku. Lucy zamieszkała tu poprzedniej wiosny, nie miała więc pojęcia o zimowych zwyczajach Raya.

Alicia przeprosiła ją wylewnie, gdy zjawiła się w biurze Billa.

– Źle zrobiłam, że nie dałam pani wczoraj jego zastrzeżonego numeru – powiedziała. – Doktor Miller był na mnie bardzo zły.

Lucy wzruszyła ramionami.

– Robiłaś tylko to, co do ciebie należy.

Alicia przytaknęła z zapalem.

– Dziękuję za zrozumienie. Może pani od razu wejść. Doktor czeka na panią.

Gdy wchodziła, Bill wstał znad śniadania składającego się z kawy i rogalika.

– Często się – powiedział, wskazując na kredens. Lucy podeszła, nalała sobie kawy, zawahała się, po czym wzięła też rogalik.

– Przepraszam, że tak cię wystraszyłem – ciągnął, gdy usiadła po, drugiej stronie małego, okrągłego stołu konferencyjnego. – Ale jak ci już mówiłem, nie ma się czym przejmować.

– Dobrze. A więc gdzie są próbówki?

Bill uśmiechnął się.

– Zawsze jesteś taka bezpośrednia, Lucy. Za to cię lubię. Wziął łyk kawy.

– Trzy pudła zostały zgodnie z planem dostarczone do CDC. Pozostałe dwa trafiły do laboratorium IMA tu, w Nowym Jorku. Odstawił filiżankę.

– Wasze laboratorium nie jest przystosowane do przechowywania takich patogenów! – wykrzyknęła Lucy.

– Już jest.

– Ale przecież tego typu badania są ściśle kontrolowane. Wymagane są specjalne licencje...

– Wiem o tym – przerwał jej delikatnie.

Lucy zarumieniła się ze wstydu; jasne, że wiedział.

– Niedawno otrzymaliśmy specjalne, ograniczone pozwolenie na wykonywanie pewnych badań na wirusach. Na przygotowanie laboratorium IMA do przyjęcia tego wyzwania wydano miliony dolarów.

– Jestem pod wrażeniem – powiedziała Lucy; i rzeczywiście była. – Ale po co wydawać pieniądze w ten sposób? CDC już przecież nad tym pracuje...

– Tak jak nad setką innych rzeczy. Jeszcze rogalika?

Lucy pokręciła głową.

– Lucy, czuję się osobiście zobowiązany wobec zapomnianych ludzi na całym świecie. Niszczą się lasy deszczowe, prymitywne kultury... Oczywiście jestem pełen najwyższego uznania dla CDC. Ale spójrzmy prawdzie w oczy: peruvia i wirusy jej podobne są postrzegane przez większość naukowców jedynie jako naukowe wyzwania. Lwią część czasu i pieniędzy na tym świecie poświęca się chorobom, które dotyczą całych rzesz ludzi, przeważnie możliwych ludzi.

– Ale to nie...

– Na szczęście nie wszyscy zgadzają się z taką filozofią – kontynuował, nie zważając na jej próbę wejścia w słowo. – Ja z pewnością się zgadzam, podobnie jak wielu naszych sponsorów. Dzięki ich hojności IMA ma środki, by sprostać tym potrzebom.

– Nie miałam pojęcia.

– Jasne, że nie. Nasza rozszerzona działalność to dobrze strzeżona tajemnica. Ale mogę cię zapewnić, że jest najzupełniej legalna.

Lucy popijała kawę. Pomysł był intrygujący, ale gorące laboratorium w centrum Nowego Jorku?

– Sprawdzali nas inspektorzy BHP, Agencja Ochrony Środowiska, Departament Zdrowia... Chciałabyś zobaczyć te dokumenty? – dodał z uśmiechem, jakby czytając w jej myślach.

– Chciałabym zobaczyć laboratorium.

Bill wyglądał na zaskoczonego.

– Myślę, że da się to załatwić. Chociaż do strefy najbardziej zagrożonej wstęp mają tylko wybrani pracownicy.

– Rozumiem. Ale przecież jestem członkiem IMA.

– Ochotnikiem. Nie pracownikiem.

– To można zmienić.

Bill zmarszczył brwi.

– Chcesz porzucić pracę w szpitalu?

– Nie, tego bym nie zrobiła. Ale może mogłabym poświęcić wam kilka popołudni w tygodniu. Pewnie udałoby mi się jakoś dopasować grafik – dodała z rosnącym entuzjazmem. – Naprawdę chciałabym wziąć udział w badaniach nad peruwia.

– O, peruvia to nie jedyny przedmiot naszych badań. Realizujemy też kilka projektów z bakteriofagami. Uważam, że inżynieria genetyczna dzierży klucz do pokonania plag nękających kraje Trzeciego Świata.

I wszelkie pozostałe, pomyślała Lucy.

– I finansujecie się zupełnie sami? To zadziwiające.

Badania, o jakich mówił Bill, musiały kosztować miliony dolarów.

– Cóż, jeśli jest rzecz, w której jestem niezły, to jest nią właśnie gromadzenie funduszy.

Bill uśmiechnął się skromnie. I dodał:

– A jak mówiłem, wielu z naszych sponsorów podziela moje poglądy.

Wstał i podszedł do kredensu.

– Jeszcze kawy?

– Nie, dziękuję.

– A więc myślisz poważnie o współpracy z nami? – spytał, napelniając filiżankę.

– Na pewno chciałabym to rozważyć po obejrzeniu laboratorium. Dopija swoją kawę. Jeśli pracownia była prowadzona prawidłowo, jeśli zachowane były wszystkie stosowne środki ostrożności...

– Zobaczę, co uda mi się załatwić – obiecał Bill, wracając do stołu. – Rzecz jasna, decyzja nie będzie zależeć ode mnie. Laboratorium prowadzi Carl Anders. To genialny naukowiec, a do tego bardzo oddany sprawie.

Bacznie przyglądał się Lucy przez stół.

– Bywa nieco... trudny. Szorstki. Ale ty przecież jesteś twarda... – Uśmiechnął się od ucha do ucha. – Myślę, że sobie z nim poradzisz. Hm...

– Już nie mogę się doczekać naszego spotkania – odparła Lucy spokojnie. – Jestem bardzo ciekawa, co mi powie na temat tego drugiego szczepu peruwii.

– Słucham? Co za drugi szczep?

– Wykrył go Ted Wiley. W Atlancie.

To tak à propos stwierdzenia, że IMA chętniej niż CDC pomaga nieszczęśliwcom tego świata, pomyślała.

– Przypuszczam, że ów szczep pochodzi od dwojga ludzi, którzy opuścili obozowisko... Pisałam o nich w moim sprawozdaniu. Udało mi się pobrać od nich tylko po jednej próbce krwi. Jedną ma CDC, więc zakładam, że ten Carl...

– Anders.

– Tak, Anders. To on musi mieć drugą próbkę.

– Nic nie słyszałem o drugim szczepie. Myślisz, że to znaczące odkrycie?

– W tego typu badaniach każde odkrycie jest znaczące, dopóki nie udowodni się, że jest inaczej – wyjaśniła. – Ale zapytaj Andersa, co on o tym sądzi. Jeśli w ogóle wie o drugim szczepie.

– Myślisz, że mógłby nie wiedzieć?

– Cóż, pod mikroskopem nie widać żadnej różnicy. Ted natknął się na nią, bawiąc się kodem genetycznym jednego z białek.

– Porozmawiam z Carlem – rzekł Bill w zamyśleniu. – Na pewno nie chcesz już kawy?

– Nie, za dwadzieścia minut muszę być w szpitalu.

Lucy wstała.

- Daj mi znać, kiedy mogłabym zobaczyć laboratorium. Pasowałby mi czwartek.
- Bill też się podniósł.
- Zobaczą, co da się zrobić. Aha, Lucy? Zrobiłaś jakieś postępy w tej drugiej sprawie?
- Drugiej sprawie?
- Jean-Pierre i cała ta afera.
- Ach, to.
- Pomyślała o notatniku, który leżał schowany w jej szufladzie z bielizną.
- Hm, niestety. Żadnego postępu.
- Cóż, może tak będzie najlepiej. Lepiej nie budzić licha, kiedy śpi.

Jake, słyszałeś kiedyś o prywatnym laboratorium ze śmiertczonośnymi patogenami?

Dwoje doktorów schroniło się w pokoju lekarskim, by omówić kilka nowych przypadków, którymi obarczono Lucy tego samego ranka.

– Prywatne laboratorium? – Jake odłożył swój notatnik na niski stolik. – Jasne. Cornell jako jedyny posiada zezwolenie na hodowanie i prowadzenie badań na żywych wirusach AIDS. Jeśli to nie jest śmiertczonośny zarazek, to nie wiem, co nim jest.

– Nie całkiem o to mi chodzi.

Lucy wstała i podeszła do niewielkiego okna. Na dworze Central Park wyglądał szaro i chłodno.

– Bill Miller mówił mi, że IMA otrzymało specjalną licencję na prowadzenie badań nad peruwiańską kurczę.

– O kurczę.

– No właśnie, ja zareagowałam podobnie.

Jake zastanowił się chwilę.

– Cóż, jeśli twierdzi, że mają licencję, to pewnie ją mają. Chodzi mi o to, że byłoby niemożliwe zrobienie czegoś takiego bez zezwolenia. Trzeba by być wariatem, żeby w ogóle próbować. Poza tym powiedział ci o wszystkim, więc z pewnością nie jest to żaden sekret.

– Prawdę mówiąc, twierdził, że to dobrze strzeżona tajemnica.

– Chryste, no myślę, że tak. Gorące laboratorium w samym Nowym Jorku. Gdzie jest usytuowane?

– Gdzieś w przemysłowej części miasta. W przyszłym tygodniu wybieram się tam na wycieczkę. Pracują też nad DNA bakteriofagów... Jake, czemu rząd miałby popierać powstanie laboratorium IMA, skoro mamy CDC, USAMRIID i inne istniejące już pracownie...?

– Mówił, że finansuje ich rząd?

Lucy zawahała się.

– Właściwie powiedział, że to dzięki gromadzonym przez niego funduszom istnieje ta placówka.

– A więc masz odpowiedź. Miller jest wysoce cenionym lekarzem znajdującym sponsorów,

którzy chętnie zapłacą za przyjemność zbawiania świata. Otrzymuje ograniczone zezwolenie, podlega stosownej kontroli, a podatnicy za nic nie płacą.

– Ale nigdy przedtem nie pracował z wirusami – rzekła Lucy, siadając w jednym z niebieskich, krytych sztuczną skórą foteli.

– A więc zatrudnia kogoś, kto już to robił – stwierdził Jake.

Lucy pomyślała o Carlu Andersie i pokiwała głową.

– Słuchaj, facet wie, gdzie uderzyć – kontynuował Jake. – Obraca się w odpowiednich kręgach, zna ważnych ludzi... A ta jego IMA robi wiele dobrego na świecie.

– To prawda.

– Podobnie zresztą jak ty i wszyscy ci inni lekarze, którzy poświęcają swój czas.

Lucy uśmiechnęła się.

– Dzięki. Myślę właśnie, żeby poświęcić go trochę więcej.

– O? Dokąd się teraz wybierasz?

– W żadne egzotyczne miejsce. Zastanawiam się nad pracą w laboratorium IMA na jakąś część etatu.

Jake był wyraźnie zbity z tropu.

– Miałem nadzieję, że uda mi się namówić cię na dodatkowe godziny u nas – wyznał.

Ale Lucy pokręciła głową.

– Przywiozłam peruwiańczyka z dżungli, a teraz mam wielką szansę, żeby kontynuować swoją pracę.

– Cóż, chyba nie możemy konkurować z taaakim filowirusem!

– Nie ma mowy. – Lucy uśmiechnęła się szeroko. – To gorąca sprawa.

Było już po dziewiątej, gdy Lucy wreszcie opuszczała tego wieczora szpital. Nim uporała się z dwoma nowymi przypadkami – mężczyzną z AIDS, u którego rozwinęło się zapalenie płuc wywołane pierwotniakami z gromady Toxoplasmae, a który był uczulony na najskuteczniejszą w takim wypadku Septre, oraz młodą kobietą z nawracającą infekcją nerek – na jej biurku znalazły się karty jeszcze trzech pacjentów. Udało się jej znaleźć minutę, by zadzwonić do Teda Wileya i zapewnić go, że wirusy są bezpieczne, ale od złożonego z rogalika i kawy śniadania u Billa Millera nie zdołała nic zjeść. Teraz, zmęczona i głodna, drżała z zimna na słabym śniegu, który zaczął padać późnym popołudniem, i próbowała złapać taksówkę.

Gdy weszła do mieszkania, dostrzegła mrugające światełko automatycznej sekretarki. Rzucając płaszcz na krzesło, włączyła aparat i słuchała, jak głos Alicii informuje ją, że Carl Anders może się z nią spotkać dopiero w następnym czwartek. Cóż, nawet jej to pasowało. Akurat w tej chwili całą swoją uwagę będzie musiała poświęcić tym pięciu nowym przypadkom w szpitalu.

Przebrała się w dzinsy i sweter i włączyła telewizor. W końcu zidentyfikowali bezdomnego, który zamarzył poprzedniej nocy w Central Parku. Mimo iż jego opis nie pasował do Raya,

odkryła, że się o niego niepokoi. W drodze do domu przeczesywała wzrokiem ulice, ale nigdzie go nie widziała. Miała nadzieję, że przebywa w jakimś ciepłym miejscu.

Nazajutrz rano niebo roz pogodziło się, a mróz nieco zelżał. Po drodze do szpitala na poranną odprawę oddziału epidemiologicznego rozglądała się po okolicy, ale Raya wciąż nie było widać. Podobnie wieczorem. Jej umysł zaprzętały szczegóły nowych przypadków ze szpitala, toteż dopiero w piątek zauważyła, że zniknął nie tylko Ray; od jakiegoś czasu nie widziała też młodej kobiety z bandażem na szyi. Zaś mężczyzna z dreadami na głowie nie szperał już w koszach na śmieci w poszukiwaniu butelek. Nagle uświadomiła sobie, że tak naprawdę znikli z jej sąsiedztwa wszyscy bezdomni.

Wciąż nie jestem przekonany, że jest nam potrzebna – mruzczał Carl Anders.

Bill westchnął.

– Przerabialiśmy to już – rzekł, przekładając słuchawkę do drugiego ucha. – Ma doskonałą opinię jako wirusolog, jest zaznajomiona z peruwiańską i już jest jedną z nas.

– Była aż na jednej misji – sztychł Carl.

– Za to na bardzo ważnej.

Bill rozmasował ucho i znów przełożył słuchawkę. Oczami wyobraźni widział ludzi w białych fartuchach – w tym ani jednej kobiety – poruszających się to tu, to tam za szybą oddzielającą niewielki gabinet dyrektora od właściwego laboratorium. Niechęć Carla do płci przeciwnej była dobrze znana. Cóż, będzie musiał ją przewyciężyć.

– Będziesz ją miał przez jedno, może dwa popołudnia w tygodniu – ciągnął. – Na pewno jakoś sobie z tym poradzisz.

Carl milczał.

– Gdy tylko ją poznasz...

– Od razu ją polubię? Wątpię.

Anders spojrział na zegarek.

– Jest już dwadzieścia minut spóźniona – rzekł z tryumfem. – To chyba nie najlepszy początek.

– Spokojnie, Carl.

– No dobrze, robota czeka. Gdzie ona, u diabła, jest?

Gdzie ja, u diabła, jestem? – zapytywała siebie Lucy. Mieszkała i uczyła się w Nowym Jorku kilka lat temu, teraz przebywała tu od ośmiu miesięcy i zdawało się jej, że zna miasto jak każdy nowojorczyk. Lecz w tej chwili czuła się, jakby właśnie wysiadła z autobusu z Kansas City. Metro, którym miała dojechać do celu, wywoziło ją gdzieś na wschód od miejsca przeznaczenia. Nic nie szkodzi, pomyślała; złapię taksówkę. Jednak wszystkie taksówki, jakie widziała, zjeżdżały akurat do bazy i mijały ją pędem. W porządku, pójdzie pieszo. Ruszyła na południowy zachód, pytając o drogę tych kilku przechodniów, których udało się jej napotkać, lecz większość

z nich zdawała się równie zagubiona jak ona sama. Tu, gdzie wyspa, na której leżał Manhattan, znacznie się zwężała, ulice były bardzo krótkie i w przeciwieństwie do numerowanych alei bardziej na północ, nazwy takie jak Laight czy Renwick nie dawały najmniejszego pojęcia o jakimkolwiek geograficznym porządku.

Mijała warsztaty blacharskie, magazyny, doki przeładunkowe, aż w końcu trafiła na korporację taksówkową. Kierowca jednego z samochodów, tankujący akurat paliwo, wyciągnął porządnie wyświechtany plan miasta i razem wybrali trasę, tak że cztery minuty później, sześć przecznic dalej, stanęli przed pięciokondygnacyjnym budynkiem zrujnowanej fabryki. Wielkie, stare okna o futrynach wzmocnionych metalem wyglądały ślepo na rzekę. Czy to naprawdę tutaj? Sprawdziła adres, który wcześniej dostała, z numerem umieszczonym nad prostymi, szerokimi stalowymi drzwiami. Tak, to było to. Spróbowała otworzyć drzwi, ale były zatrzaśnięte. Z boku dostrzegła klawiaturę zabezpieczającą wejście, a przy niej przycisk od domofonu. Do ściany powyżej przytwierdzona była niewielka kamera. Lucy nacisnęła guzik i przedstawiła się.

– Proszę, doktor Nash – powitał ją męski głos. – Niech pani wjedzie na pierwsze piętro.

Usłyszała otwierający się zamek i weszła do środka.

Znalazła się w wysokim, kwadratowym hallu o ścianach z cegły świeżo pomalowanych na lśniąco-białą i podłodze pokrytej białymi i czarnymi kafelkami. Jedyne meblowanie stanowiły biurko i fotel, w tej chwili puste. Winda umieszczona była w ścianie na wprost Lucy, a jej drzwi właśnie się rozsuwały. Lucy wsiadła i wjechała na pierwsze piętro, gdzie wyszła na korytarz podobny do tego na dole. Dwuskrzydłowe wzmocnione drzwi stały otworem, ukazując kolejne – szklane tym razem – a za nimi maleńką recepcję. Mężczyzna w laboratoryjnym fartuchu pospieszył ku niej, otwierając drzwi, by ją powitać.

– Doktor Livingstone* [David Livingstone (1813-73) – szkocki misjonarz i odkrywca podróżujący po Afryce.], jak sądzę? – zażartował. Jego szeroki uśmiech był zaraźliwy.

– Odkrycie tego miejsca to naprawdę niezła przygoda. – Lucy uśmiechnęła się. – Szczerze mówiąc, wciąż nie jestem pewna, gdzie „to miejsce” się znajduje.

– Przyjechałem tu ze Stanfordu we wrześniu i ciągle czuję się, jakbym odkrywał nowe terytorium za każdym razem, gdy rano dojeżdżam do pracy. Aha, jestem Richard Hollander.

Wyciągnął rękę i uściśnął dłoń Lucy. Jego chwyt był pewny i chłodny.

– Biolog molekularny. Mam nadzieję, że będziemy razem pracować.

– Byłoby miło, Richardzie – odparła neutralnie Lucy, przyglądając się sympatycznemu młodemu człowiekowi.

No, wcale nie tak młodemu, stwierdziła, dostrzegając maleńkie zmarszczki w kącikach roześmianych oczu, które spoglądały na nią zza delikatnych drucianych okularów. Pewnie zbliżał się do czterdziestki. Twarz miał interesującą raczej niż konwencjonalnie przystojną, brązowe włosy dobrze ostrzyżone i uczesane; zachowanie swobodne i szczere.

– Richard brzmi tak sztywno – rzekł z uśmiechem. – Mów do mnie Rick. Miło będzie mieć w pracowni kobietę – kontynuował, prowadząc ją do laboratorium. – Będziesz jedyna.

– Żartujesz.

– Wydaje mi się, że nasz doktor Anders ma maleńki problem w tej kwestii – mówił półgłosem. – Nadaje nowe znaczenie przymiotnikowi „konserwatywny”. Ale ty go oczarujesz.

– Nie mam takiego zamiaru – zapewniła go Lucy.

– Tym lepiej.

Uśmiechnął się do niej szeroko, po czym odwrócił się, by pozdrowić wysokiego, szczupłego, dobiegającego sześćdziesiątki mężczyznę, który wyłonił się właśnie z przeszklonego biura z boku szerokiego korytarza.

– O, Carl. To jest doktor Nash. Właśnie mieliśmy cię poszukać.

Anders obrócił się, zawahał, podszedł. Był ascetycznie chudy, a jasne włosy ostrzyżone miał tak krótko, że trudno było rozpoznać ich kolor. Na bladych policzkach widać było słabe ślady młodzieńczego trądziku, zaś nos miał tak wąski i ostry, że można było nim kroić stek. Mając prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, górował zarówno nad Lucy, jak i nad Rickiem. Odsłonił zęby w imitacji uśmiechu.

– Doktor Nash, cieszę się, że zechciała pani do nas dołączyć.

– To ja się cieszę, że mogłam się tu znaleźć – odparła Lucy raczej drętwą.

– Zapraszam do mojego gabinetu. Porozmawiamy chwilę – powiedział. – Potem Hollander oprowadzi panią po pracowni.

Rick zasalutował i odsunął się, pozwalając Lucy podążyć za Carlem do jego małego gabinetu.

– Rozumiem, iż Rick dołączył do was kilka miesięcy temu – odezwała się Lucy, próbując zagaić rozmowę, gdy siadała w jednym z dwóch foteli dla gości. – Dużo macie nowych pracowników?

– Owszem. Laboratorium rozrasta się ostatnio, o czym z pewnością poinformował panią doktor Miller.

– Tak, Bill mówił mi o tym.

Z rozbawieniem dostrzegła reakcję Carla na fakt, że nazwała Millera po imieniu. Nie będziesz mi tu zgrywał waśniaka, Anders, pomyślała. Nie jestem jednym z twoich żółtodziobów.

– Wygląda na to, że macie tu niezłą pracownię.

– Nieprawdaż? Mamy też niewielkie laboratorium ze zwierzętami, choć nie sądzę, by była pani zainteresowana badaniami weterynaryjnymi in vivo. Pozwoli pani, że opowiem o naszej pracy...

Lucy przysłuchiwała się z uwagą, jak Carl opisywał stosowane obecnie metody, techniki i sprzęt – wszystko nader nowoczesne i horrendalnie drogie. Stwierdzenie Millera, że jest niezły w gromadzeniu funduszy, było najwyraźniej przesadnie skromne. Lecz w miarę jak Carl ciągnął swe opowiadanie, Lucy była coraz bardziej zdziwiona, że taki nacisk kładzie się na próby zmiany genetycznej struktury filowirusów, a potem testowanie, jak owa zmieniona struktura wpływa na ich wirulencję i przenoszenie. W CDC nacisk kładziono na zrozumienie podstawowej struktury

genetycznej i poszukiwanie czynnika, który mógłby złagodzić przebieg choroby lub całkiem z niej wyleczyć. Przypomniały się jej badania nad wirusem Ebola, w które zaangażowany był Ted Wiley, i to, jak za pomocą komputera tworzył modele, pracując nad powierzchnią łączenia się wirusów AIDS, usiłując, jak dotąd bezskutecznie, stworzyć lek na Ebola.

– ...zgadza się pani?

Oho. Jej myśli poszybowały w innym kierunku i nie usłyszała kilku ostatnich zdań Carla.

– Hm, być może – wymamrotała z nadzieją, że nie proponował prezydentury Newta Gingricha czy zniesienia ubezpieczeń zdrowotnych. – A co pan sądzi o tym drugim szczepie peruwii?

Carl zmarszczył brwi.

– Doktor Mi... Bill też o tym wspominał. Nie ma żadnego drugiego szczepu.

– Ależ jest. Sama go widziałam w Centrum Zwalczenia Chorób Zakaźnych.

– Co dokładnie pani widziała?

Lucy zamilkła.

– Może źle się wyraziłam. Nie można zobaczyć różnicy między tymi szczepami. Jednak badacz, z którym rozmawiałam, odkrył, że kod genetyczny...

Carl pokręcił głową.

– To aberracja. Albo jakieś zanieczyszczenie – powszechny problem w laboratoriach wirusologicznych.

– Jestem pewna, że nie w tym przypadku. Było tych dwoje Peruwiańczyków...

– Tak, czytałem pani raport. Lecz tutaj nie wykryliśmy żadnego drugiego szczepu. Zresztą i tak nie ma to znaczenia dla naszych celów... A teraz – Anders wstał, ignorując zaskoczone spojrzenie Lucy – myślę, że Hollander już czeka. Później chciałbym usłyszeć, w jaką część naszej pracy chciałaby się pani zaangażować.

To by było na tyle, myślała Lucy, podążając za Carlem do laboratorium, jeśli chodzi o stwierdzenie Billa, że IMA jest bardziej zaangażowane w tego typu badania niż CDC. A zresztą, podejście Carla i tak nie miało najmniejszego znaczenia. Ted Wiley zrobi co trzeba z tym drugim szczepem.

Jednak jej myśli o Carlu szybko się rozwiały, gdy tylko Rick zaczął oprowadzać ją po pracowniach. Słowo „imponujące” nie oddawało w pełni tego, co zobaczyła. Pomieszczenia laboratorium otwartego dzięki połączeniu pierwszego piętra z drugim były dwa razy wyższe niż normalnie i oświetlone z góry zimnym, fluorescencyjnym światłem. Nie znalazła nawet śladu okien, które widziała z zewnątrz. W murach dawnej fabryki zbudowano dodatkową dwuwarstwową powłokę, wyjaśnił Rick, by lepiej oddzielić od reszty świata pracownie i umożliwić założenie wymaganego systemu filtracji. Nad laboratorium otwartym kondygnacje zachowały swą oryginalną wysokość. Piętro trzecie podzielono na kilka sekcji. Jedna z nich przeznaczona była dla komputera i innych urządzeń umożliwiających tworzenie obrazów za pomocą na przykład kopiowania mikrograficznego czy bardzo wymagającej komputerowej

techniki rekonstrukcji obrazów wirusów. Kolejna sekcja składała się z szeregu pracowni zaprojektowanych specjalnie do pracy „na zimno”, na przykład przy chromatografii kolumnowej. Utrzymywano tu temperaturę zbliżoną do tej panującej w lodówce, żeby nie inaktywować enzymów, z którymi pracowali naukowcy.

– Tam jest laboratorium ze zwierzętami – wyjaśnił Rick, gdy mijali stalowe drzwi ozdobione znakami informującymi o zagrożeniu dla życia ze strony organizmów żywych. – Zamknięte, rzecz jasna.

– Wykonujecie dużo pracy in vivo? – spytała Lucy.

– Bardzo mało. Carl pracuje teraz chyba nad kilkoma programami, i to wszystko.

Na następnej kondygnacji znajdowały się kolejne pracownie, a do tego wielka chłodnia, elektronowy mikroskop i pomieszczenie z osłoną jonową.

– Laboratorium ma układ z BioScanem – tłumaczył Rick – który przez określony czas pozwala nam korzystać ze swojej wyszukanej technologii.

Lucy pokiwała głową. Przemysł prywatny często zawierał takie układy z rządowymi grupami naukowców – biologów i lekarzy, zapewniając im dostęp do specjalnych technologii i fachowców, których owe grupy nie potrzebowałyby na dłuższą metę. BioScan był potentatem w tej dziedzinie i taki układ z IMA wyjaśniałby obecność kosztownych cacek, jakie wokół siebie widziała.

– Co jest na pozostałych dwóch piętrach nad nami? – spytała Lucy.

– W tej chwili nic – odparł Rick. – Miejsce na rozbudowę, jak sędzę. Reszta budynku stoi pusta.

– A na najniższych kondygnacjach?

– Pomieszczenia do sterylizacji, systemy filtracji i wyrównywania ciśnień.

Lucy kiwała głową. Wszelkie płyny z gorącego laboratorium były dokładnie przegotowywane w celu odkażenia, zanim się ich pozbyto, i z powietrzem postępowano podobnie. Rick poprowadził ją krótkim korytarzem w stronę stalowych drzwi pokrytych czerwonymi symbolami oznaczającymi zagrożenie dla życia.

– Laboratorium śmiertelnych patogenów jest za tymi drzwiami. Mnie nie wolno tam wchodzić, ale ty, jak sędzę, masz uprawnienia. Carl mówił, że pewnie będziesz chciała się przebrać i rozejrzeć...

– To prawda.

– W pokoju przygotowawczym znajdziesz kombinezon ze swoim nazwiskiem. Przygotowali ci też stanowisko w laboratorium. Na końcu po prawej stronie.

– Nader dogodne – uśmiechnęła się Lucy.

Rick nie odpowiedział tym samym.

– Nie wiem, jak wy to robicie – rzekł. – Nie ma na świecie pieniędzy, które skłoniłyby mnie do przejścia przez te drzwi.

Wzdrygnął się. Lucy pokiwała głową ze zrozumieniem. Mimo że sama na szczęście nie

miała skłonności do klaustrofobii, znane jej były takie reakcje na zamykanie się w kosmicznym kombinezonie pod ciśnieniem i wkraczanie do odciętego od reszty świata pomieszczenia poziomego czwartego. Właśnie dlatego tak niewiele osób miało na to licencję. Nim drzwi przebieralni zamknęły się, obejrzała się za siebie. Rick wciąż tam stał, patrząc za nią.

Zdjęła z siebie wszystko, łącznie z bielizną, i schowała do szafki. Potem wzięła z półki zielony jałowy uniform chirurgiczny i nałożyła go. Następnie wciągnęła lateksowe rękawiczki i białe skarpety, które przymocowała do rękawów i nogawek zielonego kompletu. Drzwi oznaczone napisem POKÓJ PRZYGOTOWAWCZY prowadziły do pomieszczenia, w którym na wieszakach wisiały jasnoniebieskie kombinezony. Odnalazła strój ze swoim nazwiskiem na piersi, położyła go na posadzce i weszła do środka, naciągając na siebie i wkładając dłonie w połączone z rękawami rękawice. Założyła plastikowy hełm, pozapinała wszystkie rzepy, a maska zasła mgłą. Chwytny zwisający z sufitu czarny wąż, podłączyła go do swojego kombinezonu. Powietrze z sykiem wypełniło skafander i maska na twarzy znów była przejrzysta. W uszach słyszała szum, gdy wdychała chłodne, suche powietrze i rozglądała się dokoła.

Z boku znajdowały się drzwi pokryte kolejnymi znakami ostrzegającymi przed zagrożeniem dla życia ze strony organizmów żywych i napisem POMIESZCZENIE IZOLOWANE POZIOM CZWARTY. Odczepiła wąż doprowadzający powietrze i precyzyjnie się przez drzwi ze stali nierdzewnej do śluzy powietrznej, wyraźnie odczuwając zmianę ciśnienia. W całym pomieszczeniu panowało podciśnienie, tak by powietrze mogło do niego napływać, lecz nie wydostawać się na zewnątrz. – kolejne zabezpieczenie przed ucieczką śmiertelnych drobnoustrojów. W drodze powrotnej spędzi w tym stalowym pokoju siedem minut, pozwalając, by z otworów wzdłuż ścian spłynął na nią deszcz środka do dezynfekcji. Teraz jednak minęła pomieszczenie i kolejne stalowe drzwi. Znalazła się w małej betonowej klitce. Wzdłuż jednej ze ścian ustawiona była zamknięta szafka, a z niskiego sufitu zwisały przewody doprowadzające powietrze. Podłączyła się, wyjęła z szafki żółte wysokie buty i nałożyła je. Kilka kroków dalej następne stalowe drzwi prowadziły do pracowni z patogenami. Wzięła głęboki wdech, skupiła się, odłączyła powietrze i minęła drzwi.

Gorące laboratorium było mniejsze od tego, w którym pracowała w CDC, lecz brak przestrzeni rekompensował sprzęt. Podłączyła się do zwisającego z sufitu czarnego węża z powietrzem i rozejrzała się dokoła. Pomieszczenie, wyłożone od dołu do góry białymi płytkami i skąpane w zimnym świetle, podzielone było na kilka dobrze wyposażonych stanowisk pracy. Posuwała się środkowym przejściem, zerkając to tu, to tam na kilku obecnych naukowców w niebieskich kombinezonach. Kilku podniosło wzrok, ale żaden się nie uśmiechnął. W tym miejscu nikomu nie było do śmiechu.

Zbliżała się już do końca przejścia, gdy coś przykuło jej uwagę. Na stanowisku po swojej prawej stronie zobaczyła stojak z probówkami. Ustawienie wydało się jej dziwnie znajome. Podeszła bliżej; zawartość fiolek siała delikatny czerwony poblask. Nachyliła się i odczytała

napis na etykiecie: PERUWIA. Sięgnęła po próbkę i zamarła w bezruchu z walącym sercem i hukiem w uszach.

Przeżywała swój własny sen.

Jest teraz w środku.

Rick opierał się o framugę drzwi prowadzących do gabinetu Carla.

– Rozgląda się, tak jak przypuszczałeś.

– Siedzi tam już dość długo – stwierdził Carl ze zmarszczonymi brwiami. – Mam nadzieję, że wie, co robi.

– O, na pewno. Czy nie mówiłeś, że spędziła dwa lata w CDC z licencją na pracę na poziomie czwartym?

Carl potaknął.

– Ale nie mogę pogodzić się z myślą, że kobieta wykonuje taką pracę. One tak ulegają emocjom.

Trudno uwierzyć, że taki dinozaur jeszcze chodzi po tym świecie, pomyślał Rick. Na głos zaś powiedział:

– Sądzę, że to raczej sprawa temperamentu niż płci. Ja sam na przykład na pewno uległbym pewnym emocjom, gdyby zamknięto mnie w skafandrze kosmicznym i dano do ręki fiolkę z peruwia.

Zamilkł na chwilę.

– Moim zdaniem, ta twoja Lucy Nash jest świetna.

Carl naburmuszył się.

– Ona nie jest moja, zapewniam cię. Żartujesz, pomyślał Rick.

– Wolę kobiety bardziej delikatne, mniej agresywne – ciągnął dyrektor. – Bardziej... kobiece.

– „Kinder, Kuchen und Kirche”^{**} [Kinder, Kuchen und Kirche (niem.) – dzieciaki, kuchnia i kościół.], co? Niezbyt postępowy pogląd.

– Nie każdy postęp wychodzi nam na dobre – odparł sztywno Carl. – Istnieją pewne staromodne wartości, w tym wymienione przez ciebie dzieci, gotowanie i kościół, które warto zachować...

Przerwał. Wyglądał na lekko zawstydzonego.

– Lepiej idź i poczekaj na doktor Nash przed przebieralnią. Nie chcemy chyba, żeby plątała się po laboratorium albo żeby się zgubiła.

– Wielkie nieba, skądże, tego byśmy nie chcieli – odrzekł niewinnie Rick, odrywając się od futryny.

Carl popatrzył, jak odchodzi. Bezczelny gnojek, pomyślał. Mimo wszystko Hollander był sumiennym pracownikiem, zawsze chętnym zostać po godzinach. No i niezwykle gorąco polecał go Hugh Bencher ze Stanfordu.

To był tylko sen, powtarzała sobie ze złością Lucy. Wszystkie te laboratoria wyglądają podobnie. A różowa poświata bijąca od próbek? Zwykły zbieg okoliczności, więc po co się

przejmować? Mimo to czuła, że tętno ma coraz szybsze, a oddech coraz bardziej urywany. Jeśli dotknie fiolki z peruwiańską, czy ta stłucze się tak jak we śnie? Czy rozetnie jej kombinezon i skórę na nodze? Czy będą musieli wyciągnąć ją z pracowni, zapakować do szczelnego pojazdu i zamknąć gdzieś w odosobnieniu? Nagle Lucy nie mogła się doczekać, żeby opuścić pracownię.

Rick spojrział na zegarek. Spędziła tam już prawie godzinę; to wystarczająco długo, żeby się rozejrzeć. Czy nic jej się nie stało? Oczywiście, że nie, zbeształ sam siebie. Była doświadczona, miała przecież uprawnienia. Oparł się o ścianę. Była też całkiem ładna, myślał sobie. I inteligentna. Było po piątej. Ciekawe, czy zgodziłaby się pójść z nim na drinka po rozmowie z Andersem.

Lucy ciężkim krokiem weszła do ciemnego, szarego pomieszczenia do dezynfekcji i wcisnęła guzik, by spłynął na nią chemiczny deszcz. To był głupi sen i głupi powód do paniki, powtarzała sobie ze złością. Jak długo mogła stać naprzeciw stanowiska skamieniała z bezsensownego strachu, zanim odwróciła się i uciekła z powrotem przez laboratorium, ciasną kłitkę z butami do śluzu powietrznej, w której teraz stała? Zamknęła oczy, by nie widzieć mgielki EnviroChemu, która zawirowała dokoła. Ile to jeszcze potrwa, nim zegar automatycznie odetnie dopływ środka i będzie mogła wyjść? Pięć minut? Dwie?

Skłonność do paniki nie leżała w jej naturze; nie znosiła uczucia nawet odrobiny strachu. Musisz tu pracować, wmawiała sobie w gniewie, więc weź się w garść. To się nie może powtórzyć.

Anders zaczynał się już niepokoić – zażartował Rick, gdy pojawiła się w drzwiach – bo to przecież słabsza płeć i tak dalej... Zamilkł, widząc jej twarz.

– Nic ci nie jest? Wyglądasz trochę bladą.

– Wszystko w porządku – odparła Lucy.

– I jak tam oględziny? Zdaliśmy? Zechcesz z nami pracować? Jak mogłabym powiedzieć nie? – myślała Lucy. I niby czemu miałabym to zrobić? To był tylko sen...

– Oczywiście – rzekła. – Nie mogę się już doczekać.

Rick przyglądał się jej przez chwilę. Coś się tam wydarzyło; zastanawiał się co. Zaprowadził ją z powrotem do gabinetu Carla, przedstawiając po drodze kilku osobom i zapraszając na drinka. Jej wygląd mówił, że tego właśnie jej trzeba, był więc tylko odrobinę zaskoczony, gdy się zgodziła.

To raczej luksus trzymać samochód w Nowym Jorku – rzuciła beztrąsko Lucy.

Jazda z powrotem do centrum przywróciła jej równowagę.

– My, Kalifornijczycy, jesteśmy bardzo przywiązani do naszych samochodów – odparł z uśmiechem Rick. – Niestety.

Siedzieli przy stoliku niedaleko okna w Oak Bar w hotelu Plaza. Lucy popijała białe wino, Rick – importowane piwo. W pobliżu laboratorium nie było żadnej sensownej knajpy, jak twierdził, odebrali więc z niedalekiego parkingu jego dziesięcioletnie volvo – wciąż na

kalifornijskich numerach – i ruszyli na północ, w poszukiwaniu jakiegoś cywilizowanego miejsca.

Gdy wyszli z pracowni, Rick zdjął okulary, wyjaśniając, że jest dalekowidzem, i zmienił biały fartuch na ładną sportową marynarkę, odsłaniając na chwilę imponujące mięśnie poruszające się pod świeżą kremową koszulą. Ta przemiana, zauważyła z rozbawieniem Lucy, przypominała trochę Supermena wyłaniającego się z budki telefonicznej.

– Mieszkałeś już kiedyś w Nowym Jorku? – spytała, sięgając po nerkowca.

– Nie. Ale często tu przyjeżdżałem.

– A jednak, ze Stanfordu do IMA... to wielki skok.

Rick pokiwał głową.

– Chciałem odmiany, to ją mam.

Uśmiechnął się. I dodał:

– Naprawdę mi się tu podoba. Mam więcej swobody, mniej roboty biurowej.

Wziął łyk piwa. Gdy znów na nią spojrział, w jego oczach było dużo ciepła.

– Mam nadzieję, że do nas dołączysz.

Lucy potaknęła.

– Mogę poświęcić tylko jedno popołudnie w tygodniu. Ale bardzo zależy mi na pracy nad peruwia.

– Przywiozłaś ją z Ameryki Południowej, prawda? Pewnie poświęciłaś na to cały urlop.

Lucy poczuła dziwne ukłucie na myśl o Jeanie, ale szybko się go pozbyła.

– Gdy kochasz swoją pracę – rzekła – zwykle wakacje wydają się takie nudne.

– Aha, więc też jesteś pracoholiczką.

Rick roześmiał się i dokończył piwo.

– Jeszcze wina?

Lucy zawahała się. Nie miała żadnych planów na wieczór, a jej kompan wydawał się coraz bardziej interesujący i atrakcyjny.

– Chętnie.

Przywołali kelnera i zamówili kolejne drinki.

– A zatem pracujesz nad bakteriofagami? To samo robiłeś w Stanfordzie?

– Mniej więcej. Moja grupa pracowała nad umieszczaniem w bakterii sekwencji DNA, która spowolniłaby jej starzenie,

– Pracowałeś kiedyś z ludźmi?

Rick pokręcił głową.

– Wolę czyste badania. Rodzina chciała, żebym poszedł na medycynę, ale od początku wiedziałem, że nie chcę pracować z pacjentami. Jak rozumiem, ty prowadzisz zarówno badania kliniczne, jak i laboratoryjne?

– Zgadza się. Same badania w laboratorium prowadziłam w CDC. To było fascynujące i wiele się nauczyłam, ale odkryłam, że brakuje mi części klinicznej... ludzi. Poza tym lubię tę

różnorodność wyzwań, na jakie natykam się, pracując w szpitalu... Czemu się tak uśmiechasz?

– Uśmiecham się, bo miło spędzam czas – odparł Rick. – Uśmiecham się do ciebie, bo to dzięki tobie spędzam go tak miło. Przerwał. A potem spytał:

– Zjesz ze mną kolację? Znam świetną francuską knajpkę jakieś sześć przecznic stąd.

– Cóż...

– No, Lucy. Sama widzisz, ja – obcy w wielkim mieście...

– Obcy, który zdaje się znać to miasto całkiem nieźle – wtrąciła Lucy ze śmiechem.

Za wysokim oknem niesło śniegiem, który błyszczał odbitym światłem ulicznych latarni.

– Mają tam prawdziwy kominek – zachęcał Rick. – I cudownego kurczaka w czerwonym winie.

Lucy poruszyła kieliszkiem, mieszając resztkę alkoholu. Niepotrzebny mi teraz nowy romans, myślała. Ledwo co zakończyłam poprzedni. Ale Jean-Pierre odszedł; nic nie mogło go jej zwrócić. A uczucia, jakie do niego żywiła – uczucia, które tak nagle nią owładnęły – teraz szybko umierały wraz z tym, jak pojawiały się dowody na jego udział w handlu narkotykami. Jeśli Jean-Pierre rzeczywiście przemyczał narkotyki, nie była jego pamięci absolutnie nic winna.

Dopiła wino. A co tam, pomyślała; to tylko kolacja. Odstawiła kieliszek i uśmiechnęła się przez stół do szczerzej, wyczekującej twarzy Ricka.

– Z przyjemnością – powiedziała.

Nasz dobry doktor dba także o siebie – zauważył Rick, gdy taksówka zatrzymała się przed wielkim ceglany domem Billa Millera.

Złoty poblask bił z wysokich, zwieńczonych łukami okien, a białe lampki zdobiły nie tylko miniaturowe drzewka na frontowym tarasie, ale też olbrzymi wieniec zawieszony na żelaznej balustradzie balkonu nad ciężkimi dębowymi drzwiami.

– Przypuszczam, że stać go na to – rzekła Lucy z uśmiechem. – Te jego gwiazdkowe przyjęcia owiane są już legendą.

Rick ścisnął ją za rękę, pomagając wysiąść z samochodu.

– Twoja suknia zwali wszystkich z nóg – powiedział.

– Mówisz tak dlatego, że zawsze widywałeś mnie w fartuchu albo w dżinsach – droczyła się.

Tak naprawdę jednak wybrała drogą czarną koktajlową sukienkę z ogromną starannością.

Po tamtej kolacji dwa tygodnie temu była następna, a potem drink i hamburger po pierwszym popołudniu Lucy w laboratorium IMA. Kilka dni później kino. A w minioną niedzielę pojechali razem do małej gospody w Connecticut na lunch, po którym odkrywali schowaną pod śniegiem okolicę. Rickowi wydało się więc naturalne, że powinien zaproponować, by poszli na świąteczne przyjęcie u doktora Millera razem.

Jednak mimo iż Rick podobał się Lucy coraz bardziej – był inteligentny, zabawny, uprzejmy i, musiała to przyznać, pociągający – postanowiła zerwać ze swoim schematem związków niezwykle intensywnych, lecz bardzo krótkotrwałych. Obiecała sobie, że tym razem wszystko

potoczy się powoli, a Rick na szczęście zdawał się chcieć tego samego.

Gdy wchodzili do wysokiego, wyłożonego marmurem hallu, powitały ich odgłosy śmiechu i orkiestry. Służący wziął od nich okrycia i skierował obok szerokich schodów z poręczą oplecioną świeżą balsaminą do środka.

Dwa duże salony domu połączone zostały w jedno przestronne, wygodnie urządzone pomieszczenie. W dwóch marmurowych kominkach płonął ogień. Na obu końcach pokoju umieszczone były bary i stoły z jedzeniem, a w jednym rogu jazzowy kwintet grał melodie z filmów. Ludzie tańczyli i rozmawiali, jedli i pili, i podziwiali dzieła sztuki zawieszane na ścianach i zmyślnie wystawione w płytkich szklanych gablotkach. Kelnerzy krążyli z szampanem i Lucy z Rickiem wzięli po kieliszku, szukając w tłumie gospodarza. Gdy szli przez pokój, Lucy pomachała do Alicii, sekretarki Billa.

– Znasz wszystkich tych ludzi? – spytał Rick.

Lucy pokręciła głową. Rozpoznała kilka osób, z którymi zetknęła się w biurach i laboratoriach IMA, lecz większość była jej obca.

– Wydaje mi się, że Bill łączy na tym przyjęciu przyjemność z interesem – stwierdziła.

– Albo interes z interesem.

Lucy spojrzała na niego, nie rozumiejąc.

– Są tu pewnie jego koledzy lekarze i sponsorzy – wyjaśnił. – Nie tylko przyjaciele i ludzie z IMA. Cześć, Enrique...

Rick stanął, by przywitać się z asystentem z laboratorium, a na twarzy Lucy zamarł uśmiech. Zza Enrique'a wyłonił się truposzowaty doktor Anders i gapił się na nią złowrogo. Cóż, pomyślała, nie wszyscy muszą mnie lubić. Posłała Andersowi promienny uśmiech, po czym odwróciła się, by obejrzeć wiszące w pobliżu wielkie, kolorowe malowidło.

– Podobają ci się takie rzeczy? – zapytał Rick, zakończywszy krótką rozmowę z kolegą.

– Nieszczerze – odparła. – Potrafię dostrzec w nich piękno, ale są trochę zbyt...

– Wulgarne? Mocne? – To Bill Miller stanął nagle za nimi. – Sztuka prymitywna czasem już taka jest. Przemawia do naszych pierwotnych instynktów, pierwotnych radości i lęków.

– Pewnie dlatego nazywa się ją „prymitywną” – rzekł Rick.

– Nie to jest powodem – objaśnił uprzejmie Bill. – Przymiotnik „prymitywna” w odniesieniu do sztuki oznacza nie wyuczoną technikę. Lucy...

Bill sięgnął po jej rękę.

– Tak się cieszę, że mogłaś przyjść. Popatrz na Ricka niepewnie, acz przyjaźnie.

– Richard Hollander – Rick wyciągnął rękę – z laboratorium IMA.

– Ach tak, oczywiście. Proszę mi wybaczyć.

Bill odwrócił się do stojącej w pobliżu bardzo wysokiej, niezwykle pięknej kobiety w śmiało skrojonej sukni bez pleców.

– Moja droga, to jest doktor Lucy Nash, ochotniczka z IMA. I Richard Hollander, jeden z naszych badaczy.

Gestem posiadacza objął ramieniem gołą talię kobiety.

– Pozwolicie, że wam przedstawię Renée, hrabinę de Palma.

– Hrabino.

Rick sięgnął po jej dłoń o przypominających szpony paznokciach i pocałował ją, zaś Lucy wydało się, że przytrzymał ją odrobinę za długo.

– Proszę, niech pan mówi do mnie Renée, panie...?

Mówiła miękko i płynnie.

– Hollander. Richard. Rick.

– Rick. – Hrabina posłała mu leniwy, dość prowokujący uśmiech, po czym nachyliła się do Lucy; jej długie brązowe włosy zafalowały na ramionach, a powietrze wypełniło się zapachem drogich perfum. – I Lucy Nash. Miło mi panią poznać.

Wzrokiem przebiegła po sukience Lucy i posłała jej ten sam długi, leniwy uśmiech. Lucy poczuła się trochę nieswojo.

– Jest pani tu z wizytą, hrabino? – zapytał Rick.

– Proszę do mnie mówić Renée. – Uśmiech hrabiny rozszerzył się, ukazując małe, ostre, białe zęby. – Nie, mieszkam tu – odparła. – Cóż, podobnie jak mieszkam gdziekolwiek indziej.

– To znaczy w Nowym Jorku – pospieszył z wyjaśnieniem Bill. – Hrabina ma apartament na Sutton Place. Oraz willę w Amalfi, na południe od Neapolu.

– I mieszkanie w Mayfair – dodała Renée – choć ostatnio rzadko jeżdżę do Londynu. Tam jest tak ponuro...

– Hrabina ma ogromny wkład w IMA – oznajmił z dumą Bill. – Nadzwyczaj szczerze wspomaga naszą działalność.

– Lubię pomagać tym, którym nie poszczęściło się tak jak mnie – rzekła hrabina.

– To wielce chwalebne.

W głosie Ricka było coś, co zmusiło Lucy do spojrzenia mu w twarz, lecz jego mina nie wyrażała niczego ponad podziw.

– Twoja rodzina pochodzi z Neapolu?

– Nie, ja pochodzę z Villarosa, na południu – odparła Renée. – To mój mąż, hrabia de Palma, mieszka w Neapolu.

– Okropny człowiek z tego de Palmy – zdradził im ponuro Bill, nadając nazwisku hrabiego jego włoskie brzmienie. – Już wtedy wszyscy o tym wiedzieli. Trudno mi uwierzyć, że za niego wysłaś.

– Byłam bardzo młoda. – Renée zaprezentowała swój uwodzicielski uśmiech. – A on bardzo bogaty.

Przynajmniej jest szczerą, pomyślała Lucy.

– Nie mieszkamy razem już od wielu lat – kontynuowała hrabina. – On nic już dla mnie nie znaczy.

Z lekceważeniem machnęła ręką, a na palcach zamigotały ogromne pierścienie.

– Skończyliście już szampana! – wykrzyknęła. – Musicie się jeszcze napić, prawda, Bill? I coś zjeść.

– Oczywiście, że tak.

– I musicie tańczyć – dodała Renée, błędząc wzrokiem po Ricku. – Jesteśmy na przyjęciu.

Wszyscy musimy tańczyć.

Za ich plecami goście wirowali i kołysali się w takt muzyki na parkiecie.

– Tak też zrobimy – powiedział Bill, biorąc za rękę Renée. – Pozwolicie.

Lucy stała, patrząc za Renée, po czym zwróciła się do Ricka.

– Interesująca postać, nieprawdaż?

– Tak sędzę.

Orkiestra zaczęła grać jakąś popularną melodię i poziom decybeli znacznie się podniósł.

– Może byśmy coś zjedli? Jestem głodny jak wilk.

Posuwali się przez tłum ludzi raczej powoli, lecz w końcu dotarli do stołów z jedzeniem w odległym końcu salonu przy oszklonych drzwiach. Ogród oświetlony był sprytnie rozmieszczonymi lampkami.

– Latem musi tu być pięknie – zauważył Rick, nim dosadził się do ńcisze królewskiego jadała na stole.

– Wędzony łosoś ma być ponoć nie do opisanisza – zdradziła Lucy, sięgając po widelec. – Przyleciał prosto ze Szkocji. Podać ci?

– Ładuj.

Rick wyciągnął swój talerz. Lucy obsłużyła najpierw jego, potem siebie. Gdy podniosła wzrok znad stołu, Rick wpatrzony był w tańczących. Podążając za jego spojrzeniem, Lucy zobaczyła, jak Renée obraca głowę w ich stronę, a jej wzrok spotyka się ze wzrokiem Ricka. Ale czy naprawdę? Ułamek sekundy później Renée odwróciła się, a Rick wziął od Lucy swój talerz i, zaopatrzwszy obie porcje łososia w ciemny chleb i kapary, paplając z ożywieniem, poprowadził ją na pustą akurat kanapę.

Podczas jedzenia Lucy przyłapała się na rzucaniu ukradkowych spojrzeń w stronę parkietu. Oprócz oczywistego zainteresowania hrabiny Rickiem, niepokoilo ją w tej kobiecie coś jeszcze.

Rick, źle odczytawszy jej spojrzenia, odstawił swój talerz na stół.

– Zatańczymy?

Renée i Bill schodzili właśnie z parkietu, gdy Lucy znalazła się w ramionach Ricka. Był niezłym tancerzem, a ich ciała dobrze do siebie pasowały. Tańczyli blisko, tak że czuła siłę jego ramion i płaskie mięśnie brzucha, kiedy ją do siebie przyciskał.

Gdy utwór się skończył, stali przez chwilę złączeni, nieskorzy do rozstania, a gdy się wreszcie rozdzielili, spotkały się ich oczy. Lucy czuła, jak intensywność jego spojrzenia przenika jej ciało. Wszystko, co, jak jej się zdawało, zachodziło między nim i hrabiną, najwyraźniej było tylko wytworem jej wyobraźni.

– Mogę prosić?

Bill Miller stał z wyciągniętą ręką, uśmiechając się do Lucy.

Niech to diabli, pomyślała. Nie było jednak grzecznego sposobu, by mu odmówić. Spojrzała na Ricka i ucieszyła się, widząc, że wygląda na równie zawiedzionego jak ona, po czym z uśmiechem odwróciła się do Billa.

– Oczywiście.

– A ja oprowadzę cię po domu – zaproponowała Rickowi Renée i, biorąc go pewnie za rękę, posłała swój leniwy uśmiech.

– A może zatańczymy? – rzekł szybko Rick. Renée wyglądała na rozczarowaną, lecz podążyła na parkiet. Górowała nad nim, a Lucy z przyjemnością zauważyła, że Rick trzyma hrabinę znacznie bardziej oficjalnie niż ją.

– Cudowne przyjęcie – odezwała się do Billa, dając się prowadzić w rytm spokojnego fokstrotu. – Nie miałam pojęcia, że jesteś kolekcjonerem sztuki.

– Och, to takie moje hobby już od wielu lat. To haitańskie malowidło, które podziwiałas, było jednym z pierwszych, jakie pokazano w Stanach. Prawdę powiedziawszy, to od niego zaczął się szal na haitańską sztukę prymitywną ileś tam lat wstecz. Koniecznie musisz zobaczyć obrazy z Cejlonu... obecnie Sri Lanki. Są w moim gabinecie.

– Masz szerokie zainteresowania – stwierdziła Lucy. – Większość kolekcjonerów wybiera sobie epokę lub kraj i im pozostają wierni.

– To prawda. Lecz moja „epoka” to raczej stan umysłu niż konkretne miejsce czy czas. Podziwiam nie szkolone oko, instynktowne reakcje prymitywnego artysty na otoczenie, wierzenia, kulturę. Porusza mnie ich artystyczna czystość nieskażona myślą Zachodu.

– Trudno dziś znaleźć kulturę, która nie została naznaczona zachodnią cywilizacją – zauważyła Lucy. – Haiti z pewnością nie jest tu wyjątkiem.

– Niestety, masz rację. Dlatego też najcenniejsze dla mnie dzieła są dość wiekowe. Tamte dwie gablotki – wskazał podbródkiem – mieszczą w sobie kilka ciekawych przykładów sztuki prekolumbijskiej. Mam też parę asyryjskich amuletów...

– Czy nie ryzykujesz, trzymając tu takie rzeczy? – spytała Lucy.

Bill uśmiechnął się.

– Zapewniam cię, że wszystko jest dobrze chronione. A najrzadsze okazy wypożyczyłem muzeom. Niech oni się martwią o zabezpieczenia.

Zachichotał.

– Nie przepadam za tym – wyznał, gdy fokstrot przeszedł w sambę. – Ale Renée i Hollanderowi chyba się podoba. Pozwolisz, że pokażę ci teraz kilka moich cacuszek.

Nie zważając na to, co wyglądało jak usiłowanie skonsumowania lewego ucha Ricka przez Renée, Lucy, przeciskając się przez tłum, podążyła za Billem do jednej z podświetlonych gablotek.

– Niewiele wiem o sztuce – zaczęła nieśmiało.

– Wcale nie musisz – zapewnił ją znawca. – Pozwól tylko przedmiotom do siebie

przemówić.

Razem przyglądali się umieszczonemu za szkłem zbiorowi niewielkich figur – jednych z drewna, innych z kamienia.

– Postacie uosabiające płodność obecne są w prawie każdej prymitywnej kulturze...

– Hm, doktorze Miller? Przepraszam, że przeszkadzam – przerwał mu kelner – ale jest do pana telefon. Zamiejscowy. Odebrano w kuchni. Podobno to ważne.

– Wybacz, proszę – powiedział Bill do Lucy, po czym zwrócił się do kelnera: – Przynieś pani szampana.

Lucy patrzyła, jak gospodarz spieszy poprzez tłum, a potem wróciła do rzeźb. Pozwól tylko przedmiotom do siebie przemówić, powiedział; do jakiego stopnia można się stać zmanierowanym? Nachyliła się jednak, by przyjrzeć się im bliżej. Cóż, z pewnością były piękne, jeśli nawet nieco przerośnięte; nie w jej guście, lecz potrafiła docenić ich artyzm. Tak jak w muzeum, drukowana etykieta zdradzała miejsce pochodzenia każdego z przedmiotów. Odczytywała je, idąc z góry na dół gablotki. Kolumbia... Brazylia... Peru... Czy to tylko jej wyobraźnia, czy między tymi peruwiańskimi dziełami a rzeźbami stojącymi obecnie w jej mieszkaniu rzeczywiście istniało niewielkie podobieństwo? Te tutaj były dużo bardziej subtelnie wymodelowane, lepiej wykończone. A jednak...

Przedmioty przemówiły, pomyślała Lucy. Powiedziały mi, że być może się mylę co do wartości figurek z walizki Jean-Pierre'a...

– Nieco zbyt oczywista jak na mój gust – odezwał się Rick, stając za jej plecami.

– Podobnie jak na mój – przyznała, wyprostowując się. – Stanowczo wolę impresjonistów.

– Miałem na myśli naszą przyjaciółkę z Italii.

– Jest piękna, nieprawdaż? – rzekła Lucy.

– Jeśli ktoś lubi ten typ kobiet.

Rick objął ją ramieniem.

– Ja osobiście wolę ten typ.

Lucy uśmiechnęła się.

– Kto by pomyślał, że Bill gustuje w tak egzotycznych kobietach?!

– Kto by pomyślał, że gustuje w tak egzotycznej sztuce?

– Kto by pomyślał, że gustuje w takim świetnym szampanie? – powiedziała w końcu Lucy, gdy podszedł do nich kelner z tacą napełnionych kieliszków. – Za Billa Millera.

– Niech żyje sto lat.

Wypiwszy szampana, znów zatańczyli, a potem wrócili do stołu. Tłum, i tak już gęsty, zgęstniał jeszcze bardziej.

– Hollander. Doktor Nash...

Przeciskał się do nich Carl Anders z kieliszkiem bursztynowego płynu w dłoni.

– Dobry wieczór, Carl – przywitał się Rick. – Niezłe przyjęcie.

– Prawda?

Zbliżając się, Anders potykał się lekko.

– Doktor Nash, czy nie zechciałaby pani zostawić nas na chwilę samych? Zdaję sobie sprawę, że to w złym smaku rozmawiać przy takiej okazji o pracy, ale to niezwykle pilne...

– Nie sądzę... – zaczął Rick.

– To zajmie tylko chwilę – nalegał Carl nieco bełkotliwie.

– Nie ma sprawy – rzekła szybko Lucy, odsuwając się.

Za plecami Carla przewróciła oczami, na co Rick nieznacznie wzruszył barkami. Anders otoczył go ramieniem i zaczął coś mówić. Lucy widziała, jak Rick krzywi się od zapachu wydychanego przez Carla alkoholu.

Szła przez tłum, przystając to tu, to tam, by zamienić słowo z tymi osobami, które знаła, i kilkoma, których nie znała, aż dotarła do baru, gdzie wymieniła pusty kieliszek po szampanie na pełny. A co mi tam, pomyślała; w końcu jestem na przyjęciu.

– A gdzie się podział twój przystojniak? – zabrzmiał miękki głos z włoskim akcentem. – Barman, Perrier z limonką, proszę.

– Obawiam się, że rozmawia o pracy – poinformowała Lucy Renée. – Z Carlem Andersem. Znasz Carla?

– Tak, poznałam go.

Oczy Renée przeczesywały pokój.

– Oto i on. Ale jest sam.

Lucy odwróciła się. Anders, rzeczywiście sam, przeciskał się w ich stronę.

Lucy wzruszyła ramionami.

– Pewnie już skończyli – rzekła lekko.

Sączyła wino i zastanawiała się, gdzie się podział Rick.

– Lubisz szampana? – spytała Renée, opierając się o bar. – Ja nie znoszę – ciągnęła, nie czekając na odpowiedź. – Te bąbelki. Zbyt miłutkie. Wolę szkocką.

– I Perrier – zauważyła Lucy.

– Tak. Ale nie razem.

Uśmiechnęła się.

– Jedne rzeczy do siebie pasują, inne nie. Zgadzasz się? Co znowu? – pomyślała Lucy, lecz potaknęła.

– Masz taką piękną skórę – mówiła Renée, delikatnie przeciągając opuszkami palców po ramieniu Lucy. – I taki piękny naszyjnik. Dotknęła lekko bursztynowej kamei.

– Dziękuję – powiedziała Lucy, robiąc krok do tyłu. – Przepraszam, ale muszę...

Rozglądała się dokoła w popłochu. Kogo mogła tu znać, do kogo zagadać?

– Musisz z kimś porozmawiać – dokończyła z rozbawieniem hrabina. – Rozumiem. Jeszcze się zobaczymy.

Lucy odeszła szybko, by zgubić się w tłumie, a Renée patrzyła za nią z nikłym uśmiechem na porcelanowej twarzy.

W połowie drogi przez pokój poczuła czyjaś rękę na swoim ramieniu.

– Doktor Nash, doktor Nash...

Odwróciła się, by znaleźć się twarzą w twarz z nieco zarumienionym Carlem Andersem.

– Chciałbym zamienić z panią słówko.

Jego przesycony alkoholem oddech kładł się nieprzyjemnie gorąco na jej twarzy, gdy się przybliżył. Mam już dość tego przyjęcia, stwierdziła.

– Czuję, że winien jestem przeprosiny – ciągnął Carl – za swoje negatywne nastawienie do, hm, do pani pracy w IMA. Mam niestety dość, hm, konserwatywne poglądy, jeśli chodzi o kobiety w nauce.

Witamy w dziewiętnastym stuleciu, pomyślała Lucy.

– Jednak w ciągu ostatnich kilku tygodni poznałem panią lepiej i nabrałem szacunku. Chcę, żeby pani wiedziała, że jest u nas naprawdę mile widziana.

Gestykulował szeroko z kieliszkiem w dłoni, ochlapując pobliskich biesiadników.

– Dziękuję.

Ciekawe, czy dalej będziesz mnie tak lubił, jak wytrzeźwiejesz.

– Richard powiedział mi o pani umiejętnościach, zaangażowaniu... A więc to Rick był odpowiedzialny za tę przemianę. Sama nie wiedziała, czy się z tego powodu cieszyć, czy złościć.

– Dziękuję bardzo – powtórzyła. – A teraz naprawdę muszę porozmawiać z... er, Alicią.

– Oczywiście. Ja tylko...

– Tak. To bardzo miło z pana strony. Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

Lucy oddaliła się szybko, odstawiając po drodze na wpół opróżniony kieliszek na ławę. Wino, które wypięła, zaczęło dawać o sobie znać, więc podążyła w stronę hallu w poszukiwaniu toalety.

Łazienka dla gości była zajęta – pomocnik człowieka organizującego całą imprezę skierował ją krótkim korytarzem do gabinetu pana domu, który, jak twierdził, miał własną toaletę. Jednak zza dobrze zamkniętych drzwi pokoju doszły ją charakterystyczne głosy. Znalazła się z powrotem w hallu, lecz tamta łazienka nadal była zajęta, a jej pęcherz nie mógł już dłużej czekać, więc wspięła się po szerokich, wysłanych dywanem schodach, by poszukać innego wyjścia. Nieoświetlone piętro domu było równie niesamowite jak parter, lecz Lucy ledwo dostrzegła cienistą sypialnię Billa, gnając przez nią w poszukiwaniu łazienki.

Czując się jak włamywacz, zamknęła drzwi i włączyła światło. Wszędzie zielony marmur: na ścianach, podłodze, w jacuzzi. Nisko zawieszona, porcelanowa umywalka miała kolor awokado. Z rozbawieniem zauważyła, że zielona była nawet szczoteczka do zębów umieszczona we wbudowanym w ścianę uchwycie. Jednak to, jak i leżąca obok umywalki szczotka do włosów, przypomniały jej, że naruszyła prywatność Billa. Rób, co masz robić, i wynocha, nakazała sobie.

Załatwiwszy sprawę, zgasiała światło i zaczynała otwierać drzwi, lecz zatrzymała się. W sypialni ktoś był.

Szelest tkaniny. Szepty.

Wyrzała zza ledwo uchylonych drzwi, a jej oczy z wolna przyzwyczajały się do ciemności. Rozróżniła już osobę, nie, dwie osoby splecione ze sobą.

– Och, jaki wielki – zabrzmiał znajomy głos. – Ty mówisz nie, ale on mówi tak.

– Nie tu – doszedł ją szorstki, męski szept.

Jedna z ciemnych postaci wyrывała się z objęć drugiej.

– Nie teraz.

Niskiego głosu mężczyzny nie potrafiła zidentyfikować.

– Nikt tu nie wejdzie – zapewniała Renée swojego partnera, łaszcząc się do niego. – Boże, jak ja cię požądam.

Mężczyzna jęknął i odsunął się.

– Nie – szeptał.

– Nie przerywaj, chcesz powiedzieć.

Szelest ubrań.

– Masz. Dotknij ich. Pragną cię...

Ale mężczyzna cofał się do drzwi z rękoma na kroczu. Lucy usłyszała zapinany rozporek.

– Po co przyszedłeś tu za mną, jeśli tego nie chciałeś? – pytała Renée człowieka-cienia.

Bill Miller? – zastanawiała się Lucy. Pewnie tak. A gdyby Bill nie przyszedł tu za hrabiną, gdyby ta zamiast niego znalazła tutaj Lucy, czy próbowałaby czegoś podobnego z nią? Zrobiło się jej niedobrze.

– To idź – wyrzuciła ze złością Renée, poprawiając suknię. – Właściwie to wcale nie jest taki wielki. Znałam mężczyzn...

W tej samej chwili tamten znalazł się z powrotem w pokoju, złapał Renée, przycisnął usta mocno do jej warg, dłońmi błądząc po jej ciele.

– To boli. Nie tak mocno.

– Lubisz mocno – wyszeptał z furią mężczyzna.

Odsunął się i chwycił ją za ramiona, przytrzymał chwilę w bezruchu, po czym rzucił na łóżko. Trzema wielkimi krokami dotarł do drzwi i wyszedł.

Idź za Billem, błagała w duchu Lucy. Wyjdź stąd.

Hrabina powoli podniosła się z łóżka. Spodziewając się przekleństw, Lucy zdziwiła się, gdy usłyszała niski, gardłowy chichot. Teraz pewnie wyjdzie, pomyślała, patrząc, jak hrabina wygładza sukienkę. Potem jej ręce powędrowały do głowy i Lucy uświadomiła sobie, że kobieta wcale nie wychodzi; jeszcze nie. Najpierw będzie musiała poprawić włosy i makijaż. W łazience.

Czując się nieco głupio, Lucy klęknęła na marmurowej podłodze i uchyliła drzwi na tyle, by móc przejść na czworakach do sypialni. Trzymając się ściany, kierowała się w stronę łóżka i przez cały czas obserwowała Renée. Potem wturlała się pod mebel w chwili, gdy akurat światło z łazienki przecięło ciemny pokój. Przecisnęła się pod ogromnym sprężynowym materacem i wyszła po drugiej stronie. Znalazła się jakieś trzy metry od drzwi na korytarz; powinno więc pójść bez przeszkód, zakładając, że Renée skupia się na swojej twarzy. Pod tym kątem nie

sposób było zajrzeć do łazienki, ale to dobrze; oznaczało to, że Renée także jej nie widzi. Wstała i prędko wyszła na korytarz, gdzie wygładziła ubranie i szybko przeczesła palcami swoje loki. Cóż, nieźle się ubawiłam, pomyślała ze złością. Pora iść do domu. Z całą pewnością.

Gdy znalazła się na dole, zawołał ją Bill Miller.

– Widziałas gdzieś Renée? Przyszli nowi goście, których powinna poznać.

Za nim stał siwy mężczyzna w smokingu. Lucy zamarła.

– Hm, nie. Nie widziałam.

– Gdybyś ją spotkała, powiedz, że jej szukam, dobrze?

Lucy skinęła głową.

– Baw się dobrze.

Bill z siwym mężczyzną udali się do baru, zaś Lucy ruszyła przez hall. Co prawda, to nie jej sprawa, ale jeśli tam na górze to nie był Bill Miller, to kto...

– Uwaga.

Lucy obejrzała się.

– Przepraszam, ale weszła pani prosto na mnie – powiedziała jakaś kobieta.

Lucy spojrzała w dół na smugę sałatki z krabów spływającej po sukni i rozbity talerz na podłodze. Tylko tego mi było trzeba na podsumowanie wieczoru, pomyślała.

– Strasznie mi przykro – przeprosiła.

– To pani ma teraz plamę – odparła kobieta. – Proponuję wodę sodową. Kuchnia jest tam. Albo może ich pani poprosić, żeby posłali kogoś do czyszczenia.

Asystent organizatora przyjęcia przyniósł małą butelkę Schweppesa i ręcznik i skierował ją do łazienki. Ta oczywiście była zajęta. Miała już wrócić do kuchni, gdy drzwi otworzyły się i stanął w nich świeżo uczesany Rick.

– Lucy. A więc tu jesteś.

– Tak, tu jestem. Z sałatką z krabów i całym tym kramem.

Jego wzrok powędrował do plamy na sukni.

– Nigdzie cię nie można zabrać – zażartował, biorąc od niej ręcznik i butelkę.

Wciągnął ją do środka i zamknął drzwi.

– Ja to zrobię.

Przykląkł i zaczął zmywać plamę.

– Dziękuję.

Lucy spojrzała na niego z czułością. Z kieszeni na piersi wystawał mu telefon komórkowy.

– A gdzież to się podziewałaś? – spytał, nie przerywając czynności. – Wszędzie cię szukałem.

– W łazience – odparła; nie było sensu wdawać się w szczegóły.

– Ja byłem w łazience.

– Myślisz, że w takim wielkim domu jest tylko jedna?

Jej oczy się śmiały.

– Zawsze dzwonisz do ludzi z ubikacji? – spytała.

– Hm? – mruknął Rick, koncentrując się na płamie. – Ach, komórka.

Zerknął na telefon, a potem na Lucy.

– Anders prosił mnie, żebym zadzwonił do firmy, która z nami współpracuje; miałem coś dla niego sprawdzić.

– O dziesiątej wieczorem?

– W Japonii jest już jutro. I poza tym – dodał ze śmiechem – nie dzwoniłem z ubikacji.

– Wcale tak nie myślałam. – Uśmiechnęła się. – Mimo wszystko wykonywanie telefonów w imieniu Andersa nie należy chyba do twoich obowiązków. Czemu pozwalasz się tak wykorzystywać?

– To nic wielkiego – odparł Rick. – A Carlowi daje chyba poczucie władzy. Nie mam nic przeciwko temu. Proszę. Zrobione.

Położył ręką i butelkę koło umywalki, otworzył drzwi i zgasił światło. Przez krótką chwilę jego ciemna sylwetka zarysowała się na tle oświetlonego hallu i Lucy przyszła do głowy nieprawdopodobna myśl, z której natychmiast się otrząsnęła. Jasne, że nie. Przecież tam, w salonie, musi być przynajmniej trzydziestka mężczyzn podobnego wzrostu i budowy, włączając w to Billa Millera.

– À propos naszego przyjaciela Andersa – odezwała się, kiedy byli już w hallu. – Rozumiem, że to ty jesteś odpowiedzialny za dość bełkotliwą przemowę, jaką uraczył mnie dziś wieczorem. Szanuje mnie, lubi i uważa, że kobiety są solą tej ziemi...

– Cóż, czasem potrafi z siebie zrobić prawdziwego idiotę. Ja go tylko odpowiednio ustawiłem. Bardzo grzecznie, rzecz jasna. Mam nadzieję, że się nie gniewasz.

– Chyba nie. Ale jestem zaskoczona, że cię posłuchał.

Rick wzruszył ramionami.

– Z jakiegoś tajemniczego powodu chyba mnie polubił. Posłał Lucy szeroki, nieco szelmowski uśmiech.

– Sądę, że podoba mu się moja chłopięca nonszalancja.

– Syn, którego nie ma?

– Raczej życie, którego nigdy nie użył. – Rick rozejrzał się dokoła. – Może byśmy się stąd urwali, poszli gdzieś na drinka? Czy wolisz zostać?

– Co to, to nie. Poszukajmy gospodarza i życzymy mu dobrej nocy.

Torowali sobie drogę wśród ścisku do miejsca, gdzie Bill i Renée czynili honory domu, by się pożegnać. Bill pocałował Lucy lekko w policzek i poklepał Ricka po ramieniu, zaś Renée ledwo na nich spojrzała. Odebrali swoje płaszcze i wyszli na ulicę. Noc była chłodna i rześka.

– Dokąd?

– Przejdźmy się kawałek...

– Nic nie mówisz – odezwał się Rick po kilku przecznicach. – Jesteś zmęczona?

- Troszeczkę.
- Nie jest ci zimno?
- Nie bardzo.

Rick objął ją ramieniem w pasie i przytulił.

- A tak cieplej?
- Mmm.

Szli coraz wolniej, aż stanęli. Rick otoczył ją drugim ramieniem i obrócił ku sobie. Znow poczuła intensywność jego spojrzenia. Powoli przyciągnął ją do siebie i pocałował, długo i namiętnie, tak że zapało jej dech w piersiach.

– Może poszlibyśmy do mnie na drinka? – rzekł w końcu, trzymając ją blisko siebie. – Albo na kawę.

– Kawa brzmi zachęcająco – odparła powoli. – Ale...

– Słucham?

– Nie zrozum mnie źle, Rick. Ale myślę, że powinnam wrócić do domu... – Zawahała się. – Po prostu sądzę, że tak będzie lepiej.

– Chodzi ci o to, że razem pracujemy?

– Nie, to jest nieistotne. Ja... tylko nie chcę pośpiechu. A z tobą nie przychodzi to łatwo.

– Potraktuję to jako komplement.

Uśmiechnął się. I dodał:

– W porządku. Ty nadawaj tempo. Takie, jakie uznasz za stosowne.

– Myślę, że teraz pójdę do domu.

– Wedle życzenia.

Pocałował ją w czubek nosa i wypuścił z uścisku, po czym podszedł do krawężnika i zawołał taksówkę.

Przed wejściem do jej bloku znow ją pocałował, tym razem delikatnie.

– Śpij dobrze.

Lucy uśmiechnęła się.

– Ty też – powiedziała. Patrzył za nią, jak mija portiera i znika w hallu. Odwrócił się, sięgnął pod płaszcz po telefon i, rozmawiając po cichu, ruszył w dół pustej ulicy.

Nazajutrz była sobota i Lucy pospała dłużej niż zwykle, budząc się o dziesiątej w chłodny, jasny poranek. Szybki prysznic, grzanka z jajkiem na twardo, filiżanka kawy i była gotowa wyruszyć na ostatnie świąteczne zakupy.

Do Bożego Narodzenia został zaledwie tydzień, a ona wciąż jeszcze nie zdecydowała się, gdzie je spędzić. Na odwiedziny u siebie namawiała ją Monica, a matka od miesięcy kusila czarem Świąt w Santa Fe. Lecz podróż do Nowego Meksyku nie wchodziła w rachubę, nawet gdyby zaplanowała ją wcześniej i zarezerwowała bilet, bo nie mogła liczyć na więcej niż dwa dni wolne od pracy w szpitalu. Poza tym Gwiazdka w Nowym Jorku wyglądała znacznie bardziej

zachęcająco, odkąd w jej życiu pojawił się Richard Hollander.

W świątecznie udekorowanych sklepach panował, rzecz jasna, ścisk, lecz Lucy udało się znaleźć wiele z tego, czego szukała, w tym całkiem elegancki sweterek z niebieskiego kordonku dla Moniki i, w sklepie o głupiej nazwie „Pazury Zwierząt”, zestaw pluszowych łosich rogów zapinanych na elastyczny pasek pod brodą, które miały wprawić zarówno Maxa jak i Howarda w „suuuper świąteczny nastrój”. Wciąż się jeszcze nie zdecydowała, co kupić dla Ricka.

Przystanąła na chwilę, by popatrzeć na łyżwiarzy śmigających ze świstem po lodowisku Rockefellera; kusiło ją, żeby do nich dołączyć. Innym razem, postanowiła, jak będzie mniej turystów. Obejrzała wystawy sklepowe w Saksie i zafundowała sobie gorącą czekoladę w Godivie. W Double-day kupiła nową książkę kucharską z życzeniami Wesołych Świąt dla samej siebie. Wrzuciła trochę drobnych do kilku koszyków Armii Zbawienia, zawiedziona, że zamiast prawdziwych kolędników słyszy świąteczne melodie z magnetofonu.

A wkładając ostatnie monety do wyciągniętych dłoni bezdomnych, którzy podchodzili do niej, kiedy szła Drugą Aleją w stronę swojego domu, w duchu życzyła dobrych Świąt Szalonemu Rayowi, gdziekolwiek się znajdował. Podobnie jak wszystkim swoim „stałym klientom”, których od dawna już nie widziała.

Znalazszy się w mieszkaniu, wciąż jeszcze z pakunkami w rękach, poszła sprawdzić automatyczną sekretarkę. Nic. No cóż, oznajmiła Rickowi, że nie chce pośpiechu, więc pewnie nie chciał na nią naciskać. Rozejrzała się, próbując zobaczyć mieszkanie jego oczami. Nieźle. Może tylko trochę nieporządnie.

Rzuciła zakupy na kanapę, a płaszcz na fotel, po czym zadziwiła samą siebie, zabierając okrycie i wieszając je na wieszaku. Rozpakowała rzeczy na ławie i jak zwykle zaczęła zgniatać papierowe worki w nierówne kulki; po chwili przerwała, każdą torebkę dokładnie złożyła, zniosła do kuchni i wepchnęła pod zlew. Gazety z ostatniej niedzieli leżały porozwalane na podłodze za kanapą, więc złożyła je na zgrabny stosik przy drzwiach wejściowych, by wynieść na makulaturę. Podeszła do stołu i zebrała naczynia, które czekały na nią od śniadania wraz z dawno zapomnianym kubkiem po kawie, zniosła je do kuchni i zabrała się za mycie. Kawa na dnie kubka skamieniała, a na talerzu zaschły resztki żółtka. Szorowała naczynie mocno zużytą gąbką, ale jajko nie schodziło. Do diabła z tym, pomyślała nagle i wsadziła wszystko do przeładowanej zmywarki. Jestem, jaka jestem, i nic na to nie poradzę.

Nalała sobie wody sodowej i wróciła do pokoju dziennego, by zapakować prezenty.

Gdy podchodziła do biurka po nożyce i taśmę klejącą, jej wzrok padł na stojące na sosnowej skrzyni figury. Odłożyła taśmę i podeszła, żeby przyjrzeć się im bliżej. Boże, ależ one szkaradne. Pomyślała jednak, że rzeczywiście istniało nikłe podobieństwo między nimi a niektórymi przedmiotami widzianymi poprzedniego wieczora. Nie była oczywiście ekspertem. Może powinna zabrać je do Billa Millera, on by wiedział. Lecz instynktownie wyczuwała, że nie byłby zachwycony, iż znów ma do czynienia z Jean-Pierre'em. Nie, potrzebowała znawcy bezstronnego, a tu, w Nowym Jorku, nie powinna mieć trudności z jego znalezieniem.

Podeszła z powrotem do biurka, wyciągnęła książkę telefoniczną i zaczęła przerzucać kartki, aż dotarła do działu z galeriami. Były ich trzy strony: od czego zacząć? Prowadziła palcem od samej góry w dół listy, szukając nazw, które mogłyby wskazać na cechy sztuki, którą zajmowały się poszczególne przybytki. Dotarła do L, gdy przeszkodził jej telefon.

– Lucy? Tu Monica. No i jak tam? Zobaczmy się w Święta?

Lucy westchnęła.

– Nie gniewaj się, kotku, ale chyba nie. Muszę mieć czas dla szpitala i laboratorium IMA...

– I dla pana Hollandera – droczyła się przyjaciółka.

Lucy napomknęła jej, że kilka razy była z Rickiem na kolacji, a Monica, jak to Monica, zrobiła z tego wielki romans. Cóż, może rzeczywiście to był romans. Albo będzie.

– Szczerze mówiąc, nie znam planów Ricka na Święta – powiedziała Lucy. – Możliwe, że będzie musiał polecieć do Kalifornii. Mówił, że ma tam do załatwienia jakąś sprawę rodzinną. Tak czy inaczej, naprawdę mam dużo pracy...

– W porządku, jeśli tylko nie będziesz sama – orzekła Monica. – Tak przy okazji, słyszałaś, że Ted Wiley odszedł?

– Odszedł? Dokąd odszedł?

– Obcięli fundusze na jego projekt, więc rzucił wszystko w diabły. Stwierdził, że ma dość państwowej roboty. Znalazł pracę gdzieś w Teksasie.

– A co z jego badaniami nad peruwiań?

– Podejmą ją chyba jego następcy. Choć nie jest to sprawa priorytetowa: niewielka epidemia w odizolowanej społeczności, całkowicie opanowana, całe mile stąd. A wiesz, jak wygląda nasz budżet. Zaciskają nam pasa, że ledwo ziapiemy; to samo w USAMRIID. Nie oczekiwałabym za wiele. Myślę, że to teraz będzie wasze zadanie.

– Biedny Ted, pracował tam tyle lat.

– Tak, ale robił się już drażliwy. Myślę, że właśnie przyszedł dla niego czas na zmianę. Poza tym jego żona pochodzi z Teksasu, więc dla niej było to całkiem miłe rozwiązanie.

Podczas rozmowy Lucy nie przerywała niedbałego przeglądania listy galerii. Nagle coś przykuło jej wzrok.

– Monica? Zaczekaj chwilę.

Galeria Noone. Noone. Skąd ona zna tę nazwę?

– Wszystko w porządku? – spytała Monica.

– Wybacz. Sprawdzalam akurat galerie sztuki w książce telefonicznej, jak zadzwoniłaś. Pomyślałam, że powinnam dać do wyceny statuetki od Jean-Pierre'a.

– Mówiłaś chyba, że są bezwartościowe.

– Tak, ale co ja tam wiem? Noone, myślała. Noone...

– Jest tu nazwa, którą chyba rozpoznaję, ale nie wiem... Jezu. Notatnik.

– Co?

– Notatnik Jeana. Ten ukryty w starym biurku. Zaczekaj.

Rzuciła słuchawkę i pobiegła wykopać z szuflady z bielizną oprawiony w skórę notes. Powróciwszy do biurka, wetknęła słuchawkę pod brodę i kartkowała brulion.

– Mam – rzekła z podnieceniem do Moniki. – Noone.

– Noon jak księżyc?

– Pisane z „e” na końcu. To jedna z nazw z notesu Jeana i nazwa galerii w Nowym Jorku.

– Może to zbieg okoliczności – zareagowała ostrożnie Monica. – Pasuje coś jeszcze?

– Zobaczymy... Stanislas, Stanislas... Tak, jest Stanislas Arts – obwieściła tryumfalnie. – I Galeria Sun God... i Galeria Vieillesse. Przerwała, żeby się zastanowić.

– Monica, wiesz, co to oznacza? Jean-Pierre musiał rozprowadzać heroinę przez sieć galerii. To ostatni element układanki... – Nagle ogarnęło ją przygnębienie. – Myślałam się, a rację miał Bill Miller. Jean faktycznie szmugłował narkotyki.

Monica przez chwilę była cicho.

– Myślałam, że jesteś bystrzejsza – odezwała się w końcu.

– O czym ty mówisz?

– Znaleźli w jego walizce heroinę, to pewne. Ale to jeszcze nie znaczy, że sam ją tam włożył. Zamilkła.

– Jean-Pierre nie przemycał narkotyków – dodała po chwili.

– Nie?

– Jasne, że nie, Lucy. Pomyśl tylko. Przemycał dzieła sztuki.

Młody człowiek przyglądał się rzeźbom, które postawiła przed nim na biurku, z wyraźnym niesmakiem.

– Obawiam się, że to typowy turystyczny kicz – orzekł. – Mam nadzieję, że nie wydała pani na nie za dużo pieniędzy.

– Prawdę mówiąc, to był prezent.

Spojrzał na Lucy, unosząc lewą brew. Najwyraźniej do klienteli Galerii Benton-Bush nie należały osoby, obdarowywane taką tandetą.

W mijającym tygodniu, odkąd Monica zaskoczyła ją swoim stwierdzeniem, Lucy nie myślała prawie o niczym innym. Jednak godziny pracy galerii i jej własny rozkład zajęć nie pozwoliły jej zrobić nic aż do dzisiaj, do Wigilii.

W międzyczasie przygotowała sobie plan. Postanowiła zacząć od uzyskania wyceny figurek w porządnych galeriach, nie wymienionych w notesie Jean-Pierre'a. Potem ruszy do tych podejrzanych, gdzie wypowie nazwisko Jeana i zaczeka na reakcję. Jeśli takową zaobserwuje, będzie próbowała dalej, aż w końcu zaproponuje kontynuację dzieła Jean-Pierre'a i zobaczy, czy ktoś połknie przynętę.

Mimo iż w ten zimny sobotni poranek na ulicach roiło się od spóźnionych kupujących, dzieła sztuki nie cieszyły się nawet w części tak wielką popularnością jak swetry, książki i krawaty, więc właściciel Bentona-Busha ucieszył się, widząc potencjalną klientkę. Dopóki nie spojrzał na

to, co wyciągnęła z torby. To był trzeci sklep, do którego zajrzała, i jak dotąd znawcy byli zgodni: statuetki przedstawiały zwykłą tandetę. Dziękując mężczyźnie, schowała drewniane figurki i wyszła. Czas teraz uderzyć na szemrane galerie. Pierwsza, o nazwie Noone, znajdowała się tuż za rogiem.

Lecz o ile miała nadzieję, że rzeźby i opis ich pochodzenia wywołają podejrzanę poruszenie wśród pracowników, to się zawiodła. Gdy wymieniła nazwisko Jean-Pierre'a, właścicielka – chuda kobieta w średnim wieku, ubrana w kostium od znanego projektanta – nawet nie mrugnęła, tylko, uświadomiwszy sobie, iż Lucy nie zamierza nabyć żadnego z jej przesadnie wysoko wycenionych przedmiotów, natychmiast orzekła, że figurki są bezwartościowe, i odwróciła się, by obsłużyć wyraźnie zamożniejszego klienta.

Podobnie było w Galerii Vieillesse. Mimo iż zdawało się jej, że na wzmiankę o doktorze Didierze dostrzegła na twarzy właściciela charakterystyczny błysk, to jej wyraźne sugestie, że ma więcej przedmiotów artystycznych o znacznie wyższej wartości, spotkały się z uprzejmym chłodem i wkrótce znalazła się z powrotem na ulicy.

Westchnęła, zawołała taksówkę i pojechała w stronę centrum do Stanislas Arts. Najwyraźniej niewłaściwie się do tego zabierała. Ruch był spory, miała więc mnóstwo czasu na zastanowienie. Gdy wysiadła przed sklepem z antykami na Columbus Avenue, miała już gotowy nowy plan.

Ale gdzie była ta galeria? Sprawdziła numer domu z własnymi notatkami; tak, była we właściwym miejscu. W końcu wypatrzyła maleńki znak przy brudnych drzwiach do sklepu. Były otwarte; w środku znalazła domofon z nazwiskami wszystkich siedmiu lokatorów niewielkiej, obskurnej kamienicy, na parterze której znajdował się sklep z antykami. Nacisnęła guzik przy nazwie STANISLAS ARTS.

– Kto tam?

Męski głos z wyraźnym obcym akcentem zabrzmiał cicho w głośniku domofonu.

– Lucy Nash. Jestem... kolekcjonerką. Powiedział mi o panu przyjaciel. Twierdził, że można u pana znaleźć piękne przedmioty.

– Kto to pani powiedział?

Lucy знаła tylko jednego kolekcjonera, lecz był on człowiekiem takiej sławy, że cały ten Stanislas mógł o nim słyszeć. Jeśli tak, jego nazwisko mogło stać się dla niej przepustką do środka.

– Doktor Bill Miller – rzekła.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo i Lucy zaczęła się już zastanawiać, czy się nie przeliczyła. Może jednak Bill nie był tak znany w świecie sztuki, jak zakładała. W końcu jednak usłyszała:

– Proszę wejść na drugie piętro. Będę czekał przy schodach.

Zabrzmiał brzęczyk, a Lucy mogła otworzyć drzwi i wejść do środka.

Wspięła się po pogrążonych w półmroku obłupanych schodach. Jakiż to kontrast w porównaniu z innymi galeriami, które dziś odwiedziła; to dało jej jakąś dziwną nadzieję.

Na szczycie schodów na drugim piętrze stał żwawy siedemdziesięciokilkulatek o ptasiej twarzy, w dobrze skrojonym ciemnym garniturze i jedwabnym wzorzystym krawacie. Opierał się ciężko na mahoniowej lasce, przyglądając się jej badawczo, gdy się zbliżała.

– A więc – odezwał się, gdy stanęła obok niego – pani Lucy Nash.

– Tak.

– Jestem Beno Stanislas.

Podał Lucy rękę.

– Co pani kolekcjonuje, pani Nash?

– Sztukę Ameryki Południowej – rzekła. – Antyczne dzieła.

– Rozumiem. Prekolumbijskie?

– Tak.

– I ten Bill Miller, którego pani wspomniała, polecił, żeby się pani ze mną zobaczyła?

Lucy potaknęła.

– Twierdził, że ma pan niezwykle rzeczy.

– Bo mam.

Spojrzał na nią ostro.

– Ale nie znam żadnego Billa Millera.

– Hm, panie Stanislas, czy możemy porozmawiać w środku?

– W środku?

– W pańskiej galerii.

Lucy rozejrzała się dokoła. Wydało się jej mało prawdopodobne, żeby tego rodzaju przybytek mieścił się w takiej ruderze. Stanislas zmarszczył brwi.

– Pani się pomyliła. Ja nie prowadzę galerii.

– Ale tam jest napisane...

– Jestem handlarzem, panno Nash. Kupuję od znanych mi sprzedawców i sprzedaję znajomym kupcom. Nie prowadzę sklepu, do którego każdy może wejść i coś kupić...

Odwrócił się.

– Proszę poczekać. Jestem znajomą Jean-Pierre'a Didiera.

Mężczyzna zatrzymał się.

– Nie znam też nikogo o tym nazwisku – odparł, stojąc tyłem do niej. – Żegnam panią.

– Mam jego notes.

To usłyszawszy, obrócił się.

– Niby czemu miałoby mnie to interesować?

– Bo jest w nim pańskie nazwisko.

Starzec podniósł laskę i przez chwilę Lucy myślała, że ją uderzy, taka wściekłość odmalowała się na jego twarzy.

– W porządku – rzekła szybko, robiąc krok do tyłu. – Jestem jego... przyjaciółką. Partnerką w interesach. Mówił – improwizowała dalej – że mam się z panem zobaczyć, gdyby coś mu się

stało.

Stanislas powoli opuścił laskę. Dysząc ciężko, usiłował opanować emocje i mruzczał coś pod nosem. Znów zamilkł.

– Nie wiem, o czym pani mówi – powiedział w końcu, lecz jego głos brzmiał niepewnie, a twarz przybrała zagadkowy wyraz.

– Oboje wiemy, że to nieprawda.

Stał, przyglądając się jej badawczo. Sądzi, że jestem z policji, uświadomiła sobie Lucy. Albo z urzędu celnego. Nie była pewna, jaki urząd zająłby się śledztwem w sprawie przemytu dzieł sztuki, ale z pewnością taka instytucja istniała i Stanislas wziął ją za jej pracownika. Wyjęła z torebki swój szpitalny identyfikator i podetknęła mu go pod nos.

– Proszę spojrzeć. Jestem lekarzem, tak jak Jean-Pierre. Doktor Didier. Pracuję w Szpitalu Ogólnym w Nowym Jorku. Byliśmy razem w Peru, kiedy... Jestem lekarzem, widzi pan?

Niechętnie spoglądał na identyfikator, obracając go w powykręcanych reumatyzmem palcach; potem oddał go Lucy.

– Chodźmy – rzekł krótko.

Lucy podążyła za nim krótkim, ciemnym korytarzem do maleńkiego, dusznego pokoju.

– Proszę siadać – nakazał. – Tam, na kanapie.

Lucy usiadła i rozglądała się dokoła. Meble miał z różnych stylów i epok, stare, ale w dobrym stanie. Wypłowały dywan w orientalny wzór pokrywał prawie całą drewnianą podłogę, a ściany oklejone były staromodną welurową, czerwoną tapetą. W powietrzu unosił się delikatny zapach strawy i do Lucy dotarło, że to nie żadna galeria. Stanislas tu po prostu mieszkał.

– A zatem, pani doktor – rzekł, siadając w fotelu naprzeciw niej. – Czemuż to człowiek, którego nie znam, kazał pani się ze mną zobaczyć? I czemu niby miał uważać, że coś mu się może stać?

Lucy westchnęła.

– Panie Stanislas. Wiem wszystko o pana, hm, interesach z Jean-Pierre'em. Sam mi powiedział. Jean był jednym z tych znajomych sprzedawców, o których pan mówił, źródłem owych niezwykłych, pięknych rzeczy, jakie pan sprzedaje.

Stanislas wykonał nic nie znaczący ruch ramion, lecz wzroku nie spuszczał z jej twarzy.

– Zaś co do pytania, czemu miałby się bać, że coś mu się stanie – nie przestawała improwizować – może uważał, iż ktoś wie o przemyconych przez niego dziełach sztuki i o tym, co łączyło go z panem. I miał rację, nieprawdaż? Przecież coś mu się stało.

– Heroina, to mu się stało – odparł ze złością Stanislas. – Sztuka mu nie wystarczała; musiał się wplątać w narkotyki.

– Może pan też je od niego kupował – prowokowała Lucy. – I sprzedawał tym swoim prywatnym klientom. Czy panu sztuka wystarczała, panie Stanislas?

Starzec wstał, trzęsąc się ze wściekłości.

– Ja nie handluję narkotykami, doktor Nash – oznajmił. – Dowiedziałem się dopiero, jak

aresztowali Jeana... Oparł się ciężko na lasce i dyszał.

– A teraz proszę wyjść.

Jednak Lucy nie ruszyła się. Zamiast tego, przyjrzała się uważnie starszemu panu i stwierdziła, że z jakiegoś nieznanego jej samej powodu mu wierzy.

– Niech pan usiądzie, panie Stanislas – odezwała się w końcu. – Widzę, że mówi pan prawdę.

On jednak wciąż stał, piorunując ją wzrokiem.

– Proszę. Bardzo mi przykro. Sama nic nie wiedziałam, dopóki go nie aresztowali. To był dla mnie szok; wydało mi się to zwyczajnie niemożliwe, żeby zajmował się handlem narkotykami. Nie mogłam uwierzyć, że to prawda. Wciąż nie chcę w to wierzyć...

Z jej oczu popłynęły łzy, gdy przypomniała sobie tamtą straszną noc, Billa, który przyjechał po nią na lotnisko i powiedział, co się stało. Jednak mimo wywołanego na nowo żalu nie zapomniała o stworzeniu pozorów dla Stanislasa i rzekła:

– Myślałam, że może pan i on... Musiałam mieć pewność. Staruszek powoli usiadł z powrotem w wysłużonym skórzanym fotelu, przyglądając się jej uważnie, ważąc decyzję.

– Był pani kochankiem? – zapytał w końcu.

Lucy zarumieniła się, speszona jego bezpośredniością.

– Tak. Tak, to prawda.

Nie wiedzieć czemu, jej potwierdzenie wyraźnie uspokoiło handlarza.

– Rozumiem – rzekł, a jego twarz złagodniała. – Kochankowie powierzają sobie wiele sekretów. Ale czemu przysłał panią do mnie?

– Cóż, powiedział mi, czym się zajmował – zmyślała ostrożnie Lucy. Sięgnęła do torebki po chusteczkę i otarła łzy. – Prawdę mówiąc, kilka razy nawet mu pomagałam. Myślę, że chciał, bym dalej... er... prowadziła z panem interesy.

– Czy to właśnie zamierza pani zrobić, Lucy Nash?

– Tak.

– Będę z panią szczery: cieszy mnie to. Ostatnimi czasy nabrałem podejrzeń, że Jean być może mnie... ciężko mi o tym mówić, ale chyba mnie oszukiwał. Powiedzmy po prostu, że prawdopodobnie próbował sprzedawać swój towar bezpośrednio moim klientom...

Jego wzrok powędrował do torby, w której spoczywały owinięte w papier statuetki.

– A więc co pani dla mnie ma?

– Słucham? – Lucy podążyła za jego spojrzeniem. – Ach, jeszcze nic. To tylko świąteczne zakupy. Pomyślałam, że najpierw powinniśmy się spotkać, porozmawiać...

– Oczywiście. Napije się pani herbaty?

– Tak, chętnie – odparła zaskoczona Lucy. – Mogę panu pomóc?

– Proszę się nie kłopotać. To nic trudnego.

Szurając nogami, przeszedł do kuchni i po jakimś czasie Lucy usłyszała gwizdanie czajnika.

– Może pomogłaby mi pani tylko z tacą – zawołał, a ona wstała i poszła do maleńkiej

kuchenki.

Na lakierowanej chińskiej tacy stały dwa kubki aromatycznej herbaty i talerz lukrowanych ciastek.

– Z jednym kubkiem jakoś sobie radzę, ale to wszystko...

– Co za piękna taca, panie Stanislas – zachwyciła się Lucy, niosąc ją do pokoju dziennego i stawiając na niskim stoliku.

– Beno – poprawił ją gospodarz, siadając w fotelu. – Jeśli mamy prowadzić wspólne interesy, musisz do mnie mówić Beno. Doskonale ciasteczka. Importowane.

Lucy uśmiechnęła się i wzięła jedno.

– A zatem, jak się za to zabierzemy, Beno?

Podmuchał na swoją herbatę, po czym zaczął sączyć ją w zamyśleniu.

– Jean miał mnóstwo kontaktów w wielu krajach, kontaktów nawiązywanych przez całe lata. Masz jego notes, więc musisz znać nazwiska.

Lucy potaknęła.

– Jest na przykład Jorge w Limie – rzuciła.

– Jorge Melendez. Tak, słyszałem o nim.

Beno sięgnął po ciastko i przełamał je na pół.

– Spotkałaś się z nim, będąc w Peru?

– Widział się z nim Jean-Pierre.

– O, to ciekawe. Widzisz, Jean napomknął mi, że ten Jorge znalazł coś nadzwyczajnego. Oczywiście jakiś antyk, ale co to było, nie powiedział, choć ze sposobu, w jaki o tym mówił, wynikało, że jest bardzo stare i niezwykle cenne. I mimo to twierdzisz, że nic dla mnie nie masz?

Przyglądał się jej badawczo.

– Nie. Jean, hm, mnie też o tym napomknął, lecz, niestety, zdążyłam już wrócić do Stanów, kiedy spotkał się z Jorge. Potem go aresztowano i nigdy się nie dowiedziałam...

– Ale oddali ci jego rzeczy? Sprawdziłaś je dokładnie?

– Tak, nawet bardzo dokładnie. Niczego nie znalazłam.

– A jesteś pewna, że rozpoznałabyś ten przedmiot, gdybyś go znalazła? Posiadasz taką wiedzę?

– Nigdy nie studiowałam sztuki – przyznała Lucy. – Ale z pewnością poznałabym prekolumbijskie dzieło sztuki, gdybym je tylko zobaczyła, mimo iż nie znałabym jego wartości. Niczego tam nie było.

– A skąd przypuszczenie, że musi to być coś prekolumbijskiego?

– Peru, Jorge Melendez... Założyłam więc...

– Nigdy niczego nie zakładaj – ostrzegł ją Beno. – Dzięki swojej pracy Jean bywał w wielu krajach, pewnie podobnie jak ty.

Lucy potaknęła.

– To samo można powiedzieć o Jorge Melendzie – dodał.

Uśmiechnął się i wziął następne ciastko.

– Co wiesz o świecie antyków, Lucy?

– Niewiele. Właściwie to nic.

– W takim razie musisz się doksztalić, inaczej zostaniesz podle oszukana. Nawet przez człowieka o takiej reputacji jak Jorge Melendez – dodał oschle. – Kupowanie i sprzedawanie dzieł sztuki prymitywnej okryte jest płaszczem tajemnicy, moja droga. Dyskrecja jest praktycznie zapisana w umowie sprzedaży i w przeciwieństwie do Bloomingdale’a – przy tych słowach uśmiechnął się do jej torby na zakupy – nie przyjmujemy zwrotów...

Jego wzrok spochmurniał.

– Musisz być pewna tego, co kupujesz, i tego, komu sprzedajesz. Może to być bardzo trudne.

– Ale czy nie jest to równie trudne dla ciebie? Czy twoi klienci nie pytają, skąd wzięły się rzeczy, które im sprzedajesz?

Beno zachichotał.

– Ależ skąd – zapewnił ją. – Moich klientów daleko bardziej obchodzi autentyczność i wartość przedmiotów niż to, czy nie zostały skradzione. Nie dziw się tak – dodał, widząc jej minę. – Zdają sobie sprawę, iż w zasadzie nie ma szans, żeby takie rzeczy zostały nabyte legalnie; nie przy obecnie obowiązującym prawie wymierzonym przeciwko międzynarodowemu handlowi przedmiotami zabytkowymi. Chociaż tak naprawdę przed rokiem 1970 wcale nie było dużo łatwiej. Taki już jest charakter tego interesu, jak widzisz. I charakter kolekcjonerów.

– A co się stało w roku 1970? – spytała Lucy.

– Weszła w życie Konwencja UNESCO. Podpisano międzynarodową umowę, by powstrzymać, a przynajmniej ograniczyć handel przedmiotami będącymi częścią dziedzictwa narodowego. Afryka, Indie, Ameryka Południowa... znikło już tak wiele cennych rzeczy, sprzedanych tym, którzy zaoferowali najwyższą cenę. A niekiedy wcale ich nie sprzedano; zostały zwyczajnie złupione przez najeźdźców. Och, to już tak trwało całe wieki. Takie marmury Elgina* [Lord Th.B. Elgin – Anglik, który na początku XIXw. wywiózł z Partenonu i innych antycznych budowli greckich część rzeźb do swojego kraju. Obecnie rzeźby te znajdują się w British Museum.], na przykład...

– A więc ta Konwencja UNESCO utrudniła obrót zabytkowymi przedmiotami?

– Utrudniła – być może, ale z całą pewnością nie uniemożliwiła. Widzisz, wszystko zależy od położenia geograficznego.

– Od położenia?

– Tak. Wiele państw, jak na przykład Francja, nie są tak... powiedzmy, skrupulatne jak rząd Stanów Zjednoczonych w wyszukiwaniu i przejmowaniu przedmiotów zabytkowych, a potem w zwracaniu ich krajom, z których pochodzą, jak wymaga Konwencja.

Jean-Pierre planował podróż do Francji, przypomniała sobie Lucy, zaledwie dwa dni po spotkaniu z Melendezem. A Beno mówił, iż podejrzewał, że Jean mógł chcieć sprzedać swoje łupy komu innemu. Jeżeli Francja chętniej przymykała oko na przemyt dzieł sztuki, to może dla Jeana miałyby sens przeniesienie interesów właśnie tam, zwłaszcza jeśli miał do zbycia coś

naprawdę wyjątkowego. Ale jeśli Jean miał zawieźć do Marsylii skradziony przedmiot artystyczny, to gdzie tu przypiąć heroinę?

– Jeszcze ciasteczko?

– Nie, dziękuję. Powinnam już iść.

Lucy wstała, a Beno podniósł się powoli i oparł o laskę. Podeszedł do małego biurka z drewna różanego.

– Oto wizytówka z moim prywatnym numerem telefonu. Następnym razem zadzwoń, zanim przyjdiesz. Musimy być ostrożni. Ten notes Jeana – dodał, gdy odprowadzał ją do drzwi – mam nadzieję, że nie jesteś tak niemądra, by zostawić go w miejscu, gdzie jakiś przyjaciel... albo kochanek... mógłby go znaleźć.

– Oczywiście, że nie – odparła, myśląc, jak głupią kryjówką była szuflada z bielizną.

Przy drzwiach zatrzymał ją, kładąc rękę na jej ramieniu.

– Ostatnio zauważyłem na ulicy pod domem pewnych ludzi – rzekł cicho. – Chodzą w kółko, oglądają wystawy sklepowe, ale nie są naturalni, rozumiesz mnie? A parę dni temu dzwoniły do mnie dwie osoby, twierdząc, że kolekcjonują sztukę, i zadawały mi dziwne pytania.

– A jednak mnie wpuściłeś.

– Myślałem, że jesteś jedną z nich. Nie dziw się tak, moja droga. Lepszy diabeł znany niż nieznany. Doszedłem do wniosku, że czas porozmawiać z kimś z nich twarzą w twarz. Pomyślałem, że może odkryję, co właściwie wiedzą, a co tylko podejrzewają.

– A co z Billem Millerem? – spytała Lucy, stojąc już w obskurnym korytarzu. – Czy fakt, że wymieniłam jego nazwisko, zaważył jakoś na twojej decyzji o spotkaniu się ze mną?

Beno pokręcił głową.

– Już ci mówiłem: nie znam żadnego Billa Millera. – Jego ptasie oczy wpatrywały się w nią natarczywie. – Czemu pomyślałaś, że powinienem go znać?

– Bill stoi na czele organizacji, która wysłała Jeana i mnie do Peru – wyjaśniła Lucy. – Kolekcjonuje dzieła sztuki, pomyślałam więc, że może prowadził z tobą jakieś interesy.

– Niestety nie – odparł Beno z chmurną twarzą.

Po chwili jednak uśmiechnął się uprzejmie i podał Lucy rękę.

– Wyjeżdżam na jakiś czas – oznajmił. – Na miesiąc, może nieco dłużej. Wybaczysz mi, jeśli nie wyślę ci pocztówki.

Uśmiechnął się, tym razem ponuro.

– Ale wrócisz?

– Ach, tak. Mój interes kwitnie tutaj. Chcę po prostu poczekać, aż – jak to wy Amerykanie barwnie określicie – to wszystko umrze śmiercią naturalną. Cóż, wesołych Świąt, moja droga. Czekałam na ciebie w nowym roku.

– Wesołych Świąt – rzekła Lucy, pomyślała zaś: „Czekaj cierpliwie”.

Czego to ja się dowiedziałam? – zapytała siebie w duchu, gdy znalazła się na ulicy i ruszyła

na południe.

Po pierwsze: Monica miała rację. Jean-Pierre przemycił dzieła sztuki. Ale nie mam pewności, że nie przemycił też narkotyków. Chociaż to by było głupie, a Jean głupi nie był. Chciwy, niemoralny, nieetyczny – to na pewno – ale w żadnym razie głupi.

Po drugie: Stany Zjednoczone nie cackają się z przemytnikami dzieł sztuki. Czy agenci celni na lotnisku szukali właśnie szmuglowanych zabytków, gdy natknęli się na heroinę? Czy dostali cynk o przemycanych dziełach sztuki? Być może, lecz to wciąż nie rozwiązywało zagadki heroiny. Jeśli to nie Jean ją tam włożył, to kto?

Po trzecie: Beno podejrzewał, że Jean-Pierre go oszukiwał. Wyglądał na zdenerwowanego, gdy wspomniałam, że i ja, i Jean znaleźmy Billa Millera. Pomyślał pewnie, że Bill był klientem, którego Jean zatrzymał wyłącznie dla siebie. Bill raczej nie należał do ludzi, którzy kupują przemycane antyki, ale Beno tego nie wiedział.

Zerwał się przenikliwy wiatr i Lucy lepiej otuliła się płaszczem. Co, jeśli podejrzania Beno były słuszne? W notesie Jeana było kilka inicjałów, które nie pasowały do żadnej galerii z książki telefonicznej. Może oznaczały kilku z klientów Stanisłasa, ludzi, z którymi Jean-Pierre postanowił handlować sam, pomijając pośrednika? A to ciekawe... Czy Beno mógł z zemsty nasłać na niego agentów celnych? Nie, to naraziłoby na niebezpieczeństwo jego samego. Chyba że Jean umarłby, zanim zdążyłby wymienić nazwę Stanislas Arts. Tak też się stało. Dzięki temu, co gazety nazwały „pigułką śmierci”.

Czemu przemytnik dzieł sztuki miałby wozic ze sobą truciznę?

Do tego wciąż nie mogła pojąć, po co Jean miałby przywieźć te ohydne, bezwartościowe rzeźby. Do licha, nawet w urzędzie celnym nie byli w stanie tego odgadnąć, skoro przepiłowali je na pół.

Z nieba zaczęły spadać rzadkie płatki śniegu; może jednak Gwiazdka będzie biała? Choć i tak nie miało to dla niej znaczenia. Rick wyjechał na Święta do Kalifornii, a bilety na wszystkie loty z Nowego Jorku były od dawna zarezerwowane, więc na pierwszy dzień Bożego Narodzenia nie miała żadnych planów. Dlatego też gdy kolega z pracy poprosił ją o zamianę dyżurów, by móc spędzić ten dzień z rodziną, Lucy chętnie przystała. Stwierdziła, że rozsądniej będzie zamienić samotne Boże Narodzenie na Wielkanoc, którą być może uda się spędzić w przyjemniejszy sposób.

Mijała akurat kino, w którym wyświetlali komedię, którą chciała zobaczyć, i pomyślała, „Czemu nie?”, ciesząc się wolnym dniem bez planów. Film zaczynał się za dwadzieścia minut, kupiła więc bilet i poszła do kawiarenki po drugiej stronie ulicy, by sprawdzić automatyczną sekretarkę. Głos Ricka z maszyny życzył jej z deszczowej Kalifornii miłej Wigilii i obiecywał, że wkrótce znowu zadzwoni. Jake Weiss przypominał jej, że ma być u nich na kolacji po pracy w pierwszy dzień Świąt, który zbiegł się akurat z pierwszym dniem święta Chanuka* [Chanuka – ośmiodniowe święto żydowskie o radosnym charakterze, upamiętniające oczyszczenie Świątyni Jerozolimskiej z greckich posągów w 166 r. p.n.e.], a jego żona robi najlepsze w mieście latke* [latke (jid.) – rodzaj placków

ziemniaczanych.], więc Lucy ma ze sobą zabrać jedynie dobry apetyt. Lucy uśmiechnęła się, zastanawiając się, co to takiego te latke.

W kinie zafundowała sobie prażoną kukurydzę i wodę sodową, oparła się wygodnie i oddała się kontemplacji eskapistycznej komedii. Tego jej było trzeba, stwierdziła. Choć ten dzień sporo jej wyjaśnił, to wciąż miała więcej pytań niż odpowiedzi.

Dla wielu firm dni między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem to dość leniwy okres. Ludzie biorą wolne, wyjeżdżają z miasta, zwijają interesy. Ale w szpitalach ów czas jest tak samo pracowity jak każdy inny, czasem nawet bardziej. Dni Lucy były wypełnione od rana do wieczora, a niewielka epidemia zakażenia, jak się później okazało, bakterią E. coli, której źródłem była lokalna sieć znanych barów szybkiej obsługi, zupełnie ją wykończyła.

I właśnie dlatego mocno już spała, gdy kwadrans po dziewiątej w środowy wieczór zadzwonił Rick.

– Wesolego trzy-dni-po-Świątach – zawołał radośnie. – Jak się czuje pogromczynie E. coli?

– Jest zmęczona – odparła Lucy.

– Mogę to sobie wyobrazić. Czytałem w tutejszych gazetach. Mówili o tym nawet w lokalnych wiadomościach w Santa Barbara. Wygląda na to, że macie pełne ręce roboty.

– Delikatnie mówiąc. – Lucy ziewnęła potężnie.

– Obudziłem cię? – zapytał zmartwiony Rick. – Strasznie przepraszam. Może zadzwonię jutro rano?

– Nie, nic się nie stało. Nie znam nikogo, przez kogo chciałabym być bardziej obudzona.

Nastąpiła chwila ciszy, podczas której oboje zastanawiali się nad sensem tego, co powiedziała.

W końcu przemówił Rick:

– Zastanówmy się, co to może znaczyć – na co oboje parsknęli śmiechem.

Lucy wyciągnęła rękę, by zapalić nocną lampkę, ale powstrzymała się. Miło było rozmawiać z Rickiem w sennej atmosferze ciemnej sypialni.

– Mój samolot przylatuje w piątek późnym wieczorem – powiedział. – Ale w sobotę jest Sylwester i miałem nadzieję, że spędzimy go razem.

– Już nie mogę się doczekać.

– Świetnie. A zatem, co chciałabyś robić? Pewnie musiałbym coś zarezerwować, bo później nie będzie szans. Masz ochotę na jakieś szczególne miejsce?

– Ty coś wybierz – odrzekła Lucy. – Masz świetny gust, jeśli chodzi o restauracje.

– I o kobiety. Ejże, mam dla ciebie prezent!

A ja wciąż nic dla niego nie wybrałam, pomyślała Lucy. Rusz się, dziewczyno.

– Co to takiego?

– O nie – roześmiał się Rick. – To niespodzianka. Teraz idź spać. Zadzwonię w sobotę rano. Nie za wcześnie – dodał, a Lucy usłyszała w jego głosie śmiech.

– Tak będzie rozsądniej – stwierdziła i poczuła, że sama też się uśmiecha. – Dobranoc, Rick.

– Dobranoc, Lucy. Śpij dobrze.

Odłożyła słuchawkę i wtuliła się w poduszki. Sylwester z Rickiem, myślała sennie; jaki miły sposób na rozpoczęcie nowego roku. Przypomniała sobie ich przytulone ciała na przyjęciu u Billa, płomienny pocałunek, jakim uraczył ją potem. Powolny rozwój ich romansu miał oczywiście dobre strony, ale nie była pewna, jak długo jeszcze to wytrzyma.

Rick schował w dłoni telefon komórkowy, spuścił wodę i wyszedł z łazienki do ciemnej sypialni. Jego marynarka wisiała przerzucona przez oparcie krzesła i przechodząc, wsunął telefon do kieszeni.

Ona leżała rozciągnięta na łóżku z zamkniętymi oczami. Zatrzymał się i popatrzył na nią z góry. Powieki kobiety zdrząły; otworzyła oczy i sięgnęła po niego chciwie.

– Wracaj do łóżka.

– Jesteś nienasycona.

– Mmm.

Uklękła i zbliżyła się do niego.

– A ty przepyszny.

Wzięła go do ust, a Rick jęknął z przyjemności. Była niezwykle zręczna, więc szybko opadł na łóżko czerwony i spełniony. Przyglądała mu się tymi swoimi kocimi, zielonymi oczami, a na twarz spadały jej brązowe włosy.

– Wesołych Świąt.

– Już po Świątach.

– W takim razie, szczęśliwego Nowego Roku! – Posłała mu swój leniwy uśmiech. – Teraz weźmiemy prysznic, a potem zabierzesz mnie na kolację.

– Nie ma mowy.

Usiadł, marszcząc brwi.

– Wiesz, że nikt nie może nas razem zobaczyć. Zawarliśmy układ – kontynuował.

– A ja go teraz zrywam.

– Nie.

– Boisz się? – drwiła. – Taki facet jak ty?

– Jasne, że się boję. Bill Miller płaci mi pensję.

– O, jego nie obchodzi, co robimy.

– Pewnie. Posłuchaj, nie mam zamiaru ciągnąć tej dyskusji.

– Głuptas z ciebie – stwierdziła Renée. – Nie jesteśmy we Włoszech. A Bill nie jest moim mężem.

– No to mamy szczęście. W miasteczku, w którym się urodziłaś, twój mąż zastrzeliłby nas oboje. Albo twój ojciec. Jednak mówiąc to, już się uśmiechał.

– Tak, a wtedy spędzilibyśmy wieczność na pieprzeniu się nawzajem. – Przesunęła się na łóżku i usiadła w zgięciu jego ramienia. – Myślisz, że tam w niebie się pieprzą, caro*? [caro (wł.) – serce.]

– Ciebie na pewno nie zdołaliby powstrzymać. Roześmiała się, po czym wyciągnęła rękę i zaczęła głaskać wewnętrzną część jego uda.

– Przez ciebie wyląduję w szpitalu.

Rick złapał jej dłoń i przygryzł lekko, po czym sturlał się szybko z łóżka i wstał.

– Muszę się napić. Też chcesz?

– Wiesz, czego ja chcę.

– Będzie ci musiała wystarczyć szkocka z wodą – powiedział, omijając jej wyciągniętą rękę.

– Na razie wystarczy.

Przeszedł przez niewielkie, ultranowoczesne urządzone mieszkanie do kuchni i wkrótce wrócił z dwiema zimnymi szklankami.

– Powiedz mi, jak to było, dorastać w maleńkim miasteczku na południu Włoch? – zapytał, podając jej drinka. – I gdzie się nauczyłaś tak dobrze mówić po angielsku?

Przysiadł na oparciu pobliskiego fotela, poza jej zasięgiem.

– Wyemigrowałam do Ameryki jako czternastolatka – odpowiedziała, pociągając whisky. – Zmarł mój ojciec i matka przyjechała tu ze mną. Zamieszkałyśmy u jej siostry.

– W Nowym Jorku?

– Nie, w Miami. Ale gdy miałam dziewiętnaście lat, wyszłam za mąż i wróciłam do Włoch.

– Do Amalfi, razem z hrabią?

– Tak. Czemu cię to tak interesuje?

Rick uśmiechnął się.

– Próbuję wyobrazić sobie ciebie jako małą dziewczynkę. Musiałaś być słodka.

– Było ze mnie diabelskie nasienie.

– To też mi przyszło do głowy...

Zamilkł.

– Potrafię zrozumieć twoje pragnienie powrotu do Italii – odezwał się po chwili. – To piękny kraj.

– Znasz Włochy? Byłeś tam?

– Tylko raz. W Rzymie. I w Latino, na grobie dziadka.

Jej oczy rozszerzyły się.

– To twój dziadek był Włochem?

– Nie, ale zmarł w Europie.

Rick wziął łyk drinka.

– Brał udział w wojnie. Zginął w walce pod Monte Casino.

– To smutne. Ile miał lat?

– Trzydzieści dwa.

– A twój ojciec? On też był w wojsku?

– W marynarce wojennej. Ale nie poszedł tam dla kariery. Odsłużył swoje i odszedł.

Renée przyglądała mu się ponad brzegiem swojej szklanki.

- A więc pochodzisz z rodziny patriotów. Bardzo szlachetne.
- Nie pochwalasz patriotyzmu?
- Walczyć w wojnach wywoływanych przez polityków? To głupota.
- To dość cyniczne stwierdzenie jak na kobietę, która miliony dolarów pakuje w IMA.
- Ach, ale to nie polityka. To dobroczynność.

Dopiła szkocką i odstawiła szklanekę na niski stolik obok łóżka.

– Zabierz mnie na kolację, Rick. Obiecuję, że nikt cię nie zastrzeli.

– Nie, Renée.

– Cóż, wezmę teraz prysznic, a potem zobaczymy. Wstała i poszła do łazienki, prowokująco kołysząc biodrami.

– Przyłączysz się do mnie?

– Zaraz – odparł Rick. – Pozwól, że cię zaskoczę.

Zaczekał, aż z prysznicza popłynie woda, po czym odstawił kieliszek. Renée zostawiła uchylone drzwi od łazienki, więc podszedł cicho, pchnął je lekko i zamknął. Potem szybko i metodycznie zaczął przeszukiwać mieszkanie.

Mimo dodatkowych obowiązków związanych z masowym zakażeniem E. coli, Lucy bardzo zależało na pójściu do laboratorium IMA, jak zwykle w czwartek. Dzień jednak zleciał jej nie wiadomo kiedy i było już po czwartej, gdy zamknęła kartę ostatniego z pacjentów i wyłączyła komputer. Przed wyjściem z biura zawsze sprawdzała rozkład zajęć na następny dzień; tak też zrobiła tym razem. Żółta karteczka przypominająca jej o telefonie do Alicii tkwiła tam od poniedziałku, ale nie miała nawet minuty, żeby do niej zadzwonić. Zerknęła na zegarek. W laboratorium była już i tak trzy godziny spóźniona; jeszcze kilka minut nie zrobi różnicy.

– Alicia? Mówi Lucy Nash. Mam do ciebie małe pytanie o rozkład zajęć Billa. Nie, nie chcę się z nim umówić. To w związku z tą sprawą Jean-Pierre’a. Próbuję tylko, hm, ustalić, co robił mniej więcej w tamtym czasie Jean. Mówił coś o spotkaniu z Billem. Dasz radę sprawdzić, na kiedy to ustalili? To było tuż przed naszym wyjazdem do Peru. Mogłabyś sprawdzić miesiąc później? Dzięki. Tak, zaczekam.

Jake Weiss stanął w drzwiach i pomachał do niej kartoteką, lecz ona pokręciła głową.

– Za dwie minuty już mnie tu nie ma – oznajmiła mu, zasłaniając dłonią słuchawkę. – Rosemary jeszcze pracuje, jeśli to coś pilnego.

– Nic pilnego. Ale możemy porozmawiać jutro z samego rana?

– Jasne. I lepiej przynieś wreszcie ten przepis na latkę. Tak, Alicia. Jestem... kiedy?

Lucy zmarszczyła brwi, zapisując datę.

– Jesteś pewna, że właśnie wtedy? Czy Jean powiedział może, dlaczego chciał... no jasne, oczywiście, że nie. Cóż, wielkie dzięki, Alicia. Szczęśliwego Nowego Roku.

Lucy odłożyła słuchawkę i przekartkowała swój kalendarz na biurku. Data, którą podała jej Alicia, była dniem nazajutrz po śmierci Jeana. A na drugi dzień miał lecieć do Francji.

Gdy mijąca szklane drzwi, Carl Anders zakładał akurat płaszcz.

– Już po piątej – wytknął bez żadnych wstępów. – Chyba nie ma pani zamiaru dziś pracować.

– Szczęśliwego Nowego Roku – powiedziała, zdejmując palto. – A Mikołaj był dla pana szczodry w tym roku?

Carl posłał jej jeden ze swych udawanych uśmiechów.

– Tak, bardzo szczodry. Przepraszam, że tak na panią naskoczyłem. Już jestem spóźniony na spotkanie... – Przerwał. – Ben i Corrin zaraz wychodzą, a poza nimi nikogo już nie ma. Jak długo zamierza pani zostać?

– Niedługo – odparła. – Mam trochę notatek do uaktualnienia i pomyślałam, że to dobra pora, by się za nie zabrać.

– Nie wybiera się pani chyba do gorącego laboratorium?

– Nie, dziś nie. Carl pokiwał głową.

– Dobrze. To nie miejsce dla zmęczonych ludzi. Cóż, do zobaczenia w przyszłym roku.

Lucy uśmiechnęła się szerzej, niż na to zasługiwał lichy dowcip, i weszła do środka.

Gdy przechodziła obok pokoju Carla, zauważyła, że jego komputer pozostał włączony, a po monitorze powoli podskakiwała kula wygaszacza ekranu. Czy powinna go zamknąć? Nie, lepiej nic nie ruszać. Jeden wciśnięty błędnie klawisz i skasuje rezultaty pracy całego miesiąca. Przeszła przez niemal pustą pracownię do pokoju, który zajmowała, gdy nie przebywała w gorącej strefie, założyła fartuch i włączyła własny komputer.

„Podobnie jak filowirus Ebola, wirion peruwii składa się z siedmiu polipeptydów” – wystukała na klawiaturze. „Funkcja białka VP402 znajdującego się w kapsydzie wirusa pozostaje nieznana. Zarówno w tym, jak i w masie cząsteczkowej przypomina ono VP40 znalezione w kapsydzie wirionu Ebola”.

We wcześniejszych próbach oddzielenia i rozpoznania siedmiu białek wirusa peruwii zaskoczyło ją ich niesamowite podobieństwo do białek wirionów Ebola i Marburga, dwóch filowirusów pochodzących z Afryki. Po namyśle stwierdziła jednak, że może to wcale nie jest takie dziwne. Całe ery temu Afryka i Ameryka Południowa tworzyły jeden kontynent. Wziąwszy pod uwagę, że filowirusy to jedne z najstarszych form życia na ziemi, miały one mnóstwo czasu, żeby przemieścić się przez ogromne masy lądu przed jego podzieleniem.

Skończyła przepisywanie notatek, po czym zamknęła plik BIAŁKA, a otworzyła MORFOLOGIĘ. To także wymagało uaktualnienia.

„Gęstość wirionu wynosi 1,34g/ml, co zostało ustalone podczas wirowania w winianie potasu” – napisała. „Pojedyncza cząsteczka łańcucha RNA, jaka wchodzi w jego skład, ma przeciętną wielkość 12,9m i stanowi 1,3 procenta masy wirionu”.

– Na razie, Lucy.

W drzwiach stał Ben, jeden z pracowników laboratorium.

– Szczęśliwego Nowego Roku.

– Wychodzisz?

– Obaj wychodzimy – powiedział Corrin, stając za Benem. – Nie siedź tu za długo. Wieczorem to dość nieciekawa okolica.

– Nie będę – obiecała Lucy.

Obaj znikli w windzie, a ona ziewnęła i przeciągnęła się. To był długi dzień.

„Peruvia przybiera formę albo długiego łańcucha, niekiedy rozgałęzionego, albo kształt litery U lub cyfry 6. Podczas gdy formy łańcuchowe mają długość do 12000nm (co zaobserwowano w niektórych próbkach), najwyższa zakaźność cechuje te o długości około 1000nm...”

Jakie to dziwne, pomyślała Lucy, że długość każdego jednego łańcucha wirusa wpływa na jego wirulencję. Ciekawe też, że wirulencja wzrasta wraz z długością do 1000nm, a potem, gdy wiriony stają się dłuższe, ich zakaźność spada. Łańcuch wirusa o długości 10500nm był znacznie mniej śmiertelny niż ten o długości 1000nm. To samo było w przypadku wirusa Ebola, choć wielkości te nieco się różniły. I nikt nie miał pojęcia dlaczego.

„Sposób wnikania wirusa peruwii do komórki pozostaje nieznanym” – pisała dalej. „Informacyjny RNA występuje w zakażonych komórkach w znacznej ilości, nie wykryto w nich jednak RNA wirionu, co wskazuje na szybkie składanie genomowego RNA”.

Podczas ostatniej rozmowy na temat swoich badań z niechętnym do zwierzeń Carlem, udało się jej od niego wyciągnąć, że usiłuje sklonować genomowe RNA w celu stworzenia diagnostycznej sondy RNA specyficznej dla wirusa peruwii. Wiedziała, że dzięki takiej sondzie można stworzyć test diagnostyczny z udziałem reakcji łańcuchowej wywołanej polimerazą. Ciekawa była, jak mu idzie.

W laboratorium było pusto, a jego komputer stał włączony... czy ośmieli się zajrzeć?

Wszystkie twarde dyski w pracowni były podłączone do sieci, jako że badacze często wymieniali między sobą dane. Mogła dotrzeć do plików Carla poprzez własny komputer. Wpisała jego nazwisko i prośbę o pliki zawierające słowo PERUWIA, po czym przeglądała powoli listę dokumentów, jaka pojawiła się na ekranie. KLON RNA, tak, to był ten plik. Zaznaczyła go i już miała otworzyć, gdy jej wzrok padł nieco niżej. SANGRE NEGRA.

A to było dziwne.

Sangre negra to lokalne określenie peruwii; nie odrębny wirus. A może jednak?

Przypomniał się jej stary Peruviańczyk, rozgniewany i rozgorączkowany, z uporem twierdzący, że sangre negra to zły duch, który powrócił. Czemu więc Carl Anders stworzył osobny plik o nazwie SANGRE NEGRA? Skąd w ogóle znał tę czysto lokalną nazwę choroby? Usiłowała sobie przypomnieć, czy w swoim raporcie wspominała te dwa słowa; załóżmy, że tak. Mimo to po co Anders miałby tworzyć osobny plik?

Istnieje tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć, stwierdziła. Spróbowała otworzyć dokument, ale ekran zrobił się czerwony i pojawił się komunikat BRAK DOSTĘPU.

Hm, coraz to wszystko dziwniejsze.

Zamknęła wszystkie okna i zaczęła od nowa. Poleciała komputerowi znaleźć wszystkie

dokumenty ze słowami sangre negra. Otrzymała listę składającą się z dwóch pozycji: pierwszy plik nazywał się SANGRE NEGRA, drugi SANGRE NEGRA z datą. Z datą sprzed dwóch lat.

Zamknęła okno i wpisała nazwę drugiego dokumentu. I znowu ekran zrobił się czerwony i pojawił się na nim komunikat o braku dostępu.

– Czemu próbuje się pani dostać do moich prywatnych plików?

Lucy głośno chwyciła powietrze i obróciła się, by spojrzeć w twarz rozwścieczonego Carla Andersa.

– Natychmiast proszę zakończyć pracę komputera.

– Jezu – wyjąkała. – Wystraszył mnie pan na śmierć. Anders nie odpowiedział. Zwyczajnie sięgnął do klawiatury i wcisnął kilka klawiszy. Ekran natychmiast zgasł.

– Moje prywatne pliki – oznajmił jej z ledwo hamowaną złością – to nie pani interes.

– Racja, przepraszam. Chciałam tylko zobaczyć wyniki pańskich badań nad klonem RNA...

– To trzeba było mnie poprosić, żebym je pokazał. – Błada zazwyczaj twarz Carla teraz była purpurowa, a pięści zaciśnięte. – Mówiłem Millerowi, że pani nie potrzebujemy, że będą z panią same kłopoty.

– Kłopoty? Jestem tu najbardziej doświadczonym badaczem. Przykro mi, jeśli ma pan problemy z kobietami...

– Mam problem tylko z panią, doktor Nash.

Jak śmie...

Przez chwilę Lucy myślała, że ją uderzy. Odepchnęła fotel tak, że wjechał na jego nogi, i wstała, patrząc mu w twarz, świadoma ciemnego, pustego laboratorium, w którym się znajdowali.

– To był przypadek – powiedziała z takim spokojem, na jaki ją było stać. – Szukałam pliku z genomem.

Usiłowała sobie przypomnieć, czy na biurku za jej plecami jest coś, czym mogłaby się obronić. Może lampa...

– I powiedziałam przepraszam...

– Dosyć.

Chwila milczenia.

– Czy to po to przyszła pani dziś tak późno? Żeby spróbować odczytać plik SANGRE NEGRA?

Wbił w nią zimne, nieustępliwe spojrzenie, a ona dostrzegła w jego oczach złość, ale i coś jeszcze... Strach.

– Oczywiście, że nie – odrzekła gniewnie. – Szukałam pliku dotyczącego klonu RNA i przez przypadek zauważyłam nazwę sangre negra, to wszystko. To lokalna nazwa peruwii, więc byłam ciekawa...

– Ciekawa... czego?

Byłam ciekawa, dlaczego masz zastrzeżony plik datowany na dwa lata przed tym, jak choroba, której nazwę zawiera, w ogóle została odkryta. Na głos zaś powiedziała:

– Byłam tylko... ciekawa.

– Ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

Wciąż wpatrywał się w nią z wrogością.

– Grozi mi pan?

Jej dłoń wędrowała przez biurko w stronę lampy. Żałowała gorąco, że Ben i Corrin poszli już do domu.

Carl przytrzymał ją spojrzeniem jeszcze chwilę dłużej, po czym cofnął się o krok.

– Nie, oczywiście, że nie.

Przejechał dłonią po czole. I dodał:

– Mam przykre doświadczenia z przeszłości, kiedy to skradziono wyniki moich badań... – Spojrzał groźnie. – Teraz pilnie strzegę swojej pracy.

– Ale sangre negra... To peruwia. A to także moja praca.

Carl pokręcił głową.

– Nie, pliki, które pani widziała, nie mają nic wspólnego z peruwia.

– Ale Peruwiańczycy...

– To nazwa rodzajowa – wtrącił zniecierpliwiony. – Czarna krew, ciemna krew. Pasuje do wielu chorób tropikalnych... Może to być na przykład denga.

Przeszedł przez niewielkie laboratorium i zdawało się, że gniew już z niego wyparował.

– Ten plik odnosi się do starych badań, jakie sam prowadziłem w Meksyku. Nie ma nic wspólnego z IMA. A nazwa to zwykły zbieg okoliczności.

Odwrócił się i spojrzał na nią tak, że nie ośmieliła się sprzeciwić.

Stare badania? Plik miał datę zaledwie sprzed dwóch lat. Pokiwała jednak tylko głową.

– A teraz myślę, że oboje dość się już dziś napracowaliśmy – rzekł. – Wyjdziemy razem i złapię pani taksówkę. To niebezpieczna okolica. Coraz to niebezpieczniejsza, pomyślała Lucy, sięgając po płaszcz.

Nazajutrz rano budzik obudził ją o szóstej i o wpół do siódmej była już w drodze do laboratorium. Słyszała, że Carl rzadko zagląda tam przed dziewiątą. Miała mnóstwo czasu, żeby jeszcze raz spróbować dobrać się do jego zastrzeżonych plików i stawić się na ósmą w szpitalu na obchód.

Wyjrzała przez okno taksówki na rzekę Hudson, srebrnoszarą w świetle wczesnego ranka, na płynące wzdłuż brzegu łaty lodu. Po swej pierwszej niefortunnej wyprawie metrem teraz zawsze brała taksówkę. Tak było drożej, ale znacznie łatwiej: prosto na zachód, a potem wzdłuż rzeki.

Wjechała windą na pierwsze piętro, szukając w torebce karty, dzięki której mogła dostać się do środka. Tak jak w wielu firmach w mieście, ciężkie szklane drzwi pozostawały zamknięte nawet za dnia. Wyszła na ciemny korytarz i spojrzała przez szybę. Słaby poblask oświetlał krótki korytarz z recepcji do laboratorium. Carl musiał zostawić wczoraj wieczorem zapalone światło,

wyrzucając ją w pośpiechu.

Czy może był tu poza nią ktoś jeszcze?

Ostrożnie przemierzyła korytarz, po czym stanęła. Wysokie pomieszczenie otwartego laboratorium tonęło w mroku; jedyne światło wpadało tu przez na wpół otwarte drzwi. Za drzwiami znajdowała się pracownia. Pracownia, która powinna być pusta.

Na palcach podeszła do wejścia. Siedział przy komputerze w odległym końcu pokoju, w ogromnym skupieniu studiując coś na monitorze.

– Miałeś być jeszcze w Kalifornii – powiedziała do jego pleców. Podskoczył gwałtownie, potem okręcił się i wbił w nią wzrok.

– Jezu, Lucy! Co ty tu robisz?

– Mogłabym ci zadać to samo pytanie.

– Chryste, mało przez ciebie zawału nie dostałem.

Przez chwilę patrzyli na siebie, po czym Rick parsknął śmiechem.

– Anders zmienił mi plan zajęć. Stwierdził nagle, że czegoś potrzebuje i to na wczoraj.

Uderzył w klawisz i ekran zgasł.

– Wsiadłem więc w nocny samolot i wylądowałem około czwartej nad ranem.

Wziął ją w ramiona.

– Boże, jak cudownie pachniesz. Miałem zamiar zadzwonić rano do ciebie do szpitala – ciągnął, wypuszczając ją z objęć. – Nigdy bym nie pomyślał, że się tu zjawisz.

Przyglądał się jej z pytaniem w oczach.

– Przyszłam tylko coś wydrukować. Wczoraj wieczorem byłam taka wykończona, że zapomniałam.

Przez krótką chwilę zastanowiła się, czy nie powiedzieć Rickowi o zastrzeżonych plikach, lecz przypomniała sobie, w jak bliskich stosunkach był z Andersem, i pomyślała, że lepiej nie. Nie to, żeby Rickowi nie ufała, ale wątpiła, czy pozytywnie zareaguje na jej zamiar szperania w prywatnych plikach Carla.

– Chyba lepiej wezmę się do roboty – stwierdziła.

– Chcesz kawy? – zapytał, obejmując ją ramieniem i odprowadzając do jej pracowni. – W kuchni jest świeżo zaparzona.

– Nie, muszę się spieszyć. Mam ranny obchód.

Spojrzała na niego krytycznie.

– Wyglądasz na wykończonego. – Bo jestem. Te nocne loty to mordega.

Stał w drzwiach i patrzył, jak Lucy zasiada w fotelu przed komputerem.

– Naprawdę za tobą tęskniłem, Lucy.

– Ja za tobą też.

Uśmiechnęła się do niego. Rzeczywiście wyglądał na okropnie zmęczonego.

– Jutrzejsza noc będzie wspaniała – zapewnił. – Milutki Sylwester w starym stylu w Rainbow Room. Szampan, śmieszne kapelusiki, orkiestra, wszystko, czego trzeba.

– Brzmi świetnie.

– Cóż, lepiej bierz się do pracy. Zadzwoń później. Może spotkalibyśmy się na drinka...

– Może. Chociaż w tym tygodniu moje dni w szpitalu ciągną się do późnej nocy. A tobie też przydałoby się chyba trochę snu.

– Przydałoby się. No dobrze, zobaczymy, co przyniesie dzień. Podeszedł do niej z tyłu i pocałował w czubek głowy.

– Cieszę się, że wróciłem.

Wrócił do drzwi i stanął.

– Na pewno nie chcesz kawy?

– Nie, dziękuję.

– W porządku.

Lucy popatrzyła, jak idzie do niewielkiej kuchenki, potem skupiła się na ekranie komputera. Włączyła monitor i wpisała komendy, których używała poprzedniego wieczora. Nic. Żadnego pliku, czerwonego ekranu, komunikatu o braku dostępu. Hm... Spróbowała raz jeszcze i udało się jej wywołać listę plików Carla. Przejrzała ją od góry do dołu i z powrotem, uważnie badając każdą pozycję. Dokumenty z sangre negra znikły.

– Cholera – zaklęła głośno. – Niech to diabli.

– Coś się stało?

Rick stał w drzwiach z parującym kubkiem w dłoni.

– Nie, nic takiego – odparła, wyłączając komputer. – Już skończyłam.

Wstała i podeszła do niego.

– Nie zapomnij wydruku – rzekł z uśmiechem.

– Racja.

Wróciła do biurka, złapała jakieś przypadkowe papiery i wetknęła je do kieszeni płaszcza.

– Dzięki... O, nie miałam pojęcia, że już tak późno.

– Porozmawiamy później – zawołał do jej oddalającej się sylwetki.

Popatrzył, jak znika w korytarzu, nasłuchując głuchego odgłosu zamykanych szklanych drzwi. Potem podeszedł do drukarki, podniósł jej klapę i włożył rękę do środka. Zimna jak głaz.

Usiadł w fotelu przed jej komputerem i wpatrywał się w ciemny ekran monitora, popijając kawę i myśląc.

Niebieski jedwabny kostium czy czarna sukienka i żakiet?

Zaproszenie na kolację od Billa Millera zaskoczyło ją i zaniepokoiło. Czy Anders poskarżył się na jej wścibstwo? Nie widziała się z Carlem od ich starcia sprzed dwóch tygodni; w miniony czwartek był na jakimś spotkaniu służbowym zamiast w laboratorium. Czy w ten sposób Bill chciał osłodzić swoją prośbę, by nie poświęcała więcej czasu pracowni IMA? Nie, to niemądre. Z tego powodu mógł ją zabrać na lunch, ale nie na kolację w Le Regence.

Czarna, zdecydowała. I złote kolczyki.

Sylwester był i minął, a wraz z nim przepadła silna wola Lucy; ona i Rick zostali kochankami w jego zadziwiająco bezosobowej kawalerce. Następny dzień spędzili wtuleni w siebie, podjadając zamówioną chińszczyznę, oglądając spływające po szybach krople deszczu i poznając nawzajem swoje ciała.

Lecz pomimo błogości tamtej pierwszej nocy i dnia następnego, Lucy wciąż wyczuwała pewną rezerwę – czy to w nim, czy w sobie, nie potrafiła określić. Nie miała jednak oporów, by opowiedzieć mu o swym krótkim romansie z Jean-Pierre'em i postanowieniu oczyszczenia jego imienia. Zdawało się, iż Rick nie ma jej za złe pierwszego i popiera drugie, ale nie naciskał, gdy odmówiła przyjęcia zaproszenia na kolację i do kina nazajutrz wieczorem. Wyglądał na zadowolonego, że to ona dyktuje tempo. W ciągu dziesięciu dni od tamtego wydarzenia widzieli się wszystkiego cztery razy, a każdy wspólny wieczór kończyli kochając się w jego mieszkaniu. Rick był delikatnym i czułym kochankiem, a przy tym zabawnym i przyjemnym kompanem. Jednak z powodu, którego sama nie potrafiła zdefiniować, nie była jeszcze gotowa, by zaprosić go do siebie czy spędzić kolejną całą noc u niego. Jak dotąd Rick to akceptował.

Wyciągnęła czarne szpilki z paskiem na pięcie, założyła je i przejrzała się w dużym lustrze. Nieźle, pomyślała. Nieźle jak na kobietę, która minione dziewięć godzin spędziła w jednej z najbardziej przepracowanych instytucji medycznych w mieście.

Wstał, by się przywitać, gdy maitre d'* [maitre d' (fr.) – kierownik sali (w restauracji).] prowadził ją do wcześniej zarezerwowanego stolika w rogu sali.

– Tak się cieszę, że zgodziłaś się ze mną spotkać – powiedział. – Przepięknie wyglądasz. Nikt by się nie domyślił, że przez cały dzień po łokcie nurzałaś się w morzu krwi.

Kilku stałych gości restauracji obejrzało się.

– Choroby zakaźne nie należą do szczególnie krwawych specjalizacji – odparła z uśmiechem.

– Oczywiście. Hm, czego się napijesz? Szampana?

– Kieliszek białego wina... a właściwie, czemu nie? Szampana.

Bill pokiwał głową z aprobatą.

– Jeszcze raz Perrier Jouet – powiedział do oczekującego maitre d', a następnie zwrócił się do Lucy: – Byłaś tu już kiedyś?

– Nie.

– To jedno z moich ulubionych miejsc. I mają tu wyborną jagnięcinę.

Było oczywiste, że Bill należał do bardzo faworyzowanych gości. Szampana przyniesiono błyskawicznie wraz z małym talerzem z czterema delikatnymi hors d'oeuvre* [hors d'oeuvre (fr.) – przystawki, przekąski.]. Natrętny kelner kręcił się koło nich z kartami dań, ale Bill odesłał go skinieniem ręki.

– Pani zdrowie, pani doktor – wznosił toast. – Myślę, że będzie ci smakował.

Lucy wzięła łyk.

– Jest przepyszny – rzekła.

Naprawdę, był doskonały.

– Nieczęsto pijam alkohol – zaznaczył Bill – lecz kiedy już piję, chcę, żeby mi smakował. – Poruszył jasnym płynem w swoim kieliszku. – Jak to mówią? „Życie jest zbyt krótkie, by pić kiepskie wino”.

– Ciekawa filozofia, pod warunkiem, że cię na nią stać.

– Przepraszam – rzekł, a jego uśmiech zgasł. – Nie chciałem być nieczuły.

– A ja nie chciałam, by zabrzmiało to tak poważnie – odparła Lucy. – Wszyscy wiedzą, że robisz dla tych, których nie stać, więcej niż inni.

– Tak. No cóż...

Bill skromnie spuścił wzrok i popatrzył na swój kieliszek, po czym spojrzał na Lucy.

– Podobnie jak ty, Lucy. Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać.

O-ho, pomyślała.

– Ale najpierw zajmijmy się menu, dobrze? – dodał.

Zdecydowali się na jagnięcinę i dobre Bordeaux, a Bill przekazał zamówienie kelnerowi i doskonałą, płynną francuszczyzną porozumiał się z jego kolegą od win.

– To moja macierzysta mowa – wyjaśnił potem Lucy. – Dosłownie. Moja matka była Francuzką.

– Piękny język.

– Nieprawdaż?

– Urodziłeś się we Francji?

Bill roześmiał się.

– Wielkie nieba, skądże! Mój ojciec był w marynarce wojennej. Robił karierę w Pentagonie.

– Mój ojciec także pracował dla armii. Był lekarzem wojskowym.

Bill spojrzał na nią mile zaskoczony.

– Nie wiedziałem.

Wziął mały łyk wina.

– W każdym razie przez dwa lata studiowałem na Sorbonie, głównie po to, by zadowolić matkę.

Przerwał i na chwilę oddał się wspomnieniom.

– Myślałem wtedy o karierze w korpusie dyplomatycznym.

– Głównie po to, by zadowolić ojca? – zażartowała Lucy.

– Niestety.

Zamilkł, bo podszedł kelner, by dolać jej szampana.

– Gdy zmarła matka – podjął po chwili – wróciłem do domu... no, właściwie to na Harvard. I doznałem swego rodzaju objawienia: uświadomiłem sobie, że tak naprawdę chcę się zająć medycyną.

Oparł się o miękkie oparcie i spojrzał ponad tłumem nadzianych gości, którzy wypełniali drogą restaurację.

– Prowadzę podwójne życie, Lucy. To prawda – dodał z uśmiechem, widząc jej niepewną

minę. – Żyję w świecie misji i przytułków dla bezdomnych, ludzi Trzeciego Świata walczących z dziedzictwem kolonialnych potęg, w świecie chorób i biedy... Lecz to jest także mój świat.

Wskazał ręką na scenę przed ich oczami.

– Pieniądze, władza i sukces. To właśnie ci ludzie płacą nasze rachunki. W tym świecie zdobywam nasze fundusze. Stąd czerpię władzę i wsparcie. I, nie będę ukrywał – zakończył, zwracając się do Lucy z chłopcim uśmiechem – że bardzo to lubię.

– A kto by nie lubił? – automatycznie zareagowała Lucy.

Do czego on zmierzał?

– Chodzi mi o to, że ważny jest pragmatyzm. Spróbował czerwonego wina i skinął głową do kelnera.

– Zawsze byłem swego rodzaju rewolucjonistą, Lucy. Zawsze wspierałem przegranych. Pewnie jestem jedynym na tej sali człowiekiem, który posyłał pieniądze Czarnym Panterom.

Zachichotał.

– Ale ludzie tak często myślą w kategoriach czarne-białe – ciągnął. – W oczach wielu osób to, że miło spędzam czas z piękną kobietą w drogiej restauracji, czyni mnie zdrajcą wobec sprawy, nieważne, jak bardzo wspieram ją funduszami i własnym poświęceniem. A jednak to stąd pochodzą pieniądze i możliwość dokonania zmian społecznych, nie z ciemnych zaułków zamieszkanymi przez biednych i skrzywdzonych.

– Nie miałam pojęcia, że poza wszystkim jesteś politycznym aktywistą – rzekła Lucy, nie bardzo wiedząc, jak zareagować na ten niespodziewany wywód.

– Ale czy my w naszej działalności robimy tak naprawdę coś poza polityką? Opieka nad biedakami to sprawa polityczna.

– Myślę, że raczej społeczna odpowiedzialność – odparła lekko Lucy. – Można przecież pracować w schroniskach dla bezdomnych czy szczepić dzieci w indyjskich slumsach, a głosować na Republikanów.

Miller wzruszył ramionami.

– Próbuję powiedzieć, że istotny jest cel. Same poglądy nie poparte działaniem się nie liczą.

Oderwał kawałek ciepłego chleba i zjadł.

– Podobasz mi się, Lucy. Dla ciebie ważny jest czyn. Jesteś odważna, inteligentna. Wiem, oczywiście, co robiłaś w Peru. Słyszałem o tobie wiele wspaniałych rzeczy od kolegów z medycznej społeczności.

– Sprawdzałeś mnie?

Lucy stwierdziła, że bardziej ją to bawi, niż złości.

– Och, to określenie budzi takie nieciekawe skojarzenia.

Podano sałatki; Lucy posmakowała i stwierdziła, że jest głodna.

– Rzecz jasna, sprawdziliśmy dokładnie twoje referencje, zanim IMA zaakceptowała cię jako ochotniczkę. Ale tym razem powód był znacznie poważniejszy.

Lucy zmarszczyła brwi.

– Nie lubię tajemnic, Bill – powiedziała. – Może zdradziłbyś mi, o co chodzi?

– Właśnie tę bezpośredniość lubię w tobie najbardziej. Ale przed deserem niczego się nie dowiesz. To dobra wiadomość, zapewniam cię. Uśmiechnął się konspiracyjnie i zaatakował swoją sałatkę.

– Tymczasem – odezwał się między kęsami – może opowiesz mi, co się dzieje w laboratorium?

Lucy zawahała się: albo Carl nie powiedział Billowi o zajściu, albo Miller uznał je za nieistotne. Tak czy owak, Lucy stwierdziła, że powinien dowiedzieć się o tym od niej.

– Jak dobrze znasz Carla Andersa? – spytała.

– Carla? Od lat. To doskonały spec w swojej dziedzinie, absolutnie oddany sprawie. Nie najłatwiejszy we współzyciu, ale niezwykle odpowiedzialny.

Spojrzał z boku na Lucy.

– Rozumiem, że mieliście małe starcie.

– Tak. Jak pewnie powiedział ci Carl, przeglądałam jego pliki.

Bill kiwnął głową.

– Szukałam danych na temat klonu RNA. Pewnie powinnam była poprosić go o ten plik, ale wszyscy bez przerwy wymieniamy między sobą informacje... W każdym razie Carl bardzo się rozłościł, ale nie w tym rzecz.

Sięgnęła po kieliszek z winem, lecz zmieniła zdanie i napiła się wody.

– Znalazłam pliki o nazwie „sangre negra”. Jeden z nich miał datę sprzed dwóch lat. Carl zachował się w związku z nimi naprawdę dziwnie, a następnego dnia pliki znikły.

– I?

Bill odchylił się do tyłu z wyrazem czystego zainteresowania na twarzy.

– Sangre negra to peruwia. Skąd Carl może mieć informacje o peruwii sprzed dwóch lat?

Bill uśmiechnął się i pokręcił głową.

– To nie peruwia.

Talerze po sałatce zabrano i wniesiono jagnięcinę.

– Carl ma pozwolenie na prowadzenie własnych badań w naszym laboratorium – to zawsze była część układu między nami – i przechowuje w komputerze dane związane z tymi badaniami.

– Ale sangre negra...

– Pozwól, że skończę, Lucy. Odbyłem z Carlem długą rozmowę, kiedy przyszedł się poskarżyć, że próbowałaś dostać się do, jak to określił, „zastrzeżonych informacji”. To jego określenie, nie moje.

– Ale dlaczego ukrywa tak ważne informacje naukowe? Ja też pracuję nad peruwia.

– Już ci mówiłem – odpowiedział zniecierpliwiony Bill. – Pliki o nazwie „sangre negra” nie mają nic wspólnego z peruwia. Jak ci smakuje jagnię?

– Jest doskonałe.

– Nawet go nie spróbowałaś. No dalej. Ty jedz, ja wyjaśnię. Zaczekał, aż Lucy wzięła do rąk

sztuńce, i mówił dalej:

– Gdy Carl przyszedł do mnie rozzłoszczony, jak to powiedziałaś, dogłębnie zbadalem sprawę. Wygląda na to, że parę lat temu Carl prowadził badania nad chorobą, której niewielką epidemię odnotowano na wiejskich terenach Meksyku. Ludność nazywała ją sangre negra.

– A teraz sangre negra zawędrowała do Peru? Mój Boże, to...

– Nie, Lucy, Meksykańska „sangre negra” okazała się hantawirusem, bardzo bliskim krewnym Sin Nombre, którego wybuch mieliśmy w Four Corners w 1993. Pamiętasz?

– Tak. Nosicielem była mysz.

Lucy wzięła do ust kawałek pieczonego ziemniaka.

– A jednak czy to nie dziwne, że tę samą nazwę, jaką Meksykanie nadali chorobie przypominającej Sin Nombre, Peruwiańscy nadali peruwii?

Bill wzruszył ramionami.

– Nie bardzo – stwierdził, skupiając się z powrotem na talerzu. – Zarówno Meksykanie, jak i Peruwiańscy opisywali tylko jeden z symptomów. Hantawirusy i filowirusy wywołują podobne objawy. Do diaska, sama wiesz; przecież to twoja działka.

– Ale skąd te pliki wzięły się w folderze Carla dotyczącym peruwii?

– Kto wie? Może coś porównywał, sprawdzał sekwencje genomów czy coś w tym stylu.

– Więc czemu nagle znikły?

– Do licha, Lucy, to były jego prywatne pliki – odparł rozdrażniony Bill. – Mógł je przenieść, gdzie tylko zechciał.

Rozejrzał się za kelnerem, który dolałby im wina.

– Posłuchaj, Carl zapewnił mnie, że te pliki nie mają nic wspólnego z peruwia, i mnie to wystarczy.

Posłał Lucy twarde spojrzenie, które mówiło: „i powinno wystarczyć też tobie”.

– Pokazywał ci je? – spytała.

Bill zmarszczył brwi.

– Nie prosiłem go o to.

– A może powinienes.

Westchnął.

– Nie szukaj zagadek tam, gdzie ich nie ma, Lucy. Wszyscy mamy ważniejsze rzeczy do zrobienia.

Odłożył widelec i wyciągnął rękę, by dotknąć jej dłoni.

– Wiem, że minione kilka miesięcy było dla ciebie koszmarem. Bardzo dotknęła cię śmierć Jean-Pierre’a... jego samobójstwo, udział w handlu narkotykami. To naturalne, że interpretujesz fakty nieco... emocjonalnie...

– Emocjonalnie? Jestem lekarzem, naukowcem. – Oczy Lucy błyszczały. – Nie traktuj mnie jak jakiejś zakochanej nastolatki, Bill. Widziałam to, co widziałam, i wyciągnęłam z tego jak najbardziej racjonalny wniosek.

– Tak, oczywiście – rzekł Bill na zgodę.

– I nie traktuj mnie z góry.

Chwila ciszy.

– Przepraszam. To dlatego, że... martwię się o ciebie.

– Nie masz powodu.

– Chciałbym ci pomóc jakoś o tym zapomnieć.

Lucy zamarła; czyżby się do niej przystawiał? Nie spuszczał z niej wzroku, a ona pomyślała „o, cholera” i spojrzała w bok, sięgając po kieliszek.

– Rozumiem, czemu tak lubisz tę restaurację – zmieniła temat. – Jedzenie mają wyśmienite.

Bill wysupłał na twarz smutny uśmiešek zrozumienia.

– Widziałem cię z Rickiem Hollanderem na moim przyjęciu, ale nie byłem pewien...

Spotykacie się?

Lucy potaknęła.

– Ciesz się tym. A... Lucy? Co do Jean-Pierre'a. Alicia mówiła mi, że dzwoniłaś w sprawie spotkania, jakie miałem z nim odbyć. – Przerwał. – Myślałem, że dałaś już tej sprawie spokój.

– W zasadzie tak. Przypomniało mi się tylko, że Jean wspominał o spotkaniu z tobą, i pomyślałam, że pójdę tym tropem. Taka ostatnia próba.

– Cóż, tak jak powiedziała ci Alicia, do spotkania nie doszło. Jean zmarł dzień wcześniej.

– Tak. A czy mówił, dlaczego chce z tobą porozmawiać?

Bill w zamyśleniu zmarszczył czoło.

– Nie umawiał się na spotkanie bezpośrednio ze mną. Zadzwoił do Alicii i poprosił, żeby umieściła go w kalendarzu.

– A ona nie spytała go dlaczego?

– Nie. Ludzie przychodzą rozmawiać ze mną do znudzenia – mówił rozbawionym tonem. – Uważasz, że chciał mi sprzedać narkotyki...? Przepraszam – dodał szybko, widząc jej twarz. – Nie powinienem był tego mówić.

To prawda, że chciał ci coś sprzedać, pomyślała ponuro Lucy, ale to nie były narkotyki.

– W porządku. To nieistotne.

Gdyby powiedziała Billowi, że Jean przemycał dzieła sztuki, utwierdziłaby go tylko w przekonaniu, że szmuglował także narkotyki. Podszedł do nich kelner z kartami deserów.

– Musisz spróbować tortu jabłkowego – powiedział Bill, gdy Lucy wzięła do ręki menu. – Albo musu orzechowego... – I zaraz dodał: – A zatem wciąż starasz się oczyścić jego imię?

– Nie – odparła Lucy, studiując listę słodkości. – Postanowiłam posłuchać twojej rady. Wciąż nie jestem przekonana, że to on umieścił w walizce heroinę, ale ktokolwiek to zrobił... Cóż, dociekanie prawdy byłoby zbyt niebezpieczne.

– Mądra decyzja.

Zamówili deser i kawę, a Lucy, próbując nadać rozmowie lżejszy ton, powtórzyła, jak bardzo podobało się jej na przyjęciu.

– I ta twoja kolekcja dzieł sztuki – dodała. – Tyle pięknych rzeczy...

– To moja wielka słabość. – Bill uśmiechnął się promiennie. – Mógłbym ci powiedzieć, że to sposób na zachowanie kultury niecywilizowanych ludów, z których wiele zostało zniszczonych przez kolonizację. I byłaby to prawda. Ale – uśmiechnął się konspiracyjnie – nie cała prawda. Rzecz w tym, że jestem fanatykiem tego typu przedmiotów. O to właśnie chodzi w prawdziwym kolekcjonerstwie: o fanatyczną żądzę posiadania czegoś pięknego.

– Nie wyglądasz na fanatyka.

Posłał jej kolejny rozbrajający uśmiech i dał znak kelnerowi, by dolał jej wina, lecz Lucy pokręciła głową.

– Mam jutro poranny obchód.

– Rozumiem, a skoro mowa o pracy...

Bill posłodził kawę, zamieszał, wziął łyk i odstawił filiżankę.

– Mam dla ciebie propozycję.

– Ale ja mam pracę.

– Chcę ci zaoferować lepszą. Zaczęłabyś w czerwcu, gdy wygasa twoja umowa ze szpitalem.

Jak to brzmi: Prezes Służb Medycznych IMA?

– Stanowisko Chucka Benningtona? – Lucy zmarszczyła brwi.

– Przenosimy go za granicę. – Bill zawiesił głos.

– Zastanów się. Podróże, pomoc medyczna niesiona ludziom, praca wielkiej wagi dla społeczeństwa. I pięćdziesiąt procent podwyżki ponad to, co zarabiasz teraz.

– Nie wiem, Bill – rzekła wolno. – Lubię to, co robię teraz.

Bill wyglądał na zaskoczonego.

– To wielka szansa.

– Jestem tego pewna.

– Większość ludzi o twojej świadomości społecznej chętnie by ją przyjęła.

– Nie mieszajmy do tego polityki społecznej.

– Ale to przecież jest sprawa polityki społecznej – odparł Bill. – O to właśnie chodzi.

Myślałem, że rozumiesz. Napił się kawy.

– Zdawało mi się, że zgadzasz się z moją teorią politycznego aktywizmu – dodał.

– Wierzę w podejmowanie akcji, których celem jest walka ze społecznymi bolączkami – rzekła Lucy z wolna – ale nie bardzo wierzę w polityczną teorię. I z pewnością nie chcę podejmować na tej podstawie decyzji dotyczących mojej kariery zawodowej.

Bill milczał przez chwilę.

– W takim razie pomyśl o mojej propozycji jak o zwykłej ofercie pracy. Zapewniam cię, że to dobra oferta.

– Zastanowię się, Bill. Tylko tyle mogę ci na razie powiedzieć.

– W porządku. I niezależnie od decyzji, jaką podejmiesz, wiem, że nigdy nie przestaniesz pracować na rzecz sprawiedliwości społecznej. Jesteś tak samo oddana przegranym tego świata

jak ja.

Uśmiechnął się promiennie, a Lucy zmarszczyła brwi. Przez całą tę gadkę o politycznym aktywizmie czuła się nieswojo.

– Rozumiem, że takie pochwały nieco cię peszą – ciągnął Miller. – Ta skromność dodaje ci jeszcze uroku.

Jezu, pomyślała; teraz to już przesadza.

– Przypisujesz mi zbyt wiele zasług – stwierdziła stanowczo. – Jestem tylko lekarzem, a nie reformatorem społecznym.

– I to, jak mi mówiono, doskonałym lekarzem. Naprawdę chciałbym cię mieć w swojej drużynie, Lucy.

– Zastanowię się – powtórzyła.

Nie ma mowy, żeby zamieniła swoje obecne stanowisko, gdzie pracę z ludźmi równoważyły badania w laboratorium, na ciepłą biurową posadkę. Mimo to powinna przynajmniej docenić jego gest.

– Dziękuję jednak za., er... okazane mi zaufanie.

– Ufam ci, Lucy, w stu procentach – odrzekł serdecznie Bill. – Pomimo tego, co mówi Carl Anders.

Lśniący, czarny samochód jechał wolno wzdłuż nabrzeża, a od jego maski odbijały się drżące fale gorąca. W powietrzu unosił się zapach tropikalnego listowia i słonej wody, lecz pasażer ukryty za przyciemnionymi szybami nie zwracał na nie najmniejszej uwagi. Auto toczyło się równoległe do flotyli wartych miliony dolarów jachtów, z których wszystkie szczyły się talerzami anten satelitarnych, a na pokładzie jednego przycupnął nawet helikopter. Lekka bryza mierzwiła pióropusze rosnących wzdłuż basenu jachtowego palm, sprawiając, że na powierzchni błękitnego morza tańczyły drobniutkie fale.

– Jesteśmy na miejscu, proszę pana – oznajmił przez interkom kierowca. – Oto „Cristobel”.

Samochód zwolnił i zatrzymał się na wprost szerokiego, wyłożonego tekiem chodnika prowadzącego do ogromnego, białego, przypominającego weselny tort statku, którego pokładu nie zdobił wprawdzie helikopter, lecz miejsca dla niego było aż nadto. Steward w mundurze rzucił się, by otworzyć drzwi dla pasażerów.

– Witamy, doktorze Miller – rzekł służalczo po angielsku, lecz z lekkim akcentem.

Greki, pomyślał Bill. Albo Cypryjczyk.

– Pan Kiamos czeka w salonie.

Bill ruszył za młodym człowiekiem na statek. Nie raz był już zapraszany na jachty bogatych, a niekiedy i sławnych ludzi, ale „Cristobel” przeszła jego najśmielsze oczekiwania. Podobnie jak książeczka czekowa jej właściciela.

Alexander Kiamos wstał z trudem z wyściełanej złotym brokatem sofy. Niski, łysy i niebywale gruby, o niebrzydkiej, choć dość pospolitej twarzy, przypominał nieco Agę Khana*

[Aga Khan IV – duchowy przywódca muzułmańskiej sekty izmailitów.] w późniejszym wieku. Lecz mimo słabości do przeładowanych ozdobami wnętrz i służących dekoracji kobiet, z których jedna wiała się właśnie u jego boku, w umyśle ani fortunie Kiamosa nie było absolutnie nic pospolitego. Objął przyjaźnie Billa, po czym skinął ręką na sługę, który natychmiast podał aperitify.

W salonie panował lodowaty chłód i Bill jął zastanawiać się, czemu jego gospodarz spędza pół roku w tropiku. No oczywiście: to tu toczyło się życie, jeśli czyjeś życie stanowił hazard o dużą stawkę i marnowanie czasu w towarzystwie odległych potomków pozbawionych tronu królewskich rodów. Sam Kiamos także był ostatnim ze spadkobierców pewnej monarszej rodziny i wydał ogromne sumy pieniędzy, usiłując zasiąść na tym czy owym tronie.

Jednak błędem byłoby zaszukanie go jako kolejnego marzącego o koronie fantasty i Bill o tym wiedział. Kiamos miał swojego konika, ale był przy tym genialnym finansistą. Z pływającego centrum dowodzenia zarządzał wartymi ponad miliard dolarów aktywami zdobytymi dzięki ryzykownym spekulacjom o wysokiej stopie wzrostu. Był także, co niezwykle, filantropem łożącym miliony dolarów na programy edukacyjne w Europie Środkowej i promowanie demokracji w Afryce.

Jako finansowy geniusz, Kiamos musiał mieć pewność, że jego inwestycje zwrócą się dokładnie w takim stopniu, jaki sobie założył. Dzięki ogromnym, z rozmysłem lokowanym darowiznom zaczął sobie wyrabiać sławę ministra bez teki, zawierając przyjaźnie, wspierając i doradzając możliwym członkom władzy o niezłej żyłce do polityki.

Dwaj mężczyźni zostali sobie przedstawieni przez wspólnego znajomego i zapalali do siebie sympatią, widząc, że obaj są pragmatykami bez emocji patrzącymi na realia tego świata, co było dla nich tyleż ożywcze, co rzadko spotykane.

„Ludzie uważają, że jestem bezinteresowny – powiedział Billowi Kiamos podczas ich pierwszego spotkania. – A prawda jest taka, że kawał ze mnie egoisty.”

Bill, rozumiejąc dokładnie, co ma na myśli, pokiwał głową, uśmiechnął się i zachował w pamięci tę światłą uwagę do późniejszego rozważenia.

Teraz gotów był ją wykorzystać.

Po koktajlach wszyscy troje przeszli do wyłożonej orzechową boazerią jadalni, gdzie spożyli doskonałą kolację, prowadząc przy tym nic nieznaczącą konwersację. Potem niemłoda już towarzyszka Kiamosa została odesłana na niższy pokład, a dwaj mężczyźni powrócili do przesyconego przepychem salonu. Tam siedzieli, paląc cygara i popijając brandy, i omawiali propozycję, która przywiodła Billa do Curacao.

– ...to nie tylko humanitarny gest – mówił Bill. – Dobrze pan na nim wyjdzie. Działanie dla dobra ogółu i dla dobra własnego. Doskonałe połączenie dla realistów takich jak my.

Kiamos uśmiechał się i potakiwał, a jego małe oczka błyszcząły w łagodnym świetle lamp, które włączono, gdy słońce schowało się w oceanie.

– Intryguje mnie pan – rzekł, zaciągając się swoim Macanudo. Spokojnie wypuścił dym i sięgnął po brandy. – Ale tak wielki datek... Muszę mieć pewność, że coś z tego będę miał. Nie w

gotówce, lecz w polityce, rozumie mnie pan.

– Rozumiem doskonale. Dlatego pana odwiedziłem. Dobrze na tym wyjdzie zarówno pan, jak i IMA.

Kiamos przyglądał się gościowi ponad krawędzią kryształowego kieliszka.

– Podoba mi się pan, doktorze Miller. Ale też mnie pan zadziwia. Zapytuję siebie, czy ten człowiek rzeczywiście wierzy w swoje piękne słowa o pracy dla dobra ogółu, dla dobra bliźniego?

– Oczywiście, że tak – odparł pewnie Bill. – A pan nie wierzy? Kiamos popatrzył przez chwilę na Billa, po czym roześmiał się serdecznie.

– Och, tak, zapewniam pana, że tak. O, tak. Kocham biedaków, chorych, uciskanych. Proszę ich tylko trzymać ode mnie z daleka.

Wciąż chichocząc, podniósł się z kanapy. Kiwnął ręką, żeby Bill nie wstawał.

– Ależ nie, proszę zostać i dokończyć brandy, doktorze. Postarałem się o poobiednią rozrywkę. Wybacz pan, że do niego nie dołączę; japońska giełda otwiera się za dwadzieścia minut.

Przeszedł przez pokój zadziwiająco lekkim jak na tak wielkiego mężczyznę krokiem, po czym się odwrócił.

– Przed swoim wyjazdem otrzyma pan odpowiedź – obiecał. Z ukrytych głośników popłynęła muzyka.

– O, przybyła pańska rozrywka. Jestem pewien, że się panu spodoba.

I wymknął się z salonu.

Chwilę później zjawiła się skąpo odziana kobieta. Podeszła do niego z wszystko mówiącym uśmiechem i delikatnie pchnęła na poduszki. Bill zmarszczył brwi, widząc falującą nad sobą striptizerkę. Nie przyjechał tu dla seksu, tylko dla pieniędzy, pomyślał zniecierpliwiony.

Chciał szybkiej odpowiedzi od Kiamosa, by nocą móc wrócić do Nowego Jorku. Kobieta nachyliła się i położyła jego dłonie na swych zwisających piersiach, po czym obniżyła biodra, głaszcząc jego twarz przezroczystym szalem, który ledwo okrywał jej krocze. Była pulchna i śniada, nie w jego typie, a mimo to poczuł, że zaraz będzie miał erekcję. Kobieta zerwała szal i wykonała kilka wyjątkowo lubieżnych ruchów, po których legła przed nim w całej okazałości niczym talerz przekąsek. Wyciągnęła do niego ramiona, lecz mimo reakcji ciała na jej nagość Bill nie miał ochoty.

Kobieta zawahała się, potem wstała, szybko zebrała odzienie i opuściła salon. Muzyka zamilkła. Bill dopił brandy. Może Kiamos wreszcie się ruszy. Odstawił kieliszek na stolik i wyglądał przez okno na ocean, jego ciemną powierzchnię ożywioną zielonkawym poblaskiem. Cichy dźwięk kazał mu odwrócić głowę. Stała przed nim inna kobieta – dziewczyna raczej – znacznie bardziej w jego guście. Była kompletnie naga, a jej blada skóra nietknięta przez słońce. Nigdy nie widział osoby tak absolutnie białej; nawet niewielka łąta włosów łonowych srebrzyła się bielą, podobnie jak sięgające różanych sutków kędziory. Uśmiechając się słabo, wyciągnęła

do niego rękę; jej oczy miały kolor tafli wody.

No i co z tego, że Carl Anders mnie nie lubi? – myślała, upychając swoje rzeczy w szafce szatni. Ja też za nim nie przepadam, ale to nie znaczy, że nie możemy razem pracować. Nie prowadzimy przecież badań do tego samego projektu. Poza tym dla Billa Millera krytycyzm Carla wobec jej osoby znaczył tak niewiele, że zaproponował jej nawet bardzo lukratywną posadę. Wprawdzie nie miała zamiaru nawet poważnie rozważyć tej oferty, ale z całą pewnością był to dowód zaufania ze strony człowieka, który miałby płacić jej pensję.

Mimo to zachowanie Carla nie sprzyjało zdrowej atmosferze w pracy. Może powinna z nim porozmawiać i tę atmosferę oczyścić.

Dokładnie sprawdziła swój kombinezon ochronny, czy nie jest gdzieś rozdarty, potem ubrała się jak zawsze i przeszła przez śluzy powietrzne prowadzące do pracowni poziomu czwartego zabezpieczenia przed zagrożeniem ze strony organizmów żywych, podłączając, odłączając i przełączając wąż doprowadzający powietrze. Wciąż nie mogła się nadziwić, że IMA stać było na skonstruowanie tak drogiego i skomplikowanego izolowanego pomieszczenia za prywatne pieniądze.

Spokojnie tu dzisiaj, pomyślała, wchodząc do pustego laboratorium. W komorach bezpieczeństwa – dużych stanowiskach pracy otoczonych pięcioma ściankami w celu zatrzymania aerozoli, jakie wytwarzają się podczas eksperymentów – siedziało zazwyczaj dwóch, trzech badaczy. Dziś nie było nikogo.

Z szafki na sprzęt wyjęła kwadratową płytkę z dwudziestoma czterema zagłębieniami. Potem podeszła do wielkiej chłodziarki z przeszklonym frontem i wyjęła probówkę z Vero, klonem komórek E-6, hodowlaną pożywką bakteryjną, która, jak wykazały jej testy, stanowiła najlepsze środowisko do hodowli zarówno świeżego izolatu wirusa, jak i pasażowanych szczepów peruwii. Vero wytwarzano z komórek nerek afrykańskich koczokodanów i mimo południowoamerykańskiego pochodzenia peruwii zdawało się, iż najbardziej pasuje jej to właśnie środowisko. Zabrała płytkę, a potem probówkę z Vero do swojego stanowiska, po czym wróciła do chłodziarki i delikatnie wyjęła zaplombowaną fiolkę z zimnym różowym płynem: peruwia. Grube rękawice kombinezonu pozbawiały czucia, tak więc każdy ruch musiał być powolny i ostrożny. Wewnątrz hełmu odgłos jej oddechów zrobił się jakby bardziej słyszalny i stała przez chwilę z fiolką śmiertelnego patogenu w dłoni, usiłując się skupić. Uważnie przeniosła czystą hodowlę peruwii do swojego stanowiska i wstawiła do plastikowego stojaka. Następnie wzięła pipetę i zaczęła napełniać zagłębienia płytki zawiesiną Vero.

Za jej plecami, przez śluzę powietrzną prowadzącą na poziom czwarty przeszła postać w kombinezonie i stała, przyglądając się, jak pracuje.

Skończyła napełniać zagłębienia, po czym rozpoczęła precyzyjną czynność infekowania każdego otworu z hodowlaną pożywką izolatem peruwii. Pracowała powoli, ostrożnie. Podczas tego procesu wirus był na wolności: w strzykawce, którą wstrzykiwała patogen w każde

zagłębienie, i w zakażonych już porcjach pożywki.

Nowo przybyły zbliżył się do niej od tyłu; szuranie wysokich butów o kafelki na podłodze tłumione było przez szum powietrza w kombinezonie. Stał teraz za jej krzesłem z otwartymi szeroko oczami, wykrzykując coś w swoim hełmie. Ale Lucy nic nie słyszała. Nagle mężczyzna wyrzucił w górę ramiona, jedną ręką chwytając za łączenie jej węża doprowadzającego powietrze, a drugą uderzając w ramię, które podtrzymywało strzykawkę z peruwia, i popchnął ją w krzesło.

Lucy krzyknęła cicho, lecąc na bok, gdy zobaczyła, jak końcówka igły, wilgotna i zabójcza, przesunęła się po powierzchni jej rękawicy. Boże, żeby tylko nie była przepruta, modliła się – widoczne było maleńkie rozdarcie. Co to się działo? Strzykawka wypadła jej z dłoni, gdy wstawiała, próbując znaleźć taśmę izolującą przyczepioną do kombinezonu. Rozglądając się za napastnikiem, myślała: „Jeśli nie przebiłam drugiej rękawicy, nic mi nie będzie. Żebym tylko nie przebiła drugiej rękawicy”.

Nagle poczuła, że nie ma czym oddychać, i widząc wąż od powietrza w jego rękach, pomyślała: „Muszę się stąd wydostać”. Cofnęła się od wykrzykującej coś bezgłośnie postaci, która znów się do niej zbliżała z niezaparowaną maską na twarzy, gdy tymczasem ona walczyła o każdy oddech: Carl Anders.

Przebiegła przez laboratorium do pomieszczenia do dezynfekcji i zatrzasnęła drzwi, podczas gdy Anders był tuż za nią. Nieświeże powietrze wewnątrz kasku zaczynało ją dusić, ale nie było czasu, by podłączyć się do jednego ze zwisających z sufitu węży; nie teraz. Złapała za metalową sztabę zabezpieczającą drzwi w razie wypadku i umieściła ją we właściwym miejscu. Ten ruch kosztował ją resztki tlenu i poczuła, że zaczyna tracić przytomność, gdy dosięgła jednego z węży i z trudem podłączyła go do kombinezonu. Oparła się o drzwi pomieszczenia, chciwie chwytając chłodne, suche powietrze napływające do kasku. Potem wyciągnęła rękę i wdusiła przycisk uruchamiający odkażanie.

Stojąc pod chemicznym prysznicem, zdezynfekowała przeprutą zewnętrzną rękawicę, modląc się, żeby wewnętrzna była nietknięta. Gdy siedmiominutowy cykl odkażania dobiegł końca, ściągnęła obie rękawice i dokładnie sprawdziła wewnętrzną. Wyglądała na całą, ale to nic jeszcze nie znaczyło. Podniosła ją i przytrzymała pod strumieniem wody, z jakiej korzystali do splukiwania kombinezonów przed odkażaniem. Zakręciła wodę i uważnie przyjrzała się rękawicy, szukając przecieków. Nic. Żadnej dziury. Oparła się ciężko o stalową ścianę, słaba od ulgi, jaką poczuła; następnie wyciągnęła metalową sztabę zabezpieczającą wejście do laboratorium i szybko wyszła przeciwnymi drzwiami, zatraskując je za sobą z nadzieją, że Carl nie ośmieli się skrócić cyklu odkażania, by ją gonić. W szatni zdarła z siebie kombinezon, założyła swoje rzeczy i wybiegła. W korytarzu przed wejściem na poziom czwarty stanęła i oparła się o ścianę, gdy dotarła do niej potworność tego, co zaszło. Próbował zarazić ją peruwia. I był tego cholernie bliski.

Kilkoro pracowników spojrzało pytająco, gdy Lucy pognała przez otwarte laboratorium, lecz

ona nie zwracała na nich uwagi. Miała już na sobie płaszcz i sięgała po torebkę, gdy zabrzączał jej pager. Sprawdziła numer: oddział intensywnej terapii. Nogą zamknęła drzwi i jak w amoku zaczęła wybierać numer, spoglądając na zegarek. Jeszcze cztery i pół minuty do wyjścia Andersa spod prysznicia odkażającego. Po kilku próbach udało się jej wreszcie połączyć ze szpitalem. Szybko zaordynowała zmianę leków i obiecała zajrzeć na oddział po drodze do domu.

Ma mniej niż dwie minuty... Cisnęła słuchawką i ruszyła do windy.

Jeszcze minuta... Dalej, dalej. Lucy dźgała przycisk przywołujący windę. Zabierz mnie stąd.

Winda wreszcie dotarła, a jej drzwi rozsunęły się. Anders pewnie już wyszedł i teraz jej szuka. Wpadła do windy i wcisnęła guzik zamykający drzwi, z ulgą widząc, jak się zatrząskują. W jednej chwili ktoś wsadził dłoń i drzwi rozsunęły się, ukazując rozwścieczonego Carla Andersa.

– Ty durna babo – wrzasnął, przytrzymując drzwi. – Jakim cudem udało ci się zdobyć licencję na pracę na poziomie czwartym?

– Próbowałeś mnie zabić. Zejdź mi z drogi.

Lucy precyzyjnie się obok niego do recepcji, lecz Carl złapał ją za ramiona i obrócił twarzą do siebie.

– O czym ty, do diabła, mówisz? – krzyczał. – Uratowałem to twoje pieprzone życie!

– Zaszedłeś mnie od tyłu, zważyłeś z krzesła i wbiłeś igłę z peruwiańską w moją rękawiczkę.

– Sięgałem do łączenia z węzłem doprowadzającym powietrze. Przewód wyrywał ci go z kombinezonu – prychnął szyderczo Carl. – A uklękałaś sama, pani doktor.

– Rozdzierał mi się kombinezon? – Lucy wpatrywała się w Carla z niedowierzaniem. – Czemu nic mi nie powiedziałeś, nie dałeś znaku, że tam stoisz, zamiast skradać się za moimi plecami?

– Mówiłem, do licha. Krzyczałem do ciebie bez przerwy, ale ty nie zwracałaś uwagi.

– Nie słyszałam cię.

– Pewnie nie działały słuchawki w twoim kasku. Albo mój mikrofon. Oboje trochę się już uspokoili.

– Igła naprawdę przebiła ci rękawiczkę?

– Tylko zewnętrzną. Wewnętrzna była w porządku.

Podeszła do pobliskiego krzesła i opadła na nie. Anders poszedł za nią.

– Nie sprawdziłaś kombinezonu przed założeniem? – spytał, stojąc nad nią.

– Oczywiście, że sprawdziłam – odparowała Lucy.

Jednak mogło istnieć jakieś ukryte rozdarcie w wewnętrznej powłoce, jakieś słabe miejsce, pomyślała. Przyczepiając i odczepiając węże po drodze do laboratorium, mogłam osłabić je jeszcze bardziej...

– Jeśli nie wierzysz w to, co mówię, sama sprawdź ten przeklęty kombinezon.

Carl, stąpając ciężko, ruszył w stronę korytarza, lecz odwrócił się.

– Naprawdę myślałaś, że próbuję cię zabić?

Lucy poczuła, jak oblewa się rumieńcem; teraz taka myśl wydała się jej niedorzeczna.

– Nie wiem... Myślałam, że nikogo tam nie ma, a tu naraz stajesz za mną, szarpiesz mnie na wszystkie strony, łapiesz za...

– Próbowałam dostać się do łączenia.

– Nie wiedziałam – rzekła cicho Lucy. – Myślałam, że... Po tym, co powiedziałaś o mnie Billowi, chyba pomyślałam...

– ...że popełniłbym morderstwo, żeby tylko pozbyć się ciebie z laboratorium? Bzdura.

Piorunował ją wzrokiem.

– Nie podobasz mi się, Nash. Uważam, że kobiety nie powinny być w takich miejscach, i moim zdaniem, to, co właśnie tam zaszło, dowodzi, że mam rację. Cóż, powiedziałem o swoich zastrzeżeniach odpowiedniej osobie, ale mnie nie posłuchano.

Przerwał. I dodał:

– Ale jestem naukowcem, Lucy. Nie mordercą.

– Przykro mi, że źle zrozumiałam twoje intencje.

– Przepraszam, przyjęte.

Postać chwilę, po czym podszedł do jej krzesła. Nachylił się tak, że ich twarze znalazły się na tym samym poziomie.

– Z drugiej strony – powiedział cicho, świdrując ją oczami – gdybym rzeczywiście miał zamiar wbić w ciebie strzykawkę ze śmiertelnościami patogenem, nie chybiłbym.

Bill miał wrażenie, że za chwilę wybuchnie, gdy dziewczyna o oczach barwy wody przebiegła językiem po wewnętrznej stronie jego uda. Drażniła się z nim w ten sposób od kilku godzin, tak mu się przynajmniej zdawało, doprowadzając go niemal do szczytowania i odpuszczając sobie, i tak bez chwili wytchnienia. Jego ciało było śliskie od potu, oddech zmęczony. Rzucił się na nią, gotów dokończyć dzieła, lecz dziewczyna wyturlała się spod niego ze śmiechem. Do diabła z tym, pomyślał i położył się na niej, brutalnie rozchylając jej nogi i wpychając się do środka. Krzyknęła, lecz prawie jej nie słyszał, wciskając się coraz głębiej... co to, u licha, było? Przerwał z walącym sercem, potem się wycofał. Oczy młodej kobiety śmiały się do niego. Włożył w nią palec i wyciągnął niewielki kawałek złożonego papieru.

Dziewczyna przekręciła Billa na plecy i dosiadła go, wsysając głęboko w swoje ciało, ściskając mocno jak pięść, ruszając biodrami.

– Przeczytaj – wysapała, nie przerywając kołysania.

Głośno złapał powietrze, wypychając do góry miednicę, gdy drżącymi palcami rozwinął wilgotny dokument, wyęzając błędny wzrok. Dziewczyna wykonała ostateczny ruch, a on krzyknął i wytrysnął w nią, w chwili szczytowania zdając sobie sprawę z tego, że trzyma podpisany przez Kiamosa czek na trzydzieści milionów dolarów.

Mniej więcej dwadzieścia minut później, z wilgotnym dokumentem bezpiecznie zamkniętym w swojej dyplomatce, Bill wsiadł na pokład Leara. Na jego ustach błąkał się słaby uśmiech, gdy

ciężko opadł na wygodne skórzane siedzenie. Mały odrzutowiec ruszył w dół pasa startowego i wzbiał się w ciepłe, wilgotne powietrze.

– Może film, proszę pana? Muzykę? Coś do picia?

– Chyba spróbuję się zdrzemnąć – powiedział do stewarda. – Chwileczkę; najpierw się napiję. Perrier z limonką, poproszę. I to dużo.

– Już się robi, doktorze Miller. Przygasić światła czy chce pan chwilę poczytać? Może przynieść panu czasopismo?

– Nie, nie sędzę, bym mógł się teraz skupić.

Uśmiechnął się do stewarda.

– Z całą pewnością proszę przyciemnić światła.

Steward wyszedł do małej, lecz dobrze wyposażonej kuchni, a Bill patrzył od niechcienia na nocne niebo, przez które się wspinali. Gdy samolot skręcił w prawo, w oknie pojawiła się kolia wysp, migocząc światłem jak diamenty na czarnym dekolcie oceanu.

U jego boku stanął steward z tacą. Na niskim stoliku postawił szklanekę wody mineralnej z zielonym plasterkiem na krawędzi oraz dodatki w postaci niewielkiego kubeczka z lodem, talerza z pokrojoną limonką i wielkiej zielonej butelki. Bill niemal jednym haustem pochłoniął połowę napoju i dolał do pełna.

– Szukanie sponsorów musi być bardzo wyczerpującym zajęciem – zauważył z uśmiechem steward.

Bill wziął następny długi łyk, po czym oparł się wygodnie w szerokim, miękkim fotelu.

– Nie ma pan nawet pojęcia – powiedział stewardowi, zerkając na niego spod przymrużonych powiek. – Naprawdę nie ma pan pojęcia jak bardzo...

Nie pozwolę mu wypłoszyć się z laboratorium – powtarzała Lucy. – Nie pozwolę i już.

– Sam nie wiem, Lucy – rzekł Rick z powątpiewaniem. – Facet jest niezrównoważony. Kto wie, na co go stać?

– Sprawdziłam kombinezon – powiedziała niecierpliwie Lucy. – Miał rację. Łączenie z przewodem doprowadzającym powietrze faktycznie było luźne. Jeszcze jedno pociągnięcie i oderwałoby się.

– Cóż, może on sam je poluzował.

– W takim razie, po co szedłby za mną do pracowni? Nie, gdyby on to zrobił, trzymałby się z daleka i pozwoliłby, żeby to diabelstwo odpadło, gdy byłam sama. Wypadek. To się zdarza.

– A to, co powiedział ci potem? Nie uważasz, że to była groźba?

– Wtedy tak myślałam, ale teraz... Zdaje mi się, że zwyczajnie próbował mnie wystraszyć. Nie kryje się z tym, że chciałby pozbyć się mnie z laboratorium, a biorąc pod uwagę jego stosunek do kobiet, poniżenie to najlepszy na to sposób... A, mam go gdzieś!

Lucy uderzyła kubkiem z kawą w stół do pracy.

– Zostaje.

– Hejże, ja tu przecież usiłuję zbawić świat – zbuntował się Rick, zabierając kawę ze stosu wydruków. – Chyba dziś tam nie wrócisz?

– Nie ma mowy.

Wzięła do ręki poplamioną kartkę.

– Przepraszam za to.

– To tylko kopie. Nic się nie stało.

Od niechcenia przebiegła wzrokiem po wydruku.

– Wciąż pracujesz nad bakteriofagami?

– Tak, ale Anders poprosił mnie o zrobienie jakichś analiz białka.

– To jest to badanie chromatograficzne?

– Było. – Wziął z jej ręki przemoczony papier. – Istnieje jakaś szansa, żebyśmy spotkali się wieczorem?

– Muszę wpaść do szpitala w drodze do domu i nie wiem, ile mi to zajmie. Mogę zadzwonić później?

– Jasne.

Lucy miała już wyjść, ale stanęła w drzwiach.

– No proszę, mamy gościa. Bill przyszedł.

– Miller?

– Tak. Właśnie wszedł do gabinetu Carla. Założę się, że się teraz nasłucha.

– Do diabła z tym.

Rick podszedł, by dodać jej otuchy, otaczając ramieniem.

– Wiadomo, że Carl złamał zasady, podchodząc do ciebie w ten sposób. Gdy zdał sobie sprawę, że go nie słyszysz, powinien był obejść cię, stanąć z przodu, zwrócić na siebie uwagę, pokazać na wąż z powietrzem. To, co zrobił, było niesamowicie niebezpieczne. Wszyscy wiemy, że to, co zaszło, było jego winą, nie twoją.

– Dziękuję.

Lucy pocałowała go lekko w policzek.

– No dobrze. Lecę – dodała, wychodząc.

– ...cholernie niebezpieczne... mówiłem ci, że kobiety są zbyt...

Lucy przystanęła przed gabinetem Andersa z płaszczem zarzuconym na ramiona. Carl, rzecz jasna, mieszał ją z błotem. Rozejrzała się dokoła; korytarz był pusty. Podeszła do zamkniętych drzwi i słuchała.

– ...już o tym wszystkim... – usłyszała mamrotanie Billa. – ... chcę się dowiedzieć...

Mówił ciszej od Carla, a i Anders odpowiadając, zniżył teraz głos.

– ...małpia... krwotoczna... śmiertelna... inne niż... chyba że...

Czyżby w tym zamkniętym laboratorium Anders prowadził badania nad małpią gorączką krwotoczną na żywych zwierzętach? Gdybyż tylko była w stanie wychwycić więcej niż jedno na dziesięć słów...

– ...nowy szczep? – usłyszała pytanie Billa.

– ...całkowicie skuteczny – odparł Anders – ale dopiero próby in vivo...

– Ponoć podsłuchujący nigdy dobrze o sobie nie słyszą.

Lucy odwróciła się. Stał za nią Rick z papierami w dłoni.

– Carl potrzebował tych mas cząsteczkowych przed piątą. Myślę, że czas im przerwać.

Mrugnął do niej konspiracyjnie.

– Nie musisz... – zaczęła Lucy, lecz Rick pukał już do drzwi. Szeptana rozmowa w pokoju ustała. Drzwi otworzyły się.

– Tak?

Anders popatrzył groźnie na Lucy, potem na Ricka.

– O co chodzi?

– Mam już te masy cząsteczkowe, o które prosiłeś – oznajmił Rick. – Przyszedłem nie w porę?

W przejściu stanął Bill Miller.

– Dokończymy później – zwrócił się do Carla.

Spojrzał na Lucy i uśmiechnął się.

– Masz dla mnie chwilkę?

– Muszę lecieć do szpitala, ale... jasne, Bill.

Rick wszedł do gabinetu Carla, a Bill podążył za Lucy do jej pracowni ze słowami:

– Nie zatrzymam cię długo.

Lucy usiadła w swoim krześle, a Bill przycupnął na pobliskim taborecie.

– Byłem przerażony, kiedy Carl powiedział mi, co się stało dzisiaj w gorącym laboratorium – rzekł poważnie. – Mówiłem mu, że postąpił w tej sytuacji najzupełniej niewłaściwie. Naraził cię na niebezpieczeństwo. Winni ci jesteśmy przeprosiny...

Przerwał.

– Zdaje się, że przeprosiny w tej sytuacji nie wystarczą – dodał.

– Sama byłam częściowo winna – powiedziała Lucy. – Powinna była dokładniej sprawdzić kombinezon.

– Jesteś bardzo wspaniałomyślna – stwierdził Bill. – Pewnie mogłabyś wytoczyć IMA proces. I wygrać.

Uśmiechnął się, lecz jego oczy pozostały zmartwione.

– Nie zamierzam was pozywać, Bill.

– Cieszę się, że to mówisz. IMA i tak nieźle się ostatnio dostało, chociażby przez tę sprawę z Jean-Pierre'em...

Wstał.

– Potrafisz pracować w zespole, Lucy. Doceniam to. I mam nadzieję, że ten wypadek nie zniechęci cię do propozycji, którą ci złożyłem.

– Nie wpłynie na moją decyzję w żaden sposób – zapewniła go zgodnie z tym, co myślała.

Podczas ich rozmowy poziom hałasu w tle narastał, aż w końcu głos Carla zagrzmiął w całym laboratorium:

– ...w żadnym wypadku nie mogą być prawdziwe, Hollander. Nie są nawet zbliżone do danych szacunkowych. Jak, u diabła...

– Co się tam dzieje? – spytał Bill, idąc za Lucy do pracowni otwartej.

Oboje rzucali w stronę pokoju Carla ukradkowe spojrzenia, współczując Rickowi, lecz jednocześnie ciekawie nasłuchując.

– Musiałeś źle ustawić pole – głośno obstawał przy swoim Anders. Wypadł z gabinetu, a za nim Rick.

– Pokaż mi, jak ustawiłeś ten cholerny chromatograf.

Obaj znikli w pracowni Ricka i przez moment panowała cisza. Potem znów zagrzmiął rozsierdzony Carl:

– Strumień był zbyt silny. Wiedziałem. Pozwól, że ci przypomnę zasady wykonywania Chromatografii 101, Hollander. Umieszczasz w chromatografie żelową zawieszinę białkową i włączasz pole elektronowe. Jest spolaryzowane, zgadza się? Więc białka przemieszczają się z jednego pola do drugiego. Przemieszczają się z różną prędkością i dlatego możemy oddzielić jedne od drugich i zmierzyć je. Rozumiesz?

Lucy i Bill patrzyli na siebie coraz bardziej zmieszani.

– A jeśli pole elektronowe jest zbyt silne – huczał Anders – białka przemieszczają się zbyt szybko, więc kiedy odcinasz żel, odcinasz białka w złych miejscach i ich cholerne masy są nieprawdziwe.

Nie dotarła do nich wymamrotana odpowiedź Ricka, ale reakcja Carla była głośna i wyraźna.

– Zwykła pomyłka? Taka zwykła pomyłka może się przydarzyć jakiemuś tam studentowi, ale nie naukowcowi ze Stanfordu o takiej reputacji jak twoja... No dobrze, źle ustawiłeś chromatograf. Rzecz w tym, że powinieneś być zauważyć, iż masy cząsteczkowe dalekie są od kryteriów szacunkowych. Powinieneś być powtórzyć badanie. Powtórz je teraz.

– Zostaniesz w końcu z pustą pracownią, jak tak dalej pójdzie – powiedziała do Billa Lucy, gdy Carl jak burza wypadł z laboratorium Ricka. – Nie zatrzymasz tu ludzi takich jak Rick, jeśli będą traktowani w ten sposób.

– Wiem – westchnął Bill. – Porozmawiam z Carlem.

– Mógłbyś też zamienić słowo z Rickiem. A teraz naprawdę muszę się już zbierać.

Popatrzył, jak Lucy znika za zakrętem korytarza, po czym podszedł i zapukał w otwarte drzwi pokoju Ricka.

– Zdaje się, że większość dzisiejszego dnia spędzę na przepraszaniu za Carla Andersa – powiedział.

Rick podniósł wzrok; twarz miał czerwoną ze złości.

– Przyszedłem tu, bo wierzyłem w pracę dla IMA – rzekł. – Cieszyła mnie możliwość prowadzenia niezależnych badań w miejscu wykorzystującym najnowszą technologię. Ale

szczerze mówiąc, to wszystko nie jest tego warte.

– Rick...

– Nie przyszedłem tu, żeby odwalić czarną robotę – ciągnął gorączkowo. – Nie jestem jakimś tam asystentem, którym Carl może sobie pomiatać. Jestem cholernie dobrym biologiem molekularnym. I te docinki nie są mi potrzebne.

– Carl ma problemy ze sobą – rzekł cicho Bill. – Potrzebna mu pomoc psychologa i dopilnuję, żeby ją otrzymał. Zamilkł na chwilę.

– Może zostawiłbyś teraz to wszystko – wskazał ręką na rozrzucone po stole papiery. – Chodź na jakąś kawę czy piwo. Muszę z tobą porozmawiać.

Rick zawahał się. Czyżby Miller dowiedział się o jego zabawach z Renée?

– No dalej, bierz płaszcz – ponaglił Bill. – Mój samochód czeka na zewnątrz.

Carl miał szczęście, że mu nie przyłożyłeś – powiedział do Ricka, gdy zasiedli przy barze w White Horse Tavern. – Ja bym to zrobił.

Bill kiwnął na barmana i zamówili piwo.

– Znasz to miejsce? – spytał potem Bill.

Rick pokręcił głową.

– Jestem z Kalifornii, nie pamiętasz?

– To swego rodzaju instytucja; przynajmniej kiedyś tak było. Wielu z nas spędziło tu, przy tym barze, sporą część młodości na dyskusjach nad tym, co źle funkcjonuje w społeczeństwie i jak by to można naprawić.

Wziął łyk piwa i wspominał dalej:

– Chcieliśmy zmieniać świat.

Westchnął.

– Dziś większość z tamtych zapaleńców to dyrektorzy agencji reklamowych, radcy prawni wielkich korporacji... Młodzieńcze ideały nie przetrwały, niestety.

– No, nie wiem – rzekł Rick. – Zdaje się, że ty pozostałeś im wierny.

Bill uśmiechnął się smutno.

– Tak sędzę. Choć wygląda na to, że to kropla w morzu potrzeb. Sięgnął po miseczkę precli.

– Twierdzisz, że wierzysz w misję IMA – powiedział, przesuwając naczynie w stronę Ricka.

– Czy to znaczy, że zachowałeś choć część własnego młodzieńczego idealizmu?

– Nie wiem, czy tak bym to ujął – odparł Rick. – IMA zaspokaja pewną potrzebę i fakt, że w tym uczestniczę, poprawia mi samopoczucie. Ale gdyby nie obiecano mi szansy prowadzenia własnych badań w wyposażonym w najnowsze technologie laboratorium, nie przyjechałbym tutaj.

– Oświecony egoizm, co? – uśmiechnął się Bill. – Pochwalam go. Popił piwa.

– Chciałem z tobą porozmawiać poza laboratorium, bo to, co mam do powiedzenia, jest... nieco delikatnej natury.

Cholera, pomyślał Rick, wpatrując się w swoją szklanę. Wie o Renée.

– Chodzi o Lucy.

Spojrzał na Billa zaskoczony.

– O ile mi wiadomo, ty i ona staliście się... sobie bliscy. I mam nadzieję, że właściwie zrozumiesz to, co chcę ci powiedzieć...

Zamilkł.

– Wiesz o jej romansie z Jean-Pierre'em? O całej tej aferze?

Rick skinął głową.

– Niepokoi mnie bardzo, że Lucy kontynuuje swoje śledztwo w sprawie jego śmierci.

– Dlaczego? – spytał Rick. – Myślałem, że to w interesie IMA, żeby oczyścić jego imię.

– Oczywiście, jeśli zostanie oczyszczone.

– A uważasz, że będzie inaczej?

– Szczerze mówiąc, tak. I mówiłem o tym Lucy. Ostrzegłem ją również, że to może być dla niej niebezpieczne. Mowa przecież o handlu narkotykami.

– Zdaje się, iż jesteś raczej przekonany o jego winie.

– Kto może wiedzieć, w co był wplątany? – rzekł zmęczonym głosem Bill. – Rzecz w tym, że aresztowanie Didiera i jego samobójstwo poważnie wpłynęło na darowizny dla IMA. A bez pieniędzy nie możemy funkcjonować. Na szczęście opinia publiczna ma krótką pamięć i wpływy do naszej kasy znów wzrosły. Ale jeśli Lucy uda się oczyścić jego imię, pewnie będzie chciała to ogłosić, nieco rozdmuchać, co znów przywróci sprawę mediom. A wiesz, jacy są ludzie. Nie obejdzie ich tak naprawdę fakt, że został oczyszczony z zarzutów, albo po prostu w to nie uwierzą. Pomyślą tylko: „IMA szmugluje prochy”.

Pokręcił głową, westchnął głęboko i sięgnął po precelka.

– I to jest wersja optymistyczna. Jeśli zaś znajdzie dowód winy Jeana i to się wyda, powiedzą sobie: kurczę, facet faktycznie szmuglował heroinę... Widzisz, do czego zmierzam?

– Chcesz, bym użył całego swego wpływu na Lucy, żeby ją powstrzymać? – Ten pomysł zdawał się bawić Ricka. – Nie ma mowy. – Przełamał precla na pół. – Poza tym wspomniała mi o swoim śledztwie tylko raz. Jesteś pewien, że wciąż je prowadzi?

– Powiedziała mi kiedyś, że dała sobie spokój, ale nie wydaje mi się, by istotnie to zrobiła.

Bill napił się piwa.

– Chcę tylko, żebyś miał oczy i uszy otwarte. Ta afera narkotykowa była dla nas naprawdę nieprzyjemna, naprawdę. Jeśli jeszcze jakieś niepożądane informacje ujrzą światło dzienne, będziemy zmuszeni poważnie obciąć wydatki. Proszę cię tylko, żebyś mnie informował, tak bym wiedział o wszystkim, co wie Lucy. Dla dobra IMA. Myślisz, że mógłbyś to dla mnie zrobić?

– Myślę, że nie.

– Mówiłeś, że praca dla IMA poprawia ci samopoczucie.

– Praca, nie szpiegowanie.

– Och, nie dramatyzujmy. Proszę cię tylko, żebyś pomógł mi bronić reputacji IMA i naszych możliwości zdobywania funduszy. Jedyne, czego oczekuję, to to, że z wyprzedzeniem dasz mi

znać o wszystkim, co mogłoby się obrócić i ugryźć nas prosto w tyłek.

Poklepał Ricka po ramieniu.

– Współpracuj ze mną, Rick. Carl nie utrzyma się już długo na swoim stanowisku. A ja wiem, jak nagrodzić lojalność.

– Nie chciałbym skrzywdzić Lucy.

– Skrzywdzić ją? Wprost przeciwnie. Przypuszczam, że ona nie ma pojęcia, w co się pakuje. Możemy ją obronić, gdyby zrobiło się niebezpiecznie.

– To chyba ma sens – rzekł z wolna Rick. – Lucy zachowuje się czasem jak damski macho. Sama musi rozwiązać wszystko po swojemu. Założę się, że nie zdradziła ci nawet, co powiedział jej Carl. Po tym, jak wyjaśnił, że próbował ocalić jej życie.

– A co takiego powiedział?

Bill zmarszczył brwi.

– Coś w rodzaju: „Gdybym chciał cię zabić, nie chybiłbym”.

– Jezu. – Na twarzy Billa odmalował się szok. – Naprawdę tak powiedział?

– Niestety. Hm, wolałbym, żebyś nie wspominał o tym Lucy. Wiedziałyby, że to ja ci powiedziałem.

– Jak chcesz – niechętnie zgodził się Bill. – Ale na pewno pogadam o tym z Carlem. – Zawahał się. – Jaka była reakcja Lucy? – spytał po chwili.

– Uważa, że Carl próbował ją tylko wystraszyć. A ona, rzecz jasna, się nie daje.

– Oczywiście. – Bill uśmiechnął się. – Kobieta, która czuje się swobodnie w pomieszczeniu ze śmiertelnymi patogenami, z pewnością niełatwo da się zastraszyć. I właśnie dlatego ty i ja musimy działać razem. By obronić ją przed nią samą.

– Cóż, skoro tak to ująłeś...

– Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. – Bill wyciągnął portfel i rzucił na bar kilka banknotów. – Renée zapewnia mnie, że jesteś bardzo oddany naszej sprawie.

Rick zaczerwienił się, lecz twarz Billa pozostała niezmienną.

– Sam dość lubię hrabinę – przyznał Bill – lecz nigdy nie było między nami nic poważnego. Ach, Renée to taka wolna dusza... Mam nadzieję, że użyłeś prezerwatywy...

Wstał i założył marynarkę.

– Zostań i dokończ piwo. Nasyć się tą atmosferą.

– Dobrze.

– Aha, i gdybyś tak zechciał zakończyć to, co łączy cię z Renée, najlepiej przez telefon. Nie chcesz chyba niesnasek między tobą a Lucy. Zwłaszcza teraz.

Wziął do ręki płaszcz.

– Informuj mnie – rzucił na koniec.

W drzwiach odwrócił się do Ricka i podniósł w górę oba kciuki, po czym znikł w zapadającym zmierzchu. Rick z ponurą miną dopił piwo.

– Podać coś jeszcze? – spytał barman.

Rick pokręcił głową.

– Mógłbym gdzieś skorzystać z telefonu?

– Na tyłach. Obok toalety.

Bar zaczął się zapęlniać. Rick przedarł się przez gęstniejący tłum, sięgając do kieszeni po drobne. Umieszczony między ubikacją a kuchnią aparat był nieco zbyt wyeksponowany jak na jego potrzeby, lecz krótki korytarz był akurat pusty, a hałas dochodzący z kuchni był w stanie zagłuszyć jego głos. W ciągu następnych kilku minut wykonał dwa krótkie telefony. Żaden z nich nie był do Renée.

W basenie portowym, pod kolorowym napisem King Banana trzech mężczyzn załadowywało białą ciężarówkę ze znakiem towarowym hurtownika, przedstawiającym tańczącego banana z wysadzaną klejnotami koroną nasadzoną krzywo nad jednym, przypominającym ludzkie, okiem. Dwóch innych ludzi wywoziło kartony z owocami z magazynu i ustawiało je na betonowej rampie. Nikt nie podniósł wzroku, kiedy Bill Miller mijał pracowników hurtowni, idąc w stronę odrapanych drzwi, gdzie nacisnął na dzwonek i z miejsca został wpuszczony. Interesy King Banana szły nieźle i wizyty pośredników nie były niczym nadzwyczajnym, nawet o tej porze.

Jednak wspiąwszy się po stromych, brudnych schodach, Bill nie zatrzymał się przy drzwiach z matowego szkła, za którymi znajdowało się biuro właściciela hurtowni. Zamiast tego, poszedł dalej ponurym korytarzem do ubikacji. Wybrał ostatnią z trzech pustych kabin, zamknął drzwi, po czym schylił się i odliczył pięć kafelków od prawej ściany w najniższym rzędzie. Nacisnął na jeden bok szóstej płytki, a ta obróciła się, odsłaniając dziwnie ukształtowaną dziurkę od klucza. Bill włożył klucz, przekręcił, a kawałek ściany z płytkami – mniej więcej na metr dwadzieścia wysoki i pół metra szeroki – otworzył się po cichu do środka.

Bill przykucnął i wszedł do pogrążonego w półmroku pomieszczenia, po czym wyciągnął rękę i zwolnił zasuwkę na drzwiach kabiny. Nim drzwi się otworzyły, fragment ściany powrócił na swoje miejsce, nie pozostawiając nawet śladu.

Korytarz, w którym znalazł się Bill, był wąski, zimny i słabo oświetlony. Podążył nim, skręcając w prawo w stronę drzwi osadzonych w jednej płaszczyźnie z nie otynkowaną ścianą z pustaków. Ponownie włożył klucz i pchnął.

W niewielkiej sali konferencyjnej na dźwięk alarmu podniosły się wszystkie twarze. Fragment odległej ściany wysunął się na zewnątrz i wszedł Bill w otoczeniu chłodnego, stęchłego powietrza.

– Są wszyscy? – spytał. – No to zaczynajmy.

Lucy nalała sobie kubek zimnej kawy i opadła na fotel w pokoju lekarskim. Po półgodzinie z lekarzem dyżurnym i ponownie przyjętym pacjentem z AIDS zostawiła na sekretarce Ricka wiadomość, że zanosি jej na długą noc. Kawa była ohydna, ale piła ją, bo potrzebowała kofeiny. Boże, jaka ona była zmęczona.

Za dużo na siebie wzięłam, myślała. Gdybym pracowała w IMA na poziomie pierwszym, nawet drugim... Ale stres związany z poziomem czwartym był po prostu zbyt wielki przy jej i tak już przeładowanym grafiku. Dała sobie spokój z kawą i wyrzuciła papierowy kubek. Nie, to nie stres poziomu czwartego, stwierdziła; to raczej stres związany z Carlem Andersem.

Czemu nie znosił jej tak bardzo, że chciał ją wypłoszyć? W porządku, nie lubił kobiet. Ale nie był przecież młokosem; na pewno miał już do czynienia z naukowcami płci żeńskiej. Do tego Bill Miller był jego szefem. A Bill lubił kobiety, wspierał je. Czy był świadom tego, jak patologiczne stały się zachowania Carla?

Wróciła pamięcią do kolacji z Millerem i uśmiechnęła się. Prawdziwy z niego relikwyt lat sześćdziesiątych, pomyślała, człowiek, który wciąż uważa się za swego rodzaju kanapowego rewolucjonistę. Lekarz, który nie stracił młodzieńczego oddania sprawie uzdrawiania świata, pomocy przegranym. Zatraskany. Pełen ideałów. I może trochę naiwny?

– Doktor Nash proszona na OIOM w skrzydle drugim północnym. Pilne. Doktor Nash...

Lucy wstała szybko i ruszyła korytarzem.

Jak dobrze Bill Miller naprawdę znał Carla Andersa? – zastanawiała się, biegnąc w stronę schodów. W jakim stopniu Carl właściwie podzielał poglądy Billa na reformy społeczne? I czy był jeszcze inny powód – poza tym oczywistym – dla którego Carl Anders chciał się jej pozbyć z laboratorium?

...Sześć milionów dolarów. Poza tym Fundacja Lewisa Stantona Williamsa zaoferowała trzy miliony. Lecz najważniejsza wiadomość to ta, że Alexander Kiamos dał mi czek na trzydzieści milionów dolarów na naszą działalność.

Bill uśmiechnął się do ludzi zgromadzonych wokół surowego drewnianego stołu.

– Jak państwo widzicie, IMA podźwignęło się już z, hm, problemów związanych z aresztowaniem doktora Didiera.

– Z mojego miejsca wygląda to inaczej.

Mówiąca to kobieta w granatowym dwurzędowym żakiecie, dzinsach i ciężkich butach za kostkę przesunęła mu po stole wydruk sprawozdań finansowych.

– Jak widać po danych z ostatnich trzech miesięcy, nasz dział wciąż odczuwa skutki. Mój szef się niepokoi.

– Proszę go pocieszyć. Jestem pewien, że ten incydent wkrótce zostanie zapomniany i wszystko będzie tak jak dawniej.

– O ile ta twoja lekarka o wszystkim nie przypomni.

– Nie ma takiego ryzyka, zapewniam was. Jest pod ścisłą kontrolą. Podjęto też inne kroki. Proszę poinformować o tym swojego szefa. Kobieta wstała; to samo zrobił Bill.

– Dziękuję, że mogła pani dziś do nas dołączyć. Proszę przekazać wyrazy szacunku panu Tortoriello.

Kobieta skinęła głową i podeszła do odległej ściany, gdzie czekała na Billa, by użył swojej

sztuczki z ukrytymi drzwiami. Gdy kobieta wyszła, a fragment ściany wrócił na swoje miejsce, Miller zwrócił się do zebranych przy stole.

– Teraz możemy rozmawiać bardziej swobodnie – rzekł.

– Jesteś pewien, że ona nie wie? – spytał korpulentny mężczyzna w średnim wieku o rzednących blond włosach, rzucając spojrzenie w stronę tajemnego przejścia. – Albo jej szef?

– Nie ma mowy – odparł Bill. – Chyba że ktoś był nieostrożny.

Przyglądał się im surowo.

– Tak jak ty, Carl... – dodał.

Carl zaczął gniewnie protestować, lecz Bill uciszył go skinieniem ręki.

– O co chodzi? – zapytał blondyn, wyraźnie zaniepokojony. – Co się stało?

– Nic, czym powinieneś się martwić – uciał Bill. – Wszystko już załatwione. Ale to tylko dowód, że musimy zachowywać najwyższą ostrożność we wszystkim, co robimy.

Zaczął zbierać w stos przed sobą różne papiery, nie zwracając uwagi na Carla, który rzucał mu obrażone spojrzenia z drugiej strony stołu.

– Jesteś pewien, że mądrym posunięciem było zaangażowanie Tortoriella? – spytał niski, siwy mężczyzna. – To znaczy... wyniki były fenomenalne... aż do aresztowania Didiera, rzecz jasna. A jednak...

Bill przerwał grzebanie w papierach, położył ręce na stole i nachylił się do pytającego.

– Liczą się tylko wyniki, Olivierze. Nigdy o tym nie zapominaj. Wstał i przemówił do ogółu zebranych:

– Pracując za kulisami, moi przyjaciele, pełniemy niezwykle ważną rolę: mamy za zadanie stworzyć nowy, lepszy świat. Jeśli nawet ubrudzimy sobie przy tym ręce, to cóż?

Blondyn potaknął entuzjastycznie.

– Liczy się tylko cel – zgodził się. – Środki są zupełnie nieważne.

– Właśnie. Jak dobrze wie każdy chirurg – kontynuował Bill, wpychając papiery do swojej dyplomacji – niekiedy konieczne jest głębsze cięcie dla uratowania życia pacjenta. To właśnie gotów jestem zrobić. To właśnie wszyscy musimy być gotowi zrobić.

Zatrzasnął teczkę.

– Chyba na dziś skończyliśmy. Zostaniecie powiadomieni o terminie następnego spotkania.

Włożył klucz i otworzył ukryte drzwi.

– Carl? Zostań na słówko – powiedział.

Odciągnął naukowca na bok, z dala od wychodzących z pomieszczenia ludzi.

– Opuść sobie Hollandera. Nie chcę go stracić.

– Popelnił głupi błąd – rzekł zniecierpliwiony Carl.

– Doktor Nash też – ciągnął Bill, ignorując jego usprawiedliwienie. – Nie chcę stracić żadnego z nich. Rozumiesz?

Carl wzruszył ramionami.

– Ty tu jesteś szefem.

– Zgadza się. Proszę, żebyś o tym nie zapominał. Możesz teraz iść.

Carl odszedł z nieszczęśliwą miną.

Gdy pokój opustoszał, a ściana wróciła na miejsce, Bill podszedł do niewielkiej szafy. Włożył na siebie przygotowany wcześniej fartuch, przełożył niewielki pakunek ze swojej teczki do kieszeni, po czym zarzucił płaszcz na ramiona.

Przeszedłszy znowu przez pokój, otworzył tajemne drzwi i wszedł do przypominającego katakumby korytarza, nerwowo przebierając palcami pośród fiolek w kieszeni.

I wtedy chirurg patrzy w górę. Mówi: „Jest ta cholerna kaczka!” i celuje uważnie, strzela, a kaczka spada martwa na ziemię. Spogląda do góry internista mówi: „Hm... raczej kaczka... bo orła bym wykluczył, no i wróbla też bym wykluczył...”

Lucy uśmiechnęła się, słysząc, jak Hank opowiada stary dowcip o lekarzach na polowaniu. Choć każdy z biesiadników przy bankietowym stole słyszał go już pewnie z tysiąc razy, wersja Hanka, dopełniona gestykulacją, była wyjątkowo zabawna.

– Wtedy do kolejnego ptaka wypala lekarz pogotowia – ciągnął Hank. – „No już, już! Dawać go! Dawać! Co mu, u diabła, jest?”

Lucy dołączyła do ogólnego wybuchu śmiechu, naprawdę dobrze się bawiąc. Jedną z najprzyjemniejszych stron tego typu medycznych konferencji, pomyślała, jest możliwość spędzenia miłego czasu z innymi specjalistami w dziedzinie chorób zakaźnych, zobaczenia ludzi, z którymi straciło się kontakt, i spotkania z lekarzami znanymi dotąd tylko z nazwiska. Od jej starcia z Carlem upłynęło dziesięć dni. W tym czasie zawitała do pracowni zaledwie raz; sesję w tym tygodniu musiała odwołać ze względu na konferencję. Mimo iż w poprzedni czwartek zbliżała się do gorącego laboratorium z pewnym drżeniem, to szybko zatraciła się w pracy, nie niepokoiona obecnością całkiem pokornego Andersa. Prawdę mówiąc, wyglądało na to, że Carl robił wszystko, by tylko uniknąć z nią spotkania, a zmuszony do rozmowy, traktował ją z urzędowo należnym szacunkiem. Rick mówił, że szef pracowni przeprosił go za swój wybuch, zaś obserwując ich dyskutujących razem nad jakimiś wydrukami, Lucy pomyślała, że Rick jest zbyt wyrozumiały. Zdołała jednak powstrzymać się od wyrażenia tego poglądu na głos. W końcu ona była tylko ochotniczką, a jej praca zawodowa związana była z całkiem odrębną instytucją. Mogła odejść, kiedy tylko chciała, podczas gdy Rick porzucił świetną posadę w Kalifornii, by podjąć tę pracę dla IMA. Dla niego to było zupełnie coś innego.

– Podobał mi się pani popołudniowy odczyt – wyznał mężczyzna siedzący po jej prawej ręce, młody lekarz z Houston. – Sam nie mam wiele do czynienia z AIDS, lecz dzięki pani będę lepiej wiedział, czego szukać.

– Cieszę się, że na coś się przydałam – odparła Lucy z promiennym uśmiechem.

Jej referat na temat występowania zakażeń zarazkiem oportunistycznym u pacjentów z AIDS został dobrze przyjęty, a przeżycie związane z przemawianiem do tak znamienitego grona było niezwykle emocjonujące.

– A zatem nie pracujesz już w CDC – odezwała się Barbara Coley, wirusolog z Los Angeles.

Mimo że dzieliła je różnica wieku około dwunastu lat, obie kobiety bardzo przypadły sobie do gustu podczas konferencji w poprzednim roku i wymieniły od tamtej pory kilka listów.

– Jak ci się podoba praca w szpitalu? – spytała po chwili.

– Bardzo – odparła Lucy.

Kelnerzy zaczęli zbierać resztki pieczonego kurczaka ze szparagami.

– Nie tęsknisz za laboratorium?

– Prawdę mówiąc, to poświęcam część czasu pracy w laboratorium IMA. To Międzynarodowa Pomoc Medyczna, organizacja, która rozsyła ochotników po całym świecie – dodała, widząc zakłopotaną minę koleżanki.

– Ach, słyszałam o nich – rzekła Barbara z wyrazem twarzy, jakby doznała olśnienia. – Czy to nie oni wysłali zespół lekarzy do Indii w czasie zeszłorocznej epidemii cholery?

– Jeszcze wtedy dla nich nie pracowałam, ale to bardzo prawdopodobne.

– A jakie badania tam prowadzisz?

– Pracuję nad nowym filowirusem, jaki odkryliśmy w Peru.

– Ale... Myślałam, że nie pracujesz już dla CDC... – Barbara patrzyła na nią pytająco.

– Bo nie pracuję. IMA ma własną niewielką pracownię z zabezpieczeniami poziomu czwartego.

– Żartujesz! – Starsza z kobiet była wyraźnie pod wrażeniem. – Muszą mieć niewiarygodnie bogatych sponsorów.

Lucy uśmiechnęła się.

– To prawda.

– Robią coś jeszcze poza badaniami nad filowirusami?

– Tak, mają też pracownię poziomu pierwszego i drugiego. Zajmują się bakteriofagami i... Właściwie to może znasz jednego z naszych badaczy. On też jest z Kalifornii. Rick Hollander.

– Brzmi znajomo... Ejże, chyba nie Richard Hollander. Ze Stanfordu?

– Tak. Znasz go?

– Głównie ze słyszenia. Spotkaliśmy się tylko raz.

Lucy znów się uśmiechnęła.

– A jak tam się o nim mówi?

– Och, zdecydowanie dobrze. Wysoce ceniony w swojej dziedzinie i całkiem przystojny, jeśli dobrze pamiętam.

– To on – rzekła Lucy.

– W Stanfordzie musieli chyba zwariować, żeby pozwolić mu odejść. Był tam dziesięć lat, miał własną pracownię. Dyplomanci zabijali się, żeby z nim pracować.

– Naprawdę? – Lucy zmarszczyła czoło, przypomniawszy sobie źle wykonaną chromatografię. – Nie wiedziałam, że zaszedł aż tak wysoko.

– Na Boga, tak – zapewniła ją Barbara. – Naprawdę macie szczęście, że udało się wam go

ściągnąć. Poznałaś jego żonę?

– Słucham? – Lucy zamarła.

– Jego żonę. Ksantypa. Z charakteru, nie z imienia. Na imię ma Eleanor. Kompletna pomyłka.

– Rick, hm... nigdy nie wspominał... Nie wydaje mi się, żeby przyjechała z nim do Nowego Jorku – zdołała wydukać Lucy.

– Pewnie zdążyli się już rozwieść – stwierdziła Barbara. – Nie zdziwiłabym się. Zawsze krążyły o nich opowieści.

A więc to była ta rodzinna sprawa, która w czasie Świąt zawiodła Ricka do Kalifornii. Znam się na ludziach, rugała siebie Lucy; najpierw handlarz narkotyków, a teraz żonaty podrywacz.

– Pracujecie nad czymś razem? – wypytywała Barbara.

– Nie... jesteśmy, hm, przyjaciółmi.

– Cóż, mogłabyś się od niego sporo nauczyć. A jeśli faktycznie się rozwiódł, powinnaś się za niego zabrać. Choć może być dla ciebie odrobinę za wysoki.

– Jest ode mnie wyższy najwyżej o piętnaście centymetrów – powiedziała Lucy, marszcząc brwi.

– Tylko? Miałam wrażenie, że jest bardziej postawny.

Barbara wzruszyła ramionami.

– Cóż, widziałam go tylko raz. Oho, melba brzoskwiniowa, moja ulubiona...!

Lucy udało się jakoś przebrnąć przez deser i kawę, później dołączyła nawet na chwilę do grupy osób przy barze. Jednak gdy tylko znalazła się w pokoju, zaczęła chodzić nerwowo od fotela do okna i do łóżka, targana to złością, to znów przygnębieniem, gdy tylko przypomniawszy sobie, co mówiła jej Barbara, i porównała z tym, co sama wiedziała – lub zdawało się jej, że wie – o Ricku. Z której strony by na to nie spojrzała, zawsze widziała dziury tak wielkie, że mogła przez nie przejechać ciężarówka.

Spała słabo i obudziła się przed telefonem z pobudką, powracając do wszystkiego myślami, gdy brała prysznic i ubierała się. Nie nosił obrączki, ale to jeszcze nic nie znaczyło. I, gdy się tak zastanawiać, rzadko mówił o przeszłości. Z drugiej zaś strony, podczas świątecznej podróży do Kalifornii mógł się spotkać nie tylko z żoną, ale i z adwokatem; mógł też pojechać spakować swoje rzeczy. Barbara uważała chyba, że nie byli zgodnym małżeństwem; całkiem możliwe, że do tej pory zdążył się już rozwieść. Niewinny aż do udowodnienia winy, przypomniawszy sobie. Zapytaj go. Pozwól mu wyjaśnić. Zależy ci na tym człowieku. Dzieliliś z nim łożę, na litość boską. Ale nie rób tego z hotelowego telefonu; porozmawiaj z nim osobiście.

Osoba Ricka – to kolejna sprawa, która nie dawała jej spokoju. Jak to możliwe, żeby tak doświadczony naukowiec, za jakiego uchodził, schrzanił ustawienie chromatografu i nie zauważył, że masy białek są błędne? I o co chodziło z tym jego wzrostem? To prawda, że ona była niska, ale Rick także do wielkoludów raczej nie należał.

Przynajmniej ten Rick Hollander.

Podniosła słuchawkę i wykręciła numer informacji w Palo Alto w Kalifornii, po czym zawahała się. To szaleństwo, pomyślała. Każdy w laboratorium może popełnić błąd. Ona sama przeoczyła luźne łączenie z przewodem doprowadzającym powietrze w swoim kombinezonie. Zaś Barbara mogła być kiepskim arbitrem wzrostu. Odłożyła słuchawkę, chwyciła za teczkę z materiałami konferencyjnymi i udała się na poranne spotkanie, uśmiechając się do własnej wybujałej wyobraźni.

Powiedziałem, że to ostatni raz, i mówiłem poważnie – upierał się.

Renée posłała mu swój leniwy uśmiech i zaczęła rozpinąć koszulę, którą on dopiero co zapiał.

– Przestań – nakazał rozzłoszczony.

Złapał ją za ręce, lecz ona się wyrwała i zabrała się za jego rozporek.

– Do diabła, Renée.

– Bądź grzecznym chłopcem, Rick, bo powiem o nas twojemu szefowi.

– On już wie – rzekł Rick, uwalniając się i cofając w głąb pokoju. – Czy to was właśnie rajcuje? Pieprzycie się z innymi i opowiadacie sobie potem, jak było?

– Ależ z ciebie niedobry chłopczyk, caro. Już ci mówiłam: Bill Miller nic dla mnie nie znaczy.

– Tak; i ja też nic dla ciebie nie znaczę; i hrabia de Palma nic dla ciebie nie znaczy. Wszyscy jesteśmy tylko zabawkami w twoich rękach.

– A chcesz być czymś więcej? – Renée wyglądała na zaskoczoną.

– Boże, skąd.

– No to w porządku. A więc nie będzie mnie w mieście do niedzieli, za to w poniedziałkowy wieczór...

– Nie, Renée. Już nie. Nie mogę.

– Ależ możesz – zapewniła go ze śmiechem Renée. Znów sięgnęła do jego krocza, lecz on zastawił się, po czym chwycił ją mocno za ramiona, obrócił, poprowadził przed sobą do łóżka i powalił.

– „Nie” znaczy „nie” – powiedział jej z sardonycznym uśmiechem. – Rozkaz Billa Millera.

– Bill?

Renée usiadła wzburzona.

– Bill mi rozkazuje?

– Nie tobie. Mnie.

Rick usiadł na łóżku w sporej odległości od niej.

– To sprawa interesów. Nic osobistego – dodał.

– A co interesy Billa mogą mieć do naszego pieprzenia? – pytała Renée.

– Poprosił mnie, bym miał oko na Lucy Nash – oznajmił, obserwując jej reakcję.

– Na kogo?

– Na tę kobietę, z którą byłem u niego na przyjęciu.

– A, tak, pamiętam...

Zamyśliła się.

– Ale po co to Billowi?

– Sama go zapytaj – odparł Rick. – Tak czy inaczej, nie możemy się więcej widywać. To zbyt ryzykowne.

Wstał i wyszedł do przedpokoju, zabierając po drodze marynarkę, którą Renée rzuciła na podłogę, dosłownie zdarłszy ją z niego, gdy tylko się pojawił.

– Chyba chciałabym się spotkać z tą Lucy – stwierdziła, odprowadzając go do drzwi. – Może przyprowadzisz ją w poniedziałek na kolację? Potem wszyscy troje moglibyśmy...

– Nie ma mowy – odrzekł Rick z widocznym zdenerwowaniem. – Ona nie jest taka jak ty.

– Nie? To masz pecha – odparowała Renée. – Może powinnam zaprosić ją na lunch i opowiedzieć, co lubisz w łóżku. To by ci chyba sprawiło przyjemność, nie?

– Nie radzę – powiedział stanowczo Rick, wychodząc na korytarz. – Chyba że chcesz mieć do czynienia z rozwścieczonym Billem Millerem.

– Myślisz, że to mnie przestraszy? Bill Miller? – oczy Renée ciskały błyskawice. – On jest nikim w porównaniu z...

Przerwała, zawahała się, po czym rzuciła się na Ricka, otwartymi ustami przywierając do jego ust, dłonią obejmując jądra.

– Naprawdę chcesz mnie zostawić? – wyszeptwała. Głaskała go, czując, jak robi się twardy; nagle cofnęła rękę i zrobiła krok w tył z urągłym uśmiechem na twarzy.

– Idź. W takim razie idź.

– W porównaniu z kim, Renée? – spytał cicho Rick.

Lecz drzwi były już prawie zamknięte.

Według planu cała konferencja miała się zakończyć o szesnastej, ale Lucy zapisała się na dodatkowe seminarium. Było więc w pół do dziewiątej wieczorem, gdy zabrała swoje bagaże z karuzeli na lotnisku LaGuardia i stanęła w ogonku do taksówki przed terminalem.

Była wykończona, lecz na szczęście kolejka posuwała się szybko i Lucy, przy akompaniamencie świszczących na mokrej jezdni opon, wkrótce znalazła się w mieście.

Zapłaciła taksówkarzowi i pośpieszyła do domu, ledwie dostrzegając mroczną postać skuloną w wejściu do pobliskiego budynku.

Choć miała nadzieję dłużej sobie poleniuchować, z niezadowoleniem stwierdziła, iż nie śpi już o siódmej trzydzięci następnego ranka. W głowie jej huczało. Wstała, wzięła prysznic i zaparzyła kawę. Potem siedziała, pijąc ją i pogryzając cynamonową grzanekę, i robiła listę spraw do załatwienia. Rzeczy do pralni. Kupić mleko i jarzyny. Zrealizować czek. Zadzwoić do Ricka.

Odstawiła kawę i podeszła do okna. Jej mieszkanie wychodziło na podwórka kamienic, cudownie zielone latem, lecz dość posępne w taki zimowy dzień jak ten.

Przeniosła kubek na skrzynię, na której stały dwie nieładnie wykończone peruwiańskie figurki. Głupie drewniane kloce, pomyślała; nie wiem, po co je trzymam. Ależ oczywiście, że wiedziała. Tylko tyle zostało jej po Jeanie; nie chodziło o ich romans – ten należał już do przeszłości – ale o zagadkę, której wciąż nie udało się jej rozwiązać. Jean-Pierre szmuglował cenne dzieła sztuki, jednak rzeczoznawcy zgodzili się, że te akurat statuetki były bezwartościowe. Jean dał znać Beno, że przywiezie unikatowy przedmiot. A przywiózł heroinę. To nie miało najmniejszego sensu. Może nigdy go nie będzie mieć. Ale czy to ważne?

Poczłapała do kuchni, by dolać sobie kawy; czuła się wymięta i rozdrażniona. Brak snu, stwierdziła. I brak pewności.

Wróciła na kanapę, zamieniając kubek na kartkę i ołówek. Kupić znaczki, zanotowała. Zadzwoić do Moniki.

Jej wzrok powędrował do statuetek. Przypomniało się jej, jak ojciec zwykł był się droczyć, nazywając ją Lucy-Zawziętą, twierdząc, że przypomina mu buldoga, którego miał w dzieciństwie. Jednak mówił to z miłością. Jako zawodowy oficer wpajał w nią hart ducha, niechęć do poddawania się nawet w chwilach porażki. Uśmiechnęła się na wspomnienie dawnego przydomku. Ojciec zmarł pięć lat temu na zastoinową niewydolność serca, a wciąż nie było dnia, by za nim nie zatęskniła.

Wstała i znowu podeszła do rzeźb. Boże, jakież one brzydkie. Mimo wszystko może popełniła błąd, nie pokazując ich Stanisławowi. Jean musiał mieć powód, by włożyć je do walizki. Może Beno pomógłby jej odgadnąć, co to za powód. Zerknęła na zegarek: po dziewiątej. Zanim dotrze na miejsce, będzie około dziesiątej. Za wcześnie na sobotnią wizytę? Ech, nie.

Ubrała się szybko, naciągając na dzinsy cholewy butów, wkładając na biały golf białoszkarłatny sweter. Rick i Monica, i znaczki, i jarzyny mogły poczekać.

Wygrzebała w kuchni torbę na zakupy i wepchnęła do niej rzeźby, przykrywając je ubraniami, które miała zanieść do pralni. Czy pogoń za tą sprawą świadczyła o jej szaleństwie? Może i tak, pomyślała, ale cóż, my buldogi już takie właśnie jesteśmy. Wyciągając z szafy w przedpokoju zieloną kurtkę, wyszła.

Na dworze było tak, jak wyglądało zza okna: typowy lutowy dzień, ze słońcem sromotnie przegrywającym walkę ze słabym zachmurzeniem i ulicami grząskimi od topniejącego śniegu i zaczynającej się odwilży.

Zostawiła ubrania w pralni, złapała autobus jadący na West Side i ruszyła wzdłuż Columbus Avenue. Przechodząc obok sklepu z antykami, dostrzegła na jego oknie wystawowym jaskrawożółty napis MIESZKANIE DO WYNAJĘCIA. Taka sama informacja prawie zasłoniła słowa STANISŁAS ARTS na domofonie przy wejściu do domu Beno. Wyprowadził się, uświadomiła sobie zszokowana Lucy. Znikł. Dlaczego?

Weszła do małego przedsionka i kilkakrotnie nacisnęła dzwonek, ale nie uzyskała odpowiedzi. Nie tego się spodziewała. Może ludzie ze sklepu z antykami będą coś wiedzieli, skoro wywiesili ogłoszenie.

– Nie słyszała pani? – zdziwił się wychudzony młody sprzedawca, do którego podeszła. – Było w wiadomościach.

– Co takiego?

– Staruszek został zamordowany – obwieścił, zniżając głos.

– Zamordowany? Mój Boże.

– Zadźgali go nożem. Policja twierdzi, że to była próba rabunku... – Zawahał się. – Przepraszam, pani była jego przyjaciółką?

– Tylko znajomą – odparła roztrzęsionym głosem Lucy. – Kiedy został... Kiedy to się stało?

– Znaleźli go w środę rano. Wiadomości Jedyнки przysłały ekipę telewizyjną. Robili wywiad z Lorenzo – kierownikiem sklepu. Nie widziała pani?

Lucy pokręciła głową.

– Nie było mnie w mieście. Jak do tego doszło?

– No, znaleźli go w środę – objaśniał młodzieniec wyraźnie ożywiony – ale nie żył już od dwóch dni. Może pani to sobie wyobrazić? Taki pech.

– Pech?

– Nie było go w domu chyba od Gwiazdki. Wrócił dopiero w ten weekend. Gdyby tylko został tam, gdzie był, trochę dłużej... Młody człowiek westchnął. Potem dodał:

– Cóż, tak jak mówiłem, policja uważa, że to na tle rabunkowym. Mieszkanie było przewrócone do góry nogami. Czy to nie straszne? I to w takiej okolicy.

– Tak, to okropne. Czy policja natrafiła na jakiś ślad?

– Nie. Biedak został zabity własnym nożem. Nie było na nim żadnych odcisków palców poza jego własnymi. Nikt z budynku nie pamięta, żeby ktoś podejrzany wchodził czy wychodził, ale tak naprawdę kto może mieć pewność, co widział dwa dni wcześniej? Nic pani nie jest? Pani drży.

– Tylko mi trochę zimno. Hm, czy mogę usiąść?

– Oczywiście.

Zaprowadził ją na wiktoriańską sofę z dala od okna.

– To bardzo nieprzyjemne, prawda? A mówią, że w mieście jest coraz bezpieczniej – dodał, prychając z drwiną. – Przy okazji, mam na imię Damien.

– A ja Lucy. Kto go znalazł?

– Ida Friedkin. Mieszka piętro wyżej. Wychodziła z psem na spacer i zwierzę zaczęło wyc pod drzwiami pana Stanisłasa, i ciągnąć za smycz.

Para ludzi w średnim wieku weszła do sklepu i zaczęła przyglądać się drewnianemu stołowi jadalnemu.

– Czy to pochodzi z Georgii? – zawołała kobieta.

– Obawiam się, że będzie pani musiała zapytać Lorenzo; to on jest kierownikiem – powiedział Damien. – Przy biurku, tam w tyle.

Para odeszła, a chłopak usiadł obok Lucy ze słowami: – Uważa, że jest teraz za dobry do

szlifowania podłogi, jak pokazali go w telewizji. No, tak jak mówiłem, okazało się, że pies Idy już od jakiegoś czasu węszył pod drzwiami pana Stanisłasa, gdy tylko wychodził na spacer, ale ona nie zwracała na to uwagi. A w środę pies wyrwał się jej i zaczął drapać w drzwi; te otworzyły się, pies wpadł do mieszkania i zaczął szczekać, więc Ida weszła do środka, a tam na podłodze leżał pan Stanislas, wszędzie było pełno krwi... Wbiegła tu do nas do sklepu, krzycząc i bełkocząc coś tak, że Lorenzo i ja ledwo ją zrozumieliśmy, a gdy w końcu zrozumieliśmy, zadzwoniliśmy na policję.

– To musiało być dla niej straszne.

– Tak. A po telefonie na policję Lorenzo zadzwonił do telewizji. I dlatego to jego pokazali – dodał Damien zjadliwie. – Chce pani szklankę wody albo coś innego? Jest pani strasznie blada.

– Nic mi nie jest – odparła Lucy.

Usiłowała przypomnieć sobie, czy Beno miał jej numer telefonu; chyba nie.

– Miał jakichś krewnych? – spytała. – Co się stanie z jego rzeczami?

Może to i objaw znieczulicy, ale Lucy odkryła, że wołałaby, żeby Beno wziął sobie do serca własną radę i dobrze ukrył swoje notatniki.

– Naprawdę nie wiem. Ale jeśli interesują panią antyki, mamy kilka pięknych rzeczy.

– Może innym razem. – Lucy wstała.

– Zechce pani wziąć moją wizytówkę. Ciągłe dostajemy nowe meble.

Znalazszy się na ulicy, Lucy stała przez chwilę, trawiąc usłyszane wiadomości. Rabunki się zdarzają; morderstwa też. Znawca z łatwością mógł włamać się przez drzwi przedsiionka i do mieszkania Beno...

Spiesznie wróciła do sklepu i znalazła Damiena.

– Mówił pan, że drzwi otworzyły się, kiedy zaczął w nie drapać pies – powiedziała. – Czy policjanci ustalili, że zostały wyważone?

Damien spojrzał zaskoczony.

– Nie mówiłem pani? To jest właśnie najbardziej przerażające. Para w średnim wieku znów podeszła do stołu; za nimi kroczył postawny młody mężczyzna: Lorenzo. Damien zerknął na nich i zniżył głos.

– Policja uważa, że pan Stanislas znał swojego zabójcę. Prawdopodobnie sam otworzył drzwi i wpuścił go do środka. Judaszowy podstęp, nieprawdaż?

– Rzeczywiście – zgodziła się Lucy.

– Jakby nie dość było tego, że trzeba się bronić przed obcymi – narzekał Damien, podchodząc do drzwi. – Kto by to pomyślał, że trzeba będzie uważać na własnych przyjaciół.

– Otóż to – rzekła powoli Lucy. – Kto by pomyślał, prawda?

Znów na dworze, skierowała kroki z powrotem pod drzwi do domu Stanisłasa i stała zapatrzona. Jeśli nawet Beno miał coś, co mogłoby wskazać na ich znajomość, na pewno zostało już znalezione. Przez policję. Albo przez mordercę.

Nic mi nie powiedziała – powtarzał Rick przez telefon. – Tak czy inaczej, od trzech dni jest w Waszyngtonie. Na jakiejś konferencji medycznej.

– Liczę na ciebie – mówił Bill Miller. – IMA na ciebie liczy. Bezpieczeństwo Lucy też może od ciebie zależeć.

– I kto tu teraz dramatyzuje?

– Niepokoję się o nią – obstawał przy swoim Bill. – A od naszej rozmowy minął już tydzień. Pamiętasz o umowie?

Rick westchnął.

– Tak, pamiętam.

– Więc kiedy masz zamiar znowu się z nią spotkać?

– Nie jestem pewien. Dzwoniłem do niej kilka razy dziś rano, ale odpowiadała tylko sekretarka.

– Próbuj dalej.

– Bill, nic z tego nie będzie, jak będziesz tak na mnie naciskał. Musisz pozwolić mi działać po swojemu. Obiecuję, że zadzwonię do ciebie, jak tylko powie mi cokolwiek o sprawie Jean-Pierre'a.

Chwila ciszy.

– W porządku, Rick. Ale mnie nie zawieźdź.

Trzymając siatkę z rzeźbami w dłoni, mocno wstrząśnięta śmiercią Beno, Lucy wysiadła z autobusu i ruszyła Drugą Aleją. Minęła już prawie warzywniak, gdy przypomniała sobie o liście spraw do załatwienia i wyciągnęła ją z kieszeni kurtki. Kupić jarzyny. Kupić mleko.

– Ej ty, doktor. Poczekaj.

Stała jak wryta, a w uszach dźwięczał jej znajomy głos.

– Dasz mi na kubek kawy?

Obróciła się i patrzyła na stojącą przed nią kręłą postać z papierowym kubkiem w wyciągniętej ręce.

– Nie poznałam cię, Ray – powiedziała. – Tak dobrze wyglądasz. Prawie cię minęłam.

Naprawdę dobrze wyglądał: był stosunkowo czysty, szpakowate włosy miał krótko ostrzyżone, a na nogach nowe buty. Pewnie poszedł w końcu do tego ośrodka rehabilitacji, który mu poleciłam, pomyślała. Ale w takim razie co znowu robił na ulicy? Wygrzebała z kieszeni dzinsów portfel i wyciągnęła dwie dolarówki.

– Martwiłam się o ciebie – rzekła, wrzucając pieniądze do kubka. – Gdzie się podziewałeś?

Ray chciwie patrzył na pieniądze.

– Byłem w gwiazdach.

– W gwiazdach? To opowiedz mi o tym...

Ale on odchodził już, szurając nogami, z kołnierzem postawionym w obronie przed przejmującym powietrzem. Zaciekawiona Lucy poszła za nim.

– Mam jeszcze jednego dolara, Ray – zawołała. – Jeśli opowiesz mi o gwiazdach, dam ci go.

Ray zatrzymał się i obrócił, by ją widzieć.

– Byłem w gwiazdach – powtórzył. – Byłem bardzo chory i zabrali mnie do gwiazd, i wyzdrowiałem.

Wyciągnął rękę po obiecane dolara.

Ktoś pewnie zabrał go do szpitala, pomyślała Lucy. Może tamten ośrodek to zorganizował. Musiał być strasznie chory; nie było go widać bardzo długo. Dziwne, nie wyglądał źle, kiedy go ostatnio spotkała.

– I jak było w gwiazdach? – spytała, znów sięgając po portfel.

– Było ciepło – powiedział, niedbale drapiąc się po szyi. – Bardzo ciepło. I spałem w łóżku. I były tam anioły, złote anioły.

Lucy uśmiechnęła się. Z doświadczenia wiedziała, że niektóre pielęgniarki to rzeczywiście istne anioły.

– Znasz nazwę tego szpitala? – spytała, przytrzymując dolara nad wyciągniętym kubkiem.

W oczach Raya wyczytała jednak, że dzisiaj nic więcej już z niego nie wyciągnie.

– Mieszkalem w wielkiej gwiazdzie – wymamrotał. – Dużo nas było. Wszyscy mieszkaliśmy w wielkiej gwiazdzie i fruwaliliśmy z aniołami.

Niecierpliwie potrząsnął kubkiem i Lucy wpuściła banknot do środka.

– Dbaj o siebie, Ray – powiedziała. – Kup sobie coś do jedzenia.

– Kupie.

Odwrócił się i już machał swoim kubkiem pod nosem innego przechodnia, drugą ręką znów grzebiąc pod kołnierzem kurtki.

– Ray? Co masz na szyi?

Lucy podeszła, by się bliżej przyjrzeć, i poczuła, że przechodzi ją dreszcz.

– Co? Zostaw mnie – zaprotestował natychmiast, stawiając kołnierz i odsuwając się do tyłu.

– Zaczekaj...

Ale on szedł już ulicą, miotając przekleństwa, mamrocząc coś pod nosem i wymachując ramionami.

Lucy stała jak wryta, patrząc, jak odchodzi. Musiałam się pomylić, pomyślała; to zwyczajnie niemożliwe. A jednak chwilę przed tym, jak Ray postawił kołnierz, dostrzegła coś, co wyglądało jak sześć purpurowych blizn w kształcie półksiężyca.

W mieszkaniu dzwonił telefon, kiedy Lucy mijała drzwi, zapomniawszy o jarzynach i mleku. Gdy rzuciła się po słuchawkę, jej umysł wciąż zmagał się ze znaczeniem blizn na szyi Raya.

– Witaj w domu – odezwał się Rick. – Jak było?

– Świetnie – odparła półprzyciennie.

Zostawiła torbę z rzeźbami na kanapie i wysupłała się z kurtki. Peruwia, myślała bez przerwy. Skąd u Raya mogła wziąć się peruwia?

– A twój odczyt powalił wszystkich na nogi?

– Było świetnie – powtórzyła Lucy, rzucając kurtkę w stronę szafy. Te złote anioły... Chwila milczenia.

– Dziwnie ze mną rozmawiasz. Wszystko w porządku?

Lucy opadła na fotel przy biurku. Nie, pomyślała; nic nie jest w porządku. Beno i Szalony Ray, i ten ciepły, atrakcyjny mężczyzna, na którym zależy mi bardziej, niż sama chciałabym się przed sobą przyznać. W głowie huczało jej od pytań i nie mogła już czekać do wieczora, by uzyskać odpowiedź na przynajmniej jedno z nich.

– Rick, muszę cię o coś zapytać.

– Wał śmiało.

– Jesteś żonaty?

– Czy jestem...? – Jego głos stał się ostrożny. – Kto ci o tym powiedział?

– Wymieniłam twoje nazwisko przy koleżance na zjeździe. Okazuje się, że znała cię trochę, jakiś czas temu. Wspomniała o twojej żonie, Ksantypie... a właściwie to Eleanor.

– Kim jest ta koleżanka? Jak się nazywa?

– Nieważne. Czy to prawda? Jesteś żonaty?

Rick westchnął.

– Teoretycznie tak. Ale rozwodzę się, Lucy. Dlatego musiałem jechać do Kalifornii. Dopatrzeć kilku ostatnich szczegółów.

Lucy milczała.

– Posłuchaj, dam ci numer telefonu mojego prawnika – rzekł po chwili. – Sama możesz go zapytać.

– Czemu mi nie powiedziałeś? – spytała cicho.

– Nie wiem... Chyba uważałem, że to nie ma znaczenia. Albo nie będzie miało, gdy sprawa dobiegnie końca. A to nastąpi już wkrótce, Lucy, przysięgam... – Zawahał się. – Nigdy nie miałem zamiaru cię skrzywdzić. Wiesz, niezręcznie mi o tym rozmawiać przez telefon. Moglibyśmy zjeść dzisiaj razem kolację? Porozmawiać twarzą w twarz?

– Ja... chyba nie mam dziś ochoty na kolację – odparła Lucy. Beno Stanislas znał swego zabójcę. Czy powiedział mu o niej przed śmiercią?

– To nie fair – żalił się Rick, źle zrozumiałwszy jej niechęć do spotkania. – W porządku, przyznaję, że nie byłem z tobą całkowicie szczery. Ale Eleanor i ja byliśmy w separacji od miesięcy, jeszcze zanim tu przyjechałem. Do licha, to przecież jeden z powodów, dla których tu przyjechałem. Lucy?

– Wiele... złych rzeczy wydarzyło się dzisiejszego ranka – powiedziała powoli Lucy. – Fakt, że jesteś żonaty, to jak jakaś przeklęta koktajlowa wisienka na czubku kremowego deseru.

– Jakich złych rzeczy?

– Dowiedziałam się, że ktoś, kogo znałam, został zamordowany podczas włamania do własnego mieszkania w zeszłym tygodniu. I...

Przerwała, nieskora nagle do mówienia o bliznach na karku Raya. Ledwo udało mi się na nie

zerknąć, powiedziała sobie. Mogłam się pomylić. Na pewno się pomyliłam.

– Pozwól sobie pomóc, Lucy. Zjedz ze mną kolację. Lecz Lucy milczała.

– Nie rób mi tego – rzekł cicho. – Nie pozwól, by to się tak skończyło.

Skończyło? Nagle ogarnęło ją przerażenie. Przerażenie wywołane morderstwem Beno, bliznami i możliwością utraty człowieka, na którym zaczęło jej naprawdę zależeć. Wzięła kilka głębokich wdechów i spróbowała skupić się tak, jak robiła to przed wkroczeniem do gorącego laboratorium. Trzeba rozwikłać każdą sprawę z osobna, powiedziała sobie.

– Skoro twoje małżeństwo naprawdę jest już skończone... – zaczęła ostrożnie.

– Moje małżeństwo było skończone już całe lata temu – zapewnił ją z goryczą Rick. – Jeśli twoja koleżanka, kimkolwiek jest, zna mnie choć odrobinę, powinna o tym wiedzieć.

Słusznie, stwierdziła Lucy. Barbara mówiła, że o ich związku zawsze krążyły opowieści. Sugerowała, że Rick może być rozwiedziony.

– Być może popełniłem błąd, nie mówiąc ci o wszystkim – ciągnął – ale też nie okłamałem cię przecież. I naprawdę się rozwodzę. Nigdy bym cię nie skrzywdził. Musisz mi zaufać.

Przerwał na chwilę.

– W naszym związku nie chodzi mi tylko o łóżko, rozumiesz? Zależy mi na tobie, Lucy. Bardzo mi zależy. Nie spytam, czy ty czujesz podobnie. Wiem, że nie chcesz pośpiechu. Do diabła, widujemy się już od ponad miesiąca, a ty nigdy nie zaprosiłaś mnie do siebie. Pewnie masz swoje powody i uszanuję to. Nie całkiem to rozumiem, ale szanuję. Chodzi mi o to, że ufam ci, mimo iż nie do końca cię rozumiem. I jeśli mamy zamiar nadal się spotykać, musisz mi zaufać tak samo.

Jak mogłam zwątpić w tego człowieka? – pomyślała Lucy. On jest jak skała: mocny, bezpieczny i stały. Ogarnęło ją uczucie niewypowiedzianej ulgi, gdy pomyślała o czymś bezpiecznym i stałym w wirze wydarzeń poranka.

– Nie wychodźmy dziś na kolację – zaproponowała. – Może zamiast tego ugotuję coś u siebie? Co byś na to powiedział?

Rick nie odzywał się przez chwilę. W końcu rzekł: – O niczym innym tak nie marzyłem.

A więc co on twoim zdaniem zamierza?

– Wiesz tyle co i ja. Czytałeś mój raport.

– Daj spokój, Rossetti. Działasz na linii frontu. Jakie masz przecucia?

– Na razie żadnych.

– I wciąż nie wiesz, co z kolei ona zabrała z mieszkania Didiera, jak sądzę.

Rossetti pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia.

Starszy z mężczyzn przyglądał się młodszemu ponad odrapanym drewnianym stołem.

– Jak to mawiała moja babka Żydówka, nie da rady tańczyć z jednym tyłkiem na dwóch weselach. Rozumiesz, co mam na myśli?

Rossetti westchnął.

– Nie pakuję się w to ze względu na własny interes, jeśli to sugerujesz.

Sięgnął po piwo, ale zmienił zdanie i odsunął szklanke.

– Niezła insynuacja, Tom.

– Przepraszam, nie to miałem na myśli.

Starszy mężczyzna sięgnął po ziemniaczanego chipsa, zawahał się i obrócił go w palcach.

– Lekarz mi mówi, że powinienem ograniczyć cholesterol. Nie, chodziło mi o to – kontynuował, patrząc na Rossettiego – żebyś się nie angażował uczuciowo.

Wepchnął chipsa do ust i pogryzł.

– A pieprzyć go.

– Ciekawe podejście – stwierdził Rossetti. – W końcu to nie lekarzowi grozi wieńcówka. No – rzekł, podnosząc się – jeśli jest coś jeszcze, o co chciałbyś mnie oskarżyć, to chyba lepiej już pójdę.

– Pamiętaj tylko, co ci powiedziałem. Chcę się z tobą zobaczyć we wtorek.

– To już za trzy dni – zauważył Rossetti. – O czym mielibyśmy rozmawiać?

Kompan popatrzył na niego żółtawymi oczami.

– Znajdź coś.

Pływająca wyspa – oznajmiła Lucy, nakładając krem i bezy do niebieskich miseczek. – To jakbyś jadł obłoki. Podała jedną Rickowi.

– Zawsze myślę o tym jak o jedzeniu pocieszenia.

– Jedzenie pocieszenia?

– No wiesz, jak frytki. Albo pasztet z kurczęcia.

– Nie wiem, o co chodzi z tą pociechą – stwierdził Rick, energicznie szuflując deser – ale jest przepyszne. A więc łosoś coubliac też był daniem pocieszenia?

– Nie, nim chciałam się tylko przed tobą popisać. Uśmiechnęła się i dołała wina do obu kieliszków, ale wzrok miała nadal zatroskany.

Rick wyciągnął rękę i położył na jej dłoni.

– Cudowna z ciebie kucharka – rzekł delikatnie – ale jedzenie bardziej ci już nie pomoże. Czy pozwolisz mi obdarować cię odrobiną ludzkiej pociechy? Nie sądzisz, że dobrze zrobiłaby ci rozmowa o tym twoim przyjacielu?

– To nie był właściwie mój przyjaciel, ale... to dość skomplikowane.

Spojrzała na niego.

– Prawdę mówiąc, chciałam ci o tym opowiedzieć. Zawahała się – od czego zacząć?

– Człowiek, którego zamordowano, nazywał się Beno Stanislas. Spotkałam go tylko raz, mniej więcej półtora miesiąca temu. Handlował dziełami sztuki.

– Jak go poznałaś?

– Proszę, Rick, pozwól, że opowiem to po swojemu. Sięgnęła po kieliszek z winem i w

zamyśleniu wzięła mały łyk.

– Beno specjalizował się w sztuce prymitywnej. Jego i Jean-Pierre’a łączyły... jakieś interesy.

– Jean był kolekcjonerem?

Lucy uśmiechnęła się ponuro.

– W pewnym sensie. Był przemytnikiem. Wywoził cenne dzieła sztuki z krajów, do których posłała go IMA, i przemycał je do Stanów. Z ramienia organizacji odbył całkiem sporo podróży do Ameryki Południowej i miał układ z handlarzem w Limie. Stanislas był jego nowojorskim paserem. Jednym z kilku.

– Poważnie?

Lucy potaknęła.

– To prawie niewyobrażalne, lekarz uwikłany w coś takiego.

– Pewnie dlatego prawie zawsze mu się udawało.

– Musiało tam chodzić o wielkie pieniądze – stwierdził Rick. – Przypomnij sobie kolekcję Millera. Przypuszczam, że dla właściwego człowieka to mogło być dosyć kuszące.

– Jean lubił sobie dobrze pożyć – wspominała Lucy. – Mówił, że ma zamożną rodzinę.

– Cóż, przynajmniej jeden jej członek na biedę nie narzekał.

Lucy pokiwała głową.

– Beno zdradził mi, że wielu kolekcjonerów nie zważa na pochodzenie, tylko na autentyczność przedmiotów. Nie mieści mi się to w głowie.

– Prawdziwi pasjonaci czegokolwiek to swego rodzaju maniacy – orzekł Rick. – Fanatycy.

– Właśnie tak określił siebie Bill – powiedziała Lucy. – Zastanawiam się, czy nie należał on do klientów Beno.

– Święty doktor Miller kupuje szmuglowane dzieła sztuki? – zadrwił Rick.

Przypomniało mu się jednak, jak bardzo Bill podkreślał znaczenie pragmatyzmu.

– Pytałam nawet Beno, ale zaprzeczył, że w ogóle go znał. Myślę jednak, że to właśnie nazwisko Billa sprawiło, że mnie wpuścił.

Rick uniósł brew.

– Wyparł się, twierdząc, że kręcili się dokoła jacyś ludzie i go szpiegowali. Myślał, że jestem jedną z nich i chciał mi się przyjrzeć.

– Gdyby Millera interesowała przemycana sztuka, czy nie kupowałby bezpośrednio od Jean-Pierre’a?

– Może by coś kupił – odparła Lucy – gdyby Jean mógł stawić się na umówione spotkanie. Ale zmarł na dwa dni przed tą datą. Popiła wina.

– Z drugiej strony, nawet tak zapalony kolekcjoner jak Bill odmówiłby chyba kupna przedmiotu, o którym wiedziałby, że został przemycony. Stanislas jednak był handlarzem; Bill mógł kupować od niego, czy od jakiegokolwiek innego dealera, i wmawiać sobie, że nie robi nic niezgodnego z prawem. Tak długo, jak nie zadawałby zbędnych pytań.

– Nigdy nie potrafiłem zrozumieć pędu do posiadania tego rodzaju rzeczy – wyznał Rick. –

To jak z ludźmi, którzy podróżują w egzotyczne miejsca i większość czasu spędzają w sklepach z pamiątkami.

– Tak, tyle że mowa tu o pamiątkach dość nietuzinkowych.

– Zasada jest ta sama. Mogę?

Dołożył sobie jeszcze deseru.

– Do mnie przemawia piękno natury – mówił. – Zwłaszcza w tak delikatnym środowisku jak południowoamerykańskie lasy deszczowe. To ostatnie nienaruszone regiony na ziemi... to jest to, co z nich zostało. Równowaga ekologiczna jest tak krucha. Zabieranie stamtąd czeokolwiek to jak... gwałt.

– Byłeś tam kiedyś? – spytała zaskoczona Lucy.

– Jest tyle mądrości – ciągnął, ignorując pytanie – w tym starym powiedzeniu o zabieraniu tylko fotografii, a pozostawianiu jedynie śladów stóp.

– Bill nie zgodziłby się z tobą – rzekła Lucy. – On uważa, że dzięki swej kolekcji pomaga zachować dziedzictwo etniczne.

– Jasne. – Rick nabrał na łyżeczkę trochę kremu. – Zdziwiał, nieprawdaz, jak ludzie potrafią znaleźć wytłumaczenie, kiedy im na czymś zależy. Nawet Jean-Pierre potrafiłby pewnie pięknie uzasadnić swoje szmuglowanie: „Mamy niesprawiedliwe prawo, trzeba promować wolny handel, daję światu dostęp do dzieł sztuki, które w innym wypadku pozostałyby w ukryciu, niedocenione...”. Choć nie mam pojęcia, jak można usprawiedliwić handel narkotykami.

– Jean nie mógł przemycić narkotyków – kategorycznie orzekła Lucy. – Nie potrzebował tego; robił takie pieniądze na sztuce.

– Dodatkowy dochód to taka miła rzecz...

– Beno też chyba tak uważał – przyznała Lucy. – Przeczytał o aresztowaniu Jeana za prochy i uznał go za winnego. Ale...

– Może Beno sam rozprowadzał heroinę?

– Nie, wściekł się, gdy go o to oskarżyłam.

– A ty mu uwierzyłaś?

– Tak.

Lucy zadrżała na wspomnienie staruszka podającego jej herbatę i ciasteczka.

– To... Przeraza mnie myśl, że nie żyje.

– Nieuzasadniona przemoc zawsze jest przerażająca – powiedział Rick. – Ale ty mieszkasz w bezpiecznym budynku, masz portiera...

– Nie boję się przypadkowych aktów przemocy – odparła cicho Lucy. – Beno Stanislas nie został zabity podczas włamania. Nie było żadnego włamania. Sam otworzył drzwi swojemu zabójcy.

– Ale... czemu to miałyby cię przerażać?

Przez chwilę Lucy się nie odzywała.

– Jeśli Beno przed śmiercią powiedział o mnie mordercy, mogę być następną.

- Nie rozumiem.
- Znalazłam notes Jeana ukryty w jego biurku.
- Słucham?

Rick nachylił się, marszcząc brwi.

– Są w nim wymienieni dostawcy i różne galerie, sumy pieniędzy, które otrzymał, a może był winny, nie wiem. Stąd dowiedziałam się o Stanislasie.

A potem dodała:

- Beno poradził mi, bym dobrze go schowała.
- Notes... Gdzie on jest?

Lucy spojrzała na niego zaskoczona.

– To znaczy, schowałeś go chyba w jakimś bezpiecznym miejscu?

Skinęła głową.

– Może powinnaś...

Przejmujący dzwonek telefonu przerwał to, co chciał powiedzieć Rick.

– Mogę zostawić to automatycznej sekretarce – zaproponowała niepewnie Lucy.

– Nie, odbierz – odparł Rick. – Ja zbiorę ze stołu. Wstał i zaczął składać na stos naczynia po deserze. Lucy poszła do pokoju dziennego i podniosła słuchawkę.

– Nie dzwonisz, nie piszesz... – drażniła się Monica. – Mów, jak było na konferencji. Jak poszedł referat?

– Bardzo dobrze – odparła Lucy. – Dostałam twoją wiadomość, ale tyle rzeczy... cóż, byłam bardzo zajęta.

- Wybaczam ci. Wiesz, w piątek rozmawiałam z Tedem Wileym. Kazał cię pozdrowić.
- Ted? Jak mu się podoba w Teksasie? To chyba spora odmiana w porównaniu z CDC.
- Nie może się nachwalić. Był ciekaw, jak wam idzie.
- Z peruwia?

Za jej plecami Rick stanął w przejściu między jadalnią a kuchnią.

– Pracujemy nad analizą białek i sekwencją genów.

– Znaleźliście ten drugi szczep?

– Nie. Carl Anders upiera się, że nie ma żadnego drugiego szczepu – powiedziała Lucy.

Rick podszedł bliżej.

– To wszystko jest raczej dziwne – dodała.

– Skoro o dziwactwach mowa – rzekła Monica – ten Anders sam ma chyba niezbyt równo pod sufitem. Czekaj chwilę...

Lucy usłyszała w tle głos Howarda.

– Howard każe ci powiedzieć, że twój świąteczny prezent był najsmaczniejszą rzeczą, jaka kiedykolwiek znalazła się w paszczy Maxa.

– Ten wasz pies to bestia.

Lucy roześmiała się.

– Udało ci się zrobić to zdjęcie, o które prosiłam? Czy zwierzę zżarło także film?

Monica zarechotała.

– Film jest ciągle w aparacie. Za parę lat może skończymy rolkę. Mów lepiej, co porabiasz dziś wieczorem?

– Prawdę mówiąc, mam akurat, hm, towarzystwo...

Rick zniknął w kuchni.

– Ale przysięgam, że zadzwonię jutro rano – dodała szybko.

– Męskie towarzystwo?

– Tak.

Lucy odwróciła się w stronę kuchni, z której dobiegał dźwięk puszczonej wody.

– Cóż, nie będę stawała na drodze wielkiej miłości – rzekła Monica. – Pogadamy jutro, kotku.

Z uśmiechem na ustach Lucy odłożyła słuchawkę i ruszyła do kuchni, po czym zmieniła kierunek i udała się korytarzem do łazienki. Gdy stała przed lustrem, czesząc się i poprawiając szminkę na ustach, cieszyła się, że powiedziała Rickowi o Stanislasie. Czowała, że uspokoiła się nieco, podzieliwszy się z kimś swoim strachem. Poza tym, jak powiedział, budynek, w którym mieszkała, był bezpieczny; miała portiera...

Otworzyła drzwi i ruszyła korytarzem, lecz po chwili zamarła w bezruchu. W jej piersiach narastał krzyk. Przed nią stał Rick z zacisniętym w dłoni ogromnym kuchennym nożem.

– Zastanawiałem się, gdzie poszłaś – powiedział, zbliżając się do niej.

Peseta – rzekł Bill Miller.

Siostra Margareta włożyła mu ją do ręki, a on delikatnie wyciągnął odłamek szkła.

– Mam go. Maść z antybiotykiem – zwrócił się do zniszczonej kobiety na kozetce – i będzie pani jak nowa.

– Bez szycia? – spytała z obawą kobieta.

– Bez; tylko bandaż – zapewnił ją.

– Proszę nie wstawać – poleciła pacjentce Margareta, przytrzymując ją za ramię. – Doktor jeszcze nie skończył.

– Nie mogę się nachwalić siostry i reszty personelu – powiedział przez ramię Bill do Margarety, nie przerywając pracy. – Naprawdę mocno ryzykowałem, zdobywając pozwolenie na zatrzymanie pacjentów tutaj.

Gdyby to się rozniosło... W porządku, kochana – rzekł do pacjentki – skończyliśmy. Proszę spróbować utrzymać to w czystości – dodał, kiedy kobieta zwlokła się z kozetki. – Jutro siostry zmienią opatrunek – zawołał, gdy w pośpiechu opuszczała pokój. – Ktoś jeszcze?

– Ona była ostatnia. Zapraszam teraz na kawę.

Doktor Miller podążył za nią korytarzem do służącej za biuro klitki. Za ich plecami, z podwójnych drzwi na końcu hallu zdjęto właśnie wielki czerwony napis informujący o

kwarantannie. Misja na powrót była otwarta, przez całą noc udzielała pomocy i schronienia.

– Sto procent pacjentów powróciło do zdrowia – mruczał pod nosem.

– Zadziwiające.

– Dzięki pana umiejętnościom, doktorze – wspaniałomyślnie pochwaliła go Margareta.

Bill usadowił się na małej wytartej sofie, a siostra napełniła papierowe kubki gorącym, ciemnym płynem z jej prywatnego ekspresu.

– Niestety nie mam mleka. Ale jest cukier.

– Wypiję czarną.

Uśmiechnął się i wziął kubek z jej wyciągniętej dłoni.

– Nawet siostra nie wie, jak się cieszę.

– Dobry z pana człowiek, doktorze – mówiła Margareta. – Tak się pan cieszy swoim sukcesem. Nie, niech pan nie będzie taki skromny. Tak wielu ludzi uważa, że nasi... podopieczni nie są warci zachodu. Jestem bardzo dumna z pielęgniarek, które z nami pracowały – kontynuowała.

– Ale gdyby nie ten antybiotyk...

– To nie antybiotyk – przypomniał jej delikatnie. – Ten szczep był oporny na antybiotyki, pamięta siostra?

– Oczywiście. – Margareta zmieszała się. – To znaczy... leki, które pan zaaplikował, a które pomogły im wyzdrowieć. Ale Bill pokręcił głową.

– Naprawdę zrobiłem niewiele – odparł. – Ja tylko walczyłem z infekcjami wtórnymi. To wam należą się brawa za ich wyleczenie. Wasza troska, poświęcenie, wasz profesjonalizm... Wszyscy jesteście aniołami miłosierdzia.

Uśmiechnął się do niej.

– Jesteście aniołami.

Odziani od stóp do głów w kombinezony ochronne z zapasem powietrza na plecach zjawili się na opuszczonym oddziale jak astronauty na księżycu. Zgromadzili sprzęt pośrodku pomieszczenia i rozpakowali wybielacz i taśmę.

Carl rozejrzał się po poplamionych ścianach, gołych metalowych łózkach. Materace, poduszki i pościel zostały umieszczone w nieprzepuszczających patogenów workach i spalone. W pokoju nie było okien, a powietrze, które wpadało przez otwory w suficie, krążyło w szczelnie odizolowanym systemie. Jeden z ludzi ustawił drabinę i zdjął sieć przewodów wentylacyjnych. Siatka i drabina pozostała tu aż do zakończenia całego procesu.

Mężczyźni zaczęli zmywać ściany, sufit i podłogę związkami chloru. Czyścili też łóżka, stojaki pod kroplówki, szafki, biurko. Otworzyli drzwi prowadzące do pustego teraz pomieszczenia mieszkalnego dla personelu i tam także zabrali się za szorowanie.

Carl bacznie ich obserwował. Kiedy uznał, że wystarczy, poprosił o taśmę. Wraz ze swymi ludźmi zakleił miejsca styku ściany z podłogą, ściany z sufitem, każdego punktu, przez który

mogłoby przesączyć się powietrze.

Teraz mężczyźni zaczęli rozwijać długi, ciężki kabel z umieszczonymi na całej długości gniazdkami, prowadząc go grubą, czarną linią przez oba pokoje. Podczas gdy inni rozpakowywali elektryczne patelnie, Carl przeszedł przez pomieszczenia, rozkładając paseczki papieru zawierające próbki *Bacillus subtilis niger*.

Gdy kabel znalazł się na właściwym miejscu, mężczyźni zaczęli podłączać patelnie i nastawiać je na najwyższą temperaturę. Z tyłu szedł Carl i na każdej z nich kładł biały kryształ formaldehydu.

Jeszcze jedno spojrzenie i Carl dał ludziom znak, by wyszli. Kiedy ostatni z mężczyzn znalazł się na korytarzu, podłączył koniec grubego kabla do gniazda wysokiego napięcia i zamknął drzwi. Gdy patelnie grzały się, zamieniając kryształy w gaz, dwaj mężczyźni szybko okleili taśmą drzwi z zewnątrz.

Przez siedemdziesiąt dwie godziny pomieszczenie pozostanie szczelnie zamknięte, wypełnione zabójczym gazem. Potem Carl wróci, zbierze papierki z próbkami i obejrzy je pod mikroskopem. *Subtilis niger* niełatwo daje się zabić, ale był prawie pewny, że formaldehyd załatwi sprawę. A jeśli okaże się, że pałeczki są martwe, wtedy martwe będzie wszystko, co tu kiedykolwiek żyło. Przynajmniej taką miał nadzieję.

Lucy krzyknęła i rzuciła się do łazienki, zatraskując za sobą drzwi i drżącymi palcami przekręcając zamek. Sapiąc, oparła się o umywalkę i zastanawiała się, czym mogłaby się obronić. W apteczce był alkohol; by wycelowała mu w oczy...

– Co u licha...?

Rick był przy drzwiach.

– Lucy?

Koło sedesu znajdowało się małe okienko. Otworzyła je i wyjrzała w dół na maleńki dziedziniec. Tędy się nie wydostanie, ale może krzyczeć. Może ktoś ją usłyszy. Ktoś, kto w środku lutego będzie miał otwarte okna. Jasne.

– Lucy? Nic ci nie jest?

– Na razie nie – odparowała. – Zawiedziony?

– Co?

Pokręcił klamką.

– Otwórz drzwi.

– Po co? Żebyś mógł mnie zabić, tak jak zabiłeś Stanisłasa?

– Tak jak zabiłem...?

Przez chwilę milczał rażony jak gromem tym, co mu powiedziała.

– O Boże. Pomyślałaś...?

Kolejna chwila ciszy, po której Lucy usłyszała dźwięk przedmiotu wsuwanego pod drzwi. Z przerażeniem patrzyła, jak ostrze noża skierowane w jej stronę wślizguje się do łazienki.

– Proszę – zawołał Rick przez drzwi. – Weź go.

Ostrze kontynuowało swą powolną wędrówkę po podłodze, zatrzymując się na chwilę przy rękojeści. Usłyszała, jak Rick przeklina, po czym pod drzwiami przecisnęła się reszta noża. Lucy schyliła się i podniosła go.

– Masz? – spytał przez drzwi. – To popatrz na ostrze. Zeskrobywałem przypalone resztki z tej cholernej brytfanny. Widzisz?

– Wziąłeś mój najlepszy nóż, żeby wyczyścić brytfannę? – wykrzyknęła.

Rick roześmiał się.

– Tak już lepiej.

Cisza.

– To możesz teraz wyjść.

– Nie tak prędko. Czemu szukałeś mnie z nożem w dłoni?

– Czyściłem to przeklęte naczynie, Lucy, a zaczął dymić piekarnik. Coś się tam przypała.

– Cholera. Magdalenki.

– Były magdalenki. Wołałem cię, ale nie odpowiadałaś, więc wybrałem się na poszukiwanie.

– Z nożem?

– Jak widać. Źle to wszystko odebrałaś, zapewniam cię, ale dym z piekarnika trochę mnie zaniepokoił. A więc wychodzisz?

Lucy zastanowiła się.

– Wyłączyłeś piekarnik?

– Nie. A powinienem?

– Chyba że chcesz mieć tu zaraz straż pożarną. I zalej te spalone ciastka.

Przyłożyła ucho do drzwi i nasłuchiwała odgłosu oddalających się kroków. Potem bardzo cicho przekręciła zamek i uchyliła drzwi. Wystawiając głowę, dostrzegła jego oddalające się plecy; skradała się korytarzem w sporej odległości za nim. W powietrzu unosił się mowiący sam za siebie zapach palących się magdalenek. Przyglądała się, jak wyłącza piekarnik, dłonią w kuchennej rękawicy wyjmując blachę z ciastkami i wrzuca zwęglone resztki do kosza na śmieci.

– Niech wystygnie, zanim umyjesz – poinstruowała od wejścia z jadalni.

Blacha uderzyła o posadzkę, a Rick obrócił się.

– Chryste! Na śmierć mnie przeraziłaś, Lucy!

– No to chyba jesteśmy kwita.

Patrzyli na siebie dłuższą chwilę. Rick podszedł i objął ją, a ona nagle zaczęła drzeć.

– Już dobrze – mówił jej. – Wszystko w porządku.

Głaskał jej włosy i szeptał do ucha, trzymał ją w ramionach, a kawa wydała się nagle niepotrzebna, naczynia mogły poczekać do rana, i już byli w łóżku, ich ubrania rozrzucone po pokoju, ich ciała połączone, usta zespolone, a Lucy poczuła, jak zatapia się w jego bliskości, dotyku i smaku. Długą chwilę potem spoceni, czerwoni i spełnieni spali w swoich objęciach.

Przebudziła się około czwartej, wytracona ze snu przez jakiś dźwięk, jakiś ruch. W pokoju

panował półmrok. Obok niej leżała wkleśnięta poduszka i wymięta kołdra. Gdzie się podział Rick? Pewnie w toalecie, stwierdziła; wypili do kolacji sporo wina. Zamknęła oczy, ale cichutki dźwięk sprawił, że znów je otworzyła. Ostrożnie, nie ruszając się nawet, rozejrzała się po pokoju i całkiem się obudziła. Rick stał przy jej toalecie, bardzo zajęty. Nie wierząc własnym oczom, patrzyła, jak przeszukuje jej szuflady, szybko i metodycznie. Potem na palcach podszedł do drzwi i zniknął.

Powoli i bezgłośnie Lucy wyszła z łóżka i ruszyła za nim. Słyszała, jak otwiera i zamyka szafki kuchenne. Muszę położyć temu kres, i to natychmiast, pomyślała, z walącym sercem spiesząc z powrotem do sypialni. Oparła się o futrynę z nadzieją, że będzie wystarczająco przekonująca w roli kobiety, która właśnie się przebudziła i rozczarowała, nie znalazłszy u swego boku kochanka.

– Rick? – zawołała płacziwie. – Gdzie jesteś? Zjawił się w korytarzu ze szklanką w dłoni; wyglądał na niespokojnego.

– Lucy? Obudziłem cię? Strasznie chciało mi się pić. Wziął jeden ostentacyjny łyk i podszedł do niej.

– Chcesz trochę? Długo już nie śpisz?

Pokręciła głową ospale.

– Śnił mi się koszmar – powiedziała. – Obudziłam się, a ciebie nie było.

Otoczył ją ramieniem i zaprowadził z powrotem do łóżka.

– Biedactwo – rzekł. – Taka nerwowa. Najpierw zdaje się jej, że chce ją zabić, teraz śnią jej się kosmary... Tulił ją w ramionach, naciągając kołdrę.

– Jestem tu, dziecinko – mówił. – Jestem. Śpij, kochanie. Ja cię obronię.

A więc ty mnie obronisz, tak? – myślała ponuro Lucy, leżąc w jego ramionach i starając się nie zasnąć. A kto obroni mnie przed tobą?

Spałaś choć trochę?

– Niewiele.

Siedzieli naprzeciwko siebie przy stoliku, popijając mocną kawę.

– Na pewno nie jesteś głodna? – spytał Rick. – Rogaliki są naprawdę świetne.

– Smacznie wyglądają – odparła Lucy – ale nie.

Ich rozmowa kuląła tego ranka, zwłaszcza ze strony Lucy. Rick złożył to na karb zmęczenia, co było poniekąd prawdą. Nie wiedział, że widziała go przeszukującego mieszkanie, nie wiedział, że zastanawia się teraz, kim jest ten siedzący naprzeciw niej nieznajomy.

– A więc jakie masz plany? – spytał. – Obejrzymy film? Pójdziemy do opery? A może po prostu powłóczymy się po mieście?

– Prawdę mówiąc, muszę dziś wpaść na parę godzin do szpitala.

– W niedzielę?

– Niestety, pacjenci nie biorą wolnych weekendów.

– Możemy spotkać się potem?

– Nie wiem, ile czasu spędzę w pracy, i jestem naprawdę zmęczona. Możemy odłożyć to na inny dzień?

Rick wyglądał na zaskoczonego.

– Jasne. Hm, nic ci nie jest?

– Nie, po prostu jestem zmęczona. Udało się jej wysupłać na twarz uśmiech.

– A co ty będziesz robił?

– Prawdę mówiąc, też mam trochę zaległości do nadrobienia. Dolać ci kawy?

– Pół filiżanki, dziękuję. Potem muszę już lecieć.

Rozstali się przed barem i Lucy, znużona i zagubiona, stała, patrząc za nim, aż zniknął za rogiem. Potem z ciężkim sercem ruszyła w stronę domu w poszukiwaniu Szalonego Raya.

– Dasz mi na coś do jedzenia? – wymamrotał, gdy się do niego zbliżyła.

Czapkę miał wciśniętą głęboko na czoło, kurtkę rozpiętą. Zdawał się być pobudzony i zdezorientowany.

Lucy miała przygotowanego dolara i teraz wrzuciła mu go do kubka.

– Jak się dzisiaj miewasz, Ray? – spytała pogodnie. – Jak twoja szyja?

Popatrzył na nią groźnie rozbieranym, chmurnym wzrokiem.

– Wiesz, kim jestem? – próbowała go wy badać. – Jestem lekarką, pamiętasz?

– Niepotrzebny mi lekarz – odparł, nie patrząc na nią.

– Nie pamiętasz mnie?

Popatrzył wrogo, wyraźnie nie poznając jej.

– Odejdź. Idź ode mnie.

– Chcę tylko zobaczyć blizny na twoim...

Ray, młóćąc rękoma, oddalił się od niej.

– Złodziejka! – krzyczał. – To moje pieniądze!

Lucy cofnęła się szybko.

– Nie chcę twoich pieniędzy, Ray.

– Nie dam ci. Są moje.

Ruszył w jej stronę, wrzeszcząc i wymachując pięściami.

– Chce ukraść moje pieniądze. Idź ode mnie.

Lucy odeszła na bezpieczną odległość, po czym odwróciła się i patrzyła, jak matka z dzieckiem przechodzi na drugą stronę ulicy, by się z nim nie spotkać. Westchnęła. Pewnie znów przestał brać leki. Widywała u niego takie paranoiczne epizody już wcześniej i wiedziała, że nie da rady obejrzeć blizn, dopóki ów nastrój nie minie.

Ray wolnym kłusem przemierzał ulicę, mamrocząc coś i przeklinając, potem stanął i zaczął walić swoim kubkiem w okno pizzerii, aż wyszedł mężczyzna w poplamionym białym fartuchu i go przepędził. Ludzie znów zaczną dzwonić na policję, pomyślała zniechęcona. Jeśli tym razem odpowiednie służby wezmą się do pracy, jeśli usuną Raya z okolicy, zanim uda się jej zbadać te blizny po peruwii...

Nagle pomyślała: blizny po peruwii? Daj spokój.

Odwróciła się i ruszyła powoli w stronę swojego domu. To zwyczajnie nie było możliwe; to był tylko wybryk jej rozbudzonej wyobraźni. Ostatecznie widziała je tylko przez ułamek sekundy. To mogło być cokolwiek.

Weszła do mieszkania i dokładnie zamknęła za sobą drzwi. Gdy wieszła płaszcz, dostrzegła torbę na zakupy. Wsadziła ją do szafy w ferworze szybkich porządków przed wizytą Ricka. Teraz wciągnęła worek, a z niego dwie rzeźby. Rzucając torbę na bok, poszła postawić je na ich zwykłym miejscu na kufrze. Jeszcze nie koniec, dzieciaki, powiedziała im. Lucy-Zawzięta nie zamknęła jeszcze sprawy.

Ale której sprawy? Nagle wydało się jej ich tak wiele: narkotyki, dzieła sztuki, morderstwo Beno, blizny po peruwii Raya...

To nie są blizny po peruwii, powtarzała sobie kategorycznie. To nie mogą być one. Jesteś przemęczona. Masz przywidzenia.

Pewnie, pomyślała. A Carl Anders nie groził, że mnie zabije. A Beno Stanislas żyje i dobrze się miewa. A Rick nie grzebał w szufladach mojej toaletki w środku nocy.

Drzwi zewnętrzne były zamknięte, jak zwykle. Wsunął swoją kartę kodową, pociągnął za nie i szybko minął opuszczone biurko strażnika w drodze do windy. Wjechał na pierwsze piętro i wysiadł. Stalowe drzwi były zamknięte, ale rozsunęły się, gdy przekręcił klucz w umieszczonym w ścianie zamku, a karta otworzyła znajdującą się za nimi bramkę ze szkła.

Przeszedł przez ciemną recepcję i krótki, zakręcający ostro korytarz do laboratorium.

Zatrzymał się na chwilę, próbując zorientować się w nieprzeniknionym mroku, po czym wyjął z kieszeni małą latarkę i rozejrzał się dokoła, rzucając świetlne plamy na stoły do pracy, probówki, zlewki, mikroskopy.

Podążył za snopem światła przez laboratorium, zamierając na jakiś wyimaginowany dźwięk, gasząc światło, czekając, idąc dalej. Znalazł się w krótkim przejściu. Za nim wielkie, czerwone znaki ostrzegały:

ZAGROŻENIE DLA ŻYCIA ZE STRONY ORGANIZMÓW ŻYWYCH WSTĘP WZBRONIONY

Przeszedł korytarzem do stalowych drzwi i wszedł do przebieralni.

Teraz pozwolił sobie na luksus elektrycznego światła. Latarka znalazła się z powrotem w kieszeni jego marynarki. Zdjął ubrania, bieliznę, zegarek. Wpakował wszystko do szafki, potem nałożył jałową koszulę i spodnie, rękawiczki, skarpety. Wprawnie naciągnął skarpetki na spodnie, rękawiczki na mankiety koszuli.

Przeszedł do kolejnego pomieszczenia przygotowawczego. Na wieszaku pod jedną ze ścian wisiały niebieskie kombinezony ochronne. Przejrzał je, znalazł ten z naszywką ANDERS na

piersi, dokładnie zbadał, czy nie ma w nim żadnych dziur i położył na podłodze. Wszedł weń i naciągnął na siebie, założył hełm, pozapinał wszystkie rzepy, podłączył się do powietrza i oczyścił maskę.

ŚMIERTELNE PATOGENY. ZAGROŻENIE DLA ŻYCIA ZE STRONY ORGANIZMÓW ŻYWYCH. Zlekceważył ostrzeżenie, odczepił przewód z powietrzem i wszedł do stalowej śluzy powietrznej. Prawie się tam nie zatrzymał, idąc dalej do betonowego pomieszczenia z butami na zmianę, podłączając, odłączając i przełączając węże z powietrzem.

Jakieś dwa metry przed nim dzieliły go od celu ostatnie stalowe drzwi prowadzące do pracowni poziomu czwartego zabezpieczenia przed zagrożeniem dla życia ze strony organizmów żywych. Podeszedłszy do nich bez wahania, Rick Hollander przeszedł przez drzwi i stanął w laboratorium ze śmiertelnościami drobnoustrojami.

ZAMACH BOMBOWY W PARYSKIM METRZE, krzyczały nagłówki porannych poniedziałkowych gazet. 33 OSOBY NIE ŻYJĄ, 116 RANNYCH. DO ATAKU PRZYŻNAJE SIĘ JEDNO Z ALGIERSKICH UGRUPOWAŃ.

– Straszne, po prostu straszne – zawodził portier, otwierając przed Lucy szklane drzwi. – Trujący gaz w Tokyo, bomby rurowe w Atlancie... a teraz to. Świat oszalał.

– Na to wygląda – zgodziła się Lucy, wybiegając na ulicę. Widziała przerażający reportaż w wiadomościach, gdy się ubierała. Wstała wcześniej przez niespokojne sny i postanowiła oczyścić umysł za pomocą wizyty w jednym ze swoich ulubionych miejsc: w siłowni. Wydarzenia minionego tygodnia wstrząsnęły nią i miała nadzieję, że nie angażujący rozumu wysiłek fizyczny odniesie ten sam kojący skutek co zawsze.

Upewniwszy się, że Rick nie znalazł poprzedniej nocy notesu Jean-Pierre'a, stwierdziła, że najbezpieczniej będzie umieścić go w bankowej skrytce. Z takim też zamiarem wyciągnęła go z szuflady i wrzuciła do torby ze strojem do ćwiczeń.

Ray tkwił na swym dawnym miejscu przed McDonalodem. Pozdrowiła go, przechodząc obok, ale on tylko obrzucił ją przekleństwami i rozłoszczonym spojrzeniem szklanych oczu. Cóż, przynajmniej wciąż był na ulicy, gdzie mogła go znaleźć, gdyby jego stan psychiczny się poprawił.

Zafundowała sobie rundkę po wszystkich urządzeniach, ćwicząc do upadłego i kończąc serię dwudziestoma minutami na ruchomej bieżni. Ekran ogromnych telewizorów z wyłączonym dźwiękiem pokazywały ujęcia noszy i powyginanego metalu, kontrastujące rażąco z dudniącą w głośnikach rockową muzyką.

Ćwiczenia pomogły, stwierdziła. Jej lęki, choć wciąż obecne, stały się jakby łatwiejsze do wyeliminowania. Beno zdawał się dyskretnym człowiekiem; może nie powiedział o niej swojemu zabójcy. Co do Raya, łatwo jej będzie sprawdzić i przekonać się o własnej pomyłce, gdy leki znów zaczną działać. A Rick... Nie przerywając biegu, napiła się z małej butelki wody mineralnej. Nie miała pojęcia, w co grał Rick, ale na pewno mogła go trzymać na dystans, dopóki

się tego nie dowie.

Skończyła bieg i wzięła prysznic, pozwalając ciepłej wodzie spływającej po ciele odprężyć ciało i umysł. Wychodziła właśnie spod natrysku, gdy ciemna postać rzuciła się na nią, powalając na ławkę. Niemal w tej samej chwili już była na nogach gotowa odeprzeć atak, ale napastnik przeobraził się w blondynkę w średnim wieku w czarnym stroju do ćwiczeń.

– Nic pani nie jest? – spytała kobieta z niepokojem. – Przepraszam, że panią przewróciłam. Pewnie za szybko szłam.

– Nic się nie stało – odparła Lucy, z walącym sercem opuszczając zaciśnięte pięści.

Nieźle, pomyślała z sarkazmem, prawie znokautowałam zastępczynię kierownika.

Było zaledwie kwadrans po ósmej, kiedy Lucy ubrana z powrotem w normalne rzeczy kupiła gazetę i filiżankę cappuccino i zaniosiła je do stolika przy oknie. Gdy czytała o ataku terrorystów, jej czarny humor powrócił. To przerażające, rozmyślała, co fanatycy gotowi są zrobić całkiem postronnym obserwatorom w imię jakiejś wymyślonej idei.

Okrucieństwo człowieka wobec człowieka przywiodło jej myśli na powrót do Beno Stanisłasa. Niezupełnie może postronnego obserwatora, ale też nie przestępca odpowiedzialnego za godną najwyższej kary zbrodnię. Chociaż, jeśli skłamał na temat swojej niewiedzy o heroinie, którą wwoził Jean-Pierre...

„Jakby nie dość było tego, że trzeba się bronić przed obcymi – mówił Damien. – Kto by to pomyślał, że trzeba będzie uważać na własnych przyjaciół.”

Może nadszedł czas, by się dowiedzieć, kto naprawdę należy do moich przyjaciół, stwierdziła. Popijając w zamyśleniu kawę, doszła do wniosku, że popełniła błąd, nie mówiąc Billowi o zaangażowaniu Jeana w przemyt dzieł sztuki. Znał świat sztuki; może pomógłby jej odgadnąć, w jaki sposób mogą się z sobą łączyć sztuka i heroina. Oczywiście wiedza o szmuglowanych przez Jeana dziełach sztuki może tylko utwierdzić Billa w przekonaniu o handlu narkotykami. Ale zaryzykuje. Miała już dość tajemnic: Jeana, Beno, swoich własnych.

Dokończyła kawę i złapała taksówkę do siedziby IMA.

– Od ósmej jest na spotkaniu – oznajmiła Alicia. – W sali konferencyjnej. Nie powinno już długo potrwać, gdyby chciała pani zaczekać.

– Zaczekam.

– W takim razie proszę wejść. Powiem mu, że pani tu jest. Napije się pani kawy?

– Nie, dziękuję.

Lucy przeszła przez interesująco urządzone gabinet do wielkiego okna. Wyglądało na to, że Bill spędził tu już trochę czasu. Poranne gazety leżały rozrzucone na ławie, na dnie kubka na biurku zastygła resztką kawy, a po monitorze komputera błąkała się spirala wygaszacza ekranu.

Na dworze Matka Natura pomyliła luty z kwietniem i obdarzyła świat błękitem nieba i rześkim, przyjemnym powietrzem o temperaturze około dwunastu stopni. Wyrzała w dół na ulicę: pędzące w godzinie szczytu tłumy ludzi, walczące o miejsce taksówki i prywatne samochody. Jakie łatwe z nas cele, pomyślała.

– Lucy. Jak miło...

Odwróciła się od okna. Bill stał w drzwiach z papierowym kubkiem w dłoni. Uśmiechnął się do niej.

– Czemu zawdzięczam tę przyjemność?

– Chcę cię prosić o radę – odrzekła.

– Proszę. Usiądź.

Wskazał na siedzenie naprzeciw biurka i Lucy usiadła.

– Okropność, nieprawdaz?

Pokazała na leżące na stoliku gazety.

– To straszne – zgodził się, ze smutną miną stawiając kubek świeżej kawy. – Właśnie rozważaliśmy możliwość wysłania grupy ludzi do pomocy. Nie wiem, czy nas potrzebują, ale czuję, że powinniśmy to zaproponować.

Lucy pokiwała głową.

– Nie rozumiem, jak ludzie mogą robić innym takie rzeczy – powiedziała. – Jak oni potem śpią?

– Obawiam się, że całkiem dobrze – odparł Bill i westchnął. – To przerażające, tak jak mówisz. Ale problem w tym, że w jaki inny sposób w dzisiejszym świecie takie uciskane mniejszości narodowe mogą sprawić, by je usłyszano?

Lucy popatrzyła na niego zdziwiona.

– Bronisz tych morderców?

– Nie, oczywiście, że nie. Wyjaśniam tylko ich motywę...

Wyglądał na zażenowanego.

– Potępiam takie akcje, to jasne – dodał szybko.

Zmarszczył brwi i spojrzał na zegarek.

– Nie chciałbym być niegrzeczny, ale mam dość pracowity ranek. W czym mogę ci pomóc, Lucy?

Wziął łyk kawy i odstawił kubek.

Lucy zawahała się. Teraz, gdy znalazła się z Billem twarzą w twarz, pomysł opowiedzenia mu o szmuglowaniu przez Jeana dzieła sztuki nie wydał się jej nawet w połowie tak dobry jak w siłowni.

– Chodzi o Jean-Pierre’a – oznajmiła powoli.

– Tylko nie to – ze zniecierpliwieniem przerwał Bill.

– Tak, właśnie to – odparła Lucy grzecznie, lecz stanowczo. – Dowiedziałam się w ten weekend czegoś bardzo interesującego i chciałam poznać twoją opinię. Ale może nie powinnam zwracać ci głowy.

Wstała.

– Nie bądź taka drażliwa – rzekł. – Nie chcę tylko, żebyś marnowała czas. Ale jeśli dowiedziałas się czegoś ważnego...

Uśmiechnął się przymilnie.

– Przepraszam. Usiądź i opowiedz mi. Znów podniósł do ust kawę.

Przyglądała mu się przez chwilę, zachęcona szczerym zainteresowaniem, jakie dostrzegła w jego oczach.

– Jean był przemytnikiem dzieł sztuki – oznajmiła, siadając. – Specjalizował się w przedmiotach zabytkowych. Wykorzystywał dobrą sławę IMA i fakt, że ludzie wysyłani przez organizację są traktowani przez władze w szczególnie sposób, aby za każdym razem, gdy wracał z misji, wwozić do kraju zakazane rzeczy.

To cię nauczy, żeby nie traktować mnie z góry, pomyślała z satysfakcją Lucy.

– A więc to dlatego chciał się ze mną spotkać – wykrzyknął rozzłoszczony Bill. – Chciał mi sprzedać kradzione dzieła sztuki.

– Bardzo możliwe. Jean zazwyczaj zbywał je poprzez sieć nowojorskich galerii. Lecz jeden z handlarzy twierdził, że Jean-Pierre chciał go oszukać, pójść bezpośrednio do jego klientów.

– Czy ty... czy jesteś tego wszystkiego pewna? – spytał Bill, marszcząc brwi.

Czemu nie powiedział mu o tym Rick? Zawarli przecież układ.

– Owszem. Znalazłam sekretny notes Jeana... o, oblałeś się kawą. Lepiej przemyj to od razu wodą...

– Nie przejmuj się moją koszulą – rzekł niecierpliwie, pocierając płamę chusteczką do nosa.

– Opowiedz mi o notesie.

– Jest w nim lista wszystkich jego kontaktów – ludzi, od których kupował, galerii, którym sprzedawał.

– Niech to szlag trafi. – Bill wstał, wciąż wycierając koszulę. – Narkotyki mu nie wystarczały; musiał jeszcze przemycać dzieła sztuki. Kiedy pomyślę o ryzyku...

– Nie rozumiesz – przerwała mu Lucy. – Zgadzam się, że szmugiel dzieł sztuki narażał IMA na niebezpieczeństwo. Ale to dowodzi słuszności teorii, przy której się upierałam: Jean nie handlował narkotykami.

– Nie bardzo wiem, o czym mówisz – rzekł ze złością Bill, krocząc po gabinecie. – Według mnie dowodzi to czegoś wręcz przeciwnego.

– Nieprawda – upierała się Lucy. – Pomyśl tylko. Gdyby Jean został przyłapany na wwozie heroiny, czekałby go nie tylko długoletni wyrok, ale też koniec kariery zawodowej, zła sława. A jeśli przyłapano by go na przemycaju dzieł sztuki, mógłby po prostu powiedzieć, że jest amatorem, że nie ma pojęcia, iż robi coś niezgodnego z prawem. Wwiezione przedmioty zostałyby skonfiskowane, Jean może zapłacić jakąś karę... Dostałby po łapach i na tym koniec. Nie, nie ma żadnej logiki w tym, żeby Jean miał szmuglować narkotyki, podczas gdy mógł zarobić takie pieniądze na przemycaju sztuce.

– Ale przecież wiemy, że szmuglował heroinę – obstawał przy swoim Bill, odwracając się od okna.

– Czemu koniecznie chcesz wierzyć w najgorsze? – pytała zdziwiona Lucy. – Jean był

lekarzem, ochotnikiem IMA. Czemu nie stajesz po jego stronie?

– Bo naraził naszą organizację na ryzyko – odparł krótko.

Lucy westchnęła. Bill miał oczywiście rację. A jednak...

– Przyszłam tu do ciebie – powiedziała – żeby poprosić cię o pomoc w znalezieniu ewentualnego związku między heroiną a sztuką.

– To łatwe. Jean-Pierre szmugłował jedno i drugie.

– Nie, Bill. Jestem pewna, że nie.

– W takim razie co?

– Uważam, że narkotyki zostały mu z jakiegoś powodu podzucone.

– Słucham?

Bill stanął w pół kroku, przyglądając się jej z przerażeniem.

– Ktoś włożył heroinę do jego walizki – trwała przy swoim Lucy.

– Ale... po co?

– Nie wiem. Ale potem ktoś bardzo się postarał, żeby Jean nie miał szansy obronić się przed zarzutem.

– Co masz na myśli?

– Pigułkę śmierci. Naprawdę uwierzyłeś w tę historię o samobójstwie?

– Oczywiście. – Bill wyglądał na zaskoczonego. – Był lekarzem, wiedział, jak przygotować jakąś szybko działającą truciznę.

– Ale do czego miałyby mu być potrzebna?

– Na pewno wolał śmierć od głośnego procesu...

– I znów zatoczyliśmy koło – stwierdziła Lucy znużonym głosem. – Ty zakładasz, że Jean wiedział o narkotykach, ja, że nie.

– Pewnie nigdy nie dowiemy się prawdy – powiedział. – Więc jak ci cały czas powtarzam, najlepiej po prostu zapomnieć o całej...

– Jest coś jeszcze, Bill.

– Coś jeszcze?

Przyglądał się jej uważnie.

– Słyszałeś kiedyś o handlarzu dziełami sztuki o nazwisku Beno Stanislas?

– Niestety nie – odparł Bill, odwracając się od niej, by rzucić na biurko chusteczkę.

– Był jednym z paserów Jeana. Poszłam się z nim zobaczyć przed Świętami. Mówił mi, że ktoś go szpieguje. W zeszłym tygodniu został zamordowany podczas próby rabunku. Tak przynajmniej twierdzi policja.

– A ty uważasz inaczej? – Odwrócił się przodem do niej z pełnym niedowierzania uśmiechem. – Doprawdy, Lucy...

– Nie śmieję się ze mnie, Bill. Czy nie jest możliwe, że ktoś zabił Beno, bo ten za dużo wiedział?

– Za dużo wiedział o czym, Lucy? O przemyśle Jeana? Jean nie żyje. Nic z tego nie ma już

znaczenia.

– Pamiętaj, że Beno też nie żyje. Nie dowiemy się więc, o czym jeszcze mógł za dużo wiedzieć.

Bill obszedł biurko, podszedł do Lucy i w ojcowskim geście położył jej rękę na ramieniu.

– Nie sądzisz, że trochę za bardzo dramatyzujesz? – spytał. – Jesteś przepracowana, przemęczona. Dajesz się ponieść wyobraźni.

Usiadł obok niej. Czują zapach wysychającej na jego koszuli kawy.

– Przyszłaś tu zasięgnąć mojej rady. W takim razie, oto ona, ta sama co przedtem: zapomnij o całej tej paskudnej sprawie.

– Nie mogę.

– Musisz. Dla własnego dobra.

Bill z żalem pokręcił głową. I dodał:

– Zaczęłaś tę rozmowę od prośby o pomoc w znalezieniu związku między heroiną a dziełami sztuki. W porządku, popytam. Znam wszystkie co znaczniejsze osoby. Ale musisz coś zrozumieć, Lucy. Jeśli istotnie odkryję jakieś powiązania, może ci się to nie spodobać. Otwierasz pewne drzwi i musisz być przygotowana na zmierzenie się z tym, co za nimi znajdziesz.

– Ale spróbujesz?

Wzruszył ramionami.

– Jasne. Chociaż powtarzam, że przypisujesz wszystkiemu zbyt wielkie znaczenie. Tak jak w przypadku plików Carla Andersa.

– Pliki miały w nazwie „sangre negra”. Co więc miałam pomyśleć?

Pokręcił głową z uśmiechem.

– O tym właśnie mówię. Zachowujesz się, jakby najbardziej prawdopodobne było to, że meksykańska sangre negra Carla i twoja peruwiańska to ten sam wirus i że ludzie ukrywają przed tobą jakieś informacje. – Uśmiechnął się smutno. – Musisz stanąć trochę z boku, nabrać dystansu...

Wyciągnął rękę i ścisnął jej dłoń.

– Mam dla ciebie wiele szacunku, Lucy. Jesteś doskonałym lekarzem, świetnym naukowcem... cudowną, dbającą o innych osobą. Obiecuję, że zrobię, co w mojej mocy, o ile ty obiecasz mi, że skupisz się na tym, o czym wiesz najwięcej: na medycynie. Jak idą badania nad peruwia?

– Bardzo dobrze – odparła Lucy, nieco zbity z tropu nagłą zmianą tematu. – Odkryłam uderzające podobieństwo do Ebola.

– Naprawdę? – rzekł, jakby nie wiedząc, o co chodzi. – Obawiam się, że to nie moja domena.

– Nie. No cóż, to nasuwa pewne interesujące pytania, zwłaszcza gdy weźmie się pod uwagę, jak bardzo odizolowany był obszar wystąpienia peruwii. Tak przy okazji, skąd IMA się o tym dowiedziała? Wyleciało mi z pamięci.

– Pewien antropolog, który pracował w tamtym regionie, wspomniał o tym jednemu z

naszych przedstawicieli w Ameryce Południowej.

– Mógłbyś mi podać jego nazwisko? Chciałabym z nim porozmawiać.

– Tego przedstawiciela? – Bill zmarszczył brwi.

– Nie, antropologa.

– Nie rozumiem, po co... Prawdę mówiąc, nie pamiętam teraz. Wszystko trafiło do nas drogą ustnego przekazu.

– Rozumiem – rzekła Lucy. – I nigdy nie było epidemii peruwii poza Ameryką Południową?

– O ile mi wiadomo, to nie. Czemu pytasz? A, te przekłete pliki Carla. Już ci mówiłem: to był meksykański hantawirus.

Zabrał się za składanie rozrzuconych gazet, z których kilka zalał kawą, i układanie ich w porządkowy stos.

– Nie, nie chodziło mi o to. Widziałam...

Lucy urwała. Nie była do końca pewna tego, co widziała na karku Raya – w każdym razie, jeszcze nie. A Bill zarzucił jej już, że za dużo sobie wyobraża, za bardzo dramatyzuje. Bez dobrego dowodu znów tylko ją wyśmieje.

– Wiem, jak bardzo jesteś oddany pomocy bezdomnym – ciągnęła, zmieniawszy strategię – i zastanawiałam się, czy nie znasz jakiejś misji lub prowadzonego przez misję szpitala z gwiazdą w nazwie.

Bill raptownie przekreślił głowę.

– Z gwiazdą? – powtórzył. – Teraz sobie niczego takiego nie przypominam. Czemu?

– Jest w mojej okolicy pewien bezdomny, który rozchorował się i znalazł się w misji.

Uśmiechnęła się, dodając:

– Opowiadał, że był chory, żył w gwiazdach i fruwał ze złotymi aniołami. Z tego, co mówił, wynikało, że mogli się tam zmagać z jakąś epidemią. Pomyślałam, że może IMA mogłaby jakoś pomóc.

– Gwiazda... – rozmyślał głośno Bill, wracając do składania gazet. – Tak sobie myślę, że Carl chyba wspominał o takiej misji. Nie przypominam sobie dokładnej nazwy, ale ta „gwiazda” coś mi mówi...

Zamyślił się.

– Zdaje mi się, że Anders pracował tam jako wolontariusz – odezwał się po chwili.

Dostrzegł zaskoczenie w oczach swojej rozmówczyni.

– To trudny człowiek, Lucy, ale o wielkim sercu. Jeśli to ta misja, o której myślę, Carl pracował tam bardzo krótko. Twierdził, że była lichy prowadzona. Jeśli chciałabyś zaoferować swoją pomoc, to raczej trzymaj się od niej z daleka.

Położył na stosie ostatnią już gazetę.

– Jeśli twój znajomy potrzebuje pomocy medycznej, polecę ci kilka miejsc, do których mogłabyś go skierować. Wstał i podszedł do biurka.

– Wypisać ci je?

– To nie będzie konieczne. Zdaje się, że z tym człowiekiem wszystko już w porządku.

Lucy także wstała, zbierając torebkę, kurtkę i torbę ze strojem do ćwiczeń.

– No dobrze. Mam nadzieję, że jakoś ci pomogłem, Lucy. I bądź pewna, że zajmę się związkiem między dziełami sztuki i heroiną. Odwrócił się, by posłać jej uśmiech.

– Dobrze zrobiłaś, że przyszedłaś mi powiedzieć. Przykro mi, że byłem z początku dość negatywnie ustosunkowany, ale zaskoczyłaś mnie.

– Oczywiście. Cóż, dziękuję, że zechciałaś poświęcić mi swój cenny czas, Bill.

Uśmiechnęła się także. – I dzięki za radę – rzuciła na koniec. Miała już wyjść, gdy padło:

– Aha, Lucy? Co zrobiłaś z notesem Jean-Pierre’a?

Lucy znieruchomiała, po czym odwróciła się i popatrzyła na niego.

– Chcę mieć tylko pewność, że jest bezpieczny – dodał szybko.

– Spoczywa w depozycie w banku – odparła ostrożnie Lucy. Torba zaczęła jej nagle okropnie ciążyć.

– Jest całkowicie bezpieczny – dodała.

– To dobrze.

Bill popatrzył, jak wychodzi na korytarz, po czym cofnął się i zamknął drzwi gabinetu. Wróciwszy do biurka, sięgnął po telefon.

Kupuję je w małej francuskiej piekarni niedaleko od mojego mieszkania – rzekł Rick. – Chcesz jeszcze jedną?

Popchnął na drugą stronę biurka papierowy talerz z różnego rodzaju słodkimi bułkami.

Carl przełknął ostatni kęs rogalika z jabłkiem.

– Chętnie.

Przyjrzał się zawartości talerza.

– Dobrze są cynamonowe.

Carl przeciął jedną ostrożnie na pół, ugryzł, pożył.

– Doskonała – potwierdził. – No, to z pewnością miła odmiana od śniadań, które zwykle tutaj jadamy.

– Czyżbyś nie był amatorem lury ze starym pączkiem? – roześmiał się Rick.

– Miło z twojej strony, że je przyniosłeś – powiedział Carl. – I kawę.

– Ja też najbardziej lubię waniliowo-migdałową.

Rick popił aromatycznego naparu, po czym rozparł się w fotelu dla gości w gabinecie Carla.

– Bardzo cywilizowane śniadanie – orzekł.

– Tak. – Carl zabrał się za drugą połowę swojej bułki. – Nie wiesz nawet, jak mi przykro z powodu tamtego wybuchu.

– To zamierzchna przeszłość – zapewnił go uprzejmie Rick. – Nawet tego nie wspominaj. Praca, którą wykonujesz, przysparza ogromnego stresu. Musiał znaleźć gdzieś ujście i akurat natapatczyłem się ja.

– Cieszę się, że tak to widzisz.

– Cóż, potrafię zrozumieć, jak to jest. Też przez to przeszedłem.

– No tak, prowadziłeś przecież własną pracownię w Stanfordzie – powiedział Carl.

– Oczywiście nie mieliśmy do czynienia z takimi rzeczami jak ta peruwia; nie pracowaliśmy na poziomie czwartym. – Wzruszył lekko ramionami. – Nie wiesz nawet, jak bardzo podziwiam twoją odwagę, to, że co dzień tam wchodzisz. – Wypił trochę kawy i patrzył, jak Carl rośnie w oczach. – A ten stres...

– Można się przyzwyczaić – dzielnie trzymał się Carl.

– A jednak niewiele miejsc może zaproponować takie wyzwanie. Nie licząc CDC, rzecz jasna.

Rick zamilkł na chwilę.

– Znalazłeś ten drugi szczep? – zapytał po chwili.

Carl przestał żuć.

– Drugi szczep?

– Peruwia. Drugi szczep odkryty przez tego Wileya w Atlancie. Znalazłeś go?

– Skąd się o tym dowiedziałeś?

– Lucy wspominała. Jeszcze kawy?

Carl pokręcił głową.

– Nie ma drugiego szczepu. Mówiłem jej.

– Ale w CDC byli tacy pewni.

– Musieli zanieczyścić jedną z próbek.

– Jednak to dość niezwykle skażenie. Wydaje się wręcz nieprawdopodobne. Oczywiście, to nie moja sprawa – dodał pośpiesznie Rick. – Próbowaleś pączka?

– Najadłem się już.

Carl spochmurniał i odsunął talerz. I zaraz dodał:

– Czas do pracy, obaj mamy co robić.

– Oczywiście. Tylko posprzątam.

Rick zaczął zbierać papierowe talerzyki, pobrudzone serwetki.

– A jak się teraz sprawy mają między tobą a Lucy? Znosicie się?

Carl przyglądał mu się podejrzliwie.

– Owszem. Czemu pytasz?

– O, bez powodu. Tylko że praca w gorącym laboratorium jest dość ciężka i bez dodatkowego stresu związanego z przebywaniem tam z osobą, której nie znosisz.

– Nie znoszę? – Carl wyglądał na zaskoczonego. – Nie ująłbym tego aż tak ostro.

Rick wyrzucił zużyte papierowe naczynia do kosza na śmieci.

– Daj spokój, Carl. Ze mną możesz być szczery. Wiem, że jej nie lubisz.

Carl wzruszył ramionami i napił się kawy.

– A po tym incydencie, kiedy uratowałeś jej życie, a ona oskarżyła cię o próbę zabójstwa... –

Rick spojrział przez ramię na Carla. – Jestem zdumiony, że możesz z nią jeszcze pracować w tym samym laboratorium.

– Nie jest mi łatwo – przyznał Carl.

– Pomyślałem, że to wręcz niemożliwe. Na twoim miejscu odgrodziłbym się od niej solidnym, grubym murem.

Wyczekiwał z nadzieją. Gdy zaś Carl nie odpowiedział, dodał:

– Czy to właśnie zrobiłeś?

– O czym ty mówisz?

– Założę się, że zafundowałeś sobie inną pracownię, osobne pomieszczenie w obrębie poziomu czwartego, czy nie? Gdzieś na osobności.

Carl zbladł.

– Jasne, że nie. Czemu niby miałbym to zrobić?

– Żeby być z dala od Lucy, rzecz jasna.

Rick wrzucił słodkości z talerza do białej torby z piekarni i postawił ją na rogu biurka.

– Może zachowasz je na potem?

Zajął z powrotem miejsce w fotelu Carla i upierał się przy swoim:

– Zrobiłeś to, prawda? Mówię ci, ja właśnie tak bym postąpił.

– To, co insynuujesz, jest zupełnie niemożliwe – zaczął Carl, ale jego zaprzeczenie zostało przerwane przez telefon.

Podniósł słuchawkę, posłuchał przez chwilę, po czym zakrył ręką mikrofon.

– Rick, dziękuję za śniadanie. Teraz wybaczysz, ale to prywatna rozmowa.

– Oczywiście. Ale jesteśmy umówieni na drinka dziś wieczorem?

– Dam ci znać. Hm, zamknij drzwi, jak będziesz wychodził, dobrze?

Rick zatrzymał się przy zamkniętych drzwiach, ale doszedł go tylko niski, przerywany pomruk, udał się więc do własnej pracowni. To oczywiste, że Carl kłamie, stwierdził. Jeśli w CDC orzekli, że drugi szczep istnieje, to na pewno istniał. A jednak w niedzielę przeszukał dokładnie stanowisko Andersa i niczego nie znalazł. Jeśli Carl rzeczywiście nie znalazł go w swoich próbkach, dlaczego nie poprosił o próbkę z CDC? Taka byłaby normalna procedura. A jeśli znalazł ten drugi szczep, czemu zaprzeczał jego istnieniu?

Opadł na fotel przed biurkiem i wpatrywał się w latające tostery na monitorze swojego komputera. Gdzie to mogło być? – głowił się. Gdzie Carl to ukrył? I, co ważniejsze, dlaczego?

...Co w tym wypadku okazało się 0157:H7, tym samym szczepem E. coli, który był odpowiedzialny za masowe zatrucie pokarmowe w Sakai niedaleko Osaki w 1996 – mówiła Lucy do dyktafonu. – Podczas tej epidemii ponad 6000 uczniów szkoły podstawowej zostało zarażonych pałeczką bakterii 0-157 poprzez spożycie zakażonego drugiego śniadania. Nie kręć się, Jake, rozpraszasz mnie...

Skinęła głową i pokazała mu krzesło.

– Ten sam szczep wywołał również masowe zatrucie w Stanach Zjednoczonych w 1993, podczas którego 700 osób zachorowało po spożyciu niedosmażonych hamburgerów. Nastąpiły cztery zgony. Typowe objawy zarażenia 0-157 to krwawa biegunka, skurcze w podbrzuszu, a w stanach ostrej niewydolność nerek.

Wyłączyła dyktafon i postawiła na teczce z materiałami o E. coli.

– Co słysząc?

– Ten sam co zwykle bałagan. Słyszałem, że w zeszłym tygodniu odniosłaś spory sukces w stolicy?

Lucy uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Z całą wrodzoną skromnością muszę przyznać, że byłam znakomita.

Jake także się uśmiechnął.

– Gratulacje. Nie jestem zaskoczony.

– Dzięki. Posłuchaj – mówiła Lucy, sięgając znów po dyktafon – nie chcę być niemiła, ale czy to, z czym przyszedłeś, nie może poczekać? Przygotowuję się na jutrzejsze zebranie.

– A ja mam za dziesięć minut obchód. Wpadłem tylko, żeby zaprosić cię w niedzielę na kolację. Beth mówi, że masz przyprowadzić tego faceta, z którym się spotykasz.

– Ricka?

Lucy popatrzyła z powątpiewaniem.

– Tak ma na imię? Zdaje się, że mojej żonie mówisz więcej niż mnie – dodał z udawanym wyrzutem. – Kim jest?

– Nazywa się Richard Hollander. Pracuje w laboratorium IMA, ale nie sądzę...

– Richard Hollander?

Jake był chyba pod wrażeniem.

– Ze Stanfordu, tak?

– Tak.

Lucy odłożyła dyktafon i całą swoją uwagę skupiła na Jake'u.

– Znasz go?

– Nie, ale słyszałem to nazwisko. Mówisz, że kieruje pracownią IMA?

– Nie kieruje; pracuje tam. Ma swoje laboratorium, prowadzi jakieś własne badania... O co chodzi?

– O nic. Tylko wydaje mi się to nieco dziwne, że taki człowiek jak Hollander pracuje dla IMA.

– Naprawdę? Czemu?

– Po pierwsze, ma fioła na punkcie kontroli nad innymi; tak mi przynajmniej mówiono. A po drugie, facet nie jest raczej typem altruisty.

– Mówiłeś chyba, że go nie znasz.

– Bo nie znam. Ale jeden z moich stażystów pracował z nim przez krótki czas. Ładnych parę lat temu. Facet zrobił rok na seminarium dyplomowym z biochemii w Stanfordzie, po czym

poszedł na akademię medyczną. Twierdził, że Hollander to geniusz, ale bardzo apodyktyczny. I niezbyt chętny do dzielenia się naukowymi informacjami. Nie do końca bezinteresowny, jeśli mnie rozumiesz... – Zamilkł na chwilę. – Nie należy raczej do osób, które porzuciłyby posadę w Stanfordzie, by czynić dobro w małym, nieznanym laboratorium.

– Ludzie się zmieniają – wymamrotała Lucy.

– Jasne – odpowiedział na pocieszenie Jake. – Przyprowadź go na kolację.

– Nie... jestem pewna co do niedzieli. Mogę dać ci znać potem?

– Pewnie. Ejże, nie bierz tak bardzo na serio tego, co ci powiedziałem. Powtarzam tylko plotki sprzed siedmiu lat.

Gdy Jake Weiss wyszedł, Lucy siedziała przez jakiś czas zadumana, po czym wzięła do ręki swój notes i zaczęła go wertować. Ludzie się zmieniają, pomyślała, ale nie aż tak bardzo. Próbowała kilka razy, aż w końcu udało się jej połączyć z Barbarą Coley.

– Barbara? Tu Lucy Nash. Tak, świetnie było znowu się spotkać. Prawdę mówiąc, to dzwonię do ciebie z dość niezwykłą prośbą. Czy myślisz, że zdołałabyś znaleźć zdjęcie Ricka Hollandera? W jakimś piśmie medycznym czy czymś takim. Cóż, organizujemy dla niego... przyjęcie, będziemy świętować jego pierwsze pół roku z IMA i pomyślałam, że byłoby zabawnie, gdybyśmy znaleźli jakiś jego artykuł, coś ze zdjęciem, powiększyli i... Naprawdę? Byłoby świetnie. Nie, może odfaksowałabyś do mnie, jak znajdziesz? Tak, im szybciej, tym lepiej.

Podawała Barbarze numer biurowego faksu.

– Wielkie dzięki, Barb. Jestem twoją dłużniczką.

Odłożyła słuchawkę i wróciła do niedokończonego sprawozdania.

– Po wykryciu 0-157 w próbkach kału naszych pacjentów Nowojorski Szpital Ogólny wydał obwieszczenie przestrzegające konsumentów przed spożywaniem niedogotowanego mięsa i ponaglące zarażone osoby do natychmiastowego szukania pomocy medycznej...

Jej głos zamarł. Fotografia Hollandera może i będzie pomocna, ale o niczym nie przesądzi. Zdjęcie może być stare, a ludzie naprawdę się zmieniają. Znów sięgnęła po słuchawkę, wybrała numer informacji telefonicznej w Palo Alto i poprosiła o telefon centrali w Stanfordzie.

Zapisała numer w swoim notesie, potem zawahała się ze słuchawką w dłoni, zastanawiając się, czy nie goni za zwidami. Ale przecież przeszukiwał jej mieszkanie, przypomniała sobie. Po co robiłby to biolog molekularny? Szybko wycisnęła numer na klawiaturze.

Przełączano ją wiele razy, aż wreszcie trafiła na kogoś z biologii molekularnej i spytała, czy może rozmawiać z Richardem Hollanderem.

– Jest na przedłużonym urlopie naukowym do września – oznajmiła jej jakaś kobieta. – Czy jest ktoś poza nim, kto mógłby pani pomóc?

– Nie sądzę. Jestem dawną znajomą Ricka... hm, Richarda. Czy wie pani, gdzie mogłabym go znaleźć?

Kobieta zawahała się.

– Jestem tu nowa – odparła. – Ale jeśli poda mi pani swoje nazwisko i jakieś namiary,

spróbuję się dowiedzieć.

– Dziękuję.

Lucy podała nazwisko i telefon do szpitala.

Przedłużony urlop naukowy?

Nie wyciągaj pochopnych wniosków, przykazała sobie. Może Rick nie chce palić za sobą mostów, dopóki nie przekona się, jak będzie w IMA.

Cóż, zrobiła wszystko, co w tej akurat chwili było w jej mocy. Dokończyła dyktowanie sprawozdania i zniosła maszynistce do przepisania.

O wpół do czwartej miała konsultacje, a o piątej obchód. Po południu często sprawdzała, czy nie ma dla niej wiadomości albo faksu. Ale dopiero o szóstej telefonistka z centrali odszukała ją z informacją o telefonie.

– Doktor Nash? – usłyszała kobiecy głos. – Tu dział kadr, Stanford, z odpowiedzią na pani prośbę. Richard Hollander prowadzi prywatne badania w laboratorium IMA w Nowym Jorku. Chce pani zapisać tamtejszy numer telefonu?

Lucy uważnie zapisała numer i podziękowała kobiecie za fatygę. Cóż, to wydaje się rozstrzygające, pomyślała: Rick to naprawdę Richard Hollander. Choć jego szybka rewizja w jej mieszkaniu pozostawała niepokojącą zagadką, poczuła ulgę, że przynajmniej wyjaśniła się sprawa jego tożsamości. Poczuła też lekki wstyd, że poprosiła Barbarę o przefaksowanie tego zdjęcia.

Dokończyła obchód i wróciła do swojego pokoju po płaszcz. Niemądra była, nadając takie znaczenie pomyłce Ricka przy chromatografii, pomyślała. Będąc tak poważnym naukowcem, pewnie od lat sam nie przeprowadzał tego badania; w końcu od czego miał swoich dyplomantów. Bez wątplenia był też w trakcie rozwodu, tak jak jej powiedział. A Barbara była kiepskim arbitrem wzrostu. Gonię za zwidami. A jednak jego zachowanie w sobotnią noc było nader niezwykle.

Z płaszczem na ramieniu poszła do sekretariatu podpisać się, że wychodzi.

– Już się urywasz? – zażartował Jake, wchodząc za nią.

– Bardzo zabawne. Wybieram się właśnie na chwilę do laboratorium IMA – odparła. – Jestem w trakcie pewnego doświadczenia, a nie mogłam tam być w zeszły czwartek.

– Za ciężko pracujesz.

Lucy roześmiała się.

– I kto to mówi. Nawet się jeszcze nie zbierasz do wyjścia.

– Przyznaję się do winy.

– Doktor Nash? – wtrąciła się sekretarka. Ten – Faks, o który pytała pani przez całe popołudnie, ten z Kalifornii, nie przyszedł. A ja muszę wyjść...

– Będę tu jeszcze jakiś czas – odezwał się Jake. – Powiem operatorowi pagera, żeby dał ci znać, jak coś przyjdzie. Mają chyba twój numer?

– Tak, ale to może poczekać do jutra.

– Jak chcesz.

Patrzył na nią przez szkła okularów w czarnych oprawkach oczami pociemniałymi od troski.

– Wyglądasz na zmęczoną, dziecko. Nie przepracowuj się tak.

– Nic mi nie jest, Jake.

– Jasne.

Uśmiechnął się promiennie, ale jego oczy pozostały zmartwione.

Może pan zaczekać, dopóki nie wejdem do środka?

– Jasne.

Lucy wysiadła z taksówki, szukając swojej karty. To była nieprzyjemna okolica nawet za dnia; wieczorami wydawała się absolutnie przerażająca. Otworzyła niewielkie stalowe drzwi, minęła je, po czym odwróciła się i przed zamknięciem dała taksówkarzowi znak, że może jechać.

Jake ma rację, pomyślała, za dużo na siebie biorę. Tak naprawdę wcale nie musiałam tu dziś przychodzić. Hodowle komórek mogą poczekać. Przyjechała winda; Lucy weszła do środka, lecz zawahała się z palcem na przycisku z numerem jeden. Nieważne; już tu była. Wcisnęła guzik i drzwi zasunęły się.

Na pierwszym piętrze panowała cisza, ale pozapalane były jasne światła. Gdy zbliżyła się do gabinetu Carla, usłyszała ciche stukanie w klawiaturę. A więc wciąż tu był. Laboratorium zdawało się puste i poczuła lekkie ukłucie strachu na myśl, że będzie sama z Carlem. Przeszła po cichu obok jego drzwi, rzucając spojrzenie do środka. Siedział tyłem do niej, skupiony na monitorze. Szła dalej, zadowolona, że nie był nawet świadom jej obecności. Znajdzie się w pracowni zamkniętej, zanim...

Stanęła. To nie był Carl Anders. Powoli, bezszelestnie cofnęła się i przyjrzała się postaci siedzącej przed komputerem Carla. Ciemne włosy. Średnia budowa. Szerokie ramiona. Rick Hollander!

Po cichu zakradła się do pokoju, usiłując odczytać słowa na ekranie. Rick poruszył się w fotelu, a Lucy zamarła, ale nie odwrócił się. Uderzył w jakieś klawisze i wygląd ekranu zmienił się. Lucy przysunęła się bliżej.

Teraz mogła odczytać nazwy plików, które przeglądał, a jej oczy zrobiły się wielkie ze zdumienia. Rick dostał się do plików Carla dotyczących peruwii i przeglądał je uważnie, jeden po drugim. Z boku stała gotowa do pracy drukarka, a w niej stos zadrukowanych już kartek.

Gdy tak patrzyła, Rick wywołał wyszukiwarkę i wpisał komendę: DRUGI SZCZEP. Skąd wiedział, że w CDC wykryli drugi szczep? – zastanawiała się. I skąd u niego pomysł, że Carl może mieć na ten temat jakieś pliki? Anders zawsze zaprzeczał jego istnieniu. Zobaczyła, że wyszukiwarka niczego nie znalazła, usłyszała tylko, jak Rick przeklina mocno zawiedziony, i dopiero wtedy zorientowała się, że nie przeszukuje plików Carla, lecz jej.

Wyszła z pokoju, zastanawiając się, czego była świadkiem. Szpiegostwo przemysłowe? Czy coś jeszcze gorszego?

Gdy odwróciła się w stronę przejścia do laboratorium, Rick wyłonił się z gabinetu Carla z

plikami papierów w dłoni. Spozstrzegł ją i znieruchomiał.

– Lucy?

Odwróciła się i przez moment wpatrywali się w siebie bez słowa.

– Dni się pani pomyliły, pani doktor? – spytał lekkim tonem, lecz ze sztucznym uśmiechem.

– Nie było mnie w miniony czwartek – wyjaśniła szybko. – Chciałam tylko sprawdzić... pewne rzeczy.

– Już dość późno na wizytę w gorącym laboratorium – zauważył. – To niezbyt przyjazne miejsce, gdy się jest zmęczonym.

– Sam też pracujesz do późna – odparła.

Zamilkli.

– Robiłem tylko coś dla Carla... – Jego wzrok powędrował do trzymanyh w ręku kartek. – Już prawie, hm, skończyłem. Masz ochotę na kolację? Zaczekam.

– Raczej nie – odpowiedziała. – W każdym razie, dzięki.

– No to chyba dokończę i pójdę sobie.

Ruszył do swojej pracowni, po czym stanął.

– Może mimo wszystko powinienem poczekać i odwiedzić cię do domu. To nieciekawa okolica, lepiej nie błąkać się w poszukiwaniu taksówki.

– Nie martw się. Zadzwonię do którejś z korporacji, jak skończę. Zmusiła się do uśmiechu, dodając:

– Idź do domu, Rick. Nic mi nie będzie.

Lucy popatrzyła, jak spokojnym, niedbałym krokiem idzie do swojego laboratorium i znika w środku. Wciąż stała w tym samym miejscu, gdy chwilę potem wyszedł w brązowej skórzanej kurtce z aktówką w dłoni.

– Do zobaczenia w czwartek – powiedziała, zmuszając stopy do zrobienia kroku.

– Miałem nadzieję, że wcześniej – odrzekł.

Opuszkami palców dotknął lekko jej włosów.

Ocalona przez pager – pomyślała, słysząc jego dźwięk, który przestraszył ich oboje. Odsunęła się od Ricka i sprawdziła numer: operator ze szpitala.

– Przepraszam – rzekła, uciekając do własnej pracowni. – To może być coś ważnego.

– Lepiej poczekam – zawołał za nią – w razie gdybyś musiała jechać do szpitala.

– Doktor Weiss polecił mi przekazać, że przyszedł faks, na który pani czekała – oznajmił operator. – Chce pani, żebym go dostarczył?

– Nie – odparła Lucy. – To może poczekać do rana.

Nie mając już wątpliwości co do tożsamości Ricka, nie przywiązywała takiej wagi do jego zdjęcia. Nie wyjaśniłoby ono jego zainteresowania jej toaletką ani plikami. Rozłączyła się i zatopiła się w fotelu, nagle kompletnie wycieńczona. Nie ma mowy, żeby weszła dziś na poziom czwartą.

– Ostatnia szansa na szybki powrót do domu – Rick wetknął głowę przez drzwi.

– Chyba trochę tu zostanę – powiedziała. – Ale dzięki.

– Nie ma sprawy.

Rick podszedł i pocałował ją w czubek głowy.

– Nie siedź tu zbyt długo.

Począł chwilę, a nie uzyskawszy odpowiedzi, posłał jej zdziwione spojrzenie i wyszedł.

Lucy posłuchała oddalających się ku windzie kroków, potem oparła łokcie na biurku, a brodę na dłoniach i myślała o plikach w komputerze. Jasnym było, że tajemnicze pliki Carla dotyczące sangre negra zostały celowo usunięte z twardego dysku, a ona przez cały czas zakładała, że to robota samego Andersa. Teraz jednak nie była tego taka pewna. Nie miała pojęcia, że Rick interesuje się peruwiańską; nigdy jej o nią nie pytał. Lecz gdy teraz o tym pomyślała, był już wtedy w pracy, gdy przyszła wczesnym rankiem i odkryła, że pliki znikły. W pokoju Andersa było wtedy ciemno. Czy to Rick, a nie Carl, był odpowiedzialny za zniknięcie zastrzeżonych plików? Czy była to kolejna z niewielkich przysług, jakie oddał mu Rick?

Tylko skąd to jego nagłe zainteresowanie filowirusami? – zastanawiała się. I czy faktycznie było ono tak nagłe? Skąd mógł dowiedzieć się o drugim szczepie, skoro Anders zaprzeczał jego istnieniu? I co to wszystko miało wspólnego z poszukiwaniem notesu Jeana w sobotnią noc?

O mój Boże, notes, pomyślała. Zapomniała zanieść go dzisiaj do banku. Przetrasnęła szybko torbę, z ulgą zwieszając ramiona, gdy namacała go pośród rzeczy. Jutro z samego rana, przykazała sobie. Jak mogła zapomnieć? Zapięła torbę i przekartkowała swój notatnik w poszukiwaniu telefonu korporacji taksówkowej.

Lucy czekała przed bankiem, gdy we wtorek rano strażnik podszedł otworzyć drzwi. Podziemia ze skrytkami depozytowymi otwierano o ósmej trzydziści, a o dziewiątej rozpoczynało się spotkanie jej działu. Wiedziała, że ledwo zdąży, ale nie chciała mieć przy sobie notesu Jeana nawet o minutę dłużej, niż to było konieczne.

Wpisała się do księgi, wyjęła klucz do skrytki i podążyła za urzędnikiem przez grube stalowe drzwi do podziemi. Wspólnie odbezpieczyli oznaczone numerem drzwi przedziału. Otworzywszy je, urzędnik wyciągnął długą metalową skrzynkę, zaniósł ją do jednego z maleńkich pomieszczeń dla klientów i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Wyjęła z kieszeni skórzany notes i położyła go na blacie, po czym otworzyła skrzynkę. Kilka sztuk odziedziczonej po babci biżuterii, zbyt cennej, by ją nosić, i zbyt ważnej, by sprzedać. Kilka starych rodzinnych fotografii. Akt własności jej mieszkania. Kilka obligacji, które nabyła, gdy zaczęła zarabiać jakieś przyzwoite pieniądze. Wetknęła notes pod obligacje i sięgnęła po pokrywę skrzynki, lecz powstrzymała się.

Było tam coś jeszcze; coś, co mogłoby się jej przydać. Powoli wyjęła grubą kopertę. Otworzywszy ją, wyciągnęła ciężki przedmiot owinięty w tłustą szmatę wydzielającą przykry, gryzący zapach. Stała przez chwilę, wdychając ostrą, charakterystyczną woń; potem wolno odwinęła tkaninę.

Wyglądał tak jak wtedy, gdy go tu umieściła prawie trzy lata temu: gładki, czarny, śmiercionośny.

Chyba oszalałaś, powiedziała sobie. Zostaw go tu, gdzie jest.

Ojciec nauczył ją, jak się nim posługiwać, kiedy mieszkali w Teksasie. Miała dwadzieścia lat, wróciła do domu z college'u i chodził jej po głowie pomysł wstąpienia do wojska. Pojechali gdzieś na pustkowie, ustawili puszkę, a ojciec dał jej długi wykład na temat bezpiecznego obchodzenia się z bronią, zanim pozwolił jej go choćby dotknąć. Matce nigdy się nie podobało, że miała coś takiego w domu, i kiedy ojciec zmarł, z wdzięcznością przyjęła propozycję pozbycia się broni. Myślała, że córka odda ją komu trzeba albo zniszczy. Była w błędzie.

Lucy nie miała pozwolenia na ten pistolet i wiedziała, że pewnie go nie dostanie. Wątpliwe, żeby Beretta 92F kaliber 9 milimetrów z magazynkiem na piętnaście kul, o prędkości początkowej pocisku 427 metrów na sekundę została uznana przez władze za pistolet sportowy.

Patrzyła na niego i zastanawiała się jeszcze chwilę dłużej, po czym na powrót zawięła pistolet i włożyła do koperty. Na samym dnie skrzynki znalazła kilka sztuk amunicji, którą wsunęła do koperty wraz z bronią. Zamknęła skrzynkę, wepchnęła kopertę do swej przepastnej torby i oznajmiła urzędnikowi, że jest gotowa do wyjścia.

Zebranie trwało już, gdy weszła do sali konferencyjnej. Jake Weiss zajął jej miejsce i teraz kiwał, żeby podeszła.

– Dostałaś moją wiadomość o faksie? – wyszeptał.

– Tak, ale jeszcze go nie odebrałam. Złapałam tylko sprawozdanie i przyszłam prosto tutaj.

– Tak myślałem.

Spomiędzy leżących przed nim dokumentów wyciągnął kartkę papieru.

– Proszę.

– To ten faks? Dzięki, Jake.

– Nie ma sprawy. Artykuł twojego chłopaka, co?

Ale Lucy nie odpowiedziała. Wzrok utkwiła we wpatrującej się w nią z kartki nieznajomej twarzy. Załóżmy, że jakoś zdjęcia – ujęcie obejmujące od kolan w górę mężczyznę stojącego na stopniach biblioteki uniwersyteckiej – była kiepska, pogorszona jeszcze przez przekaz faksem. Kolor włosów mniej więcej się zgadzał, budowa ciała była z grubsza podobna. Ale twarz... Ludzie się zmieniają, przypomniała sobie. Artykuł nosił datę sprzed ośmiu lat; Barbara dołączyła przeprosiny, że nie udało się jej znaleźć niczego nowszego. W ciągu ośmiu lat ludzie mogą się bardzo zmienić; na zdjęciu bez wątplenia wyglądał na młodszego. Na młodszego i wyższego. Rick pewnie by się postarzał, ale raczej mało prawdopodobne, żeby zmałał...

Światła zgasły i włączono ekran projektora. Zaprezentowano jeden przypadek, drugi... Usiłowała się skupić – zaraz jej kolej. Ale była w stanie myśleć tylko o Ricku przy komputerze, przeglądającym jej pliki... O Ricku w korytarzu jej mieszkania z nożem w dłoni...

Ale jeśli Rick nie był tym, za kogo się podawał, czemu miał kadr Stanfordu poinformował ją, że Richard Hollander pracuje w IMA? Skoro już o tym mowa, dlaczego w ogóle tam

pracował?

Myślała o zażyłości, jaka zaczęła go łączyć z Carlem Andersem, jak szybko wybaczył Carlowi jego upokarzający wybuch. Nie pasowało to do charakteru człowieka, którego opisał Jake Weiss.

Poczuła, jak kolega dotyka jej ramienia.

– Lucy? Twoja kolej.

Przewodniczący działu chorób zakaźnych patrzył na nią – wszyscy patrzyli. Zmuszając swój umysł do powrotu na właściwe tory, otworzyła teczkę i odczytała sprawozdanie na temat E. coli.

Po zebraniu wolno poszła do swojego pokoju, przerabiając w myśli wszystko od nowa. Przypomniał się jej Carl próbujący wypłoszyć ją z laboratorium, Rick grzebiący w jej plikach, by sprawdzić, co wie na temat drugiego szczepu peruwii. Przypomniały się jej bliźny Szalonego Raya, to, że był w gwiazdach i że Carl Anders pracował w misji z gwiazdą w nazwie.

Czy to możliwe, że Rick albo Carl, czy może oni obaj korzystają z laboratorium IMA dla własnych celów? I czy to możliwe, że jednym z tych celów było zarażenie Raya i innych jemu podobnych filowirusem, którego przywiozła z Peru? Pomysł był przerażający, a przy tym rodził wiele innych pytań: Po co mieliby to robić? Czemu miałyby to służyć?

Pomyślała o Billu Millerze, kularowym rewolucjonście – naiwnym, dobrodusznym i zbyt ufnym, by zdawać sobie sprawę z tego, co dzieje się pod jego nosem.

Wszedłszy do pokoju, włączyła komputer i zaczęła robić notatki. Spisywanie pewnych rzeczy często pomagało jej uporządkować myśli. A jeden Bóg wiedział, jak bardzo potrzebowała ładu w mnogości pytań, jakie kłębiły się jej w głowie.

Przez kilka minut pisała w ferworze, potem przestała i przeczytała to, co zanotowała. W porządku, pomyślała: teraz, co dalej.

POROZMAWIAĆ Z BILLEM, wystukała. Nie, za wcześnie. Skasowała to i wpisała ZBADAĆ RAYA. Dziś rano wydawał się w miarę rozsądny; może jutro ją pozna. ZNALEŹĆ MISJĘ Z GWIAZDĄ, dodała. POTEM POROZMAWIAĆ Z BILLEM. Tak, taki był plan działania. Musi iść do Billa z faktami, nie domysłami. POWIEDZIEĆ BILLOWI O RICKU. No dobrze; to mogła zrobić od razu. Nie ma sensu czekać, prawda? Nieprawda, odpowiedziała sobie. To kolejne przypuszczenie. Dział kadr Stanfordu potwierdziłby wersję Ricka, a to przekonałoby Millera bardziej niż zamazana, stara fotografia. Poza tym Bill powiedziałby jeszcze Carlowi o jej podejrzeniach wobec Ricka, a to mogłoby się stać niebezpieczne, zwłaszcza jeśli Carl i Rick wspólnie działali na własną rękę.

PRZESTAĆ SPOTYKAĆ SIĘ Z RICKIEM było równie kiepskim pomysłem i zostało skasowane. Jeśli będzie ostrożna, ich związek może być cennym źródłem informacji. Grą może nieco niebezpieczną, ale tylko wówczas, gdyby on wiedział, że ona wie, że...

Rozbolała ją głowa. Wyciągnęła z szuflady w biurku fiolkę aspiryny i wzięła do ręki dwie tabletki. Stała, wpatrując się w ekran. Nie komplikuj sprawy, powiedziała sobie. Zbadaj Raya. Znajdź misję. Podtrzymuj związek z Rickiem. Porozmawiaj z Billem Millerem dopiero, gdy

będziesz pewna faktów i będziesz miała dowody. Tak właśnie. W porządku. Może być.

Zaznaczyła wszystko i wcisnęła klawisz, który wykasował jej notatki, a potem wyszła na korytarz po wodę do popicia aspiryny.

Carl Anders zerwał taśmę i wszedł na opuszczony oddział. Miał na sobie cały rynsztunek: kombinezon, wysokie buty, rękawice, hełm. Formaldehyd powinien był do tej pory zrobić, co do niego należało, ale dopóki nie sprawdził pasków papieru, nie mógł być niczego pewien. Nawet gdyby na własne oczy przekonał się, że subtilis niger na każdej próbce są martwe, nie miałby stuprocentowej pewności, a jedynie opartą na solidnych podstawach wiarę.

Dłońmi odzianymi w grube, podwójne rękawice zebrał próbki i przeniósł je do prowizorycznej pracowni. Miał dokładną świadomość powietrza wokół siebie, przesyconego ciężką wonią dezynfekcji, lecz sam miał niezależny aparat tlenowy i nie czuł tego zapachu w nozdrzach ani w ustach.

Spędził przy przyniesionym z sobą mikroskopie sporo czasu. Ostatecznie, zadowolony, że pomieszczenie było tak czyste, jak to tylko możliwe, dotknął przełącznika i uruchomił system wentylacji, który miał wypompować niezdrowe powietrze o wiele mówiącym zapachu do zamkniętego systemu respiracyjnego, którego zadaniem było jeszcze raz je oczyścić, pozbawić nieprzyjemnej woni i wpompować z powrotem do pomieszczenia. W ciągu dwudziestu czterech godzin po formaldehydzie zostanie ledwie wspomnienie. Miał wielką nadzieję, że po filowirusie, który tu wcześniej krążył, nie zostanie nawet tyle.

Rossetti odsunął krzesło i usiadł.

– Cieszę się, że wybrałeś jakieś inne miejsce – rzekł z krzywym uśmiechem. – W tamtym ludzie już zaczęli gadać.

Sięgnął po piwo, które w oczekiwaniu na jego przybycie zamówił starszy z mężczyzn.

– Chcesz zacząć czyja mam mówić? – spytał.

– Proszę bardzo, mów.

– Po pierwsze, Jean-Pierre Didier – lekarz, którego aresztowano za heroinę. Okazuje się, że był przemytnikiem dzieł sztuki. Specjalizował się w cennych przedmiotach zabytkowych. Sprzedawał je kilku galeriom, które szczególnie dbały o ich pochodzenie. I wiem, co wyniosła z jego mieszkania: notes z listą galerii i transakcji.

– Dobra robota. Masz go?

– Nie, ale to już nie ma większego znaczenia, przynajmniej dla naszej sprawy. Didier jest już poza nią, podobnie jak jeden z jego paserów, facet o nazwisku Beno Stanislas. Zakłuli go.

– A twierdziłeś, że nie będziemy mieli o czym rozmawiać... – Jego kompan pociągnął łyk piwa i rzekł po chwili: – Chcę mieć ten notes, Mike.

– Posłuchaj, przemyt dzieł sztuki to tylko wątek poboczny. Nie jest nawet związany z IMA poza tym, że Miller być może kupił kilka przedmiotów od Stanislasa.

– A ty uważasz, że to nie ma znaczenia? A jeśli Miller wiedział, co robił Didier? Jeśli zorientował się, że rzeczy, które kupował od jak mu tam...

– Stanisłasa.

– ...były szmuglowane przez jednego z jego własnych doktorów, który tym samym narażał IMA na wielkie ryzyko?

Rossetti wzruszył ramionami.

– Miller byłby przerażony. Zwolniłby Didiera, czy co tam się robi, żeby pozbyć się ochotnika. Koniec, kropka. – Zauważył, że tamten przygląda mu się niewyraźnie. – Uważasz, że nie? Miller jest wielce szanowanym lekarzem, Tom. Poza tym Didier popełnił samobójstwo, pamiętasz? Teraz twoja kolej. Miałem rację co do hrabiny de Palmy?

– Bingo. Ta miejscowość, gdzie się urodziła, Villarosa? Znajduje się na Sycylii. I zgadnij, kto jeszcze stamtąd pochodzi? Dziadek Josepha Tortoriello, Paolo.

– Mafia.

– Właśnie. Aha, a tytuł hrabiowski de Palmy nie został odziedziczony, lecz nabyty. Obecny hrabia był uprzednio znany jako Luciano Salerno.

Przybył tu z Sycylii jako dziecko; dwadzieścia lat później deportowano go za działalność przestępczą.

– Renée wkłada w IMA mnóstwo pieniędzy – rzekł w zamyśleniu Rossetti. – I jest przyjaciółką Millera. Ale mafia z reguły nie wykorzystuje kobiet. A zatem o co tu chodzi?

– Ty mi powiedz, Mike.

– Chciałbym.

– No cóż, jest jeszcze coś, co pewnie cię zainteresuje... Ktoś dzwonił niedawno do Stanfordu i pytał o Richarda Hollandera. Rossetti zmarszczył brwi.

– Kto?

– Doktor Lucy Nash.

– O, cholera.

– Otóż to. Zajęliśmy się tym, rzecz jasna. Powiedziano jej, że Hollander jest na urlopie naukowym i prowadzi prywatne badania w laboratorium IMA... – Zrobił przerwę. – Ale myślę, że mamy kłopoty.

– To ona ma kłopoty – powoli powiedział Rossetti. – Jeśli zaczyna pytać o Hollandera, znacznie trudniej będzie ją ochraniać.

– O, myślę, że ona bardziej zagraża nam niż my jej. Jest częścią IMA, pracuje na poziomie czwartym. Musi należeć do tego zamkniętego kręgu.

Ale Rossetti pokręcił głową.

– Nie sądzę, Tom. Jestem pewien, że ona nie ma pojęcia, co się dzieje.

– No to jest nas troje.

– Tak, ale to ona znalazła notes. I to ją straszyl już Anders... Myślę, że grozi jej prawdziwe niebezpieczeństwo.

Westchnął głęboko i dodał:

– A teraz nie możemy jej już chronić...

Pomarańcze wyglądały na smaczne. Wybrała trzy i dołożyła je do małego pieczonego kurczaka, bagietki i jarzyn w koszu na zakupy, po czym zaniósła wszystko do kasy.

– Zapasy? – zagadnął sprzedawca, gdy Lucy grzebała w portmonetce. – Zapowiadają na jutro piętnaście centymetrów śniegu.

– Tak słyszałam. Ale nie raz już się pomylili – dodała z nadzieją.

– A jednak wygląda, jakby miało zacząć padać.

– To prawda.

Lucy wsunęła do kieszeni resztę, zabrała zakupy i wyszła na zimne powietrze środowego wieczoru. W normalnej sytuacji myśl o mającym spaść śniegu przywołałaby w wyobraźni błogie obrazki w rodzaju: ona z gorącym kakao w objęciach Ricka... Jednak obecne okoliczności były dalekie od normalnych.

– Cześć, pani doktor. Dasz na coś do jedzenia?

Lucy obróciła się, gdy z ukrytego wejścia do domu wczłapał Ray z kubkiem w wyciągniętej ręce.

– Jasne, Ray – odparła szybko, sięgając do kieszeni po drobne. – Wiesz, kim jestem?

Zmarszczył czoło.

– Pewnie, że wiem. Lekarką.

Patrzył uważnie na spadające do kubka monety.

– Gdzie byłaś? – spytał nagle.

– Pracowałam – odparła Lucy, powstrzymując się od przypomnienia, że to przecież jego nie było jakiś czas w okolicy. – Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy ostatnim razem?

Ray pokręcił głową i zaczął odchodzić.

– Mam dla ciebie więcej pieniędzy – zawołała za nim. – Znacznie więcej...

To go zatrzymało. Ostrożnie wyciągnął znowu kubek, ale tym razem Lucy pokręciła głową.

– Po pierwsze, chcę ci kupić coś do jedzenia. Lubisz McDonalda, prawda?

– Jasne.

– No to chodź. Nie jesteś głodny? Bo ja jestem.

Jednak Ray stał zdezorientowany.

– Chcesz, żebym tam wszedł? Do środka?

– Oczywiście, do środka. Tutaj jest za zimno. Chcę z tobą porozmawiać.

Delikatnie poprowadziła go w stronę restauracji, poprzez szklane drzwi, i posadziła przy stoliku. Ludzie patrzyli na nich znacząco, lecz Lucy odpowiadała im tak zaciętym spojrzeniem, że odwracali wzrok.

– Zostań tu, a ja pójde po jedzenie. Na co masz ochotę...?

Gdy wróciła z pełną tacą, Ray siedział już bez kurtki i szala. Rzucił się na jedzenie z

zapalem, a Lucy zmusila się do przełknięcia kawałka hamburgera.

– Ostatnim razem, gdy się widzieliśmy, miałeś na szyi coś w rodzaju wysypki – powiedziała.

– Mam w swoim gabinecie maść, która to wygoi. Mogę to zobaczyć?

Ray przerwał w pół kęsa.

– Chcesz obejrzeć moją szyję?

– Zgadza się. Jestem panią doktor, pamiętasz?

Wzruszył ramionami.

– W porządku.

Lucy wstała i podeszła do niego. Delikatnie odciągnęła brudny kołnierz koszuli. Blizn w kształcie półksiężyca nie sposób było z czymkolwiek pomylić. Ze wszystkich sił próbując zapanować nad wyrazem twarzy, wróciła na swoje miejsce.

– Mam doskonale lekarstwo na tę wysypkę – rzekła. – W moim gabinecie w szpitalu.

– To mi nie przeszkadza – odparł.

– Nie chcę, żeby ci się pogorszyło – powiedziała, lecz Ray zdawał się jej nie słyszeć.

Odsunął puste pudełko po hamburgerze i zabrał się za deser. Ciastko było nieduże; nie miała wiele czasu.

– Jeśli pójdziesz teraz ze mną do mojego gabinetu – zaimprovizowała – zapłacę ci dziesięć dolarów.

Podniósł wzrok i popatrzył na nią z ustami usmarowanymi wiśniowym syropem, a jego wyblakłe oczy zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

– Dziesięć dolarów?

– Tak.

Ray patrzył groźnie.

– To dużo pieniędzy. Co muszę za nie zrobić?

– Cóż, prowadzimy, hm, pewne badania, er, nad wysypkami na szyi – zmyślała Lucy. – Bardzo szczególne badania. Badamy ludziom szyje, er, sprawdzamy parę innych rzeczy i płacimy im za czas, jaki nam, hm, poświęcili.

– Serio?

Wepchnął do ust ostatni kawałek ciastka i przyglądał się jej z zainteresowaniem.

– Zapłacisz mi dziesięć dolarów tylko za obejrzenie mojej szyi?

– Tak, zapłacę. Ale musisz jechać ze mną od razu. Taksówką.

– Gdzie pojedziemy?

Nie uciekaj, Ray, błagała w duchu.

– Pojedziemy do mojego gabinetu w szpitalu. Tam prowadzimy badania. I tam trzymamy pieniądze.

– Nie potrzebuję szpitala – odparł. – Już byłem w szpitalu.

– Ale to jest inny szpital – mówiła cierpliwie. – I będziesz tam tylko kilka minut. Założę się, że w tamtym szpitalu nie zapłacili ci dziesięciu dolarów.

– Zapłacili mi dwadzieścia – oznajmił Ray.

Nabrał na palec kilka okruchów z ciastka i zlizął je, zerkając znad stołu, by sprawdzić, czy dała się nabrać.

– My zazwyczaj płacimy tylko dziesięć – odparła – ale myślę, że tobie możemy zapłacić dwadzieścia.

– A może dwadzieścia pięć? – spytał z nadzieją.

Lucy westchnęła.

– Dobrze, Ray. Dwadzieścia pięć. Ale tylko pod warunkiem, że pojedziesz ze mną natychmiast.

Wstał i zaczął owijać szyję szalikiem.

– W porządku – powiedział. – Przydałoby mi się jednak trzydzieści dolarów.

– Dwadzieścia pięć.

– No dobrze.

Wbił się w kurtkę i razem z panią doktor wyszedł na chłód.

Pierwsza taksówka, jaką przywołała Lucy, odjechała, gdy tylko kierowca spostrzegł, że zamierza zabrać ze sobą Szalonego Raya. Drzwi drugiego samochodu otworzyła i wepchnęła go do środka, zanim rozgniewany Arab za kółkiem zdołał się zorientować, co się dzieje.

– Nie powinien jeździć taką taksówką – burzył się łamaną angielszczyzną. – To nie w porządku. Mój samochód czysty. Nie dla niego.

Lucy to nie wzruszyło.

– Proszę jechać – nakazała ostro.

Było po szóstej i szpital brał właśnie oddech przed wieczornym najazdem. Przed izbą przyjęć zatrzymała się karetka, kiedy Lucy prowadziła Raya głównym wejściem do wind. Potem minęli korytarz prowadzący na jeden z bloków operacyjnych i Ray przeląkł się na widok mijających ich zdecydowanym krokiem kilku instrumentariuszy w fartuchach i maskach. Gdy jednak znaleźli się na oddziale chorób zakaźnych, wszystko uspokoiło się, łącznie z Rayem.

Zaprowadziła go do niewielkiego pokoju badań obok swego gabinetu.

– Może usiądziesz tu na stole? – poprosiła, ale Ray pokręcił głową i zatopił się w stojącym z boku fotelu.

Położyła torbę lekarską na małym biurku, uświadamiając sobie nagle, że zostawiła w taksówce zakupy. Nieważne, pomyślała; dwadzieścia pięć dolarów dla Raya i dziewięć pięćdziesiąt za zakupy to i tak niewielka cena.

– Będzie nam znacznie łatwiej, jeśli usiądziesz tu na stole – nalegała.

Popatrzył na nią sprytnie.

– Za trzydzieści dolców?

– Mam tylko dwadzieścia pięć... – Zamyśliła się, a potem rzekła: – Coś ci powiem: zapłacę ci jeszcze pięć, jeśli usiądziesz na stole. I jeśli pozwolisz pobrać sobie krew.

Ray wstał.

- Idę stąd – oznajmił kategorycznie.
- Dobrze, dobrze, żadnej krwi. A rentgen klatki piersiowej?
- Po co wam mój rentgen? – spytał podejrzliwie.
- To część naszych badań.

Przyjrzał się jej.

- W porządku, ale żadnej krwi.
- Umowa stoi.

Wciąż naburmuszony Ray wszedł na stół, a Lucy zadzwoniła na Radiologię, by zawiadomić, że ma nagły przypadek i za dziesięć minut potrzebne jej będzie zdjęcie klatki piersiowej.

– Nagły przypadek? – odezwał się Ray.

– To, żebyś mógł szybciej wrócić do siebie – uspokoiła go. – Nie chcesz chyba siedzieć w tym szpitalu, co?

– Ej, a jak mam wrócić do siebie? – spytał, uprzytomniwszy sobie nagle, że nie ma pojęcia, gdzie się znajduje.

– Zapłacę za twoją taksówkę. Rozepnij koszulę, proszę.

Lucy jeszcze raz sprawdziła blizny, marząc w duchu o próbce krwi, nie tyle, by przekonać samą siebie, co aby móc udowodnić Billowi. Potem osłuchiwała serce i płuca Raya, zmierzyła ciśnienie. Lekki świst w lewym płucu. Silne, regularne bicie serca. Tętno nieco przyspieszone, ale to z nerwów.

– Skończyłaś?

– Prawie.

Lucy zanotowała coś na karcie badań i jeszcze raz obejrzała blizny.

– W porządku. Ubierz się i zejdziemy na rentgen.

– Kiedy dostanę pieniądze?

– Po prześwietleniu.

I jak pożyczę dziesięć dolarów od kogoś z Radiologii. Spakowała swoją torbę i tylną windą zabrała go do piwnicy. Oddział znajdował się w innym skrzydle, a podziemny korytarz biegnący pod obydwojema budynkami stanowił najprostszą drogę.

– Strasznie tu – stwierdził Ray. – Gdzie my jesteśmy?

– Pod szpitalem – wyjaśniła.

– Gdzie idziemy?

– Na prześwietlenie.

Przez parę minut szli w milczeniu. Kilka pielęgniarek minęło ich w pośpiechu, ledwo na nich zerkając.

– Ten szpital, w którym byłeś wcześniej – odezwała się Lucy. – Nazywał się jakoś z gwiazdą?

– No, to były gwiazdy. Był w takiej wielkiej gwieździe.

– W gwieździe? Myślałam, że nazywał się „Gwiazda”.

– Gwiazda, tak było.

– Pamiętasz, co się z tobą działo? – naciskała Lucy. – Powiedzieli ci, co ci było?

– Co mi było?

Ray zastanowił się przez moment.

– Byłem chory.

– Wiem, że byłeś chory – odrzekła zniecierpliwiona Lucy, po czym łagodniej już dodała: – Powiedzieli ci, jak nazywa się ta choroba?

– No, ale nie pamiętam. Coś z „r” w środku. Jezu, pomyślała podekscytowana Lucy.

– Peruwia? – spytała, próbując zapanować nad głosem. – Nazywała się peruvia?

Ale Ray pokręcił głową.

– Nie, to nie to. Chyba coś na „G”... Graślica... Coś takiego.

Lucy łamała sobie głowę; co to mogło znaczyć?

– Gruźlica? – spytała w końcu. – Czy to było to? Miałeś gruźlicę?

– Tak, tak. To było to!

Jego twarz rozjaśniła się, jakby dokonał epokowego odkrycia.

– Miałem gruźlicę – dodał.

Lucy zastanowiła się. To było możliwe, przynajmniej teoretycznie. Wśród bezdomnych często spotykało się przypadki różnego rodzaju gruźlicy. Ale na pewno nie blizny na karku w kształcie półksiężyca.

Myślała o objawach peruwii i nie miała pojęcia, jak można było pomylić tę chorobę z gruźlicą. Z pewnością przy obu infekcjach występowała gorączka i kaszel. Z pewnością niektórym formom gruźlicy towarzyszyła wysypka. Ale na tym podobieństwa się kończyły. Krwotoki, przekrwione oczy, stopniowa zamiana w płyn organów wewnętrznych, o wszystkich tych symptomach nie śniło się nawet żadnemu prątkowi gruźlicy.

Najważniejsze teraz to zrobić rentgen. Zdjęcie udowodni, że Ray nie miał gruźlicy. Niestety, nie potwierdzi też jednoznacznie, że miał peruwie. To mogłoby wykazać tylko badanie krwi.

– Ile musiałabym ci zapłacić, żebyś dał sobie pobrać krew? – spytała.

Ray zatrzymał się, po czym zaczął się cofać, oddalać się od niej.

– Mówiłaś żadnej krwi.

– Zapłacę ci ekstra.

– Żadnej krwi. Idę do domu. Ruszyła szybko za nim.

– Dobrze, dobrze, żadnej krwi. Obiecuję. Tylko prześwietlenie. Głupia, głupia, besztala siebie.

– Żadnej krwi. Patrz – sięgnęła do torebki – tu są pieniądze. Nie chcesz pieniędzy?

Do diabła, potrzebuję tego zdjęcia. Przez kilka minut próbowała go uspokoić i zapewnić, że nic mu się nie stanie, aż w końcu dał się namówić na powolny marsz w stronę Radiologii.

– To zajmie jakieś dwadzieścia minut – oznajmił człowiek obsługujący dziś urządzenie. – Może zaczekać tam.

Mimo pory w poczekalni na krzesłach siedziało około ośmiu osób.

– Mogę z panem porozmawiać? – Lucy odciągnęła mężczyznę na bok. – Jestem doktor Nash z Oddziału Chorób Zakaźnych. Przed chwilą to ja dzwoniłam...

Technik skinął głową.

– Proszę posłuchać, nie ma mowy, żeby udało mi się zatrzymać tu tego człowieka przez dwadzieścia minut. On zwyczajnie mi zwieje. Musi go pan przyjąć jako następnego. Proszę.

Mężczyzna spojrzał ponad jej ramieniem na obszarpańca o kaprawych ślepiach.

– Potrzebuję tylko kilku zdjęć klatki piersiowej – ciągnęła. – To bardzo ważne. Potrzebne mi są natychmiast. Aha, i mógłby mi pan pożyczyć do jutra dziesięć dolarów...?

Ściskając w dłoni szarą kopertę ze zdjęciami rentgenowskimi, Lucy zaciągnęła Raya, o niepewnym teraz spojrzeniu i coraz bardziej zagubionego, do taksówki i wsunęła kierowcy do ręki jakieś pieniądze.

– Proszę go zabrać na róg Drugiej i Siedemdziesiątej Piątej – poleciła. – Niech go pan wysadzi za zakrętem.

– A co, jeśli nie będzie chciał wysiąść? – spytał bardzo rzeczowo szofer.

W samochodzie było ciepło i były miękkie siedzenia.

Zastanowiła się chwilę, po czym otworzyła tylne drzwi.

– Ray? Daję panu kierowcy dodatkowe pięć dolarów. Zawiezie cię do McDonalda, a jak wysiądziesz, da ci pieniądze. Dobrze?

Ray wymamrotał coś na potwierdzenie, a Lucy przez okno kierowcy wepchnęła pięciodolarówkę. Stała przez moment, patrząc, jak odjeżdżają, po czym zabrała kopertę z powrotem do swojego pokoju.

Szybko rzuciła okiem na zdjęcia jeszcze na Radiologii, zanim wraz z Rayem opuścili piwnicę. Żadnych guzków, żadnych blizn; nic, co mogłoby wskazywać na przebytą gruźlicę. Nie to, żeby się czegoś takiego spodziewała. Nie. Wstrząsnęło nią jednak to, że mimo charakterystycznych blizn na szyi, płuca Raya nie nosiły znaków żadnego rodzaju szkód, które peruwia w mniejszym lub większym stopniu zawsze pozostawiała w tkance miękkiej nawet u tych, którzy przeżyli.

Siedziała w ciemnym gabinecie, oświetlonym tylko poświatą z ekranu, wpatrując się w wiszące na nim klisze. Skąd wzięły się u Raya blizny po peruwii, skoro nie miał peruwii?

Nazajutrz rano obudziła się znowu z poczuciem jakiegoś celu. Obiecywany śnieg jeszcze się nie pojawił, ale podnieceni telewizyjni meteorolodzy zapewniali wszem wobec, że już nadciąga. Lucy złapała z szafy w przedpokoju buty z cholewami i ruszyła do drzwi. W drodze do szpitala chciała wpaść na pół godziny do siłowni, ale zasnęła. Teraz pędziła ulicą, zerkając na zegarek i modląc się o taksówkę z nadzieją, że zdąży na obchód.

Był czwartek, dzień z IMA, ale przyjęcie kilkorga nowych pacjentów zmusiło ją do telefonu do Carla i odwołania swojej wizyty już drugi raz z rzędu. Z jednej strony miała wyrzuty

sumienia; nie pochwałała angażowania się w pracę, której później nie można było podjąć. Jednak z drugiej strony, poczuła ulgę. Praca na poziomie czwartym była wyczerpująca, a ona chciała wykorzystać resztę sił, jaka jej zostanie po dniu w szpitalu, na przeprowadzenie małego śledztwa.

Około czwartej po południu ruch zmalował nieco. Złapała w bufecie jakąś kanapkę i sok – jej pierwszy posiłek tego dnia – i zaniósła je na swoje biurko, zabierając po drodze z sekretariatu książkę telefoniczną.

Wgryzając się w kanapkę, otworzyła ją na „Szpitalach” i przebiegła palcem w dół listy. Tylko jedna nazwa – Klinika „Poranna Gwiazda”, niewielki ośrodek w Yonkers – brzmiała obiecująco. Spisała adres na kartce z notesu i zaczęła przeglądać „Misje”.

Znalazła wiele niezłe brzmiących nazw: Dom Anioła, Boża Latarnia, Le Candela. Ale żadnej gwiazdy; ani nawet estrella. Przeszła do „Schronisk”, zastanawiając się, co napadło wydawcę książki telefonicznej, żeby stworzyć dla nich osobną kategorię, skoro pod poprzednim hasłem znalazła się Misja Nepalska i Kościół Łaski Wiary.

„Schroniska” objęły wszystkiego trzy pozycje, z których dwie nie miały dla niej najmniejszego znaczenia. Trzeci przytułek nosił nazwę Misja „Gwiazda Nadziei” i mieścił się gdzieś w przemysłowej części miasta.

Spisała adres, po czym oparła się w fotelu z kartką w dłoni i próbowała zdecydować się, od czego zacząć. Klinika „Poranna Gwiazda” byłaby lepiej przystosowana do leczenia gruźlicy. Misja w żadnym wypadku nie nadawałaby się do przyjęcia grupy prątkujących pacjentów. Ale Ray nie miał gruźlicy, upomniała sama siebie. A „Poranna Gwiazda” znajdowała się w Yonkers. Mało prawdopodobne, choć nie niemożliwe, żeby Ray sam tam dotarł.

Sam... Przypomniała sobie, że wszyscy bezdomni z jej sąsiedztwa znikli mniej więcej w tym samym czasie. Może nigdzie nie odeszli. Może zostali zabrani.

Przez Klinikę „Poranna Gwiazda”? Czy może przez Misję „Gwiazda Nadziei”?

Za oknem zaczęły fruwać maleńkie płatki, przyspieszając jej decyzję. Szaleństwem byłaby próba dotarcia do Yonkers i z powrotem podczas śnieżyicy. Wstała i podeszła do okna, wychylając się, by wyjrzeć na chodnik. Śnieg wciąż padał bardzo drobny. Mogłaby złapać taksówkę, pojechać do „Gwiazdy Nadziei” i rozejrzeć się szybko. Może być trudno znaleźć taksówkę z powrotem, zwłaszcza jeśli śnieżna burza faktycznie się rozpęta, ale pewnie wciąż będą kursować autobusy. Poza tym ma kozaki i ciepły płaszcz; ostatecznie będzie mogła wrócić pieszo.

Gdy wyszła na chłodne, wilgotne powietrze, przed szpitalem nadal roilo się od taksówek.

– Nie mogę pojechać drogą zachodnią – oznajmił jej kierowca, gdy ruszyli. – Wypadek. Robi się ślisko.

– Cóż, proszę jechać tak, jak się da – powiedziała Lucy. Zatopiona we własnych myślach, była ledwie świadoma tego, gdzie się znajdują, dopóki samochodu nie zarzuciło na zakręcie.

– Gdzie jesteśmy? – spytała, podniósłszy wzrok.

Płatki śniegu spadały coraz szybciej, a na ulicy było ciemno.

– Prawie na miejscu – odparł kierowca, zwalniając. – Jeszcze tylko jeden zakręt.

Lucy kiwnęła głową i zaczęła grzebać w portfelu, lecz nagle przestała i wyjrzała przez okno, uświadamiając sobie, gdzie się znalazła. Odwróciła się i zobaczyła ginące w oddali słabo oświetlone stalowe drzwi. Właśnie minęli laboratorium IMA.

Taksówka skręciła raz, a potem jeszcze raz.

– To istny labirynt – zaczął narzekać kierowca. – Koniec często jest taki, że jeździ się w kółko tymi jednokierunkowymi ulicami. O to pani chodziło?

Przed nimi olbrzymia błękitna gwiazda rzucała szerokim łukiem niezemskie światło na świeży śnieg. To jak fatamorgana, pomyślała Lucy, albo niezwykła wizja. Nic dziwnego, iż Ray powiedział jej, że mieszkał w gwieździe.

Nad drzwiami widniał łuszczący się napis:

GWIAZDA NADZIEI

Lucy wysiadła i stała wpatrzona w ceglany budynek. Ponieważ zawsze zbliżała się do tej dzielnicy drogą zachodnią, nigdy nie podjeżdżała do laboratorium IMA od tej strony. A parking, na którym Rick trzymał swój samochód, też znajdował się bliżej rzeki. Taksówka dwukrotnie skręciła w prawo, minawszy pracownię IMA; musiała więc być na ulicy na tyłach laboratorium. Rozejrzała się w prawo i w lewo, próbując się zorientować, i zdała sobie sprawę, że budynki IMA i „Gwiazdy Nadziei” muszą sąsiadować ze sobą tylnymi ścianami. Przeszedł ją dreszcz, który nie miał nic wspólnego ze śniegiem pokrywającym jej włosy i ramiona.

Zawahała się przez chwilę, po czym pchnęła drzwi misji i weszła do środka.

Zaduch, będący mieszaniną gorącego powietrza, zapachu jedzenia i niemytych ciał, owionął ją, gdy tylko ruszyła ponurym korytarzem. Kolejka ludzi posuwała się powoli do zwieńczonego łukiem przejścia i dalej w prawo, gdzie zapracowany mężczyzna w poplamionym fartuchu nalewał na białe plastikowe talerze dymiący gulasz.

– Czym mogę służyć?

Lucy odwróciła się. Stała obok niej kobieta o surowym wyglądzie, lecz życzliwych oczach. Widząc jej twarz, czysty płaszcz, kozaki i torebkę, dodała:

– Zakładam, że nie przyszła pani się posilić.

– Nie, przyszłam pomóc.

Kobieta przyglądała się jej badawczo ze zmarszczonymi brwiami.

– Nie rozumiem. Nie jest pani naszą stałą wolontariuszką.

Jej mowa była płynna, lecz z lekkim akcentem. Niemieckim? – zastanawiała się Lucy. Holenderskim?

– Nie, ja... mieszkam w pobliżu.

Wiele zrujnowanych domów zostało przerobionych na istne rezydencje, jedne legalnie, inne nie. Tak czy inaczej, jej kłamstwo miało ręce i nogi.

– Często tędy przechodziłam – ciągnęła Lucy – i myślałam, że mogłabym pomóc. A dziś, przy tym śniegu, przyszło mi do głowy, że może ktoś z waszych stałych wolontariuszy się nie zjawi, i... – Uśmiechnęła się i wzruszyła lekko ramionami. – W każdym razie, jestem.

Kobieta przyglądała się jej przez chwilę, a potem się uśmiechnęła.

– Miała pani rację – rzekła. – Przyda nam się dzisiaj pomoc. Jeden z naszych pomocników i ochotnik, który miał zostać na noc, obaj odwołali swoje przybycie. Jestem siostra Margareta. Jak się pani nazywa?

– Lucy. Lucy Nash.

Lucy zdawało się, że dostrzegła w jej oczach specyficzny błysk, jakby rozpoznała jej nazwisko. Jej ton, gdy przemówiła, pozostał jednak bezosobowy.

– Proszę ze mną – poleciła, prowadząc ją do stołu, przy którym wydawano posiłek. – Jonathan pokaże pani, co robić.

Otworzył drzwi i włączył światło. System wentylacyjny chodził pełną parą już od dwóch dni i powietrze pachniało nie najgorzej. Uderzył w wyłącznik i głośny szum wentylatorów ustał. Wciąż czuć było słaby, mdły zapach formaldehydu, który dostał się do szuflad biurka, szafek i włączenia płytek z linoleum na podłodze. Resztki nieprzyjemnej woni ulotnią się całkowicie dopiero za jakiś czas, ale tego można było się spodziewać.

Chodził dokoła, sprawdzając wszystko, co mogło mu w jakiś sposób umknąć. Wybielacz usunął ze ścian i podłóg wiele mówiące smugi krwi i kału. Długi kabel został zwinięty i ukryty wraz z patelniami i pudełkami kryształów. Ludzie – ci, którzy przeżyli – zostali sownie wynagrodzeni i odesłani do odległych zakątków, z których wcześniej zostali zwerbowani, ostrożnie, każdy z osobna. Rodziny co bardziej pechowych pielęgniarek i sanitariuszy otrzymały listy rzekomo od tych właśnie krewnych, którzy donosili im o nowych, doskonale płatnych posadach w Europie i Azji.

Pomieszczenie było przygotowane. Ale wątpił, czy jeszcze się kiedyś przyda. Wyniki były pełne i rozstrzygające. Mogli teraz przejść do kolejnego etapu. Byli gotowi.

Mieliście spore szczęście z tą gruźlicą – rzekła jakby od niechcenia Lucy, kładąc kromkę chleba i kawałek masła na talerzu, który przekazał jej Jonathan, i podając wszystko następnej osobie w kolejce.

– Z jaką gruźlicą?

Jonathan zmarszczył brwi, koncentrując się na stojącym przed nim garze z gulaszem.

– Tylu bezdomnych zachorowało. Znam jednego z nich. Kręci się w pobliżu mojego domu. On mi o tym powiedział. Mężczyzna popatrzył na nią.

– Nie wiem, o czym pani mówi. Tu nie było żadnej gruźlicy. Podał jej kolejny talerz.

– Pewnie ma pani na myśli jakieś inne miejsce – dodał.

– Nie, to było tutaj. Ten mój znajomy mówił o gwieździe na zewnątrz. Mówił, że

zachorował, a wy się nim zajęliście. I innymi ludźmi.

Zawahała się.

– Musicie tu mieć doskonale pielęgniarki, co?

Jonathan odwrócił wzrok.

– Nie wiem, o co chodzi – wymamrotał. – Tu nie było żadnej gruźlicy.

– No, może się pomylił, może to nie była gruźlica. Ale leżał tu chory. A wy go wyleczyliście.

– Nie ja – kategorycznie uciął rozmowę mężczyzna. – Ja nie miałem z tym nic wspólnego.

– Doktor Anders? Mówi siostra Margareta. Chodzi o tę pana koleżankę, tę, która miała tu zajrzeć. Właśnie przyszła. Nic jej nie powiedziałam, tak jak pan polecił...

Margareta przerwała. Wydało się jej dziwne, że ten dobry przyjaciel doktor Nash, Carl Anders, chciał ją zaskoczyć, gdyby się pojawiła. Równie dziwne zdawało się to, że doktor Nash nie przedstawiła się jako lekarka, nie wspomniała o Carlu. Cóż, IMA była dla misji nadzwyczaj dobra. Poprzednik siostry opowiadał, jak organizacja zadbała o remont walącego się zaplecza, powiększyła schronisko z dziesięciu do dwudziestu dwóch łóżek, odnowiła przestarzałe łazienki. A doktor Miller tak bardzo pomagał i wspierał ich w czasie epidemii gruźlicy... Nie, wewnętrzne sprawy IMA w ogóle nie powinny jej interesować.

– Jest około szóstej, a ja nie jestem pewna, jak długo ma zamiar zostać. Ale prosił pan, żeby zadzwonić, więc dzwonię. Mam nadzieję, że otrzyma pan moją wiadomość.

Odłożyła słuchawkę i poszła sprawdzić, jak sobie radzi Lucy.

Carl wszedł do małego laboratorium i skierował się do komputera. Tak, wszystko szło zgodnie z planem, stwierdził z zadowoleniem. Pozostało tylko zmienić sposób przenoszenia. Ostrożnie opuścił swe ubrane w kombinezon ciało na metalowy taboret i wystukał polecenie na klawiaturze. Ekran monitora zmieniał się wielokrotnie, gdy palce w rękawiczkach biegały po klawiszach, tworząc komputerowe modele sekwencji genów. Na blacie jakieś dwa metry od miejsca, w którym siedział, szybko mrugała czerwona dioda sygnalizująca wiadomość zostawioną na automatycznej sekretarce. Skonstruowane specjalnie do użytku w gorącym laboratorium szczelnie zamknięte urządzenie mogło przekazywać wiadomości pozostawione na sekretarce w jego gabinecie poprzez mikrofon połączony ze słuchawkami w jego hełmie. Podobnie można było prowadzić zwykle rozmowy telefoniczne.

Dopiero po kilku minutach pracy uwagę Carla zwróciło czerwone światełko. Wcisnął guzik „odtwarzanie” i słuchał w skupieniu. Potem, ze stłumionym przez hełm przekleństwem, wstał szybko i pobiegł pod odkażający prysznic. Za jego plecami ekran komputera świecił przyćmionym niebieskim światłem.

Jonathan zaniósł ogromny gar do kuchni, a tymczasem Lucy obeszła jadalnię z wielkim czarnym workiem na śmieci, zbierając brudne talerze, kubki i plastikowe sztucce.

– Jak pani sobie radzi? – spytała Margareta, zjawiając się u jej boku. – Dostali już sałatkę owocową?

– Nie, Jonathan właśnie po nią poszedł. Ja trochę sprzątam.

– Pomogę pani.

Razem chodziły między stołami, siostra uśmiechała się i pozdrawiała swoich zaniedbanych gości z łaskawością gospodyni wystawnego przyjęcia.

– Słyszałam, że mieliście tu niedawno epidemię gruźlicy – zagadnęła Lucy, nie przerywając pracy.

– Gruźlicy? – Margareta pokręciła głową. – Tutaj? Któż to pani powiedział?

– Jeden z moich... er... przyjaciół był w to zaangażowany – ostrożnie odpowiedziała Lucy.

Siostrze ulżyło. Carl wyjaśnił, że ta Lucy Nash, której się poniekąd spodziewał, to jego koleżanka. Skoro sam najwyraźniej uznał za stosowne powiedzieć jej o epidemii, Margarecie wydało się, że niemądrze będzie nadal temu zaprzeczać.

– To prawda – wyznała, zniżając głos. – Otrzymaliśmy specjalne pozwolenie, żeby tu biedaków zatrzymać. Oczywiście zarządziliśmy kwarantannę w całym schronisku i, rzecz jasna, zachowywaliśmy środki najwyższej ostrożności. A Bóg pobłogosławił naszym wysiłkom. Wszyscy chorzy wyzdrowieli.

– Naprawdę? To wspaniale – wykrzyknęła Lucy, zastanawiając się, czy siostra kłamie, czy po prostu ktoś wprowadził ją w błąd.

Wyzdrowienie stu procent pacjentów jest w przypadku peruwii zwyczajnie niemożliwe; nawet pięćdziesiąt procent jest bardzo mało prawdopodobne.

– A jak rozpoznaliście...

– Proszę siadać, podamy teraz deser – ogłosił Jonathan, przerywając jej. – Lucy, może mi pani pomóc?

– Proszę iść – poleciła Margareta, zawiązując wór ze użytymi naczyniami. – Muszę zająć się noclegownią. Niestety, mamy tylko dwadzieścia dwa łóżka – dodała z żalem. – W taki wieczór okropnością jest nie dać ludziom schronienia.

Lucy wzięła od Jonathana załadowaną tacę i szybko rozdawała małe miseczki z owocami z puszki, myślami będąc zupełnie gdzie indziej. Czy Margareta naprawdę wierzyła, że pacjenci, których objęła kwarantanna w swoim schronisku, cierpieli na gruźlicę? Z drugiej strony, wydawało się niemożliwe, żeby świadomie dała schronienie zabójczemu patogenowi tu, w misji, nawet w warunkach ścisłej kwarantanny. Poza tym... żadna kwarantanna nie wystarczyłaby do zatrzymania wirusa peruwii. A jeszcze te środki najwyższej ostrożności, jak to powiedziała Margareta. Czy miała na myśli pomarańczowe kombinezony ochronne? Czy to o nie chodziło Rayowi, gdy mówił o złotych aniołach?

Teraz, gdy siostra przyznała, że mieli tu epidemię choroby, którą obie nazywały gruźlicą, Lucy aż świerbiło, by próbować dalej, ale kiedy wyszła na korytarz w poszukiwaniu Margarety, kobiety tam nie było. Lucy wróciła do jadalni. Goście zajadali owoce, żartując z Jonathanem,

który chodził od stołu do stołu i zbierał pojemniki z solą i pieprzem.

– Odstawi pani? – poprosił Lucy.

– Pewnie.

Wzięła od niego karton z pojemniczkami i poszła przez stołówkę do maleńkiej kuchenki. Wejście było zavalone kilkoma wielkimi, czarnymi torbami na śmieci. W kuchni młody mężczyzna stał przy nierdzewnym zlewie i szorował aluminiowy kocioł.

– Może wyniosę śmieci? – zaproponowała odruchowo, wyciągając ramiona, by postawić na blacie pudło z pojemnikami.

– Dobry pomysł – odparł pomywacz. – Przed wejściem jest kilka śmietników. Niech pani tylko wsadzi worki i zamknie dobrze klapy. Lepiej wziąć płaszcz. Śnieg wali dosyć mocno.

Żałując swej usłużności, Lucy założyła płaszcz i kozaki i zaciągnęła worki do wyjścia.

Chodnik przed misją pokrywało kilka centymetrów świeżego, nietkniętego śniegu, jasnobłękitnego od światła neonowej gwiazdy. Przeszła, znacząc ślady, do plastikowych kubłów i wepchnęła do nich worki, czując, jak mokry śnieg osiada na włosach, policzkach i rzęsach.

Za jej plecami otworzyły się drzwi i byli goście, wszyscy poza dwudziestoma dwoma szczęśliwcami, wysypali się na mroźne nocne powietrze. Na końcu korowodu szedł pomywacz, który pokiwał jej na dobranoc, zapinając kurtkę.

– Ciężka noc... – Jonathan stał w drzwiach, w rękę trzymając jej wielką torebkę. – To pani? Nie należy tego tak zostawiać.

– Dziękuję.

Lucy wzięła od niego swoją torbę.

– Miałam jeszcze buty...

– Są w środku. Można to zostawić w biurze Margarety, jeśli zostaje pani na noc.

– Nie wiem, czy na całą noc – odparła Lucy – ale zostanę tak długo, jak będę mogła.

– W porządku. Niech pani zostawi rzeczy u Margarety i wróci do stołówki. Jak skończymy tam, zajmiemy się kocami i poduszkami.

– Dobrze.

Wciąż w płaszczu i butach z cholewami, Lucy ruszyła długim korytarzem. Miała nadzieję, że Margareta będzie sama i że będzie mogła z nią porozmawiać.

Ale Margareta nie była sama. Zza zamkniętych drzwi jej biura dochodziły głosy. Lucy już miała zapukać, lecz zamarła w bezruchu.

– Dostałem siostry wiadomość – mówił Carl Anders. – Gdzie ona jest?

– Pomaga w stołówce, jak sądzę – odparła Margareta. – Ale też noc wybrała, żeby się tu zjawić. Już napadało nieźle, a wciąż...

– Nieważne – uciął Carl. – Co ona tu robi?

– Pomogła nam przy kolacji, to wszystko. – W głosie Margarety słychać było zdziwienie. – Taka urocza młoda kobieta. Ale byłam zaskoczona, że powiedział jej pan o gruźlicy. Rozumiem, że jest pana koleżanką, ale...

– Co? To ona wie?

– No cóż, tak. Mówiła, że był w to zaangażowany ktoś z jej znajomych, więc byłam pewna...

Skąd wziął się tutaj Carl? – zastanawiała się Lucy. Śnieg przed wejściem do misji był nietknięty, gdy poszła wynieść śmieci. Czyżby było drugie wejście z tyłu? Ale czemu Carl miałby zakradać się od tyłu? Spojrzała w dół na płytki z linoleum przed niedomkniętymi drzwiami do pokoju Margarety; były najzupełniej suche. Jedyne ślady należały do niej. Carl przyszedł z jakiegoś miejsca w misji. Ciekawe...

– Pójdę po nią – mówił Anders. – Niech siostra poczeka na korytarzu, w razie gdyby chciała wyjść.

Lucy aż zeszywniała ze złości; jak on śmiał? Czy naprawdę uważał, że uda mu się zabronić jej wyjść? Niby jakim sposobem chciał ją zatrzymać? Nagle pomyślała o pustych ulicach na zewnątrz i przypomniała sobie jego wyszeptaną groźbę, że gdyby chciał ją zabić, toby nie chybił. Kto wie, co był gotów zrobić? Mimo wszystko Margareta nie pozwoliłaby jej skrzywdzić.

– Nic nie rozumiem – oponowała siostra. – Myślałam, że to pańska koleżanka.

Carl mówił cicho i Lucy przysunęła się bliżej, koncentrując się na jego głosie.

– To oszustka – usłyszała, jak wyjaśnia. – Nie powiedziałem siostrze prawdy, bo nie chciałem, żeby siostra ją spłoszyła. Ale ona... nie jest tak naprawdę lekarką; tylko jej się wydaje, że nią jest. Kilka razy przebywała na oddziale zamkniętym, ale szpitale psychiatryczne są takie przepełnione...

Nieźle, Carl – pomyślała. Teraz nie ma mowy, żeby Margareta uwierzyła w jakiegokolwiek wyjaśnienia Lucy. Nie zauważyła Jonathana, który wyszedł ze stołówki. Podszedł do drzwi wejściowych, zamknął na zamek i zasunął wielki metalowy rygiel umocowany wysoko na framudze, po czym zniknął z powrotem w stołówce.

– Biedactwo – mówiła Margareta. – Wydawała się taka miła.

– Nie jest złą osobą – zgodził się Carl. – Potrzebuje tylko pomocy. Te jej urojenia mijają zwykle po kilku dniach. Przyniosłem ze sobą środek uspokajający. Gdy już ją uciszymy, może będzie mogła tu z wami zostać jakiś czas.

– Oczywiście. Pomogę, jak tylko będę w stanie – Margareta zapewniła Carla.

Czas na mnie, stwierdziła Lucy i pobiegła do wyjścia. Pociągnęła za drzwi – bezskutecznie; potem spojrzała w górę i zobaczyła zasuwę – za wysoko dla niej.

Za sobą usłyszała szuranie krzesła i zdała sobie sprawę, że zdecydowała się za późno. Za moment Carl wyjdzie na korytarz. Zdana była na jego łaskę.

Czyżby? Anders zjawił się w misji z suchymi nogami. Jeśli on się tu dostał, ona będzie mogła się wydostać. Schronisko musi się jakoś łączyć z IMA. Ale gdzie? Budynki stały do siebie tyłem, przypomniała sobie, więc Carl musiał przybyć gdzieś z zaplecza misji.

Gdy drzwi pokoju Margarety otworzyły się, Lucy pognała korytarzem w kierunku noclegowni, modląc się w duchu, żeby ci wychodzący stanęli twarzą w drugą stronę – w stronę wyjścia i stołówki.

– Mam nadzieję, że nie sprawi nam problemu – mówiła Margareta.

Lucy stała w agonii niezdecydowania. Za plecami miała sypialnię. Po prawej stronie – łazienki. Po lewej – brązowe drzwi z napisem NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY. Mogła spróbować tylko raz. Podrzuciła w myśli monetę, skrzyła w lewo i pchnęła brązowe drzwi.

Stała przed ścianą. Krótki, wąski korytarz biegł w prawo, na tyły budynku. Skrzyła i poszła na jego koniec, schodząc w dół do małej, niskiej dobudówki, słabo oświetlonej, zawalonej jakimiś gratami. Połowe łóżka, połamane krzesło i im podobne rupiecie zajmowały połowę pomieszczenia, a w drugiej części to tu, to tam poutykane były kartony z książkami, starymi ubraniami i różnymi innymi gratami. Pod jedną ze ścian stała szeroka, drewniana szafa, z której luszczyla się zielona farba; z jednej strony krzywo opierała się o nią wiekowa waliza. Pod przeciwną ścianą stała druga szafa, nowoczesna, z rozsuwanymi drzwiami. Otworzyła je i znalazła koce i poduszki, o których mówił Jonathan. Pomyliłam się, pomyślała zniechęcona.

To pomieszczenie jest zbyt często używane, by mogło służyć za tajemne przejście. Trzeba było wybrać łazienki.

I co teraz? Mogła wrócić i zmierzyć się z Carlem, postawić wszystko na jedną kartę i spróbować nakłonić Jonathana do otwarcia drzwi. Miała w torebce identyfikator ze szpitala. Ale Carl był dla nich bardziej wiarygodny i mógłby powiedzieć, że to fałszywka. Margareta i Jonathan zrobią to, co im będzie kazał, przytrzymają ją, gdy będzie jej wstrzykiwał środek uspokajający. Czy cokolwiek innego, co tylko ze sobą przyniosł.

To był świetny pomysł z wyciągnięciem pistoletu z bankowej skrytki, myślała z przekąsem. Jest nad wyraz użyteczny, ukryty teraz pod materacem w jej cholernej sypialni. Choć i tak nie widziała siebie w akcji, strzałami torującej sobie drogę poza Misję „Gwiazda Nadziei”.

Usiadła na kartonie i rozejrzała się dokoła. Jonathan zaraz przyjdzie po koce. Wstała i przeszła do krótkiego korytarza, który ją tu przywiódł, po czym odwróciła się. Jak na stale używany magazyn, pomieszczenie było w strasznym nieporządku. Powierzchnia przed szafą z kocami była w jako takim ładzie, ale reszty podłogi dosłownie nie było widać. I jak im się udawało dotrzeć do tamtej szafy, tej, przed którą stały dwa wyglądające na bardzo ciężkie pudła? Podeszła bliżej i sprawdziła kartony. Były wypełnione po brzegi, lecz zawartość przykrywała warstwa pogniecionych gazet i gdy pchnęła jeden z nich, poruszył się z wielką łatwością. Nic w nich nie ma, stwierdziła zaskoczona.

Na dodatek było coś dziwnego w ustawieniu pudeł przed szafą, coś, co także nie dawało jej spokoju. Odsunęła je i otworzyła drzwi. Kilka sztuk odzieży, która tam wisiała, zsunięto na jedną stronę.

Weszła do środka i obmacała tylną ścianę. Cała. Prawa ściana: cała. Lewa ściana: brak. Brak? Coraz bardziej podniecona Lucy obmacała otwór po lewej stronie szafy i znalazła wstawkę na zawiasach. Spiesząc na jej spotkanie, Carl musiał zapomnieć zamknąć tajemne drzwiczki.

Wyszła z szafy i przyjrzała się meblowi z zewnątrz. Wydała się jej prawie o metr szersza niż

wewnątrz. Sięgnęła po torebkę, potem pchnęła kartony jak najbliżej szafy, tak by móc tylko otworzyć drzwi. Przecisnęła się między nimi, weszła do mebla i zaczęła manipulować przy drzwiach, odkrywając, że mają dwustronne zawiasy i można nimi poruszać w obie strony. Pociągnęła je do środka.

Wielkie, ciężko wyglądające kartony były świetnym kamuflażem, łatwym do usunięcia podczas wchodzenia i wychodzenia z szafy. Wyciągnęła rękę i przysunęła je pod samą szafę, po czym zamknęła drzwi. W kompletnej ciemności schyliła się i przeszła przez otwarte drzwiczki, potykając się, gdy stanęła na pierwszym stopniu długich, wąskich schodów.

Poszła wyrzucić śmieci – mówił Jonathan – a potem powiedziałem jej, żeby zaniósła swoje rzeczy do biura siostry. Więcej jej nie widziałem.

– Musiała sobie pójść, gdy wróciłeś do stołówki – stwierdziła Margareta.

Ale Jonathan pokręcił głową.

– Pytałem, czy może zostać na noc, a ona odpowiedziała, że zostanie tak długo, jak jej się uda. Nie wyglądało na to, że chce zaraz iść.

– Słyszała nas – pieklił się Carl. – Była pod drzwiami pokoju – zwrócił się z oskarżeniem do Margarety – i usłyszała, jak siostrę przed nią ostrzegam.

– Tak? A co zrobiła? – dociekał Jonathan.

– To zagubiona kobieta, która potrzebuje naszej pomocy – odparła srogo siostra. – Musiała się jakoś wymknąć – mówiła znów do Carla – kiedy rozmawialiśmy.

Anders jednak nie dał się przekonać.

– Może się gdzieś ukrywać – rzekł. – Jonathan, ty poszukaj jej tutaj. – Wskazał na gabinet lekarski i ambulatorium. – Siostra w łazienkach i pod prysznicami.

– Może powinniśmy po prostu zostawić ją w spokoju – zasugerowała Margareta. – Nie wydawała się szczególnie niebezpieczna.

– Właśnie – przytaknął jej Jonathan. – Takie polowanie wydaje się...

– Niezbędne – dokończył za niego Carl. – Pamiętajcie, że uważa się za lekarkę. Macie dziś ludzi w noclegowni. Co będzie, jeśli przyjdzie jej do głowy „leczyć” kogoś z nich?

Oczy Margarety zrobiły się wielkie ze zdumienia.

– O tym nie pomyślałam.

Carl popatrzył, jak się rozchodzą, potem ruszył za siostrą na tył budynku i wetknął głowę do sypialni. Pusto. Cofnął się i skierował do drzwi z napisem NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY. Jeśli weszła tutaj... Głupi, zbeształ sam siebie. Głupi, głupi.

Nie byli zgodni co do budowy tych ukrytych schodów w ramach remontu, ale on się uparł. A gdyby poszło coś nie tak podczas leczenia? – argumentował. Nie mogli przecież zwyczajnie wyciągnąć zwłok przed drzwi do misji. Przekonał ich. Ale w tej chwili sam tego żałował.

Pchnął drzwi i poszedł w stronę magazynu. To moja wina, wyrzucał sobie. Nie trzeba było panikować. Niepotrzebnie się tak spieszyłem; powinienem był pójść okężną drogą. Na szczęście

Margareta nie zauważyła starego płaszcza, jaki złapał po drodze z jakiegoś kartonu, by wyglądać, jakby przyszedł z zewnątrz. Głupi, głupi. Boże, jakżeż on nienawidził tej przeklętej Lucy Nash...

Schody prowadziły w górę w całkowitej ciemności. Potknęła się, tłukąc sobie kolano, gdy po omacku pokonywała nierówności, poruszając się szybko, w każdej chwili spodziewając się za sobą kroków Carla, jego dłoni na swoim ramieniu. Powietrze było przejmująco wilgotne i stęchłe, metalowa poręcz zimna. Schody urwały się nagle, a Lucy po ciemku zderzyła się z drzwiami, odbiła się od nich, zachwiała, robiąc krok w tył, aż w końcu stanęła prosto. Szaleńczo macała dłońmi w poszukiwaniu klamki, jakiejś dźwigni, czegoś... Pchnęła je w końcu zrezygnowana, a te otworzyły się. Tak jak drzwi szafy na dole, były na dwustronnych zawiasach. Minęła je i znalazła się w niskim korytarzu, słabo oświetlonym rzadko rozmieszczonymi żarówkami o niskiej mocy zawieszonymi pod sufitem.

W porządku, pomyślała; będzie dobrze. Ten korytarz zaprowadzi mnie do laboratorium IMA, a stamtąd już się wydostanę. Muszę jedynie tędy przejść i wszystko będzie dobrze. Jeśli tylko uda mi się uciec przed Carlem.

Przebiegł wzrokiem po magazynie i z ulgą stwierdził, że dwa olbrzymie pudła stoją na swoim miejscu przed szafą. Uspokojony, przypuścił atak na resztę pomieszczenia, odsuwając drzwi drugiej szafy, wyrzucając ubrania z co większych kartonów, odsuwając od ścian składane łóżka, by móc za nie zajrzeć. Nic.

Wrócił na główny korytarz. Jonathan zajął się ludźmi w sypialni, obiecując im koce i poduszki.

– Znaleźliście? – spytał go.

– Nie. Skończył pan już w magazynie? Muszę wziąć koce.

– Możesz iść.

Jonathan zniknął za drzwiami z napisem NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY w chwili, gdy z łazienki wyłoniła się Margareta i, kręcąc głową, poszła do swojego biura.

Może Lucy naprawdę wyszła, pomyślał Carl. Nie może przecież być (nigdzie indziej; sprawdziliśmy wszędzie.

Chyba że w szafie, dumiał. Do szafy nie zajrzałem. Ale nie mogła tam wejść bez przestawienia kartonów, a kartony stały tak, jak je postawił. Do diabła, jeśli nawet przecisnęła się między nimi, to co? Pójdzie i ją stamtąd wyciągnie. Ruszył do drzwi.

Chyba że już jej tam nie ma.

Ale to niemożliwe. Wchodząc, dokładnie zamknął za sobą tajemne drzwiczki. Zamknął, prawda? Nagle nie był tego wcale taki pewien. Tak bardzo się śpieszył, tak ślepo spanikował...

– Pomogę ci – powiedział szybko, gdy Jonathan, z pełnymi rękami, plecami pchnął brązowe drzwi.

Razem rozdali koce i przynieśli resztę pościeli ze składziku.

– Pójdę się jeszcze raz rozejrzeć – rzekł do Jonathana, gdy skończyli. – Ale siostra pewnie miała rację, mówiąc, że widocznie już wyszła.

– W każdym razie – odparł Jonathan – zostanę tu z nimi przez jakiś czas, gdyby się pojawiła.

– Dobrze.

Carl wrócił do magazynu, odsunął kartony i otworzył drzwi szafy. Pusto. Włożył do środka rękę, szukając drzwiczek, i poczuł przeciąg. Czy to on zostawił je otwarte, czy ona?

Sięgnął do kieszeni po małą, lecz silną latarkę, schylił głowę i wszedł przez otwór.

Niskie przejście zakreśliło w lewo i zakończyło się dużymi stalowymi drzwiami, przy których dioda zamka świeciła na czerwono. Pod kątem prostym po obu ich stronach znajdowały się inne wejścia: tajemnicze czarne drzwi zimne w dotyku i zabezpieczone trzema ciężkimi, żelaznymi sztabami oraz kolejne stalowe, szare jak tamte, lecz mniejsze i oznaczone żółtymi symbolami informującymi o zagrożeniu dla życia ze strony organizmów żywych. Dioda ich zamka nie świeciła się. Lucy rozważała właśnie, co to może oznaczać, gdy dźwięk drzwi uderzających o ścianę gdzieś za jej plecami sprawił, że podskoczyła. Nie ma czasu próbować szczęścia z zamkniętymi większymi drzwiami. Delikatnie pchnęła nie zakodowane drzwi i otworzyła je. Czy ośmieli się wejść? Drzwi nie były zabezpieczone, ale co z groźnymi dla życia drobnoustrójami, które się za nimi znajdowały? W przejściu odbiły się echem zbliżające się kroki, a na ścianie za zakretem, za którym się skryła, podskoczyło światło latarki. Będzie musiała zaryzykować. Carl najwyraźniej musiał tędy przechodzić, żeby dostać się do ukrytych schodów, a pomieszczenie było nie zamknięte; istniała więc szansa, że było czyste. Oczywiście było to ryzyko, jakiego, według wpojonych jej nauk, nigdy nie należy podejmować; ryzyko, które może kosztować ją życie. Ale taki sam może być koszt spotkania z Carlem. Teraz miała już pewność, którą dały jej bliźny po peruwii na karku Raya. Wyzdrowiało sto procent pacjentów, akurat. Z sercem w gardle weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi.

W zimnym, wilgotnym powietrzu unosił się słaby zapach: formaldehyd. Wiedziała, co to oznacza. Jednak w pokoju było ciemno jak w grobie i Lucy nic nie widziała. Odważyła się zrobić kilka kroków, lecz uderzyła goleniem w kawałek metalu. Nie mogła tu krążyć, potykając się, z Carlem tuż za swoimi plecami, musiała jednak znaleźć kryjówkę. Ale jak, skoro kompletnie nic nie było widać?

Cofnęła się do drzwi, obmacała futrynę i stanęła po stronie zawiasów. Skryją ją otwarte drzwi. To było najlepsze wyjście.

Szła tędy czy nie? – z niepokojem pytał siebie Carl. Być może sam zostawił te drzwiczki otwarte, goniąc w pośpiechu na spotkanie z Lucy. Mogła usłyszeć, jak o niej rozmawiali, i wyjść z misji. Może wciąż był bezpieczny, on i jego tajemnica. Albo...

Czerwona dioda przy zamku wciąż świeciła; było to jakieś pocieszenie. Gdyby weszła przez te drzwi, światelko byłoby zielone. Nie wiedziałyby, że ponownie trzeba aktywować zamek. Nie

byłaby też świadoma, że pasowałaby tu jej karta z IMA. Zakładając, że w ogóle ją przy sobie miała. To był kiedyś jego kolejny argument, przypomniał sobie. Upierał się, że niepotrzebne są dwie różne karty; od strony misji nie mogło przecież nadejść żadne zagrożenie.

A więc jeśli nie było jej tam ani w korytarzu i jeśli nie opuściła budynku... Kopniakiem otworzył mniejsze stalowe drzwi po prawej stronie i włączył światło. Niewiele tu miejsc, gdzie można by się ukryć, pomyślał. Tylko szafy, w których teraz zmagazynowany był sprzęt do odkażania, były na tyle wielkie, by ją pomieścić. Mimo to przeszedł przez pusty oddział do pomieszczenia służącego za kwaterę dla personelu.

Lucy stała nieruchomo za otwartymi drzwiami, próbując uspokoić oddech i błagając w duchu, żeby Carl wyszedł. A wtedy co? – zastanawiała się. Będzie musiała mieć pewność, którądy poszedł. Gdyby udał się za zamknięte stalowe drzwi, ona wróciłaby do misji i spróbowała przeciągnąć na swoją stronę Margaretę i Jonathana. Gdyby tę drogę wybrał Anders, będzie zmuszona spróbować przedostać się przez zakodowane drzwi do laboratorium.

Ukontentowany Carl wrócił wreszcie przez pomieszczenie w miejsce, w którym kryła się Lucy. Zawahał się przez chwilę przed otwartymi drzwiami, a ona była pewna, że usłyszy jej walące serce. Odwrócił się, by obrzucić pokój ostatnim spojrzeniem, potem sięgnął po klamkę i już prawie zamknął drzwi, lecz powstrzymał się, jakby siódmym zmysłem wyczuwając jej obecność. Lucy wstrzymała oddech. Jeśli spojrzy w prawo... Ale nie spojrzał. Zaklął krótko, wyłączył światło i zamknął za sobą drzwi.

Dała mu minutę, po czym ostrożnie uchyliła drzwi i wyjrzała. Słyszała jego kroki oddalające się ku schodom, widziała promień latarki przesuwający się w podskokach po ścianie korytarza. Włączyła światło i rozejrzała się. Dokoła kwadratowego pomieszczenia bez okien stały gołe łóżka, bez materacy. Kto w nich leżał i dlaczego?

Owijając rękę w kawałek płaszcza, otworzyła jedną z szaf. Elektryczne patelnie, gruby kabel i kryształowy formaldehydu potwierdziły to, czego się domyślała: stała w byłej gorącej strefie. Z unoszącego się zapachu wywnioskowała, że całkiem niedawno w pomieszczeniu znajdowało się coś, czego można się było pozbyć tylko dzięki najbardziej radykalnym metodom sterylizacji. Rozpaczliwie pragnęła, żeby metody te zadziałały.

Miała już dość przygód jak na jeden wieczór, stwierdziła, wychodząc na korytarz. Po drugiej stronie tych ciężkich stalowych drzwi musi się znajdować pracownia IMA. Gdyby udało się jej przez nie przejść, wydostałaby się stąd i poszła do domu. Wędrowka przez śnieżycę po nieciekawej okolicy będzie miłą odmianą po tajemnych przejściach, gorących laboratoriach i groźbie spotkania ze strzykawką Carla. Potwierdziło się to, czego się spodziewała: Ray przebywał w Misji „Gwiazda Nadziei”, był zarażony peruwią i jakoś udało mu się z tego wyjść. A za wszystko odpowiedzialny był Carl Anders.

Przyjrzała się zamkowi. Wyglądał dokładnie tak samo jak ten strzegący wejścia do IMA. Pobożne życzenie? Warto spróbować. Ostatecznie Carl nie spodziewałby się gości z tej strony,

zwłaszcza gości pracujących w laboratorium IMA. Wyjęła swoją kartę i umieściła ją tam gdzie zwykle. Czerwona dioda zgasła, a rozbłysła zielona. Dzięki, Carl, za to, że taki z ciebie nieostrożny sukinsyn, pomyślała. Otworzyła drzwi, weszła do środka i stanęła ze zmarszczonymi brwiami, a za jej plecami zamknęły się drzwi. To nie było laboratorium IMA. Gdzie ona się, u licha, znalazła?

Jeden niebieski i pięć czarnych kombinezonów wisiało na wyłożonej kafelkami ścianie naprzeciw niej. Czarne były nie podpisane, mogły być noszone przez różne osoby. Niebieski miał na piersiach naszywkę z nazwiskiem ANDERS. Był jeszcze mokry.

W porządku, myślała. To znaczy, że Carl ma drugi prysznic odkażający. Cóż, musi go mieć, żeby tą drogą opuścić poziom czwarty. Wszystko to składa się na jeden wniosek: zamiast do zwykłego laboratorium przejście zaprowadziło ją na poziom czwarty. Muszę się tylko przebrać i przejść przez tę pracownię. Ale czemu nigdy nie zauważyła drugiego wejścia pod prysznic z laboratorium? Pomieszczenia do dezynfekcji były zawsze wyraźnie oznaczone.

Przejrzała kombinezony. Choć posiadały fabrycznie zamontowane zawory łączące z węzami doprowadzającymi powietrze, to były też wyposażone w niezależne aparaty tlenowe. Nie zdziwiło jej to w przypadku czarnych kombinezonów; pewnie były zakładane, gdy oddział, z którego właśnie wyszła, stanowił zagrożenie dla życia. Ale po co niezależny zapas powietrza w kombinezonie Carla? W pracowni poziomu czwartego powietrze było doprowadzane przewodami.

Działając najszybciej, jak się odważyła, zdjęła buty, płaszcz i na własne rzeczy naciągnęła jałową koszulę i spodnie. Wiedziała, że to niedopuszczalne, ale nie mogła zostawić tu swoich ubrań, żeby znalazł je Carl; nie mogła też iść do domu nago. Na szczęście sterylne komplety Carla były w największym rozmiarze. Przypięła rękawice i skarpety do mankietów i nogawek, potem zdjęła z wieszaka jeden z czarnych kombinezonów, sprawdziła, czy nie jest gdzieś rozdarty, i założyła. Zastanowiła się, potem wybrała drugi kombinezon i zawinęła weń płaszcz, buty i torebkę. Założyła hełm i sprawdziła zapas powietrza; wszystko działało jak należy. Nie było sposobu, by sprawdzić, na jak długo starczy jej tlenu, ale w gorącym laboratorium będą węże z powietrzem, więc to nie stanowiło problemu. Zapinając drugi kombinezon, zawierający jej rzeczy, przeszła przez pomieszczenie do odkażania i cementową kłitkę z butami i znalazła się w gorącym laboratorium.

Ale to wcale nie było gorące laboratorium; nie jej laboratorium. Po pierwsze, było bardzo małe i znalazła w nim tylko jedno stanowisko pracy. A z niskiego, nachylnego sufitu nie zwisały przewody doprowadzające powietrze. Pod odległą ścianą świecił ekran komputera. Kładąc swoje rzeczy na podłodze, podeszła do niego.

Carl odsunął rygiel i wyjrzał na dwór, gdzie szalała śnieżycą. Czy możliwe, że gdzieś tam była? Śnieg przed wejściem do misji był wydeptany przez wychodzących, którzy nie załapali się na nocleg, ale po dwudziestu minutach świeży śnieg prawie pokrył ich ślady. Żadne nowe tropy

nie znaczyły idealnej bieli, co oznaczało... właściwie co? Że wyszła na tyle wcześnie, by śnieg zasypał jej ślady? Czy że nie wyszła wcale?

Fruwające płatki śniegu kłuły go w twarz, osiadały na włosach i brwiach, ale wciąż tam stał, wpatrując się w ciemność i nawałnicę.

...Szczep znacznie łagodniejszy, obecny w oryginalnych próbkach, który nazwałem peruwia B...

Drugi szczep Teda Wileya, myślała Lucy; Carl miał go przez cały czas. Przeglądała sprawozdanie z wyników badań, zapamiętując to, co najważniejsze. Carl zostawił włączony komputer; to znaczy, że zamierza tu wrócić.

...podobne do grypy objawy u szympansov, podczas gdy ostatnie badania przeprowadzone na ludziach wykazały, że peruwia B wywołuje bóle głowy, gorączkę, niewielkie blizny...

Na ludziach, pomyślała; na ludziach takich jak Ray. Odsyłacz do innego pliku informował o możliwości obejrzenia zeskanowanego zdjęcia z mikroskopu elektronowego peruwii B. Patrząc na ten drugi szczep, Lucy natychmiast dostrzegła, że w przeciwieństwie do wersji Teda długość wszystkich wirusów była albo mniejsza, albo większa od długości optymalnej dla największej wirulencji. Carl musiał nad nimi pracować, jakoś je zmienić. I przetestować.

W porządku, pomyślała, to czysty horror, że Carl wstrzykiwał to świństwo ludziom. Ale może ta poprawiona wersja łagodniejszego szczepu, ta peruwia B, będzie miała efekt uodparniający. Może z jego przerażających eksperymentów wyniknie jednak coś dobrego. I rzeczywiście, gdy wróciła do sprawozdania, znalazła zdanie: „...uodparnia na oba pozostałe szczepy.”

Oba pozostałe szczepy? A więc jest i trzeci?

...eksperymenty wykazały, że peruwia moribundi jest znacznie bardziej wirulentna od peruwii właściwej. Testy przeprowadzone na ludziach wykazały, że śmiertelność w jej przypadku wynosi ponad dziewięćdziesiąt procent, podczas gdy w przypadku szczepu oryginalnego jest ona równa sześćdziesięciu procentom... peruwia B daje całkowitą odporność na szczep moribundi...

Lucy przeczytała szybko następnych kilka stron, po czym nachyliła się w fotelu; kręciło się jej w głowie. Carl majstrował przy genetycznej strukturze peruwii właściwej, by stworzyć wersję znacznie bardziej śmiertelną. Tylko po co? Pomyślała o pomieszczeniu, z którego tu przyszła, i wzdrygnęła się. Ray miał szczęście. Dostał peruwie B, wersję łagodniejszą, tę, która wywoływała tylko kaszel, gorączkę i blizny. Ludzie z oddziału zostali zakażeni odmianą śmiertelną.

Kolejny odsyłacz proponował obejrzenie mikrografii moribundi – długości wirusów mieściły się w kategorii tych o największej wirulencji i zaraźliwości.

Ale skąd Carl mógł mieć pewność, że peruwia B dawała całkowitą odporność na moribundi? Może Ray miał więcej szczęścia, niż przypuszczała. Jedyńm sposobem, w jaki Carl mógł taką pewność uzyskać, było wyleczenie z peruwii B i zarażenie peruwia moribundi. Nagrody Nobla chyba za to nie dostaniesz, kolego, zwróciła się w myślach do Carla z ustami pobielalymi od

hamowanego gniewu.

Wróciła do początku sprawozdania z zamiarem zdobycia dokładniejszych informacji, lecz bała się zagrażającego jej powrotu Andersa. Ze złości praktycznie nie mogła oddychać... właśnie, nie mogła oddychać.

Oblał ją zimny pot. Nie mogła oddychać, to prawda, ale nie ze złości. Kończył się jej zapas powietrza.

Wstała, rozglądając się w panice. Miała dwa wyjścia, a żadne z nich nie było dobre. Pobiec prosto do szatni, łamiąc wszelkie zasady sterylizacji i roznosząc śmiertelne patogeny po całym pomieszczeniu, a nawet jeszcze dalej. Albo znaleźć drogę do laboratorium IMA i przewodów z powietrzem. Pierwsze wyjście mogłoby wcale nie być takie złe, jak się z początku zdawało; peruvia przenosiła się tylko przez krew i płyny ustrojowe. Tak, ale kto wie, jakie to udoskonalenia wprowadził Carl, tworząc moribundi? Zdjęcie kombinezonu bez uprzedniego odkażenia mogło oznaczać śmierć.

Podobnie jak zaprzestanie oddychania.

Zaczęła grzebać za plecami. Niektóre aparaty tlenowe miały specjalne zawory w kształcie haczyka, które po pociągnięciu uwalniały dodatkowy zapas mieszanki na trzy minuty. Nie sprawdziła tego, bo taka była pewna, że znajdzie węże doprowadzające powietrze. Dopiero po długiej chwili panicznego strachu znalazła haczyk i pociągnęła. Ale trzyminutowa prolongata to niewiele. Oddychając tak płytko, jak tylko w stanie przerażenia potrafiła, zaczęła przeszukiwać pomieszczenie.

Jeśli nas podsłuchiwała, wątpię, żeby miała tu powrócić – rzekła Margareta, biorąc fiolkę, którą dawał jej Carl. – Poza tym nie podoba mi się pomysł podania jej tego środka. – Obróciła w palcach małą, zaplombowaną ampułkę. – Co to jest?

– Zwykły środek uspokajający – zapewnił ją Carl. – Prawdę mówiąc, przepisał go Bill Miller, gdy mu powiedziałem, że ta kobieta może się tu zjawić.

– Czułabym się znacznie lepiej, gdyby on tu był i sam jej to podał.

– Rozumiem, co siostra czuje. Ale doktor Bill nie może być we wszystkich miejscach na raz. A bardzo leży mu na sercu bezpieczeństwo misji... – Zawiesił wymownie głos. – Oczywiście zrobi siostra to, co uzna za stosowne.

Margareta przez chwilę patrzyła na Andersa.

– Proszę podziękować ode mnie doktorowi – odparła stanowczo – ale wolę tego u siebie nie trzymać.

– Jak siostra chce. – Carl wsunął fiolkę z powrotem do kieszeni spodni. – Teraz już pójde.

– Proszę nie zapomnieć płaszcza. – Siostra wstała. – Odprowadzę pana do wyjścia.

– Nie ma potrzeby.

Wziął z jej rąk znoszone palto i wyszedł na korytarz. Margareta podążyła za nim.

– Obawiam się, że będę musiała zaryglować za panem drzwi – powiedziała. – Mieliśmy w

przeszłości pewne problemy.

Carl zaklął na siostrę pod nosem. Myślał, że zostanie w swoim biurze, a on będzie mógł skorzystać z ukrytego przejścia. Nie miał pojęcia o żadnym cholernym ryglowaniu. Teraz będzie musiał wyjść na śnieżycę, okrążyć budynek i wejść od strony IMA. I to w jakich butach...

To musi być w jakimś widocznym miejscu, powtarzała sobie w panice. Nie miałby powodu, żeby to ukrywać, przynajmniej nie z tej strony. Wdychała teraz głośno resztki powietrza, obmacując wyłożoną glazurą ścianę w poszukiwaniu choćby śladu łączenia. Nic. No dobrze, trzeba znaleźć jakiś mechanizm sterujący, a potem... Anders musi mieć jakieś ukryte drzwi czy właz, czy jakkolwiek inny sposób przedostawania się do pracowni IMA.

Podeszła do biurka, oblapijąc dłońmi blat z przodu i po bokach, słysząc, jak zanika świst powietrza w hełmie; cisza, która po chwili nastąpiła, potwierdziła, że jej czas się skończył.

Z walącym sercem próbowała obliczyć, jak długo będzie w stanie oddychać wydychanym powietrzem, zanim rosnąca ilość dwutlenku węgla doprowadzi ją do omdlenia. Niezbyt długo; już czuła się trochę słabo. Chwyciła się za blat, usiłując się uspokoić. Przycisk, przełącznik – myślała. Biurko bardzo by się do tego nadawało, ale niczego takiego nie wyczuła. Nie wyczuła... nie czuła... Z braku tlenu nie bardzo była w stanie myśleć, ale było coś istotnego w tym, że nic nie czuła... Rękawice, dotarło do niej. No jasne. Grube rękawice skutecznie przytępiły zmysł dotyku. Była już mocno odurzona, gdy schyliła się, by zajrzeć pod biurko, i ledwo dostrzegła mały metalowy guzik w ogóle nie wystający z blatu. Przycisk, pomyślała. Jak miło. Śliczny guziczek...

Dalej, dalej! Wdychając resztki tlenu, pokonała wywołane dwutlenkiem węgla osłabienie, które ją ogarnęło, i wcisnęła guzik. Niewielki fragment wyłożonej płytkami ściany z boku biurka zaczął otwierać się na zewnątrz. Z coraz bardziej zamazanym obrazem przed oczami przewlokła się przez otwór. Tuż przed nią znalazł się przewód doprowadzający tlen. Ostatkiem sił zdołała złapać go i podłączyć do kombinezonu, a potem stała, chwiejąc się, podczas gdy do hełmu napływało świeże powietrze.

Dopiero po kilku minutach oprzytomniała na tyle, by rozejrzeć się po otoczeniu. Była przy stanowisku do pracy Carla w laboratorium poziomym czwartego IMA.

Odłączywszy wąż, pośpieszyła z powrotem przez otwór po czarny kombinezon ze swoimi rzeczami, a potem znów podłączyła przewód. Pchnęła otwarty fragment ściany, a ten wrócił gładko na swoje miejsce. Przyjrzała się dobrze, gdzie się znajdował, by móc go potem odnaleźć, ale uświadomiła sobie, że to niepotrzebne. Wystarczyło wiedzieć, gdzie szukać przycisku po tej stronie muru. Bez problemu znalazła go pod blatem.

Gdyby tylko miała jakiś aparat tlenowy, rozważała. Mogłaby wrócić i przeczytać resztę znajdującego się w komputerze sprawozdania, sprawdzić fiolki z wirusami, które Carl gdzieś ukrył, pobrać próbki...

Ale nie miała takiego aparatu. A Carl pewnie już tam szedł.

Zrobiła tego wieczora już wszystko, co było w jej mocy, stwierdziła, ruszając pod odkażający prysznic. Na tym etapie może byłoby dobrze zwerbować jakąś pomoc. Gdy stała pod natryskiem ze środka do dezynfekcji, wściekłość na Carla i jego eksperymenty rozpałała się na nowo. IMA wysłała ją do Peru, by walczyła ze śmiertelnym filowirusem, a Anders wykorzystał przywiezione przez nią próbki do stworzenia jeszcze bardziej zabójczego patogenu.

I wersji uodparniającej, przypomniała sobie. Ale nie, on nie stworzył peruwii B. Ona była już obecna w jej próbkach.

A to dziwne. Jak to możliwe, że łagodna, uodparniająca odmiana peruwii pojawiła się równocześnie z samą chorobą?

Pomyślała o starcu w peruwiańskiej dżungli i jego żonie. Pobrała dwie próbki krwi, po jednej od każdego z nich. Przypadkiem jedna trafiła do CDC, druga do IMA. Te dwie próbki stanowiły najwyraźniej źródło drugiego szczepu; sądziła tak już kilka miesięcy wcześniej, gdy Ted Wiley po raz pierwszy wspomniał o jego istnieniu. Lecz ani ona, ani Ted nie rozumieli wtedy różnicy między tym drugim szczepem a peruwia właściwą.

Gdy starzec bez ustanku nazywał chorobę sangre negra, upierając się, że to zły duch, który powrócił, Lucy wyszła z założenia, że kiedyś przebył już podobną chorobę. Filowirusy zostały odkryte dopiero niedawno i jak dotąd wyglądało na to, że wszystkie wywoływały zbliżone objawy.

Ale peruwia B nie była podobnym wirusem; to był ten sam filowirus. A jeśli powrócił... Nie, to bez sensu; peruwia B nie wywoływała tych samych prowadzących do śmierci objawów co peruwia. Starzec musiał przejść jakąś inną wywołaną filowirusem chorobę. A jeśli tak, co robił w próbce jego krwi wirion peruwii B?

Prysznic wyłączył się i Lucy wybiegła. W szatni szybko pozbyła się czarnego kombinezону i jałowego kompletu i włożyła swój płaszcz i buty. Wepchnąwszy koszulę, spodnie i kombinezony do trzech różnych szafek, chwyciła za swoją torebkę i wyszła do laboratorium otwartego.

Carl brnął przez zaśnieżone ulice; stopy miał mokre i lodowato zimne, dłonie wciśnięte głęboko w kieszenie starego, za małego, zabranego z misji płaszcz. Śnieg zelżał nieco, lecz wiatr nadal dął z dużą siłą, niosąc wirujące płatki do jego oczu i gardła. Już jesteś trupem, Lucy Nash, obiecał jej w duchu. Jesteś trupem.

Wyszła z windy do ciemnego, cichego hallu, przebiegła do wyjścia i otworzyła drzwi. Grasujący wicher prawie wyrwał jej z ręki, gdy nacisnęła na klamkę i szybko wyszła na dwór. Zatrzasnęły się za nią z hukiem, który uleciał gdzieś wraz z wiatrem. Boże, jak zimno. Ruszyła szybko na wschód, oddalając się od rzeki w jasno określonym kierunku.

Carl wyszedł za róg, grzebiąc zgrabiałymi palcami w kieszeni w poszukiwaniu swojej karty. Wsunął ją do zamka i spojrzął w dół. Od drzwi prowadziły ślady przysypane lekko nawianym

śniegiem. To znaczyło, że się przedostała; teraz wiedziała wszystko. Musiał za nią pójść. Kiedy stąd wyszła? W którą stronę poszła? Jej ślady już były ledwo widoczne; nim doszedłby do następnej przecznicy, zupełnie by ją zgubił. To beznadziejne. Zadrzał w cienkim płaszczu. Buty miał przemoczone, nie czuł już palców u nóg.

Aparaty tlenowe były prawie puste, przypomniał sobie. Nie miałyby czasu zrobić nic więcej poza przeczytaniem pliku, który sam zostawił otwarty. A zatem dowiedziała się o trzech szczepach; i co z tego? To były prywatne badania, to wszystko. A epidemia gruźlicy? Do diabła, zgonili tylko w jedno miejsce bezdomnych i poddali ich leczeniu. Mogli zrobić to znowu, sprzątnąć ich z ulicy. A potem niech udowodni, że to nie była gruźlica.

Nie, wszystkiego nie wiedziała.

Lucy brnęła w podmuchach wiatru z palcami u rąk i nóg zmarzniętymi na kość, ciałem drżącym z zimna. Lecz mimo tych niedogodności jej myśli bez przerwy krążyły wokół zagadki drugiego szczepu.

Starzec z dżungli; to on stanowił klucz.

Szukała w głowie szczegółów ich spotkania sprzed miesiący, powtarzając je co chwila na odtwarzaczu pamięci. Mężczyzna szalał, wykrzykując, że sangre negra została przywieziona przez białego człowieka, nieprawdaż? A ona uznała, że chodzi mu o obcych, ludzi spoza Peru. Była w tym swego rodzaju tradycja: europejscy odkrywcy i kolonizatorzy przywieźli do Nowego Świata syfilis i grypę. Ale podczas tych trzech tygodni, które z nimi spędziła, przekonała się, że Indianie z tego odległego zakątka Peru są bardzo dosłowni. Czy jest możliwe, że przez hombres blancos rozumiał ludzi ubranych na biało? Lekarzy? Pielęgniarki? Techników laboratoryjnych? Czy dlatego właśnie tak złośczył na personel medyczny, który usiłował mu pomóc, i uciekł do dżungli?

Przypomniała sobie o plikach SANGRE NEGRA Carla sprzed dwóch lat. Hantawirus w Meksyku? Czy peruwia w Peru?

A czy Rick nie mówił, że był w Peru? „Zabierać tylko zdjęcia, zostawiać tylko ślady stóp”; tere-fere, pomyślała Lucy. Zaczynała podejrzewać, że Rick i Carl pozostawili tam coś całkiem innego. Ale w jakim celu? Kolejny z eksperymentów Carla na ludziach?

Potknęła się o zaspę i upadła na kolana, zbyt zziębnięta, by poczuć ból. Jaka była w tym wszystkim rola Billa Millera? – dociekała, usiłując się podnieść. Czy był współnikiem, czy zwykłym pionkiem? Carl musiał dowiedzieć się o jej zainteresowaniu Misją „Gwiazda Nadziei” od Billa, ale to jeszcze nie oznaczało, że są w zмовie. Miller mógł zwyczajnie podczas rozmowy wspomnieć o jej pytaniu. Ostatecznie doktor Bill był znanym i szanowanym lekarzem. O może nieco naiwnych poglądach politycznych i romantycznych ideach dotyczących prymitywnych kultur. Ale to człowiek o dobrym sercu, oddany służbie tym, co mieli mniej szczęścia.

Powlokła się dalej, drżąc na całym ciele. Jeszcze pięć przecznic, powtarzała sobie. Tylko pięć... Już cztery... Była zbyt przemarznięta, by jasno myśleć. Była zbyt zziębnięta, by w ogóle

myśleć. Trzy przecznice... Dwie...

Była prawie nieprzytomna z zimna, gdy wreszcie wspięła się na schody i, opierając się o poręcz, nacisnęła na dzwonek.

– Lucy, na miłość boską – wykrzyknął.

Objął ją ramieniem, a ona przyłgnęła do niego, prowadzona do środka. Ściągnął z niej sztywną od mrozu czapkę, pokryty śniegiem płaszcz, przemoczone rękawiczki.

– Badania Carla... – bełkotała skostniałymi wargami. – Widziałam...

– Nic nie mów – rzekł łagodnie. – Niech cię najpierw rozmrozę. Trzymał ją blisko siebie, głaszcząc po plecach i mokrych włosach. Otoczyła go ramionami. Czowała zwierzęce niemal ciepło jego ciała. Teraz wszystko będzie dobrze; wszystko będzie dobrze.

Pocałował ją lekko, ustami pieścąc jej policzek, szyję.

– Och, Lucy – szeptał doktor Bill. – Tak się cieszę, że przyszłaś.

Cieszę się, że zastałem cię w domu.

– A gdzie niby miałbym być? – spytał rozumnie Rossetti, patrząc na pokryte śniegiem drzewa, które gięły się jak oszalałe widma za kuchennym oknem. Ściskając pod brodą bezprzewodowy telefon, wyciągnął z lodówki piwo.

– Jesteś sam? – zapytał Tom.

– Niestety.

– To dobrze.

– Łatwo ci mówić.

– Daj spokój żartom, Mike. Dzwonię, żeby cię ostrzec. Doszły nas ostatnio słuchy, że zanosisz się na coś wielkiego.

– W związku z narkotykami? – Rossetti przeszedł do pokoju i rozsiadł się na kanapie. – Chodzi o Renée, mam rację?

– Niezupełnie. Renée jest istotna, ale nie w ten sposób, co myślisz. Faktycznie wystawiła ją rodzina Tortoriello; stary nie jest głupcem.

– Myślałem, że mafia nie posługuje się kobietami.

– Bo to prawda – odparł Tom. – Ale tym razem jest inaczej; nowa sztuczka. Sprawdziliśmy dzięki tobie pewne rzeczy i oto, jak to widzimy. Gdy Luciano Salerno został deportowany, stracił wszystko. Więc gdy pojawili się Tortoriello i zaproponowali mu szlachecki tytuł i kupę forsy w zamian za małżeństwo z Renée i trzymanie się od niej z daleka, przystał na to. Teraz Tortoriello ma w garści piękną włoską hrabinę hojnie obdarowaną przez naturę we wdzięki, która na dodatek jest jakąś jego daleką krewną – stary Tortoriello dorastał z rodziną Renée na Sycylii – więc uważa, że może jej ufać.

– Ale jeśli Renée nie dowodzi w sprawie narkotyków...

– O, jest znacznie cenniejsza. Naszym zdaniem służy jako dyskretny łącznik między Rodziną a wszystkimi bogatymi, bezwzględnymi niegodziwcami, z którymi Tortoriello chce prowadzić

interesy.

– Jak handel narkotykami?

– I pranie pieniędzy; zgadza się.

– W który z tych biznesów wplątany jest Miller?

– W jeden i drugi po trochu, jak sądzę – odparł Tom. – Ale to tylko gromadzenie funduszy. A planowane jest coś znacznie potężniejszego. Coś ogólnoswiatowego.

– Planowane przez kogo? Tortoriello?

Tom zawahał się.

– Nie mamy pewności, ale chyba nie. Przez całe lata znajdowaliśmy ślady różnych ciemnych sieci finansowych, które wspierają światowy terroryzm. Należą do nich niektóre bliskowschodnie rządy, rzecz jasna. I handlarze bronią pomijający rządowe agendy. Ale ostatnio wszystko jeszcze się skomplikowało. Pamiętasz grupę, która kilka miesięcy temu zawładnęła głównym naftociągami Kolumbii? Wraz z trzydziestoma pojazdami i jakąś pięćdziesiątką żołnierzy i policjantów?

– Tak. Lewicujący rebelianci, prawda?

– Owszem, ale zwróć uwagę na powiązania. Ci rebelianci brali udział w handlu narkotykami. W ten sposób odwzajemnili się rządowi za program niszczenia pól kokainy. Popierały ich tysiące drobnych rolników, którzy z uporem twierdzili, że uprawa koki to dla nich jedyne możliwe źródło utrzymania.

– Brzmi jak pomysł, który mógłby poprzeć Bill Miller w swojej hippisowskiej naiwności.

– I właśnie to popiera. Możliwe, że nawet wspiera finansowo. Ale nie ze względu na żadne lewicowe skłonności – nawet byli hippisi nie są tak naiwni, by w imię miłości i prawdy finansować plantatorów narkotyków.

Rossetti zmarszczył brwi.

– To znaczy, że jeśli jest zamieszany w handel narkotykami, wspieranie uprawy kokainy leży w jego własnym interesie.

– Owszem. Tylko że zdaje mi się, iż Miller aż tak głęboko w narkotykach nie siedzi – odparł z wolna Tom. – Jeśli bawi się w narkotyki, jeśli wykorzystuje swoich lekarzy jako przemytników mimo woli, to jest to tylko działalność uboczna, sposób zdobywania funduszy. Nie daje mi jednak spokoju, na co mu te fundusze są potrzebne.

– Na IMA oczywiście – odrzekł zdziwiony Rossetti.

– A czym właściwie jest IMA?

– Organizacją charytatywną, która...

– Czytałem broszurki, Mike. Nie. Tak naprawdę IMA to ukochane dziecko Billa Millera.

– I Carla Andersa.

– Tak, Andersa...

– A zatem sugerujesz – podsumował Rossetti ze zmarszczonym czołem – że Miller dzięki narkotynom zdobywa pieniądze na jakiś nieznaną cel. I że Jean-Pierre nie wiedział o

przewożonej heroinie, kiedy go aresztowano. Został złapany przypadkiem?

– Być może. A być może Didier dowiedział się, co naprawdę robi Miller, a ten postanowił pozbyć się go, nim zaczął mówić. Trochę heroiny w torbie, żeby pozbawić go wiarygodności, anonimowy telefon do Biura do Walki z Narkotykami. A potem pigułka śmierci w celi. W tym mogła mu pomóc mafia.

– Myślałem, że Didier popełnił samobójstwo.

– Myślałeś też, że IMA to organizacja charytatywna...

– A więc Miller przy pomocy IMA gromadzi pieniądze, by wspierać terroryzm lewackich ugrupowań? Taka jest twoja teoria?

Tom milczał.

– A gdzie tu przypiąć tę historię z drugim szczepem wirusa?

– Ty mi to powiedz.

– Nie potrafię, Tom. – Rossetti myślał przez chwilę. – Może Anders działa na własną rękę. Może Miller nie jest świadom tego, co robi Carl. Jeden Bóg to wie, Ja nie.

– I kto tu jest naiwny? – westchnął Tom. – Cokolwiek by się nie działo w IMA, możesz być pewien jednej rzeczy. Nic nie może mieć tam miejsca bez zgody Billa Millera.

– Nie wiem, czy mogę się z tobą zgodzić. Carl Anders...

– Zapomnij o Carlu Andersie – przerwał ostro Tom. – Anders pracuje dla Millera. Nie zastanawiałeś się kiedyś, w jaki sposób Miller uzyskał zezwolenie na budowę tego laboratorium? No to się więcej nie zastanawiaj. Wygląda na to, że być może maczało w tym palce CIA.

– Miller jest tajniakiem?

– Nie Miller; kilkoro jego przyjaciół. Trop jest nieco niewyraźny, lecz wygląda obiecująco.

– Ale skoro laboratorium ma poparcie CIA, to Miller jest po naszej stronie.

Tom zaśmiał się cynicznie.

– A jaka to dokładnie strona?

Mike milczał.

– W każdym razie – ciągnął Tom – nie mówimy tutaj o oficjalnie usankcjonowanej tajnej operacji, a raczej o grupie amoralnych odszczepieńców. Ale nieważne. Istotne dla ciebie jest to, że mamy wrażenie, iż to, co ma się stać, stanie się niedługo. Musimy wiedzieć co i musimy wiedzieć kiedy.

– Nie bardzo wiem, co mogę zrobić ponad to, co już robię.

– Wiem, wiem. Po prostu miej oczy i uszy szeroko otwarte. Informuj mnie o wszystkim, co wyda ci się choćby odrobinę... niezwykle. Nawet jeśli uznasz, że to nic nie znaczy.

– W porządku.

– I Mike, Jeszcze jedno.

– Tak?

– Uważaj na siebie.

Delikatnie otoczywszy ramieniem jej drżące ciało, Bill zaprowadził Lucy do pokoju dziennego i posadził na kanapie twarzą do kominka.

– Pozwól, że zrobię ci coś ciepłego do picia – powiedział zaniepokojony.

Ale ona pokręciła głową i, biorąc go za rękę, przyciągnęła bliżej siebie.

– Mam ci tak wiele do powiedzenia – oznajmiła poważnie. – I nie mogę z tym czekać...

Zacząła opowiadać z policzkami zaróżowionymi od panującego w pokoju ciepła. Gdy z móżdżkiem wyciskała z siebie kolejne słowa, Bill wpatrywał się w nią z przerażoną miną, słuchając o odkazanym niedawno oddziale, sekretnym przejściu między misją a pracownią IMA, o bliznach na karku Raya, ukrytym laboratorium Carla i sprawozdaniu z badań na temat peruwii, które odczytała z monitora jego komputera.

Kiedy skończyła, żadne z nich się nie odzywało. W końcu Bill zawołał cicho:

– Boże, Lucy. Ależ ze mnie był głupiec. Co za ufny głupiec.

– Oczywiście będziesz musiał zamknąć laboratorium – rzekła. – Lepiej natychmiast zadzwońmy do CDC. Biuro do spraw Ochrony Środowiska też nie będzie uszczęśliwione.

Ale Bill pokręcił głową.

– Nie mogę tego zrobić.

– Musisz. Narażamy na niebezpieczeństwo całe miasto.

– Nie sądzę. Cokolwiek tam zaszło, już jest po wszystkim, a samo laboratorium jest absolutnie czyste. Pozbędę się, rzecz jasna, Andersa. Ale nie narażę na ryzyko tego, co sam zbudowałem, dobra, które IMA czyni w terenie i w laboratorium, w tym także twojej pracy.

Przerwał. A potem dodał:

– Pewnie się domyślasz, że niełatwo było uzyskać zezwolenie na wybudowanie laboratorium poziomu czwartego. Potrzebne było wsparcie, wpływy ludzi na najwyższych stanowiskach. Ci sami... przyjaciele, którzy wtedy poparli moje wysiłki, poprą mnie i teraz, pomogą uprzętnąć ten bałagan w sposób, który pozwoli na uniknięcie rozgłosu i dalszą pracę dla dobra ludzkości...

Złapał ją czule za ramiona i spojrzał głęboko w oczy.

– Musisz pozwolić mi zrobić to po mojemu, Lucy. Wiem, że masz znajomych w CDC, ale nie wolno ci do nich dzwonić. Możemy zbyt wiele stracić, więcej, niż ci się wydaje. Musisz zostawić to mnie.

Na jego twarzy odmalowało się napięcie. Dodał:

– Uwierz, zajmę się tym.

Lucy zmarszczyła brwi, ale pokiwała głową, że się zgadza, a Bill wyraźnie się uspokoił.

– Weciąż ci zimno, prawda? Czuję, jak się trzęsiesz. Co powiesz na coś gorącego? Kubek kakao?

– Brzmi zachęcająco.

Na oparciu pobliskiego fotela wisiała wełniana narzuta w kratę. Bill otulił nią Lucy, a potem dorzucił polano do ognia. Przez moment stał wpatrzony w podskakujące płomienie.

– Zaraz wracam – obiecał i wyszedł do kuchni.

Lucy wtuliła się w miękką wełnę. Okropności wieczora zdawały się teraz mniej straszne, gdy wiedział o nich Bill. Razem położył kres szalonym eksperymentom Carla Andersa.

Bill wrócił z dwoma parującymi kubkami, a Lucy chciwie dosadziła się do zawartości jednego z nich. Minęło sporo czasu, odkąd jadła coś czy piła. Uśmiechnął się do niej.

– Już wyglądasz lepiej – stwierdził, biorąc łyk kakao.

– I czuję się lepiej. Ale powinnam zaraz iść do domu. Już późno.

– Nie ma mowy – odparł. – Wciąż szaleje śnieżycy i na dworze nie ma żywego ducha. Zostajesz tu na noc. Pościelę dla ciebie w jednym z gościnnych pokoi.

– Ale ja...

– Proszę. Nie ma o czym mówić. Muszę zadzwonić w parę miejsc – ciągnął – a potem zrobię kanapki i porozmawiamy, jak to wszystko załatwić... – Uśmiechnął się od ucha do ucha. – Odważna z ciebie kobieta, Lucy Nash. – Poklepał ją po ramieniu. – Odpocznij i ogrzej się. To zalecenie lekarza.

Gorący płyn krążył po jej ciele. Odwróciła się z uśmiechem, by zobaczyć jego oddalające się plecy, po czym wyciągnęła się na poduszkach i zapatrzyła w ogień. Tańczące płomienie działały niemal hipnotyzująco. Miała za sobą długi wieczór; powieki zrobiły się ciężkie.

Gdy Bill wrócił kilka minut później, Lucy spała.

Popatrzył przez chwilę, po czym schylił się i wziął ją na ręce. Mruknęła i przytuliła się do niego, lecz się nie przebudziła, nawet gdy niósł ją po schodach do swojej sypialni.

Położył ją delikatnie na łóżku, odwinął z pledu i rzucił go na fotel. Ściągnął jej buty i grube skarpety, potem zabrał się za spódnice. Poruszyła się i otworzyła oczy, a on natychmiast przestał, naciągając kapę z łóżka na jej nogi.

– Rick – wymamrotała.

Zmarszczył brwi.

– Słucham?

– Jak dobrze znasz Ricka? – wybełkotała.

– Hollandera? – Bill zmrużył oczy. – Czemu pytasz?

– Widziałam go w pracowni... jak próbował odczytać pliki Carla...

Powieki jej zadrżały. Spytała jeszcze:

– Jesteś pewien, że możesz mu ufać?

Bill znów zmarszczył brwi. Hollander był po jego stronie, a może nie? Czy to oskarżenie Lucy było skutkiem sprzeczki kochanków? Czy to dlatego Hollander nie był w stanie ostrzec go przed poczynaniami Lucy? Czy chodziło tu o coś więcej?

– Lucy? Obudź się.

Potrząsnął nią za ramiona, lecz jej oczy pozostały zamknięte. Silny środek nasenny, jakim ją poczęstował, by mieć czas na wprowadzenie w życie pewnego planu, widać szybko zadziałał. Cóż, to nie miało większego znaczenia; doskonale wiedział, kto stanowił największe zagrożenie dla całej operacji, i z całą pewnością nie był to Hollander.

Ściągnął z niej kape, rozpiął i zdjął spódnicę, podziwiając mocne, szczupłe uda. Jego wzrok powędrował do ciemnej łąty pod białymi majtkami. Pieścił ją, czując pod dłonią jej ciepło. Zerknął na twarz. Była kompletnie nieprzytomna; nie potrzebował na nic uważać. Brutalnym gestem zdarł z niej majtki i rozłożył nogi, wsuwając palce do środka. Jęknęła i poruszyła się, lecz on nie zwracał na to uwagi. Panował teraz nad jej ciałem. Nie miała nic do powiedzenia.

Wilgotnymi palcami rozpiął i zdjął jej sweter, potem sięgnął pod plecy i rozpiął stanik, rzucając obie rzeczy na podłogę. Brał do ust jej sutki, ssał, lizał, przygryzał, zmagając się jednocześnie z własnym rozporkiem. Uczucie władzy nad nią, całkowitego posiadania sprawiało, że prawie nie mógł zapanować nad podnieceniem. Wysupławszy się ze spodni i slipek, usiadł na niej okrakiem i członkiem rozchylił jej wargi. Przez sen podniosła rękę, żeby go odepchnąć, ale on przytrzymał ją, wpychając się do ust. Już ja cię nauczę, ty wścibska suko, myślał.

Przyjemność narastała w nim gwałtownie, zbyt gwałtownie, więc przerwał nagle, by trwała jak najdłużej. Zastanowił się chwilę, po czym zjechał w dół jej ciała, przesuwając po nim językiem. W końcu wszedł, unosząc jej pośladki, by wbić się jak najgłębiej. Wciąż pozbawiona świadomości, znów jęknęła i próbowała przekręcić się na bok, ale on trzymał ją, jakby była wbita na pal, i pchał się jeszcze głębiej, szybko i mocno, by zadać jej ból i karę. Poczujesz to jutro, myślał w furii i uniesieniu. Poczujesz moją potęgę.

Małpy zawyły i zatrzęsły klatkami, gdy zjawił się Carl Anders. Nie były karmione od rana, ale mężczyzna w szczelnym żółtym kombinezonie niósł tylko strzykawkę i kilka fiolek. Obejrzał je szybko, nie okazując nawet odrobiny żalu z powodu tego, co miał właśnie zrobić. Nigdy nie przepadał za małpami, a ten tuzin zwierząt stanowił jedynie narzędzie, którego po zakończeniu badań należało się pozbyć.

Małpa w odległej klatce po lewej stronie, spodziewając się kolacji, wyszczerzyła zęby do zbliżającego się Carla, rozzłoszczona opóźnieniem. Mężczyzna uderzył szybko, wbijając długą igłę we włochatą skórę i wpuszczając zawartość strzykawki do krwiobiegu. Zwierzę odskoczyło, ale igła była już wyciągnięta, gotowa do powtórnego napełnienia. Podczas eksperymentów Carl był ostrożny i do każdego zastrzyku używał nowej igły, ale teraz to nie miało znaczenia. Testy zostały zakończone, małpy nie były już potrzebne. Miller przez telefon wydał mu dokładne polecenia.

Nim znów napełnił strzykawkę, pierwsze zwierzę leżało bezwładnie w klatce, a jego oddech stawał się wolny i urywany. Anders prędko przeszedł wzdłuż rzędu klatek, robiąc zastrzyki wszystkim ich mieszkańcom. Małpy ucichły; strach wziął w nich górę nad głodem.

Doświadczenia na zwierzętach nie powiodły się, myślał Carl. Nie udało mu się przenieść na nie peruwii w żadnej rozpoznawalnej postaci, choć w próbkach krwi obecne były przeciwciała wirusa. Nie wyszło też z przeniesieniem małpiej wersji peruwii na ludzi. Nie był tym zaskoczony; wszystkie przeprowadzone dotąd badania wykazywały, że małpia gorączka krwotoczna także nie przenosi się na ludzi. A jednak miał nadzieję...

Ostatnia mała zadrżała i znieruchomiła. Anders wsunął przez pręty długą tyczkę i pchnął zwierzę. Nie dostrzegłszy żadnej reakcji, ostrożnie pootwierał klatki i zaczął wyciągać trupy, wrzucając je do wielkiego, ciężkiego, czarnego worka do utylizacji.

– Lucy? Nie wiedziałem, czy cię budzić. Już prawie jedenasta.

Lucy powoli trzeźwiała z błogiego snu, by zobaczyć ubranego do pracy Billa Millera stojącego w uchylonych drzwiach. Boże, jaka się czuła zmęczona.

– Która godzina, mówiłeś?

– Za dziesięć jedenasta.

Bill uśmiechnął się ciepło.

– Gdy wróciłem wczoraj z kanapkami, spałaś na kanapie. Musiałaś być wykończona.

Usiadła i rozejrzała się dokoła.

– Gdzie ja jestem?

– W jednym z pokoi gościnnych. Obawiam się, że twoje rzeczy będą nieco wygniecione. Krępowalem się je zdjąć, więc pozwoliłem ci spać w ubraniu. Ściągnąłem tylko buty. Masz ochotę na śniadanie?

Nagle do Lucy dotarło, jak jest późno, i odrzuciła przykrycie.

– Muszę lecieć do szpitala – zawołała, opuszczając stopy na podłogę.

– Najpierw sprawdź swoją sekretarkę. Przez tę śnieżycę wszystko dziś stoi na głowie.

– Wciąż pada?

– Nie, przestało nad ranem. Niebo się przejaśnia. Niestety, na ulicach wciąż pełno śniegu.

Wstała, chwiejąc się lekko.

– Dobrze się czujesz? – spytał szybko.

– Trochę mi się kręci w głowie.

Obok łóżka znalazła swoje kozaki i zaczęła je wciągać na nogi.

– Napiłabym się kawy...

– Przyniosę ci.

– Nie trzeba, zejść na dół.

– Jak wolisz. Przy łóżku jest telefon, gdybyś chciała zadzwonić.

Lucy sięgnęła po aparat i skrzywiła się od tępego bólu w podbrzuszu. Musiałam sobie coś naciągnąć, jak się wczoraj przewróciłam, pomyślała. Choć nie przypomina to właściwie bólu mięśni. Spódnica musiała się jej przekreślić, gdy spała. Poprawiła ubranie, wygładzając zgniecienia, jak to tylko było możliwe, potem podniosła słuchawkę i zaczęła dzwonić.

Bill jadł grzanekę, gdy zeszła na dół.

– Z miodem czy z marmoladą? – spytał, kiedy spiesząca się Lucy zjawiła się w zwieńczonym łukiem przejściu.

– Z niczym, dziękuję,

Ostrożnie usiadła na krześle naprzeciw niego. Tępy ból brzucha nie dawał jej spokoju, a

kiedy korzystała z łazienki, zobaczyła plamę krwi na swoich majtkach. Co ona sobie, u licha, zrobiła?

– Posłuchaj, muszę się zbierać. W szpitalu nie dają sobie rady, ludzie nie mogą dostać się do miasta. I jest jeszcze jeden problem.

– O?

Bill ostrożnie nalał kawy do jej filiżanki.

– Ken Walsh zostawił mi na sekretarce chyba z milion wiadomości. Chce, żebym jeszcze dziś poleciała na Wybrzeże Kości Słoniowej. Walsh sterował wysyłaniem lekarzy na zagraniczne misje.

– Kompletnie nie mam pojęcia, jak to zrobić – dodała – ale jeśli to rzeczywiście peruwia...

Twarz Billa przybrała wyraz bezgranicznego zdumienia.

– Peruwia? W Afryce?

– Tak twierdził. W każdym razie raporty sugerują, że istnieje taka możliwość.

– Boże, Lucy, musisz pojechać.

– Bill, nie dam rady.

– To zajmie ci dwa, najwyżej trzy dni.

Zamilkł i myślał.

– Jest piątek... Wrócisz najdalej w poniedziałek, co? Proszę, Lucy. Nie znam nikogo innego, kogo mógłbym tam posłać, nikogo, kto miał do czynienia z peruwia, kto ma uprawnienia do tego rodzaju pracy.

Lucy pokręciła głową.

– To niemożliwe. Myślisz, że nie chcę jechać? Jeśli to faktycznie peruwia, mamy do czynienia z zadziwiającym odkryciem. Ale nie widzę możliwości...

– Zadzwoń do szpitala. Zobacz, co da się zrobić.

Bill przerwał. I potem dodał:

– Poza tym może dobrze by było, gdybyś na trochę wyjechała.

– Co to ma znaczyć?

– Po tym, co odkryłaś wczoraj wieczorem, Carl Anders nie byłby chyba uszczęśliwiony twoim widokiem.

– Nie zamierzałam składać mu wizyty.

– Ten człowiek już ci kiedyś groził, Lucy. Sama mówiłaś. Teraz stanie się dla ciebie jeszcze bardziej niebezpieczny.

– Jest niebezpieczny dla nas wszystkich.

– Tak, ale ja wiem, jak sobie z nim poradzić. Dla własnego bezpieczeństwa, jeśli nie dla peruwii, musisz wyjechać na jakiś czas z miasta.

– Nie wiem... Gdybym nawet zgodziła się pojechać, nie sądzę, żeby startowały dziś jakieś samoloty.

– Na lotnisku Kennedy’ego czynny jest jeden pas. Słyszałem w wiadomościach. Mogę

zorganizować helikopter, który cię tam zabierze. Lądowisko jest parę przecznic stąd.

– Będę musiała się spakować...

– Załatwię samochód, który zawiezie cię do mieszkania i poczeka, aż spakujesz swoje rzeczy. O której masz samolot?

– Nie wiem. Nie oddzwoniłam jeszcze do Kena.

Bill wstał.

– Zjedz teraz śniadanie – ponaglił ją, sam tryskając energią. – Ja zadzwonię do Kena i zadbam o wszystko.

– Nie jestem zwolenniczką uciekania od problemów – Lucy zmarszczyła brwi.

– Od niczego nie uciekasz – upierał się Bill. – Obawiam się, że wszystkie one będą na ciebie czekały, gdy wrócisz w poniedziałek wieczorem.

– Pewnie masz rację. A jeśli to naprawdę jest Peruwia...

– Będziemy cię tam potrzebowali.

– Cóż, lepiej się pospieszę – rzekła Lucy, podjąwszy decyzję. – Będę musiała zadzwonić do szpitala i...

I do Ricka, pomyślała. Umówili się na kolację dziś wieczór; miała spróbować wy badać, o co mu właściwie chodzi.

– I muszę odwołać parę rzeczy – dokończyła kulawo.

– Skorzystam z telefonu w gabinecie – rzekł Bill – więc ty możesz dzwonić stąd.

Zatrzymał się przy jej krześle i dotknął jej policzka.

– Tak będzie najlepiej, Lucy. Dla wszystkich.

Zadziwiająco, co mogą zdziałać pieniądze, dumiała krótko potem Lucy, gdy miejski lincoln ślizgał się po częściowo odśnieżonych ulicach w stronę jej mieszkania. Helikopter stał w pogotowiu, na lotnisku czekał na nią bilet, nawet administracja szpitala nie sprzeciwiła się jej nagłemu wyjazdowi, co, biorąc pod uwagę, jak bardzo brakowało im w tej chwili ludzi, już samo w sobie zakrawało na mały cud. Ból brzucha ustąpił nieco, a mocna kawa, jaką zaparzył Bill, rozjaśniła jej umysł. Samochód zatrzymał się przed jej domem, a ona wyskoczyła szybko, coraz bardziej podekscytowana czekającą ją podróżą.

Skinęła głową do portiera i pognąła przez hali, w myślach robiąc remanent w ubraniach. Nie zabierze wiele, stwierdziła; wystarczy parę podstawowych rzeczy, jak na krótką wycieczkę. Nie będzie jej zaledwie parę dni, a przez większość czasu i tak będzie miała na sobie jednorazowy chirurgiczny komplet i szczelny kombinezon.

W mieszkaniu prędko zdjęła ciuchy i rzuciła na łóżko, po czym wzięła rekordowo szybki prysznic. Wciąż wilgotna, naciągnęła na siebie dzinsy i koszulę, potem znalazła paszport, prawo jazdy i zaczęła pakowanie.

W powietrzu czuć było atmosferę zimowych wakacji. Szkoły zostały zamknięte, a dzieciaki zjeżdżały po maskach pogrzebanych w białym puchu samochodów i bombardowały się

śnieżkami. Wiele firm też najwyraźniej zrobiło sobie przymusowe ferie i ludzie snuli się jak ogłupiali w poszukiwaniu sklepów, którym nie wyczerpały się jeszcze wszystkie zapasy.

Rick spojrział na zegarek, tuż przed południem wchodząc do hallu budynku, w którym mieściły się biura IMA. Prawie godzinę zajęło mu dojechanie tu z laboratorium. Recepcjonistka nie dotarła tego dnia do pracy, więc ruszył korytarzem, pytając o drogę nielicznym pracownikom.

– Będzie wolny lada moment – odrzekła Alicia, wstając. – Napije się pan kawy?

– Bardzo chętnie.

Sekretarka znikła, a Rick rozsiadł się wygodnie w fotelu obok jej biurka. Patrzył od niechcienia na rozłożone tam papiery, gdy wróciła z filiżanką w dłoni.

– Myślę, że wygodniej panu będzie w sali spotkań – powiedziała chłodno, podając mu kawę.

– A, racja. Dziękuję.

Zawstydzony Rick wziął poczęstunek i już się odwracał, gdy zabręczała interkom Alicii.

– Możesz teraz poprosić Hollandera – zabrzmiał głos Billa.

Rick zmienił kierunek i szybko minął zaciskającą usta Alicię, krocząc do gabinetu Millera.

– Zamknij drzwi – nakazał Bill zza komputera.

Kątem oka Rick dostrzegł, jak wyjmuje dyskietkę z jaskrawozieloną naklejką i wsuwa ją ukradkiem pod jakieś papiery; dopiero wtedy dał przybyłemu znak, by usiadł.

– Myślałem, że mamy układ – rzucił Miller bez żadnych wstępów, podchodząc do niego od biurka.

– Bo mamy – potwierdził Rick.

– A zatem czemu nie wiedziałem, że Lucy wciąż zajmuje się sprawą Jean-Pierre’a? Czemu nie powiedziałaś mi o jego notesie?

Rick starał się, jak mógł, wyglądać na zaskoczonego.

– O jakim notesie?

– Nie wciskaj mi tu kitu, Hollander.

– Przysięgam, Bill, nic mi nie mówiła.

Jego rozmówca nie wyglądał na przekonanego.

– Posłuchaj, nie mam powodu nic przed tobą ukrywać – ciągnął Rick. – Obaj chcemy tego samego: chronić Lucy przed nią samą, prawda?

Zawahał się. W końcu dodał:

– Rzecz w tym, że mieliśmy małą...

– Sprzeczkę?

– Tak, coś w tym stylu.

– O co?

– Daj spokój, Bill. Tego ci nie mogę powiedzieć.

Bill wstał i podszedł do okna, po czym odwrócił się.

– Lucy twierdzi, że próbowałaś dobrać się do komputera Carla.

– Co?

– Mówiła, że cię widziała. Pytała mnie, czy można ci ufać.

– Jezu.

Rick smutno pokręcił głową, gdy tymczasem w głowie huczało mu od myśli. Jak to załatwić?

– zastanawiał się.

– Zazdrość to okropne uczucie – rzekł w końcu.

Bill przyglądał mu się uważnie.

– Mów dalej – polecił.

Rick westchnął.

– Dowiedziała się, że spotykałem się z Renée.

– Chyba ci mówiłem, że masz z tym skończyć.

– Skończyłem... Próbowałem. Ale Renée nie przestawała do mnie wydzwaniać, zostawiać wiadomości na automatycznej sekretarce – bez zahamowań zmyślał dalej. – Lucy usłyszała właśnie taką wiadomość. Do diabła, sam wiesz, do czego jest zdolna Renée.

– A więc Lucy niszczy ci reputację, bo jest zazdrosna o kobietę, z którą kiedyś romansowałeś.

– „Romans” to nie jest najwłaściwsze...

– To do Lucy niepodobne.

– Zakochana kobieta... – zaczął Rick, ale Bill machnął w zniecierpliwieniu ręką.

– Może tak, może nie. – Przyglądał się badawczo Rickowi. – Prawdę mówiąc, i tak nie ma to większego znaczenia.

– Co masz na myśli? Posłuchaj. Mam dziś wieczorem zjeść z nią kolację. Na pewno uda mi się wszystko naprawić. Wciąż jestem twoim człowiekiem.

Bill opadł na fotel naprzeciwko Ricka.

– Już nie musisz być moim „człowiekiem”, jak to określiłeś. Skończyłem z ochranianiem Lucy Nash.

– Jak to?

Bill lekko wzruszył ramionami w poczuciu bezradności.

– Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy. Lucy to duża dziewczynka; zrobi, co zechce. À propos, jedną z tych zachcianek jest porzucenie pracy w laboratorium IMA i to od zaraz. Nie wraca.

– Nie wraca? A jej doświadczenia...

– Przejmie je ktoś inny. Zresztą i tak zastanawiam się nad zakończeniem badań nad peruwiańską.

– To niewiarygodne, że tak po prostu odeszła – powiedział Rick. – Jaki powód ci podała?

– Sam ją o to zapytaj – odparł obojętnie Bill. – Przy kolacji, o której wspomniałeś. Pewnie powie ci, że za dużo na siebie wzięła. Chce poświęcić więcej czasu pracy w terenie.

Zamilkł na chwilę. A potem rzekł:

– Mówiła mi, że praca w terenie zawsze bardzo ją pociągała, a teraz, po śmierci Jean-

Pierre'a, stała się jeszcze ważniejsza.

– Co śmierć Jean-Pierre'a może mieć wspólnego z jej chęcią pracy w terenie?

– Sam się nad tym zastanawiałem – odparł powoli Bill. – No dobrze, na pewno chcesz już wracać do laboratorium. Rick wstał, a Bill odprowadził go do drzwi.

– Cieszę się, że sobie pogadaliśmy. Muszę ci powiedzieć, że uspokoilem się, wiedząc, iż oskarżenia Lucy były oparte na zazdrości. Zawsze z największym szacunkiem odnosiłem się do twojej pracy.

– A ja do twojej – rzekł Rick, gdy zamykały się za nim drzwi.

Zawahał się, a potem obrócił się i po cichu, dosłownie na kilka milimetrów uchylił drzwi. Przykładając oko do wąziutkiej szpary, patrzył, jak Bill zasiada za biurkiem, potem grzebie w stosie papierów i wyjmuje jaskrawozieloną dyskietkę. Podniósł na chwilę wzrok, jakby poczuł na sobie wzrok Ricka. Potem wsunął ukradkiem dyskietkę do napędu komputera.

Nie wraca. Słowa Billa dźwięczały mu w uszach przez całą drogę do laboratorium. Kiedy podjęła tę decyzję? Czemu nic mu nie powiedziała? Może miała zamiar, dziś wieczorem.

Pospieszył przez niewielką recepcję do swojej pracowni. Na automatycznej sekretarce mrugało światelko.

Wcisnął odpowiedni guzik i usłyszał głos Lucy odwołujący dzisiejszą kolację. Gdy jej słuchał, czuł coraz większy niepokój. Informowała go, że natychmiast wylatuje na Wybrzeże Kości Słoniowej, gdzie ma zająć się nagłym wybuchem choroby, która może mieć jakiś związek z peruwia. Wraca w poniedziałek wieczorem, więc zobaczą się w następnym tygodniu.

Zatopił się w fotelu i ściągnął brwi. Ten wyjazd wypadł strasznie nagle, pomyślał. „Praca w terenie zawsze bardzo ją pociągała” – mówił Bill. „A teraz stała się dla niej jeszcze ważniejsza”. Czemu akurat teraz? Rick miał przeczucie, że został w coś wciągnięty, ale w co?

– Nie wraca – powtórzył pod nosem.

Nie wraca do laboratorium. Leci do Afryki i nie wraca. O, cholera, pomyślał, ona w ogóle nie wraca. Złapał za telefon i jak szalony zaczął wybierać numer.

Lucy postawiła torbę na korytarzu i zamykała drzwi, gdy w mieszkaniu rozdzwonił się telefon. Odebrać? Zerknęła na zegarek. Nie ma czasu, pomyślała. Niech automat to załatwi. Wzięła torbę i pobiegła do windy.

Mówiłeś, że nikt nie przeżył.

– Myliłem się. Ale...

– Zamknij się, Carl.

Twarz Billa Millera pociemniała od złości. To z winy Andersa musiał zwołać nagłe zebranie nad hurtownią „King Banana” w to piątkowe popołudnie. To przez Andersa Lucy wiedziała to, co wiedziała, a on znów potrzebował pomocy Tortoriello.

– Jeśli dwoje ludzi przeżyło testy z sangre negra dwa lata temu – ciągnął – mogli też być

inni.

– I co z tego. Nikt nie wie...

– Nikt nie wiedział – warknął Bill, nachylając się nad nim. – Teraz ktoś wie, to jasne jak cholera.

– Nie wie – upierał się Carl. – W sprawozdaniu, które widział w moim komputerze, nie było mowy o wcześniejszych próbach.

– A ty wierzysz, że ona się nie domyśli? Jakby nie dość było, że dwie próbki krwi, które przywiozła z Peru, zawierały wirion peruwii B. Ale zaprzeczanie jego istnieniu, podczas gdy jedna z próbek powędrowała do CDC... Jezu.

Bill opadł na fotel.

– Gdyby nie udało mi się doprowadzić do obcięcia funduszy na badania Teda Wileya... – Pokręcił głową z obrzydzeniem. – „Nikt nie przeżył”, mówiłeś. „Wszyscy zmarli. Sam widziałem zwłoki”. – Wzrokiem ciskał w Carla gromy. – Otaczają mnie głupcy.

– Słuchaj, Bill. Mieliśmy wielkie szczęście, że ktoś przeżył. Gdyby tych dwoje indios nie przyszło do polowego szpitala, żeby wyleczyć ich z gorączki, nigdy nie dowiedzielibyśmy się o peruwii B. Nie mielibyśmy pojęcia, że sangre negra sama z siebie zmutowała się w ich ciałach, tak jak Ebola u małp w Reston w Wirginii w 1989.

– Wszystko to wiem – rzekł zniecierpliwiony Bill. – Rzecz w tym, że ty...

Ale Carl nie dał się zbić z tropu.

– Rzecz w tym – obstawał przy swoim – że bez tych dwojga ocalałych nigdy nie dowiedzielibyśmy się, że peruwia B w ogóle istnieje, a co dopiero, że ma działanie uodporniające. Do diabła, usiłowałem powtórzyć tę mutację u zwierząt i nic z tego nie wyszło. Jestem wdzięczny losowi, że tych dwoje przeżyło; ty też powinienes.

– Nie praw mi tu kazań – wściekał się Bill. – Przez ciebie wszystko, na co pracowaliśmy przez tyle lat, mogło pójść w diabły. Gdyby Lucy nie przyszła do mnie wczoraj wieczorem...

Wstał, przeszedł przez pomieszczenie, okręcił się i wrócił na swoje miejsce sztywny i spięty.

– Coś ty sobie, do cholery, myślał? – odezwał się ostro. – Ganiałeś za nią po tej nieszczęsnej misji, pozwoliłeś odkryć laboratorium, salę po chorych na moribundi... Nieważne – przerwał gniewnie. – Sam się nią teraz zajmę.

Zadzwęczał dzwonek. Bill opanował się, po czym wcisnął guzik, za pomocą którego uruchomił ukryte drzwi.

Otworzyły się, by ukazać Renée w towarzystwie kilku mężczyzn. Bill dał wszystkim znak, by zajęli miejsca przy stole. Sam stał dalej.

– Mamy kłopoty? – spytała Renée.

– Nic, z czym nie moglibyśmy sobie poradzić – odparł dość ostro Bill. – Ale będziemy potrzebowali pomocy twoich ludzi. Za którą zapłacimy, jak zwykle.

– Mówiłam panu Tortoriello, że to nie najlepszy pomysł – rzekła, zdejmując swój dwurzędowy żakiet – zadawać się z amatorami.

– Bzdura – odparł spięty Bill. – Wszystko szło doskonale aż do aresztowania Didiera. A to ty miałaś dopilnować, żeby do tego nie doszło. Spiorunował ją wzrokiem.

Renée wzruszyła ramionami.

– Wygląda na to, że celnicy dostali cynk od jednego z właścicieli galerii – odpowiedziała. – Coś o przemycanych dziełach sztuki. To ich szukali, gdy natknęli się na heroinę. Skąd mieliśmy to wiedzieć? Masz tu coś do picia?

– Dobrze wiesz, że nie.

– Szkoda. W każdym razie zajęliśmy się Didierem w więzieniu. Nie miał szansy obronić się przed zarzutami, przynajmniej nie dość przekonująco. I zajęliśmy się Beno Stanislasem. To taki mały prezent od mojego szefa.

– Beno... – Na twarzy Billa nagle odmalowało się zrozumienie. – Paser Didiera.

– Tak. Beno uważał, że Didier go oszukuje, przynajmniej tak powiedział naszym ludziom. On i ten durny Didier narazili na niebezpieczeństwo całą operację... – Rozejrzała się dokoła stołu. – Myślę, że powinniśmy ją zakończyć.

– Być może – zgodził się Bill, zajmując miejsce naprzeciwko niej. – Pomówimy o tym, jak zajmiesz się Lucy Nash.

Renée posłała mu swój koci uśmiech.

– Co chciałbyś, żebym jej zrobiła? – wymruczała. – Masz ochotę sobie popatrzeć?

– Chcę, żebyś ją zamordowała, Renée. I nie mam zamiaru na to patrzeć.

Renée zeszywniała.

– Ja nie morduję.

– Oczywiście. Ale masz od tego ludzi.

Renée zmarszczyła brwi.

– Lucy była kochanką Jean-Pierre’a, więc załatwimy ją tym samym sposobem – ciągnął Bill.

– Heroina.

– Tak. IMA już ją wysłało na Wybrzeże Kości Słoniowej.

– Wybrzeże Kości Słoniowej? – powtórzył Carl. – A co tam się stało?

– Malaria, jak zwykle – odparł krótko Bill. – Ale kazałem Kenowi Walshowi powiedzieć jej, że to może być peruwia.

– Od razu się zorientuje, że to nieprawda – sprzeciwił się Carl. – Będzie podejrzewała...

Bill wzruszył ramionami.

– Raporty z terenu często bywają nieścisle. Poza tym to już nie będzie miało znaczenia, co ona będzie podejrzewała. Widzisz, kiedy znajdzie się z powrotem na lotnisku Kennedy’ego, służby celne będą już poinformowane o jej związku z Didierem. Jej bagaże zostaną dokładnie przeszukane. Znajdzie się heroina. Gdy zaczną mnie wypytywać odpowiednie władze, powiem im, że doktor Nash poprosiła niedawno, by przydzielono jej więcej pracy w terenie, prawdopodobnie z zamiarem kontynuowania działalności Didiera związanej z przemytem narkotyków i dzieł sztuki. Wśród jej rzeczy znajdzie się jego notes.

– Wszystkiemu zaprzeczy – wtrącił się Carl. – Powie im o moich badaniach...

– Że co? – Renée zmarszczyła czoło, patrząc na Carla.

– Nie powie ani jednego sensownego słowa, zapewniam cię – szybko obiecał jej Bill, rzucając Andersowi wściekłe spojrzenie. – A gdy już się znajdzie w areszcie, twoi ludzie – tu znów zwrócił się do Renée – zrobią z nią to, co z Didierem.

– To może być dość trudne – powiedziała powoli Renée. – Nasze kontakty w instytucjach karnych dla kobiet nie są tak bogate jak w męskich.

– No to coś wymyśl – nakazał zniecierpliwiony Bill. – To ważne dla obu naszych organizacji. Podam ci numer lotu Lucy i czas przylotu.

– To będzie sporo kosztowało – ostrzegła go.

– Wiem – odparł oschle Bill.

Renée znów zmarszczyła brwi.

– Wciąż nie rozumiem tego, co przed chwilą powiedział Carl... coś o badaniach?

– Nie twoje zmartwienie – rzekł gładko Bill. – To takie małe wewnętrzne starcie. Lucy pracowała w laboratorium IMA, a Carl nie pozostawił wątpliwości, że za nią nie przepada.

– A Rick Hollander? Czy wciąż jej dla ciebie pilnuje, czy mogę go mieć z powrotem?

Uśmiechała się leniwie i arogancko, dając Billowi jasno do zrozumienia, że naprawdę wcale nie potrzebuje jego pozwolenia.

– Gdy tylko Lucy będzie martwa, możesz z nim robić, co chcesz – odpowiedział jej z ponurym uśmiechem.

Przypomniała mu się ostatnia rozmowa z Rickiem. Sprzeczką kochanków; jasne. Kolejna robota dla chłopców pana Tortoriello, gdy przyjdzie odpowiednia pora, pomyślał. Podniósł się.

– Dziękujemy, że zechciałaś do nas dołączyć, hrabino – rzekł, podchodząc, by ucałować jej dłoń.

Inni także wstali, gdy Renée zakładała okrycie.

Bill poszedł otworzyć ukryte drzwi, wpuszczając przy tym zimne, stęchłe powietrze.

– Panowie, zostaniecie jeszcze chwilę? – rzucił, gdy Renée wyszła na ciemny korytarz. – Parę finansowych spraw do omówienia – wyjaśnił, gdy hrabina odwróciła się z wypisanym na twarzy pytaniem.

Skinęła głową i znikła w przejściu.

Bill zamknął drzwi i dał znak pozostałym, by zajęli miejsca. Uśmiech na jego twarzy zgasł.

– Popołniono głupie błędy – powiedział ostro. – Zaopatrywanie w broń rebeliantów w Kolumbii to jedno, ale pozwolić im na wysadzenie ropociągu w imię obrony uprawy narkotyków? To nie było mądre. Nigdy się pod tym nie podpiszę. – Jego oczy ciskały pioruny. – Nie będzie więcej głupich błędów. Nie możemy sobie na nie pozwolić, kiedy jesteśmy tak blisko. – Wzrok mu błyszczał od fanatycznej zapalczowości. – Nasze marzenie ma się wkrótce ziścić, panowie. Nowy porządek świata jest na wyciągnięcie ręki. Pozostaje tylko udoskonalić przenoszenie drogą powietrzną.

Popatrzył groźnie na Carla.

– Myślałem... – przemówił Anders, lecz przerwał, przełknął ślinę i zaczął od nowa. – Udało mi się zmutować szczep małpiej peruwii – wyjaśnił sumiennie. – Okazało się, że przenosi się ona drogą powietrzną, ale jest nieszkodliwa dla ludzi. To się czasem zdarza i...

– Nie mamy ochoty słuchać o twoich porażkach – wtrącił się Bill. – Kiedy doniesiesz nam o sukcesie?

– Nie jestem pewien. Ale wkrótce – dodał szybko, widząc coraz bardziej groźną minę Billa.

– To mi się nie podoba – rzekł mężczyzna siedzący na prawo od Carla. – Jak długo mamy czekać? Moi ludzie włożyli w to mnóstwo pieniędzy – dodał angielszczyzną z obcym akcentem. – Domagają się czynu. Co, jeśli przenoszenie drogą powietrzną okaże się niemożliwe?

– Wykorzystamy to, co mamy – odparł pewnie Bill. – Skuteczność będzie prawie taka sama. Przenoszenie przez powietrze byłoby oczywiście wyjściem najlepszym, ale nie jedynym możliwym. Uwierzcie mi, z tym, co już mamy, potrafimy zmusić świat do posłuchu.

Powiódł pełnym ognia wzrokiem dookoła stołu.

– Obiecuję wam, świat nas usłyszy i będzie nam posłuszny.

– Jezu, Tom, próbuję cię złapać przez całe popołudnie.

– Miałem dziś całą kupę zebrań – odparł starszy z mężczyzn. – Coś się stało?

– IMA właśnie wysłało Lucy Nash do Afryki.

– I co z tego? Jeździła już przecież na misje.

– Tak, ale mam złe przeczucie – rzekł Rossetti. – Ten wyjazd nastąpił zbyt nagle. Myślę, że mogła się czegoś dowiedzieć, a oni zamierzają ją unieszkodliwić.

– W Afryce? – spytał z powątpiewaniem Tom.

– A czemu nie? Albo po drodze w jedną czy w drugą stronę. Musisz ją z tego wyciągnąć.

– Wyciągnąć? – sprzeciwił się Tom. – Nie mam jej z czego wyciągać,

– Jak to nie? Siedzi w tym po samą...

– Wiesz, co mam na myśli. Nie ja ją w to wciągnąłem. Jest zwykłą obywatelką.

– I grozi jej niebezpieczeństwo. Nie możesz dać jej jakiejś ochrony?

– Żeby zawalić całą operację? Świetny plan. – Tom westchnął. – Posłuchaj, Mike, wszystko, co mamy, to jedynie podejrzenia. Laboratorium ma legalne pozwolenie na swoją działalność. Nie mamy dowodów, że gdzieś złamano prawo ani że Miller i jego IMA nie są tym, na co wyglądają.

– Ale przecież wiesz swoje – nalegał Rossetti.

– Mam swoje przypuszczenia – poprawił go Tom. – Bez porządnego dowodu... Przerwał.

– Jesteśmy coraz bliżej celu – podjął znowu. – Jak ci mówiłem, coś wisi w powietrzu. Nie mogę pozwolić, żeby Miller zaczął teraz coś podejrzewać. A jeśli Nash została wysłana do Afryki, ponieważ coś wie, nasza ingerencja byłaby największym błędem, jaki możemy popełnić.

– Nie dla niej. Nie możesz śledzić jej przez kogoś z naszej ambasady na Wybrzeżu Kości Słoniowej?

– Śledzić?! – powtórzył Tom z niedowierzaniem. – Nie sugerujesz chyba, że ktoś powinien pojechać do buszu i stać przy niej, podczas gdy będzie doglądała pacjentów. Gdyby nawet było to wykonalne, a nie jest, nie sądzisz, że coś takiego byłoby dla wszystkich zbyt oczywiste?

Zastanowił się przez chwilę.

– Coś ci powiem – dodał. – Podaj mi numery jej lotów, a my sprawdzimy, czy doleciała i czy stamtąd wyjedzie.

– Nie znam ich. Ale wraca w poniedziałek.

Tom westchnął.

– Zobaczę, co da się zrobić. Chociaż wciąż nie jestem przekonany, czy ona sama nie jest częścią całej tej sprawy. Wiem, wiem – dodał szybko, gdy Rossetti zamierzał się wtrącić. – Nie zgadzasz się ze mną. Cóż, jeśli nawet to ty masz rację, nie ja, nie mam zamiaru, powtarzam, nie mam zamiaru robić niczego, co mogłoby narazić naszą operację. Tak więc dopóki nie zdobędziesz konkretnych dowodów, że jej życie jest w niebezpieczeństwie, Lucy Nash zdana jest wyłącznie na siebie.

Lucy podskakiwała na niewygodnym sprężynowym siedzeniu starej taksówki, wdychając ciepły zapach wilgotnej roślinności i po raz tysięczny zastanawiając się, po co ją tu, u licha, przysłano. Jakim cudem doświadczony pielęgniarz mógł pomylić objawy malarii z symptomami nieznanego filowirusa? Czemu Kenowi Walshowi tak bardzo zależało na wyprawieniu jej do Afryki, że nie poczekał nawet na laboratoryjne potwierdzenie badań na próbkach krwi? I dlatego, jeśli zachodziło poważne podejrzenie, że to peruwia, przysłano ją tu samą, bez wsparcia ze strony ludzi doświadczonych w pracy w warunkach zagrożenia dla życia ze strony organizmów żywych? Minione trzy dni były kompletną stratą czasu; czuła się zmęczona i źle wykorzystana. Zapłaciła kierowcy starego forda, wzięła torbę i weszła do budynku lotniska, nie mogąc doczekać się powrotu.

– Doktor Nash?

Lucy zatrzymała się i odwróciła. Stał przy niej niepozorny mężczyzna lat około trzydziestu pięciu, z jasnym hitlerowskim wąsikiem nad górną wargą.

– Znów się spotykamy – rzekł z uśmiechem, podając jej rękę. – Jack McNulty, pamięta pani?

Lucy zmarszczyła czoło; wydawał się jej znajomy, ale nie do końca wiedziała, gdzie go przypiąć.

– Lotnisko w Mayaruna... Listopad...

Jej twarz rozjaśniła się.

– Ach tak, oczywiście – powiedziała. – Pan jest przedstawicielem na Amerykę Południową.

– Byłem – sprostował. – Teraz pracuję w Afryce. – Zamilkł na chwilę. – Tak mi przykro z powodu doktora Didiera. Okropność.

Lucy pokiwała głową, ale się nie odezwała; co tu można było powiedzieć?

Mężczyzna spojrział na niesioną przez nią torbę.

– Gdzie jest reszta pani bagażu?

– Mam tylko to. Nie zabawiłam tu długo.

– Cóż, pozwoli pani, że to za panią odprawię – zaproponował. – Proszę tylko dać mi swój bilet, a...

– Nie trzeba – odparła Lucy.

– Och, ależ IMA dba o swój personel – rzekł, puszczając do niej przyjacielskie oko. – Poza tym kolejka do odprawy jest okropnie długa. – Pokazał na tłum kłębiący się wokół stanowiska odlotów. – Niech pani sobie gdzieś usiądzie, a ja się wszystkim zajmę.

– Dziękuję.

Lucy wygrzebała z torby bilet i podała mu go.

– Będzie mi potrzebna pani torba – oznajmił, wyciągając rękę.

– Nie trzeba jej odprawiać – wyjaśniła. – Zabieram ją ze sobą na pokład.

Zwątpił.

– Sprawdzają teraz wszystkie bagaże – powiedział w końcu. – To przerażające, co próbują wnieść do samolotu niektórzy ludzie. Proszę się nie martwić. Zwrócę ją pani dosłownie za sekundę.

Lucy puściła uchwyt, a on podniósł torbę.

– Proszę usiąść tam, żebym wiedział, gdzie pani szukać. Aha, może przynieść coś do picia? Wodę sodową? Kawę?

– Wodę, poproszę.

– Coś w puszcze i szczelnie zamkniętego. – Pokiwał głową z aprobatą. – Mądry wybór w tej części świata.

Lucy popatrzyła, jak mężczyzna znika w tłumie, po czym podeszła do rzędu pomarańczowych plastikowych krzeseł, które jej wskazał, i opadła na jedno z nich. Lotnisko w Mayaruna, zadumała się. Tak wiele się wydarzyło od tamtego dżdżystego poranka, tak wiele złego. Jej myśli popłynęły do tygodni spędzonych z Jean-Pierre'em w Peru, do ich podróży na lotnisko. „Jest coś dla ciebie w mojej torbie”, mówił. Dwie ohydne rzeźby i sześć kilo heroiny. Wielkie dzięki, Jean.

– Przepraszam, że trwało to tak długo. – McNulty opadł na krzesło obok niej. – Oto pani torba, cała i zdrowa. Bilet jest na samym wierzchu. I przyniosłem colę. Mam nadzieję, że się pani nie gniewa.

– Może być.

Wzięła od niego puszkę, zdziwiona nieco, że ją wcześniej otworzył i włożył słomkę.

– Mówiłem, że dbamy o swój personel – rzekł, widząc jej minę. – Ma pani jakieś dwadzieścia minut do wejścia na pokład. Oparł się i wyciągnął nogi. Potem dodał:

– Cieszy się pani z powrotu do domu?

– Owszem – odparła Lucy. – Właściwie to nie wiem, czemu się tu w ogóle znalazłam. Na pewno macie na miejscu ludzi, którzy potrafią zająć się malarią.

– Malaria? Więc to była malaria? Niestety, nie znam się na medycynie. Jestem tu tylko od powitań i pożegnań. – Popatrzył na nią. – Niech pani pije.

Lucy wzięła mały łyk; cola była ciepła i strasznie spieniona.

– Jak się panu podoba Wybrzeże Kości Słoniowej? – spytała. – Chyba bardzo różni się od Ameryki Południowej.

– I tak, i nie – odpowiedział. – Lotniska wszędzie są do siebie podobne.

– Ale od czasu do czasu opuszcza pan chyba lotnisko – zażartowała.

– Jasne. Prawdę mówiąc, lubię podróżować, zwiedzać – wyznał Jack. – Dorastałem w Wirginii. Piękne miejsce, ale dla mnie trochę za spokojne. Więc mój starszy zapropował, żebym wstąpił do IMA. Tata jest dawnym znajomym Billa Millera.

Lucy nagle przypomniała sobie rozmowę, jaką odbyła z Billem tuż po śmierci Jean-Pierre'a, kiedy to na głos zastanawiała się, czy Jack mógł podłożyć heroinę w torbie Jeana, a Bill zapewnił ją, że to absolutnie niemożliwe. Bill wspomniał, że ojciec Jacka pracował w Langley. Nikt nie wypowiadał „Langley” w ten sposób, chyba że miał na myśli CIA. Czemu nie wydało się jej to wtedy istotne? Zmarszczyła brwi.

– Gdzie jeszcze był pan wysyłany? – spytała, siląc się na zwyczajny ton mimo nie dających spokoju myśli, jakie zaczęły kłębić się jej w głowie.

McNulty pomyślał chwilę.

– Przeważnie do Ameryki Południowej – odparł. – A teraz tu. Ach, spędziłem też rok w Turcji, ale to było dość dawno. Może dokończy pani napój i pójdziemy do przejścia?

– Idzie pan ze mną?

– Jasne. Mam przepustkę. Tak jak mówiłem, IMA...

– ...dba o swój personel. – Lucy zmusiła się do śmiechu. – W porządku. Chodźmy.

– Hm, niech pani najpierw dopije. Nie sądzę, żeby pozwolili to wnieść na pokład.

– Naprawdę?

Podniosła puszkę.

– Salud* [salud (hiszp.) – na zdrowie.] – rzuciła.

Wzięła słomkę do ust i podniosła wzrok, by popatrzeć na mężczyznę. Wpatrywał się w puszkę z wyrazem napięcia na twarzy.

– Do dna – powiedział.

Lucy nie połknęła napoju i siedziała nieruchomo. Głupia, wyrzucała sobie; głupia, głupia. Padł na nią zimny, błydy strach. Wypuściła słomkę z ust i wcisnęła mu puszkę.

– Może pan potrzymać? – poprosiła, starając się, by jej głos brzmiał lekko i spokojnie. – Muszę do toalety.

Złapała torbę i odwróciła się szybko, żeby nie widział jej twarzy.

– Bagaż może pani zostawić – zawołał, ale Lucy nie zwracała na niego uwagi i szła dalej.

W ubikacji zamknęła się w kabinie i gorączkowo zaczęła przeszukiwać torbę. Nic. Oparła się o metalową ściankę sztywne z przerażenia. Poszłam do niego szukać pomocy, myślała ze

strachem; wszystko mu powiedziałam. Spałam w tym jego cholernym domu. Tak mu to ułatwiłam. Trzęsły się jej ręce, gdy patrzyła na zegarek; czas uciekał. Schyliła się i wyrzuciła wszystko na wilgotną, brudną podłogę. Przejechała ręką po wewnętrznych ściankach opróżnionej torby, potem po dnie, obmacując podszewkę. W jednym rogu materiał był odpruty, a pod spodem lepki. Tkanina została przyklejona do kawałka tektury, który miał udawać dno. Ktoś zrobił to całkiem niedawno; klej wciąż jeszcze nie wysechł. Falszywe dno zostało umieszczone na... na czym?

Szybkim ruchem zerwała tekturę, by zobaczyć głęboką na kilka centymetrów przestrzeń między dnem fałszywym a prawdziwym. W owej przestrzeni zmieściło się pięć foliowych torebek białego proszku.

Lucy szybko wyjęła jeden woreczek i, przytrzymując nad sedesem, rozpruła go paznokciem. Proszek wysypał się do muszli, a ona spuściła wodę. Opróżniła kolejną torebkę, splukała; potem to samo z następną. Gdy wszystkie woreczki były już puste, je także wrzuciła do sedesu i spuściła wodę. Podeszła do umywalki, opłukała ręce, potem zwilżyła kilka papierowych ręczników i wytarła dno torby. Gdy było nieskazitelnie czyste i suche, spakowała z powrotem swoje rzeczy i wyszła z toalety, wciskając po drodze fałszywe dno do wielkiego kosza na śmieci.

McNulty przechadzał się pod drzwiami, w dłoni wciąż ściskając puszkę coli.

– Dobrze się pani czuje? – spytał, badając jej twarz. – Wygląda pani dość dziwnie.

– Małe problemy z żołądkiem – odparła krótko Lucy. – Którędy do przejścia?

– Tędy. – Wyciągnął do niej rękę z puszką. – Cola dobrze robi na żołądek.

– Racja.

Lucy wzięła puszkę, wessała płyn do słomki, lecz jej końcówkę zatkała językiem. Widząc, jak napój wędruje w górę i jak Lucy zdaje się przełykać, McNulty pokiwał głową i uśmiechnął się.

– To pani pomoże. Zobacz pani.

– Już czuję się lepiej – powiedziała, wyrzucając puszkę.

Zastanawiała się, jakie objawy powinna zacząć symulować i jak szybko powinny według niego wystąpić, ale zaczęto już wpuszczać na pokład, więc to nie powinno stanowić problemu.

Był tak bliski celu, myślała podczas startu. Tak cholernie bliski. Gdyby McNulty tak na nią nie naciskał...

Samolot zakręcił i, wspinając się ponad chmury, skierował się na zachód. Wyobraziła sobie, jak McNulty gna do hali odlotów, wybiera numer. Tak, wypila colę. Tak, zabrała towar. Wszystko poszło zgodnie z planem.

Tak pan uważa, doktorze, pomyślała w chłodnej furii. Jeszcze pan nie wygrał.

Na lotnisku Kennedy'ego wylądowali z opóźnieniem, ale bez przeszkód. Bez żadnych trudności przeszła kontrolę paszportową i zmierzała do odprawy celnej, gdy została zatrzymana przez kilku agentów federalnych o ponurych twarzach. Zaprowadzili ją do małego pomieszczenia, gdzie opróżnili i przeszukali torbę oraz jej skromną zawartość. Najwyraźniej

zaskoczeni, że nie znaleźli kontrabandy, którą kilka godzin wcześniej Lucy utopiła w klozecie, przeszuchali ją szczegółowo, po czym wezwali policjantkę, która przeprowadziła rewizję osobistą. Podczas całej tej procedury Lucy mówiła jak najmniej, mając już w głowie gotowy plan. Gdy w końcu zmuszeni byli ją wypuścić wraz z całym bagażem, Lucy pospieszyła przez pusty terminal na postój taksówek.

A więc on o niczym nie wie?

Rossetti wpatrywał się w Toma ponad odrapanym stolikiem z tworzywa sztucznego. Sfrustrowany pokręcił głową.

– Jeszcze trzy dni temu sugerowałeś, że Miller wykorzystuje IMA do handlu narkotykami, dzięki czemu zbiera pieniądze na wspieranie lewicowego terroryzmu. Teraz twierdzisz, że sam został wykorzystany i jest niewinny...

– Nic takiego nie powiedziałem – odparł porywczo Tom. – To nie jest takie proste.

Rozejrzał się ukradkiem po prawie pustym barze szybkiej obsługi.

– Jasne, że nie jest proste. Może mi wreszcie powiesz, o co chodzi? – niecierpliwiał się Rossetti.

Starszy z mężczyzn obrócił w dłoniach popękany kubek z kawą.

– Od kilku lat obserwujemy i śledzimy dwie różne... sytuacje – podjął w końcu. – Poprosiłem o to spotkanie, bo nagle... ktoś doszedł do wniosku, że te sytuacje mogą być ze sobą powiązane.

Rossetti poważnie pokiwał głową.

– Jasne jak cholera.

– Wiem. Posłuchaj tylko.

Tom gestem odesłał kelnerkę w znoszonym różowym uniformie i zwrócił się z powrotem do Mike'a.

– Sytuacja numer jeden: Czy znany i szanowany lekarz finansuje działalność lewackich terrorystów? O tym mówiliśmy już wcześniej. Mamy więc Billa Millera, człowieka słynnego w świecie medycyny, bezinteresownego uzdrowiciela, wyrafinowanego kolekcjonera sztuki, zamożnego dobroczyńcę...

– I handlarza narkotyków o lewicowych poglądach.

– Nie bądź taki wrywny. – Tom napił się kawy. – Yvette była paryżanką. Mieszkała w Bretanii, gdy...

– Yvette?

– Matka Billa. Francuzka. Poznała jego ojca pod koniec wojny. Tatuś był odznaczonym oficerem marynarki wojennej. Pobrali się, a Miller-senior został przydzielony do pracy w Pentagonie i osiedlili się w Wirginii. Tam urodził się Bill. Jego ojciec był dobrze ustawiony, matka odgrywała rolę przedstawicielki europejskiej kultury i rodzina cieszyła się życiem na całkiem niezłym poziomie. Ładny dom, dobre szkoły, przestawanie z dyplomatami, wojskowymi i kulturalnymi attache, i tak dalej.

– Ludzie z CIA również należeli do tego towarzystwa?

– Tak sądzę; w końcu to ich teren. Tak czy inaczej, Yvette przekonała Billa, żeby wstąpił na Sorbonę. Tam bratał się z różnymi grupami politycznymi, od lewaków do neonazistów, ale najwyraźniej w żadnej nie odgrywał jakiegóż znaczącej roli. Matka umarła, gdy był na trzecim roku, a on natychmiast przeniósł się na Harvard, a potem na Harvardzką Akademię Medyczną. Ojciec zmarł jakieś dziesięć lat temu.

– A Bill założył IMA. I przy jej szlachetnych założeniach zarobił kupę forsy.

– Daj spokój, Mike. Rzecz w tym, że Miller wiódł przykładowe życie...

– Nie licząc tego, że handlował narkotykami.

– Nie mamy dowodów – ostrzegł go Tom. – Usiłuję ci powiedzieć, że pewne jego międzynarodowe kontakty, dzięki którym zdobywa fundusze, są dość... interesujące.

Tom wziął kolejny łyk kawy.

– Zaś to prowadzi nas do sytuacji numer dwa – rzekł po chwili.

Mike podniósł dłoń, by go uciszyć, po czym kiwnął na kelnerkę, żeby dołała mu kawy. Gdy kobieta odeszła, odezwał się do Toma: – Możesz mówić.

– Oto sytuacja numer dwa. W ostatnich latach zaczęły krążyć pogłoski o pewnym mrocznym, potężnym człowieku, który maskuje swe prawicowe przekonania lewicowymi wywodami. Człowieku, który jest zwolennikiem czystek etnicznych i świata rządzonego przez elity. Człowieku o dostatecznych środkach finansowych i zapleczu politycznym, by wprowadzić swe idee w życie.

– I obsadzić siebie w roli głównej?

Tom potaknął.

– I sugerujesz, że Bill Miller może być...?

– Nie, oczywiście, że nie. Poglądy się nie zgadzają. Ale Miller mógł zostać wykorzystany.

– Przez tę mroczną postać? – Mike pokręcił głową. – Chyba zgodziliśmy się, że Miller wspiera terrorizm lewicowy, a nie prawicowy.

– Tak. Podobnie zresztą jak pan Mroczny; przynajmniej na zewnątrz.

– A więc uważasz, że facet może wykorzystywać Millera do promowania lewicowego terrorizmu? Po co?

– Z kilku powodów. – Wziął jeszcze jeden łyk wystygłej kawy i odsunął kubek. – Po pierwsze, Miller doskonale potrafi zbierać fundusze. I mowa tu o wielomilionowych kwotach. Po drugie, mimo swego wychowania i wykształcenia Miller wydaje się nieco naiwny, politycznie naiwny.

Mike zmarszczył brwi.

– Co takiego? – spytał Tom.

– Nic – odparł Rossetti, trochę zakłopotany. – Mów dalej.

– Dobrze. Po trzecie, Miller ma doskonałe kontakty na całym świecie: przyjaciele rodziny, lata spędzone na Sorbonie, sława lekarza... Odpowiednia osoba mogłaby to świetnie

wykorzystać. Po czwarte, mamy IMA, strukturę doskonałą dla zdobywania i prania pieniędzy. I po piąte, Miller ma poparcie kilku niezłe ustawionych tajniaków. Pamiętasz, co ci mówiłem o pozwoleniu na budowę laboratorium IMA?

Mike pokiwał głową.

– Rozumiem, do czego zmierzasz. Ale po co ten twój Mroczny miałby promować lewacki terroryzm, skoro sam jest prawicowym fanatykiem?

– Zastanów się – mówił Tom półgłosem. – Jaki jest jeden z potencjalnych skutków szerzenia się lewicowego terroryzmu? To znaczy poza morderstwami i chaosem.

Rossetti wzruszył ramionami.

– Powszechny prawicowy odpór – oświecił go z tryumfem Tom. – Do licha, przecież to już się dzieje; poczytaj tylko gazety. Facet może wspierać terrorystów lewackich, by w gruncie rzeczy doprowadzić do prawicowego kontrataku, który wyniesie go na szczyty władzy. Właściwie manipulowany Miller może się takiemu człowiekowi bardzo przydać.

Rossetti pokręcił głową.

– Nie jestem przekonany. To tylko... przypuszczenia.

– Masz rację, przypuszczenia. Ale jeśli oba te scenariusze są ze sobą powiązane, jeśli Millerem faktycznie steruje Mroczny, to doktor Bill może mieć jeszcze jakiegoś asa w rękawie.

– Jakiego?

– Tego właśnie masz się dowiedzieć, Mike. – Tom uśmiechnął się ponuro. – W końcu dostajesz za to gruby szmal.

„Nie mogę teraz podejść do telefonu, ale jeśli zostawisz nazwisko i swój numer...”

Rick rzucił słuchawkę publicznego aparatu. Samolot wylądował dwie godziny temu, a on upewnił się, że była na jego pokładzie; cholera, gdzie ona się podziała? Z napięciem na twarzy postawił kołnierz kurtki i przywołał taksówkę.

W hallu było cicho i ciemno. Nocny strażnik siedział za błyszczącym biurkiem recepcji i, pijąc kawę, czytał „Daily News”. W pobliżu wind młody człowiek w brązowym kombinezonie bezszelestnie zmywał zieloną marmurową podłogę.

– Czym mogę służyć? – zapytał ospale strażnik, kiedy zbliżył się Rick.

– Idę do mojego biura – odparł rześko Rick. – Muszę się przygotować na jutrzejsze spotkanie.

– Proszę się wpisać – polecił portier, wtykając palec w zeszyt w linie.

Rick nabazgrał „Louis Pasteur, IMA” i ruszył do wind.

– Aha, czy osiemnaste piętro jest otwarte? – spytał jeszcze, odwracając się.

Strażnik zerknął do zeszytu.

– Pan z IMA?

– Zgadza się. Hm, to dość nagle i pilne.

– Nie ma pan kluczy?

– Nie przy sobie. Skontaktowano się ze mną przez pager i kazano przyjechać wprost do biura.

Czekał w napięciu, aż strażnik zada mu oczywiste pytanie: Jak to się stało, że ma ze sobą aktówkę, a nie ma kluczy? Niczego takiego jednak nie usłyszał.

– Jeśli zewnętrzne drzwi będą zamknięte, Jose może je dla pana otworzyć – powiedział mężczyzna, wskazując ręką na człowieka zmywającego podłogę. – To on wpuszcza wszędzie sprzątaczkę.

– Lepiej od razu zabiorę go na górę – stwierdził Rick. – Tak będzie szybciej.

– Jak pan chce – odparł strażnik i wrócił do lektury.

Proszę bardzo.

Jose otworzył małe drzwiczki znajdujące się prostopadle do podwójnych drzwi z grubego szkła z dyskretnym złotym napisem IMA.

– Dziękuję – rzekł Rick. – Ach, i będzie pan jeszcze musiał otworzyć mój gabinet.

Mężczyzna popatrzył z powątpiewaniem.

– Nie ma pan kluczy do własnego gabinetu? – spytał, przyglądając się aktówce w dłoni Ricka.

– Zostawiłem je w domu, niestety – odrzekł Rick z ujmującym uśmiechem. – To jutrzejsze spotkanie zaskoczyło mnie w drodze.

Jose zastanowił się przez chwilę i wzruszył ramionami.

– Dobrze – powiedział. – Które to drzwi?

Rick wrócił myślą do niedawnego spotkania z Millerem, gorączkowo usiłując sobie przypomnieć, gdzie znajduje się jego pokój. Wszedłszy innymi drzwiami, stracił orientację.

– Tędy – pokazał.

Gabinet Billa był gdzieś na rogu – uświadomił sobie – na końcu korytarza, na lewo od recepcji. Szedł pewnie korytarzem w stronę, która wydawała mu się właściwa, zapalając po drodze światła, by móc odczytać nazwiska na metalowych wizytówkach przy pozamykanych drzwiach poszczególnych pokoi.

– Tam – rzekł, z ulgą dostrzegając nazwisko Millera na jednej z tabliczek.

Sprzątaczkę pogrzebał przy zamku i otworzył drzwi na oścież. Kciukiem nacisnął guzik nad zamkiem.

– Jak pan będzie wychodził, proszę tylko zatrzasać – wyjaśnił. – Zamkną się automatycznie.

– Dziękuję.

Rick zaczął na odgłos zamykanego bocznego wejścia, po czym wszedł do gabinetu Millera i dokładnie zamknął za sobą drzwi. Włączywszy światło, podszedł do biurka i zaczął przeszukiwać porozrzucane papiery. Dyskietki tam nie znalazł, ale też wcale się tego nie spodziewał. Szuflada pośrodku była otwarta i wypełniona zwykłymi długopisami, ołówkami, miętowymi pastylkami i spinaczami do papieru. Szuflady boczne były zamknięte na klucz.

Biurko było piękne, całe z politurowanego różanego drewna z mosiężnymi okuciami. Rick

podziwiał je przez chwilę, potem wzruszył ramionami, wyjął z aktówki śrubokręt i młotek i porozbijał zamki szuflad. Szybko przejrzał ich zawartość, grzebiąc w skoroszytach, wytrząsając na blat zawartość kopert, aż w końcu, przewracając kartki bloku listowego, znalazł swój skarb.

Włączył komputer, włożył jaskrawozieloną dyskietkę, zasiadł w fotelu Millera i zaczął czytać.

Człowiek w łachmanach powoli posuwał się ulicami, z ramionami skulonymi od chłodu, z brudnym papierowym kubkiem w dłoni wyciągniętej bez większej nadziei w stronę nielicznych przechodniów. Było już późno, pora ułożyć się do snu w wejściu do kamienicy, do którego prawo zaczął sobie rościć. W brzuchu mu burczało. Nie pomyślał wcześniej, żeby coś zjeść, i teraz był głodny.

Zbliżyły się dwie młode kobiety; obesły go szerokim łukiem i pospieszyły w swoją stronę. Naciągnął głębiej na uszy szarą kominiarękę i popatrzył za nimi, mamrocząc coś głośno.

Przez kilka minut pokryte śniegiem ulice pozostały puste. Potem zjawił się mężczyzna w elegancko skrojonym płaszczu; szedł powoli z papierową torebką w odzianej w rękawicę dłoni. Gdy przechodził, zapach gorącego tłuszczu dotarł do nozdrzy drżącego mężczyzny w łachmanach, przyciągając go niczym magnes.

Zrezygnowany wyciągnął rękę z kubkiem. Ku jego zdziwieniu mężczyzna przystanął, pogrzebał w kieszeni i wyjął jakieś drobne. Nie starczy na posiłek, pomyślał żebrak i odwrócił się, miotając przekleństwa.

– Ray? – cicho zawołał za nim mężczyzna. – Jesteś Ray?

Ray wrócił, patrząc groźnie.

– No i co z tego?

– Przyniosłem ci coś do jedzenia.

Wzrok bezdomnego powędrował do brązowej torby. Były na niej plamy tłuszczu.

– Hamburger – ciągnął mężczyzna – i frytki. I gorąca czekolada. – Wyciągnął rękę z torebką.
– Weź.

– Czemu przynosi mi pan jedzenie? – zapytał podejrzliwie Ray, choć jego dłoń już sięgała po papierowy worek.

– To prezent – powiedział mu darczyńca.

– Prezent?

Ray krótko zastanowił się nad tym obcym mu pojęciem, a potem wzruszył ramionami; żarcie to żarcie. Wyjął hamburgera, odwinął i wziął wielki kęs. Dobry był.

– Czemu pan mi daje prezenty? – dopytywał się z pełnymi ustami.

– To nie ode mnie. To od pani doktor.

– Jakiej pani doktor? – Ray znowu ugryzł hamburgera.

– No wiesz. Pani doktor. Tej miłej lekarki, z którą czasem rozmawiasz. Pomyślała, że możesz być głodny.

– A, tak, pani doktor – wymruczał Ray, przeżuując.

Ściskając mocno torbę, ruszył do swojej kryjówki. Miło będzie usiąść w wejściu do domu i wypić gorącą czekoladę.

Mężczyzna stał chwilę niezdecydowany, po czym poszedł za nim, patrząc, jak postać w łachmanach siada na niskim stopniu w zaciszu i zdejmuje pokrywkę z parującego napoju.

– Smacznego, Ray – powiedział. – Trzymaj się ciepło.

Bezdomny machnął na niego ręką i zabrał się za frytki, czekając, aż kakao trochę przestygnie.

Mężczyzna przeszedł przez jezdnię i oddalił się kilkanaście metrów, potem stanął i patrzył, jak żebrak zaczyna łykać gorący płyn.

Wtulony między ścianę i drzwi Ray dokończył posiłek i poczuł się nagle bardzo zmęczony.

Mężczyzna ukrył się w cieniu i, sprawdzając ze złotym zegarkiem na swoim przegubie, odczekał dziesięć minut. Potem przeszedł z powrotem przez ulicę i przykląkł przy śpiącej postaci.

– Ray? – rzekł cicho. – Chcesz pieniądze, Ray?

Odpowiedzi nie było, ale też wcale jej nie oczekiwał. Zdejmując skórzaną rękawicę, włożył rękę między łachmany okrywające pierś Raya i przytrzymał ją tam; potem przesunął palcami po szyi i wyczuł tętnicę szyjną.

Pokiwał głową z zadowoleniem i zabrał pusty kubek po kakao. Rozejrzawszy się na prawo i lewo, podniósł się i odszedł szybko ulicą. Na końcu przecznicy wyrzucił kubek do śmietnika, skręcił i zniknął.

Ile czasu zajmie im odkrycie, że została wypuszczona? – martwiła się Lucy, spiesząc przez ciemną recepcję. Kiedy zdadzą sobie sprawę, że nie wróciła do domu? Było jasne, że nie poznali jeszcze prawdy; pracowni nikt nie pilnował. Byłeś mnie taki pewny, Bill, pomyślała. Zbyt pewny.

Szybko zdjęła z siebie ubranie, założyła jałowy komplet i kombinezon, pobiegła przez pomieszczenia do dezynfekcji do laboratorium poziomu czwartego, zabierając z szafki po drodze okrągły pojemnik na fiołki z niebezpiecznymi drobnoustrojami. Powietrze do kombinezonu musiało być doprowadzane przez zwisające z sufitu węże; w ukrytym laboratorium Andersa takich węży nie było. Będzie musiała się pospieszyć w tamtej pracowni, żeby zdążyć podłączyć się do przewodu. Najpierw zatrzymała się przy własnym stanowisku pracy, gdzie zebrała wszystkie próbki i umieściła w pudle. Przeszła do lodówki i to samo zrobiła z próbkami peruwii, które się tam znajdowały. Potem podeszła szybko do stanowiska Carla i wcisnęła guzik otwierający tajemne przejście. Wzięła kilka głębokich wdechów, by podnieść poziom tlenu w płucach, potem odłączyła wąż, wzięła w ręce pudło i weszła.

Obok biurka Carla stała mała, domowa lodówka. Postawiła pudło i otworzyła jej drzwiczki. Probówki z białoróżowym płynem połyskiwały lekko odbitym światłem małej żarówki. Były

tam dwa plastikowe stojaki, a w każdym z nich po trzy fiołki; w dwóch kolejnych podobnych uchwytach, ustawionych jeden za drugim, tkwiło po sześć probówek. Była zdumiona, widząc, że podpisane były tylko stojaki, nie probówki. Nieostrożność w takim wypadku to mało powiedziane; tego rodzaju postępowanie może być bardzo niebezpieczne. Przyjrzała się podpisom na stojakach. Dwa większe zawierały peruwia B; te, w których znajdowały się po trzy próbki, peruwia i peruwia moribundi.

Jej pierwotny plan zakładał, że po prostu usunie z pracowni wszystkie wiriony. Jednak widząc, że probówki są nie podpisane, postanowiła umieścić fiołki z nieszkodliwą peruwia B w miejscu probówek ze szczepami prowadzącymi do śmierci, które wyniesie z pracowni, a w puste miejsca po szczepionce wstawić fiołki z wodą w nadziei, że opóźni to wykrycie kradzieży.

Gmerała w stojakach z peruwia, przeklinając własną niezręczność spowodowaną grubymi rękawicami; potem ostrożnie umieściła probówki w okrągłym pudle. Z jednego pojemnika z fiołkami peruwii B szybko przeniosła trzy probówki do stojaka z peruwia. Czując już zmęczenie w płucach, zabrała się za pojemnik z moribundi, wyjęła z niego probówki i położyła na blacie, po czym w pustych miejscach umieściła trzy fiołki z peruwia B. W szafce znalazła karton pustych probówek z gumowymi zatyczkami i plastikowe stojaki.

Zaczynało jej się kręcić w głowie, pospieszyła więc przez tajemne przejście, by łyknąć powietrza. Biorąc głębokie, chłodne wdechy, zastanawiała się znowu, czy Miller wie już o jej ucieczce z pułapki, którą tak skrupulatnie przygotował. Gdy tylko dowie się, że nie ma jej w mieszkaniu, od razu zorientuje się, dokąd się udała. Ile czasu zostało do ich przyścia?

Wróciwszy do laboratorium Andersa, wyjęła z szafki stojak i zaznaczyła go na czerwono jednym z flamastrów Carla, potem przykłęka i wyjęła z okrągłego pudła próbki peruwii. Ustawiła je ostrożnie w podpisanym stojaku i umieściła z powrotem w pudle. Wróciła do szafki i wyjęła trzy probówki. Napełniła je wodą i w każdej umoczyła końcówkę czerwonego flamastra. Zatkła fiołki, delikatnie potrząsnęła każdą z osobna i wstawiła w puste miejsca po peruwii B. Kolor nie był wprawdzie identyczny jak ten w prawdziwych próbkach w drugim stojaku, ale był dość zbliżony. Na wszelki wypadek wepchnęła drugi pojemnik w głąb lodówki.

Sięgała po kolejne trzy probówki, gdy w głowie zaczął jej cichutko brzęczeć jakiś alarm. Brak tlenu? – pomyślała, po czym zauważyła lampkę migającą nad przejściem między dwiema pracowniami i uświadomiła sobie, że alarm jest prawdziwy. Ktoś wchodzi pewnie do laboratorium IMA. Jej płuca wołały o powietrze, gdy wrzuciła próbki z powrotem do pudełka, zatrzasnęła drzwiczki szafki i lodówki, potem złapała okrągłe pudło z probówkami i biegiem minęła przejście do pracowni IMA. Włożyła pudło do szafki na przybory po stronie IMA i podłączyła się do powietrza. Wzięła kilka szybkich wdechów i rozglądała się za kryjówką, gdy przypomniawszy sobie, że zostawiła na blacie Carla trzy probówki z moribundi. Odłączając przewód z powietrzem, pognęła do sekretnej pracowni i złapała trzy fiołki, po czym zawahała się. Którędy pójść? Obróciła się, a w głowie kłębiły się jej myśli. Czy zdoła opuścić laboratorium przez Misję „Gwiazda Nadziei”? Nie, potrzebowałaby kombinezonu z niezależnym zapasem powietrza, by

skorzystać z prysznica odkażającego Carla. Może schować się gdzieś po stronie IMA, potem wślizgnąć się pod prysznic, gdy nieproszeni goście już ją miną? Czy zdąży zamknąć tajemne przejście? Odwróciła się i odkryła, że te pytania i tak nie mają żadnego znaczenia. Między nią a drogą jej ucieczki stały trzy osoby w czarnych kombinezonach z własnymi aparatami tlenowymi.

– Mówiłem Billowi, że tu przyjdiesz – odezwał się Carl przez mikrofon w hełmie, podczas gdy dwaj pozostali złapali ją i unieruchomili.

Zakłócenia w słuchawkach wbudowanych w kombinezon nie były w stanie zagłuszyć jadu w jego głosie.

Podszedł, mrużąc oczy, gdy dostrzegł probówki w jej dłoni. Ostrożnie wyciągnął je spomiędzy jej palców.

– Czyżbyś pozwoliła sobie na mały sabotaż, moja droga?

Otworzył lodówkę i zajrzał.

– Kradniemy szczepionkę, jak widzę – mówił, wyjmując i oglądając na wpół opróżniony stojak z peruwia B. – Resztę wirionów zapewne też, gdybym ci nie przeszkodził.

Lucy próbowała wyrwać się z uchwytu, ale zdołała tylko zużyć resztkę tlenu, jaka jej pozostała.

– Praca z filowirusami potrafi być niebezpieczna – ciągnął Carl, wsuwając trzy fiołki do kieszonki przy nadgarstku. – Doprawdy, nadzwyczaj niebezpieczna. O czym się zaraz przekonasz.

Wstawił w połowie opróżniony stojak do lodówki, a wyjął pojemnik z trzema probówkami, oznaczony jako moribundi.

– Zabierzcie ją do jej stanowiska pracy – polecił goryłom.

Wyjął jedną z probówek i umieścił stojak z powrotem w lodówce, po czym ruszył za nimi do sekcji IMA. Potem nacisnął guzik pod blatem, a otwarty kawałek ściany wrócił na swoje miejsce.

– Połóżcie ją na podłodze koło jej stanowiska – nakazał tamtym. – I podłączcie ją do powietrza. Nie możemy pozwolić, żeby się udusiła. To dałoby niewłaściwe wrażenie.

Z uśmiechem patrzył, jak mężczyźni przenoszą ją i sadzają w odpowiedniej pozycji.

– Zwiążcie ją.

Jeden z dryblasów rozwinął mocną taśmę i mimo jej wysiłków zdołał unieruchomić najpierw jej nadgarstki, a potem nogi w kostkach.

Wciąż trzymając probówkę, którą wyciągnął ze stojaka podpisanego jako „moribundi”, Carl przetaił jej gumową zatyczkę alkoholem i wyjął z szafki Lucy czystą strzykawkę.

– No cóż, wrażenie, o jakie nam chodzi – wyjaśnił, wbijając strzykawkę w trzymaną w dłoni fiołkę i ostrożnie nabierając dwa centymetry sześciennego płynu – to takie, że zdarzył się tu nieszczęśliwy wypadek.

Uniósł strzykawkę i podziwiał bladorożowy poblask jej zawartości.

– Trzymajcie ją nieruchomo – dyrygował. Obrócił strzykawkę w dłoni i chwycił ją jak

sztylet.

– Umieralność w przypadku peruwii moribundi – mówił tonem zwykłej rozmowy, zbliżając się do niej – wynosi około dziewięćdziesięciu procent. Oczywiście ty już to wiesz, skoro czytałaś moje sprawozdanie.

Lucy krzyknęła i skuliła się, ale mężczyźni w czarnych kombinezonach mocno ją trzymali.

Carl nadciągał.

– Obawiam się, że to zaboli – powiedział.

Nachylił się i przetarł nogawkę jej kombinezonu nasączonym w alkoholu tamponem.

– Jesteś szalony. Nie możesz...

Zrobił wypad w przód i przepruł kombinezon ochronny, wbijając igłę w udo i posyłając wirus do krwiobiegu. W hełmie głośno rozbrzmiewały jej krzyki. To nie może się dziać naprawdę, myślała w popłochu. I wtedy dotarło do niej, co się właściwie stało.

Carl wyciągnął igłę i zakleił ledwo widoczną dziurkę taśmą.

– Nie chcielibyśmy, żeby zabiło cię coś innego – wyjaśnił, poklepując ją po ramieniu. – Choć takie ryzyko prawie nie istnieje. Mimo moich najszczęśliwszych chęci i starań, żaden z obecnych tu wirusów nie przenosi się drogą powietrzną. Możecie ją teraz puścić – zwrócił się do goryli. – Zaczekajcie na mnie pod prysznicem.

Gdy mężczyźni wyszli, Lucy spróbowała się podnieść, ale Carl kopnął ją lekko w brzuch i upadła z powrotem jak długa.

– Moribundi zabija w ciągu trzydziestu sześciu godzin, mniej więcej. Więc siedź spokojnie – mówił łagodnie. – Rzecz jasna, pomieszczenie do odkażania zamkniemy z tamtej strony. Od strony misji już wszystko zabezpieczyliśmy.

Oparł się plecami o blat do pracy i gapił się na nią.

– Ostrzegalem cię, doktor Nash, że jeśli będę chciał cię zabić za pomocą strzykawki ze śmiertelnym patogenem, to nie chybię. – Ze smutkiem pokręcił głową. – Kobiety nie pasują do poziomu czwartego. Zawsze to mówiłem.

– Dokąd zabierasz te fiolki? – wyszeptała Lucy, patrząc na kieszonkę na jego przegubie.

– Ach, jak dobrze, że zapytałaś. – Carl wyciągnął jedną z probówek. – Gdy wypuścimy na świat peruwie moribundi, ja i moi przyjaciele zamierzamy być na nią odporni.

Przetarł zatyczkę alkoholem, znalazł w szafce nową strzykawkę i umieścił igłę w probówce.

– Nie, Carl. Nie rób tego!

– Och, ależ to nie dla ciebie – rzekł, rozsuwając mankiet rękawa i rękawiczkę i przecierając skórę pod jałową koszulą, – Szczepionka jest dla mnie.

Wbił igłę, a Lucy z przerażeniem patrzyła, jak spada poziom płynu w strzykawce. Gdy już była pusta, Carl rzucił ją na blat.

– Żegnam, doktor Nash – powiedział.

Podszedł szybko do drzwi pomieszczenia do dezynfekcji i otworzył je.

– Miło było panią poznać.

Wszedł pod prysznic i zamknął za sobą drzwi.

Lucy z trudem przeturlała się na kolana, a potem podniosła się. Stała, chwiejąc się lekko, ze wzrokiem utkwionym w drzwi, za którymi zniknął Anders. Za dzień lub dwa ktoś przyjdzie „odkryć” wypadek, jakiemu uległa. Ale nie będzie żadnego wypadku. Ponieważ zamieniła próbówki, Carl wbrew własnym zamiarom wstrzymał jej peruwia B.

Zaś sam zakaził się peruwia moribundi.

Musisz mi pomóc...

Renée popatrzyła z ukosa na stojącego przed nią czerwonego na twarzy, zadyszanego mężczyznę.

– Jest bardzo późno. Powinieneś być najpierw zadzwonić. Chciała zamknąć drzwi mieszkania, ale on otworzył je z powrotem, nim zdążyły się zatrzaskać.

– To ważne – powiedział.

– Może dla ciebie.

Renée popatrzyła na niego groźnie, otulając się półprzezroczystym peniuarem w sposób, który podkreślił tylko to, co niby chciała ukryć.

– Dla nas obojga. Proszę.

Zmarszczyła lekko brwi, ale cofnęła się, pozwalając mu wejść do słabo oświetlonego pokoju dziennego.

– Długo mnie ignorowałeś – rzekła srogo. – A teraz ni stąd, ni zowąd przychodzisz w środku nocy i oczekujesz, że rzucę ci się w ramiona? Nie licz na to.

Rick pokręcił głową.

– Nie po to przyszedłem – zapewnił szybko, próbując ukryć ulgę, jaką poczuł, słysząc jej słowa. – Za bardzo cię szanuję, żeby...

– Cóż, może ci wybaczę – powiedziała, biorąc go za rękę i prowadząc na kanapę. – Napijesz się?

– Nie, dziękuję. Renée, ja...

– A ja chyba się napiję.

Podeszła do małego barku i nalała sobie whisky bez wody.

– Przepraszam, że cię obudziłem.

– Nie spałam. – Znów odwróciła się do niego. – Mówiłeś, że muszę ci pomóc?

– Tak. Straciłem Lucy.

W oczach Renée zapłonął ogień.

– Twój romansik się nie układa, a ja mam się tym przejmować? Jak śmiesz...

– Nie w tym rzecz, na litość boską – wykrzyknął szybko Rick. – Zaginał po niej wszelki ślad. Wiesz, że Miller kazał mi jej pilnować. Pojechałem dziś wieczorem na lotnisko – ciągnął opowieść przygotowaną po drodze z biura Billa – ale jej tam nie było. W każdym razie nie przeszła przez odprawę celną.

Twarz Renée złagodniała nieco, chociaż wciąż przyglądała mu się czujnie.

– Chyba nie myślisz, że zależy mi na niej – powiedział szybko. – Teraz, gdy poznałem kobietę taką jak ty? Nie, Lucy to tylko sprawa interesów; interesów Billa.

– Rozumiem. A Bill kazał ci za nią chodzić?

– Przecież wiesz. Powiedziałem ci o tym już kilka tygodni temu.

– Chodzi mi o dzisiejszy wieczór.

Ostrożnie, pomyślał Rick. Ona coś wie.

– Konkretnie dziś to nie – odpowiedział powoli. – To była raczej długoterminowa umowa. Czemu pytasz? Co się stało dziś wieczorem?

– Jeśli Bill cię nie poinformował...

– Prawdę mówiąc, otrzymałem wiadomość, że mam się z nim spotkać. Mówił, że ma jakieś nowiny.

Renée uniosła jedną brew.

– Ale bałem się, że zapyta mnie o Lucy, a... Boże, jakaś ty piękna.

– Tak myślisz?

– W błękicie wyglądasz precudownie.

– Lepiej niż w moim naturalnym kolorze?

Peniuar opadł jej z ramion i rozlał się niebieską kałużą wokół stóp. Uniosła piersi i podała mu je z sennym uśmiechem.

– Wiesz, że nie mogę tego zrobić – rzekł z udawanym żalem. – Dopóki Lucy...

– Zapomnij o Lucy – nakazała mu ostro Renée. – Lucy nie żyje.

Rick zbladł.

– Nie żyje?

– Można tak powiedzieć.

Czyli jeszcze żyje, myślał jak szalony. Może zostało mu jeszcze trochę czasu...

– Co się stało?

– Bill i Carl się nią zajęli – wyjaśniła Renée.

Uklękła i zaczęła masować mu krocze.

– Nie musimy się już nią przejmować – dodała.

– Numer z narkotykami? – spytał Rick; jego umysł pracował na najwyższych obrotach. – Heroina w bagażu, tak jak z Jean-Pierre'em?

Dłoń Renée przestała się poruszać.

– Wiedziałeś o tym?

– Bill mi powiedział.

Wziął w palce jej sutek.

– Czy tak właśnie załatwili Lucy? – spytał.

– Ach, caro – westchnęła, przyzymkając oczy. – Nie przestawaj.

Rick przerwał.

– Najpierw mi odpowiedz.

Oczy Renée były na powrót otwarte.

– Tak, heroina. Ale się nie udało. Nie wiadomo dlaczego. To nieważne. Na szczęście ta durna baba poleciała prosto do laboratorium. Carl Anders miał tam coś urządzić.

– Urządzić co?

– Bill mówił, że jakiś wypadek.

– Jaki wypadek? – dopytywał się Rick z coraz większym napięciem w głosie.

Renée wzruszyła ramionami.

– Jakie to ma znaczenie? Mmm...

Tęskniłam za tobą.

– To będziesz musiała potęsknić jeszcze trochę – oświadczył, opędzając się od jej dłoni. – Muszę zobaczyć się z Billem.

– Chyba nie teraz?

– Właśnie teraz. Ale kiedy wrócę... – nachylił się i przygryzł jej sutek, gdy ona dyszała z rozkoszy. – Zaczekasz na mnie?

– Może.

Uśmiechnęła się łobuzersko.

Rick pobiegł do drzwi, otworzył, wyszedł i zatrzasnął z hukiem.

Na ulicach było pusto i taksówka przemierzała je całkiem szybko. Czy wystarczająco szybko? – zastanawiał się, popędzając kierowcę. Zatrzymali się przed laboratorium IMA, Rick rzucił szoferowi pieniądze i wyskoczył z samochodu, za pomocą karty otworzył drzwi i pognął przez niewielki niestrzeżony hall.

Obawiał się, że stalowe drzwi, otwarte podczas godzin pracy, zagrodzą mu teraz drogę, toteż zdziwił się, stanąwszy przed oszklonym wejściem i widząc stalowe wrota otwarte na oścież i oparte o ściany. Jasne, uświadomił sobie; żeby wypadek wyglądał wiarygodnie, drzwi musiały pozostać otwarte.

Popędził przez nie oświetloną recepcję, szybko przeszukując każdą pracownię, każdy magazyn. Nic. To mogło oznaczać tylko jedno.

Rzucił się pędem przez korytarz do pomieszczenia przygotowawczego przed wejściem na poziom czwarty. Szybko zdarł z siebie ubranie, a założył jałowy komplet i kombinezon, po czym pognął do pomieszczenia z prysznicem odkażającym.

Nie mógł otworzyć drzwi ze śluzy powietrznej do pracowni i przez okamgnienie ogarnęła go panika, zanim zdał sobie sprawę, że są zaryglowane z jego strony. Odsunął zasuwę i wszedł do gorącego laboratorium, wołając: – Lucy? Słyszysz mnie?

Wykończona podróżą, zatraciwszy poczucie czasu, Lucy zapadła w niespokojny sen na podłodze pod stołem do pracy. Teraz obudziła się i rozejrzała zaniepokojona. Czy to głos Ricka? Ale on nie miał uprawnień do przebywania na poziomie czwartym; twierdził przecież, że na myśl o pracy w gorącym laboratorium dostaje klaustrofobii. Ale, jasne; Rick przecież nie jest tym, za

kogo się podaje, myślała ponuro.

– Lucy? Gdzie jesteś?

Zastanawiała się, czy odpowiedzieć. Czy Rick przyszedł ją uwolnić, czy też Carl zdał sobie sprawę, że wszczepił jej niewłaściwy wirus i przysłał kolegę, żeby ten błąd naprawił? Odpowiedź przyszła sama.

– Lucy?

Silne ramiona wyciągnęły ją z kryjówki i ostrożnie zaczęły skalpelem rozcinać taśmę na kostkach i nadgarstkach.

– Nic ci się nie stało?

Lucy zaczęła, aż jej ręce i nogi będą wolne, po czym z wielkim trudem wstała i złapała leżący na blacie skalpel.

– Odczep się ode mnie – ostrzegła, wymachując Rickowi przed nosem ostrym narzędziem. Ten cofnął się oniemiały.

– Co robisz?

– Wiem, że nie jesteś Richardem Hollanderem – oświadczyła. – Jesteś w spółce z Millerem i Andersem.

– To nieprawda. Ja...

– Sam mi mówiłeś, że nie masz licencji na poziom czwarty, że na samą myśl o tym miejscu robi ci się niedobrze. A teraz wpadasz tu z nienacka niczym kawalerzysta z odsieczą...

– Ja naprawdę przyszedłem z odsieczą – odparł ze złością Rick.

Wyciągnął do niej rękę, ale przypomniał sobie o skalpeli.

– Daj spokój, Lucy. Gdybym był po stronie Millera, czy rozciąłbym ci więzy? Czy w ogóle bym tu przyszedł?

Lucy zastanowiła się. Racja. A jednak...

– Słuchaj, jestem ci wdzięczna, że przyszedłeś mnie uwolnić – powiedziała spokojniej – ale kim ty jesteś? I nie mów mi, że Richardem Hollanderem ze Stanfordu.

– Możemy porozmawiać pod prysznicem?

– Jeszcze się tam nie wybieram.

– Ale musimy się pospieszyć – ponaglał Rick. – Nie rozumiesz...

– Nie, to ty nie rozumiesz. – Zawahała się. – Najpierw muszę coś zrobić.

– Co?

– Nie powiem ci, dopóki nie dowiem się, kim jesteś i po co tu przyszedłeś.

Rick pokiwał głową.

– Myślę, że już czas – zgodził się. – Tak jak mówisz, nie nazywam się Richard Hollander. Profesor Hollander bawi na urlopie w Japonii.

– Ten to ma dobrze. Mów dalej.

– Jestem tu, ponieważ to dość niezwykle, żeby prywatne laboratorium otrzymało licencję na pracę na poziomie czwartym.

– Delikatnie mówiąc.

– Tym bardziej, że owa licencja miała poparcie kilku facetów z CIA, najwyraźniej działających na własną rękę. Jednak sama licencja została uzyskana jak najzupełniej legalnie, dopełniono wszelkich procedur związanych z normami budowlanymi i bezpieczeństwa, załatwiono wszystkie inspekcje. Nie było też nic nielegalnego w działalności IMA, a przynajmniej nikt się niczego takiego nie dopatrzył. A więc umieścili mnie tu, żebym powęszył trochę na miejscu, zobaczył, co uda mi się odkryć.

– Oni? CIA?

– Myślisz, że jestem tajniakiem?

Rick wydawał się tym pomysłem rozbawiony.

– Nie, jestem naukowcem, tak jak ty. No, może niezupełnie tak jak ty. Pracuję dla wojska; USAMRIID. Wypożyczyli mnie jednostce antyterrorystycznej FBI.

– Więc jesteś z Instytutu Badań Medycznych Armii Stanów Zjednoczonych? Mój ojciec miał tam przyjaciół. Mogę cię sprawdzić.

– Proszę bardzo. Ale możemy się stąd najpierw wynieść?

– Wciąż nie powiedziałeś mi, jak się nazywasz.

– Major Michael Rossetti – zasalutował. – Przyjaciele mówią do mnie Mike.

– A masz ich zapewne mnóstwo – rzekła Lucy, odkładając skalpel – zważywszy na niezwykłą szczerość, jaką wnosisz w kontakty międzyludzkie.

– Chyba nie uważasz, że to, co, hm, między nami zaszło, ma coś wspólnego z...

– Pozwolę ci przekonać mnie o tym później – powiedziała Lucy z maleńkim uśmiechem, lecz potem zawahała się chwilę. – Prawdę mówiąc, słyszałam o tobie. Moja koleżanka Monica uczestniczyła w badaniach...

– Monica Geyer? Wąglik?

– Zgadza się.

Lucy odetchnęła z ulgą. Chyba mówił prawdę. A może dowiedział się o badaniach Moniki nad wąglikiem w jakiś inny sposób?

Jej uśmiech zgasł.

– Chyba nie mogę cię winić za tę podejrzliwość – stwierdził Mike. – Może przekonam cię, mówiąc o dyskietce przyczepionej do mojej łydki.

– Masz dyskietkę na łydce? To wbrew wszelkim regułom bezpieczeństwa...

– Była zbyt ważna, bym mógł ją zostawić w przebieralni. To kopia dyskietki z gabinetu Billa. Zamilkł. A potem dodał:

– Nie jestem pewien, ile wiesz o tym, co się tu naprawdę dzieje, ale ten drugi szczep peruwii naprawdę istnieje. Jest jeszcze trzeci, nazwany moribundi...

– Wiem, Carl mi go wszczepił. W porządku – dodała szybko, słysząc jego głośny wdech. – Tak mu się tylko zdawało. Pakowałam wirusy, żeby je stąd wynieść, i zamieniłam probówki. W rzeczywistości wstrzyknął mi szczepionkę.

– Dzięki Bogu.

– Za to siebie poczęstował moribundi.

– Jezu. Wie o tym?

– Nie, nie słuchał mnie. Trzeba go znaleźć i poddać kwarantannie, zanim przypadkowo pozaraża innych.

– Dzwoniłem do Toma – mojego łącznika z FBI – kiedy przeczytałem zawartość dyskietki. Zaczną szukać Andersa, gdy tylko zdobędą nakaz sądowy. Millera też.

– Możesz się z nim skontaktować? Ostrzec o wirusie we krwi Carla?

– Spróbuję.

– Jest jeszcze coś, przed czym powinieneś go ostrzec. Carl wspominał coś o zamiarach wypuszczenia moribundi w świat.

– Szantaż za pomocą śmiertelnego patogenu – powiedział Mike. – Wszystko jest na dyskietce. Rozejrzył się dokoła.

– Gdzieś tu powinno być ukryte laboratorium... Odwrócił się i przyjrzał się Lucy.

– Znalazłaś je, prawda?

Kiwnęła głową.

– A Bill się o tym dowiedział i wysłał cię do Afryki. Czemu pojechałaś?

– Myślałam, że Bill jest niewinny. Myślałam, że o niczym nie wiedział, że był wykorzystywany przez Carla.

– Swego czasu ja też tak myślałem. Kiedy odkryłaś prawdę?

– Gdy znalazłam narkotyki w swojej torbie.

Przez dłuższą chwilę przyglądała się przez szybkę swojego hełmu twarzy Ricka.

– No dobrze, już ci wierzę. Przynajmniej w to, że nie trzymasz strony Millera.

Podeszła do stołu Carla i wcisnęła ukryty guzik.

– Tam są wszystkie wiriony – wyjaśniła, gdy kawałek ściany złożył się do środka. – Pójdzie szybciej, jeśli mi pomożesz. Aha, tam nie ma powietrza, więc weź głęboki wdech.

Lucy wyciągnęła okrągłe pudło na niebezpieczne drobnoustroje, które wcześniej schowała w szafce, i razem weszli do sekretnego laboratorium Carla. Szybko spakowali wszystkie fiolki i zamknęli pudło. Lucy zamknęła przejście między pracownikami i zabrali ze sobą pojemnik pod prysznic odkażający.

Siedem minut może się dłużyć, kiedy stoi się pod strumieniem środka chemicznego, czekając, aż czas się skończy. Te siedem minut jednak ledwo wystarczyło, żeby Mike opowiedział Lucy, co znalazł na dyskietce, i żeby Lucy dopełniła jego opowieść tym, co sama już wcześniej podejrzewała.

– Trzy lata temu – wyjaśniał Mike – Carl finansowany przez Millera potajemnie stworzył nowy wirus zwany sangre negra.

– Ale laboratorium IMA jeszcze wtedy nie istniało.

– Nie musiało. Carl działał w ukryciu w meksykańskiej pracowni, gdzie od jakiegoś czasu

przewodził badania na poziomie czwartym nad hantawirusem o tej samej nazwie. Miało to zatuszować jego eksperymenty na wirusie Ebola.

– Ebola? Co ma z tym wszystkim wspólnego Ebola?

– Od tego wszystko się zaczęło – tłumaczył Mike. – Widzisz, Carl miał pewne doświadczenie z wirusem Ebola – niewielu ludzi może to o sobie powiedzieć – i miał nadzieję, że dzięki zmianie kodu genetycznego dwóch białek wirusa uda mu się stworzyć szczep, który da odporność na Ebola.

Lucy pokiwała głową; to by wyjaśniło niesamowite podobieństwo do wirionu Ebola, które zauważyła w swoich badaniach.

– Posiał ten szczep w wiejskim, odizolowanym regionie peruwiańskiej dżungli – ciągnął Mike – ale okazało się, że jest bardzo śmiertelny i unicestwił znaczną część miejscowej populacji.

– Jednak nie wszystkich – wtrąciła Lucy. – Co najmniej dwoje ludzi przeżyło.

– Tak, ale wtedy Carl o tym nie wiedział. Wrócił do pracowni i znowu próbował, tym razem tworząc peruwie. W tym czasie pracował już w laboratorium IMA. Wybrał miejsce odległe o jakieś trzydzieści kilometrów od poprzedniego i pod pozorem pomocy medycznej IMA zdołał zaszczepić peruwiańską niewielką indiańską społeczność. Okazało się, że ta wersja jest łagodniejsza, ale wciąż zbyt niebezpieczna, by użyć jej jako szczepionki.

– To znaczy, że lekarze IMA praktycznie uczestniczyli w jego eksperymentach?

– Nieświadomie.

– Jezu...

– W następnej próbie – kontynuował Mike – stworzył moribundi, prawdziwego zabójcę. W tym czasie jednak zaczął się już niepokoić, że nie udaje mu się opracować szczepionki, którą obiecał Millerowi. I wtedy ty zostałeś wysłana do Peru, a jemu się poszczęściło.

– Drugi szczep znaleziony w próbkach krwi tych dwojga Indian, którzy uciekli. Szczep, który znalazł się w jednej z próbek w CDC.

– I w jednej w IMA. Otóż tym Indianom udało się wyjść z sangre negra trzy lata wcześniej i, przemierzając dżunglę, znaleźli się w pobliżu osady, którą Carl wybrał do przetestowania peruwii. Być może przetrwało więcej osób, ale tego nigdy się już nie dowiemy. W każdym razie wyszło na to, że w organizmach Indian oryginalny wirion sangre negra zmutował się w peruwie B, nowy szczep, który daje całkowitą odporność zarówno na peruwie, jak i na moribundi. Chociaż nie wiem, jak dowiedział się o tym Carl; nie wydaje mi się, żeby odbył kolejną podróż do Peru.

– Nie musiał – powiedziała Lucy, pamiętając opuszczoną salę, w której unosił się mdlący zapach formaldehydu. – Podał moribundi grupie bezdomnych. Trzymał ich w ukrytym pomieszczeniu nad misją...

– Jaką misją?

– Nad Misją „Gwiazda Nadziei”. Inna grupa trzymana była w samej misji. Ci mieli więcej

szczęścia.

– Szczęścia?

– Im najpierw podano szczepionkę.

– Chryste – zdumiał się Mike.

– Zaś Miller zamierzał zaszczepić siebie i swoich zwolenników i zastosować szantaż za pomocą moribundi? W jakim celu?

– Dla władzy. Pieniądzy. Miał poparcie kilku najważniejszych przedstawicieli międzynarodowej finansjery, szalonych przywódców dwóch małych, lecz bajecznie bogatych państw... Miller ma własną wizję rządzenia światem i władzę, która pozwala mu spróbować wprowadzić ją w czyn.

– To znaczy, że te jego nieco lewicowe poglądy to nie tylko takie sobie gadanie?

– Lewicowe? Czyżbyś kupiła tę jego rozdzierającą serce gierkę? Nie, Miller stoi tak daleko na prawo, że dosłownie balansuje na krawędzi. Tom twierdzi, że od jakiegoś czasu chodziły słuchy o tajemniczym prawicowym fanatyku, jakiejś grubej rybie, której zamarzyło się panowanie nad światem. Uważa, że Miller został przez tego człowieka wykorzystany. Ale się myli.

– Jak to?

– Ten człowiek to sam Miller.

Przez chwilę Lucy milczała.

– A gdzie tu przypiąć narkotyki? – spytała w końcu.

– Służyły gromadzeniu funduszy. Taki mały pakt między Millerem i Mafią, grzeczność ze strony hrabiny de Palma.

– Renée? Nigdy mi się nie podobała.

– Ani mnie – odparł zgodnie z prawdą Mike.

– Czy Jean...? – zaczęła nieśmiało Lucy. – Czy był... częścią tej afery?

– Nie sądzę – odparł delikatnie Rick. – Szmuglował wprawdzie dzieła sztuki, ale nie narkotyki. FBI podejrzewa, że Miller od lat wykorzystywał w ten sposób ochotników IMA bez ich wiedzy. I nie były to jedyne osoby, jakimi się posługiwał. Większość sponsorów IMA nie ma bladego pojęcia, na co w rzeczywistości przeznaczone były ich pieniądze...

Spojrzał na stojące między nimi okrągłe pudło.

– Co masz zamiar z tym zrobić?

– O tym jeszcze nie pomyślałam – odrzekła Lucy. – Chciałam tylko zabrać to wszystko z laboratorium, spoza ich zasięgu i zadzwonić do CDC.

– Mój samochód stoi na parkingu. Możemy zamknąć to w bagażniku, dopóki CDC kogoś nie przyśle.

– W porządku. Ale najpierw chcę, żebyś dał mi kluczyki od samochodu.

– Uratowałem ci życie, a ty mi wciąż nie ufasz?

– Zadzwonię z budki na parkingu i sprawdzę cię w USAMRIID. Wtedy ci zaufam.

– Będziesz musiała obudzić kilka ważnych osób, żeby potwierdzić moją tożsamość o tej porze.

– Więc zrobię to.

Mike popatrzył na nią z uznaniem.

– Cóż, jak już ustalimy, kim jestem, może będę mógł ci postawić wczesne śniadanie, podczas gdy Tom i reszta chłopaków będą ścigać Millera i spółkę.

Ale Lucy pokręciła głową.

– Skoro Bill i Carl myślą, że jestem tu uwięziona i umieram na peruwię moribundi, chcę wrócić do siebie. Ty skombinujesz coś do jedzenia, a ja wreszcie wezmę prysznic.

No i jest tam coś jeszcze, co może nam się przydać, pomyślała.

Mike zmarszczył czoło, ale się nie odezwał.

Natrysk wyłączył się, a oni wyszli, niosąc z sobą okrągłe pudło z fiolkami.

Czarny range rover zbliżył się bezgłośnie do krawężnika, niecierpliwie mrugając reflektorami. Z eleganckiego budynku wyłoniła się wysoka osoba otulona w futro i zbliżyła się do pojazdu. Kierowca opuścił szybę.

– Czemu nie zadzwoniłaś do mnie wcześniej? – spytał lakonicznie.

Kobieta w futrze obeszła samochód i wśliznęła się na fotel dla pasażera.

– Na początku nie dostrzegłam w tym nic niezwykłego – odparła. – Dopiero kiedy później się nad tym zastanowiłam...

– Nic niezwykłego?

Bill włączył bieg i ruszył na puste ulice.

– Facet zjawia się u ciebie bez uprzedzenia w środku nocy, pyta cię o Lucy...

– Zaczyna się ze mną kochać – poprawiła go rozgniewana Renée. – Mówił, że chce się dowiedzieć o Lucy, bo boi się, że go o nią zapytasz podczas waszego spotkania.

– Naszego spotkania? O trzeciej nad ranem?

Renée wzruszyła ramionami

– Myślałam, że dla ciebie pracuje.

– Ja też – rzekł ponuro Bill.

– Jesteś zbyt nieostrożny.

Renée rozpięła futro, ukazując spodnie z czarnej skóry i sweter w paski.

– Nie powinieneś był mu mówić o wrabianiu lekarzy w przewożenie towaru – dodała.

Samochód skręcił ostro, prawie ocierając się o zaparkowaną furgonetkę.

– Wiedział o tym? – zdziwił się Bill.

– Podobnie jak o podrzuceniu narkotyków Lucy.

– Cholera – Bill ze złości walnął w kierownicę.

– Pan Tortoriello nie będzie tym uszczęśliwiony.

– Tobą też nie będzie zachwycony – odciął się Bill. – Jeśli nie powiedziałaś Hollanderowi...

Przerwał im telefon.

– Tak?

– Tu Carl. Miałaś rację; znikła. Razem z wirionami. Ale mam po fiołce najważniejszych.

– Ty kretynie – wybuchnął Miller. – Trzeba było zabezpieczyć budynek przed wyjściem.

– To ty chciałeś, żeby wszystko wyglądało normalnie – postawił się Carl. – Zamknięcie jej w laboratorium to był dobry plan, gdyby tylko ta krowa wszystkiego nie wypaplała. Ale nawet pomijając to, wszystko powinno być w porządku. Hollander nie ma wstępu na poziom czwarty.

– Najwyraźniej to go nie powstrzymało – stwierdził z goryczą Bill.

– A skąd ja to miałem wiedzieć? Zawsze mówił...

– Zamknij się, Carl.

Miller zamilkł i myślał.

– Wracaj do laboratorium i siedź tam – rzekł w końcu. – Kazałem już moim ludziom przeczesać miasto w poszukiwaniu Hollandera i Nash. Zaprowadzimy ich tam z powrotem i załatwimy jak należy.

– Hm, to chyba nie jest dobry pomysł – zauważył nieśmiało Carl. – Nie teraz.

– A to czemu?

– Wydaje mi się, że mamy, hm, opiekunów.

– Co?

– Co się stało? – spytała Renée. – Co się dzieje?

Bill machnął ręką, żeby była cicho.

– Przyjechali po moim wyjściu z laboratorium – mówił Carl. – Byłem już na rogu, kiedy usłyszałem samochód, ale nie zauważyłem, żeby mnie mijał. Odwróciłem się i zobaczyłem, jak parkuje przed wejściem do pracowni, jednak nikt nie wysiadł. Słuchaj, mam przy sobie te fiołki. Możemy się spotkać w biurze...

– I uważasz, że biura nie obstawili?

Zastanowił się chwilę.

– Idź do „King Banana” – polecił. – Czekaj na mnie na nabrzeżu. Nie pokazuj się nikomu.

Rozłączył się, nim Carl zdążył odpowiedzieć, i zaraz wybrał numer.

– Mówi Miller – oznajmił komuś po drugiej stronie. – Jakież wieści?

– Nie spodobają się panu. Z zeszytu strażnika wynika, że jakąś godzinę temu wpisał się do niego facet o nazwisku Louis Pasteur. Portier otworzył mu biura IMA.

– Louis Pasteur? – powtórzył Bill z niedowierzaniem.

– Dobrze, co? Portier twierdzi, że otworzył facetowi drzwi wielkiego narożnego gabinetu.

Mojego gabinetu, pomyślał Bill.

– Gdy Pasteur wyszedł, portier wrócił, żeby się upewnić, czy wszystko jest dobrze pozamykane. Pana biurko było roztrzaskane, a komputer włączony.

Bill zamarł.

– Czy ktoś potrafi opisać tego Pasteura?

Słuchał w napięciu, wmawiając sobie, że wielu ludzi ma brązowe włosy i oczy. Ale wiedział, kto to był. Zawsze wydawało mu się nieco dziwne, że człowiek o takiej pozycji jak Richard Hollander zgodził się pracować w laboratorium IMA, ale Carlowi zachciało się tego faceta; Carlowi to schlebiało. Carl dał się nabrać. Tak jak on sam.

Hollander napomknął Renée o rozprawdaniu narkotyków. Hollander był nagle w stanie wejść do gorącego laboratorium, bez niczyjej pomocy i bez odrobiny strachu. A teraz Hollander, czy kim on tam był, bez wątpienia o wszystkim wiedział.

– Przed budynkiem stało kilka nie oznakowanych samochodów – ciągnął rozmówca Billa – więc wyszedłem przez piwnicę. Mam się tu pokręcić?

– Nie ma mowy.

Cisnął telefonem. Musiał dorwać Hollandera. Lucy nie stanowiła aż takiego problemu; umrze w ciągu kilku godzin. Ale Hollander...

– Ja nie jadę do „King Banana” – oznajmiła mu Renée. – Chcę, żebyś zawiózł mnie do domu. To nie ma ze mną nic wspólnego.

– Akurat. Gdybyś nie powiedziała Hollanderowi, gdzie jest jego dziewczyna...

– Dziewczyna? – wykrzyknęła Renée. – Mówił, że Lucy to tylko interes, że to mnie pożąda.

Był taki namiętny, taki...

– Kłamał, do cholery. To ją kocha. Nie rozumiesz? To nie jest naprawdę.

Urwał; nie ma potrzeby mówić jej o wszystkim.

– Okłamał mnie? Jesteś pewien?

Twarz Renée zniekształciła furia.

– Łajdak – wycodziła. – Łajdak. Jedziemy go poszukać.

– To właśnie miałem zrobić.

– A kiedy go znajdziemy...

Otworzyła leżącą na jej kolanach skórzaną torebkę i wyjęła mały pistolet.

– Chryste – powiedział Bill. – Tylko nie to. Załatwię to po swojemu.

– Z tego po twojemu znów nic nie wyjdzie. To już wiemy.

– Do diabła, Renée...

Zapisał numer telefonu, a Bill chwycił za słuchawkę, przyjął wiadomość i rzucił aparat z powrotem.

– Samochód na kalifornijskich numerach właśnie wjechał do garażu pod budynkiem, w którym mieszka Lucy – przekazał Renée, mocniej naciskając na gaz. – Odłóż to, na litość boską.

– Nie jestem na twoje rozkazy – odparowała, ale schowała pistolet do torebki.

– Tak już lepiej. Musimy teraz działać razem.

Renée rzuciła mu skwaszone spojrzenie.

– Zobaczymy.

– Mam wrażenie, że to wbrew regulaminowi zarządu budynku – mówiła Lucy – wnosić tu

pojemnik ze śmiertcionośnymi zarazkami.

– Poczekaj, aż zarząd zobaczy ludzi z CDC, którzy po to przyjadą... – Mike poszedł do telefonu. – Weź prysznic. Ja jeszcze raz zadzwonię do Toma.

– I zaparz dzban mocnej kawy, dobrze? Już nawet nie wiem, co to za dzień.

Jakieś dziesięć minut później Lucy wróciła w dżinsach, bluzie i ręcznikiem suszyła włosy. Mike siedział tymczasem na kanapie i obracał w dłoniach paskudne drewniane rzeźby Jean-Pierre'a.

– Złapałeś Toma? – spytała, nalewając sobie ciemnego naparu, jaki przygotował.

– Nie, ale zostawiłem dla niego wiadomość u oficera dyżurnego. – Pomachał w jej stronę jedną z rzeźb. – Nie wiedziałem, że interesują cię takie rzeczy. Nowy nabytek?

– Niezupełnie – odparła Lucy, siadając obok niego. – Były w torbie Jeana, gdy został aresztowany. I były tutaj, w mieszkaniu, kiedy byłeś u mnie na kolacji.

Mike pokręcił głową.

– Nie widziałem. A możesz mi wierzyć, że bym je zapamiętał. Przejechał palcem po miejscu, w którym Lucy je skleiła.

– Co im się stało?

– Celnicy przepiłowali, szukając narkotyków, ale nic nie znaleźli. Skleiłam je przez wzgląd na dawne czasy. Okropne, nieprawdaż?

– Ohydne. Ale pewnie cenne. Didier znał się na rzeczy.

– Też tak zakładałam. Ale kiedy pokazałam je kilku ekspertom, zgodnie orzekli, że nie są warte złamanego centa.

Mike popatrzył bystro.

– Są bezwartościowe? To po co je tu przywiózł?

– Też mnie to zastanawiało. Na lotnisku w Mayaruna powiedział mi, że ma coś dla mnie w swojej torbie. Ale to?

– Co jeszcze mówił?

Lucy wróciła pamięcią do tamtego ranka.

– Był rozdrażniony, nerwowy. Myślałam, że to przez pogodę, lało wtedy jak z cebra. Powiedział, że jest coś dla mnie w jego torbie, a potem ostrzegł mnie, że bym na siebie uważała. Ej, co robisz?

– Próbuję z powrotem rozłupać to świństwo.

Jeszcze raz uderzył statuetką o krawędź marmurowej ławy, odłupując drzazgi.

– Nie masz dłuta i młotka?

– Przyniosę skrzynkę z narzędziami. Ale nie rozumiem, dlaczego...

– Coś mi właśnie przyszło do głowy. – Odstawił rzeźbę na ławę obok drugiej. – Jean-Pierre był znawcą cennych dzieł sztuki, a jednak przywiózł te szkarady. Celnicy myśleli, że są puste, inaczej by ci ich nie oddali.

– One były puste.

– Posłuchaj, celnicy dostali cynk, że Jean przemycił dzieła sztuki; dlatego go zatrzymali. Ale kiedy wyszperali narkotyki, uznali, że znaleźli już to, co było do znalezienia.

– A ty uważasz, że coś przegapili? Ale te rzeźby są puste w środku.

– Jean-Pierre przemycił sztukę, nie narkotyki. Idź po narzędzia. Szybko i sprawnie Mike przepołowił figurkę mężczyzny i przyjrzał się przekrojowi drewna.

– Trzymaj mocno – polecił, wręczając Lucy dolną część.

Ostrożnie przyłożył cienkie dłuto i puknął lekko młotkiem, pomrukując z zadowolenia, gdy ostrze powoli zatopiło się w drewnianej skorupie, rozłupując to, co wyglądało jak jednolita całość, na dwie cienkie warstwy. Odrywał po kawałku wewnętrznej powłoki, aż niedaleko dna skorupa rozpadła się, ukazując niewielką przestrzeń. W środku spoczywał przedmiot owinięty w watę. Wyjął go i odwinął. W dłoni zamigotał mu rzeźbiony ametystowy wałeczek o średnicy około dwóch i długości trzech centymetrów.

Lucy głośno wciągnęła powietrze.

– Co to jest?

– Nie jestem pewien – przyznał Mike. – Ale założę się, że warto jest fortunę.

Uważnie przyjrzał się walcowatemu przedmiotowi.

– Wygląda na Bliski Wschód. Czy twój komputer jest podłączony do Internetu?

– Tak.

Włączyła peceta, dostała się do sieci i wpuściła na swoje miejsce Mike'a, który błyskawicznie posurfował przez strony związane ze sztuką.

– To rzeźbiona pieczęć – orzekł tryumfalnie. – Z Mezopotamii... dzisiejszego Iraku. Pochodzi mniej więcej z 2500 lub 3500 roku przed naszą erą.

– Jezu.

– No właśnie. Większość z nich wytwarzana była z półszlachetnych kamieni lub szlachetnych metali. Uderzył w kilka klawiszy.

– Według „New York Timesa”, sankcje nałożone na Irak zmuszają bogatych Irakijczyków do wyprzedawania poszczególnych pozycji z prywatnych kolekcji, jeśli chcą pozostać wypłacalni.

Przejrzał dalszą część artykułu.

– Wygląda na to, że istnieją wyspecjalizowane rynki zbytu na takie przedmioty, głównie w Nowym Jorku, Londynie i Tokio.

– Jean wspominał Stanislasowi, że ma przywieźć coś wyjątkowego.

– No to już wiemy co.

Mike opuścił Internet i wyłączył komputer.

– Otwórzmy tę drugą.

Wspólnie odłupali spodnią warstwę żeńskiej postaci. W tej figurce ukryte były dwie pieczęcie, jedna ze złota wymyślnie łączonego ze srebrem, druga z bogato rzeźbionego topazu.

– A więc to dlatego miał się spotkać z Jorge Melendezem.

Lucy zmarszczyła brwi.

– Ale co robiły u Melendeza pieczęcie z Mezopotamii?

– Przemysł dzieł sztuki to interes międzynarodowy – przypomniał jej Mike. – Kto wie, przez ile rąk przeszły te cacka?

– Są takie piękne – stwierdziła Lucy, oglądając pieczęcie. – Ale wciąż nie rozumiem jednego. Jeśli rzeźby miały tylko ukryć pieczęcie, czemu Jean powtarzał mi, że ma coś dla mnie w swojej torbie?

– Bo miał: te rzeźby.

Lucy popatrzyła na Mike'a pytająco.

– Przemycanie dzieł sztuki zawsze nosło ze sobą ryzyko aresztowania – wyjaśnił. – Musiał też zdawać sobie sprawę, że jeśli Stanislas odkryje to, co robił, może chcieć się zemścić. Tak też zrobił.

– To znaczy, że to Stanislas napuścił na niego celników?

– Tak. Sama mówiłaś, że podejrzewał Jean-Pierre'a o interesy ze swoimi klientami. Postanowił dać mu nauczkę. Nie spodziewał się, że Jean będzie też przewoził narkotyki.

– Podobnie jak sam Jean.

– Prawda. W każdym razie, czy to obawiał się Stanislasa, McNulty'ego, czy samych celników, Jean miał nadzieję, że w razie kłopotów zgłosisz się po jego rzeczy. Pieczęcie były tak doskonale ukryte, że prawdopodobieństwo przypadkowego wykrycia było równe praktycznie zeru. Ty nie znałaś się na sztuce; uznałabyś, że figurki to prezent dla ciebie i zatrzymałabyś je. Potem znalazłby jakiś powód, żeby je od ciebie zabrać i usunąć to, co najcenniejsze...

Mike przerwał.

– Nie brał pod uwagę, że zostanie zabity – rzekł po chwili.

Lucy skrzywiła się.

– Przepraszam – dodał.

Delikatnie ujął jej dłoń w swoje ręce.

– Zastanawiam się, co nagle zaczęło mu się nie podobać w naszej misji? – powiedziała w zamyśleniu Lucy.

– Co masz na myśli?

– Przed samym wejściem na pokład Jean kazał mi na siebie uważać. To ostrzeżenie nie miało nic wspólnego z rzeźbami. Niepokoiło go coś jeszcze. Może Jack McNulty. Albo... – Wróciła myślą do ich rozmowy po drodze na lotnisko: stary indio, który uciekł do dżungli, miejscowa nazwa peruwii, powracające duchy. – Był już wcześniej w Ameryce Południowej...

Głośno zadzwonił telefon i oboje podskoczyli.

– Nie odbieraj – rzekł szybko Mike.

Lucy wyglądała na zdziwioną, ale usłuchała.

Włączyła się automatyczna sekretarka. Krótki sygnał i z maszyny popłynął głos Renée.

– Rick, caro, jesteś tam? Wiem, że tak. – Przerwa. – Nie odpowiesz? Ale przecież to ja powinnam być na ciebie zła. Obiecałeś wrócić, kochać się ze mną, jak zawsze. Czekałam i

czekałam, a ty nie przyszedłeś. Dlaczego, caro?

– Co takiego? – Lucy wyrwała rękę z jego dłoni. – Ty i Renée?

– To nie to, co myślisz – zapewnił, rumieniąc się, Mike.

– To, co ja myślę... – zaczęła rozwścieczona Lucy, ale Mike pokręcił głową.

– Później – powiedział. – Proszę.

– Rick? – zagruchała Renée. – Jesteś w okropnym niebezpieczeństwie. Musisz natychmiast wyjść, inaczej umrzesz. – Przerwa. – Nadal nie odpowiadasz? Wiem, że tam jesteś, więc słuchaj. Lucy Nash jest śmiertelnie chora. Zarazisz się, jeśli tam zostaniesz. Rick?

Mike dał Lucy znak, by milczała, i podniósł słuchawkę, włączając jednocześnie głośnik, by Lucy słyszała rozmowę.

– Renée, to ja. O co chodzi z tą chorobą Lucy?

– To ten wypadek, o którym ci mówiłam – odparła Renée. – Wszczepili jej coś. Ona umiera.

Lucy wyraźnie pokręciła głową, a Mike skinął; powiedziała mu już o zamianie probówek. Do Renée zaś przemówił:

– Gdzie miałbym się podziać? Anders wie, że pomogłem Lucy. Będzie mnie ścigał. Miller też. Będziemy bezpieczniejsi tutaj.

– Nieprawda – odrzekła sucho Renée. – Bill wie, że tam jesteście; jego ludzie widzieli, jak wjeżdżacie.

Rick spojrział na Lucy, a ta zbladła.

– Mimo wszystko będziemy bezpieczniejsi, jeśli tu zostaniemy – upierał się Mike ze zmarszczonymi brwiami.

Renée roześmiała się.

– Myślisz, że ludziom Millera przeszkodzi portier? Albo zamknięte drzwi mieszkania? Przyjedź do mnie. Mnie nie odważą się zaatakować.

– Nie zostawię Lucy.

Chwila ciszy.

– Więc zabierz ją ze sobą. Ale pospiesz się. Czekam w samochodzie.

– Czemu niby miałabyś mi pomóc? – spytał nagle Mike. – Przecież wiesz, że cię okłamałem.

Renée westchnęła.

– Tak, wiem. Ale Bill Miller okłamał nas oboje. Wykorzystał nas. To zły człowiek.

– A ty nagle zmieniłaś się w anioła? Walczysz po stronie dobra?

– Znasz mnie przecież. Kieruje mną wyłącznie własny interes. Mój układ z Millerem obejmował tylko narkotyki. Nie było mowy o zabiciu Lucy. Czy ciebie.

– Próbujesz mi powiedzieć, że wszystkim steruje Mafia?

– Nie bądź niemądry. Coś poszło bardzo nie po naszej myśli i mój szef chce ograniczyć swój udział. Proponuję ci ochronę w zamian za twoje milczenie w sprawie naszego zaangażowania w handel narkotykami. Co ty na to?

Zabrzącał domofon i Lucy poszła odebrać.

– Ludzie z gazowni do pani. Naprawią ten wyciek – oznajmił nocny stróż.

– Co? Nie, proszę ich zatrzymać.

– Idą już do pani – powiedział, nie wiedząc, o co chodzi. – Z całym sprzętem. Mówili, że to pilne.

– Tu nie ma żadnego wycieku.

Mike popatrzył na nią z wyczekiwaniem.

– O rany... Nie wiem, co pani powiedzieć – ciągnął stróż. – Lepiej niech pani sama z nimi porozmawia.

– W porządku, Renée – rzekł Mike, podjąwszy szybką decyzję. – Już idziemy. Czekać na nas przed wyjściem. Rzucił słuchawkę i zwrócił się do Lucy.

– Bierz kurtkę.

– Ufasz jej?

– Jasne, że nie. Ale nie możemy tu zostać. Zostawię wiadomość dla Toma.

Lucy kiwnęła głową.

– Zaraz wracam.

Ruszyła w stronę sypialni, a Mike zebrał starożytne pieczęcie. Wrzucił je do kieszeni spodni, gdy Lucy wybiegła z mocno ocieplaną skórzaną kurtką zarzuconą na ramiona i torebką pod pachą.

– Oczekuje, że wyjdziemy przez hall główny – powiedział Mike. – Jest tu jakieś tylne wyjście?

Lucy potaknęła.

– Wychodzi na boczną ulicę.

Korytarz był wciąż pusty, kiedy biegli do klatki schodowej, ale gdy zamykały się za nimi metalowe drzwi, słychać już było szum nadjeżdżającej windy.

Renée złożyła telefon komórkowy i podała go z powrotem Millerowi.

– W porządku.

– Byłaś świetna – orzekł, nie kryjąc podziwu.

– Jestem doskonała we wszystkim, co robię – powiedziała bez udawanej skromności. – Ale to twoja ostatnia szansa, rozumiesz? Potem załatwimy to po mojemu – dodała, pokazując na torebkę.

Mike poszedł pierwszy, uchylając drzwi i rozglądając się po małym, ciemnym podwórzu.

– Trzymaj się w cieniu budynku – wyszeptał, wymykając się na chłodną noc.

Lucy podążyła za nim, wyczerpana mimo kawy i drżąca z zimna. Zatrzymali się przy ścianie z cegieł i wyjrżeli na ulicę.

– O tej porze możemy czekać na taksówkę całe wieki – stwierdziła Lucy, marszcząc czoło.

– Mamy do wyboru to albo spacer – odpowiedział Mike. – Jeśli pójdziemy pieszo, na pewno nas zobaczą. Pewnie wszędzie mają swoich ludzi.

Przez kilka minut pozostali ukryci w mroku.

– Jedzie – powiedziała nagle Lucy, gdy żółte auto przemknęło im tuż pod nosem.

Mike wybiegł na ulicę, ale samochód był już daleko, a on bał się zawołać. Odwrócił się, gdy tymczasem z wolna nadjechała druga taksówka. Kiwnął na nią i dał znak Lucy.

– Chodź!

Samochód minął ich nieznacznie i zatrzymał się, a oni wsiedli.

– Posterunek policji – poleciała Lucy. – Ulica Sześćdziesiąta Siódma Wschodnia.

Kierowca nacisnął na gaz i nic nie odpowiedział.

Z przedniego fotela dla pasażera podniosła się ukryta za nim osoba.

– Doktor Nash, jak sądzę? – rzekł mężczyzna. Groźnie wyglądający pistolet, który w nich wycelował, połyskiwał tępo w odbitym świetle latarni.

– A pan to za pewne Richard Hollander. Jak miło, że zechcieliście do nas dołączyć.

Głośne puknięcie centralnego zamka sprawiło, że Lucy podskoczyła.

– Żadnych nagłych ruchów, proszę, pani doktor. Ciebie też to dotyczy, Hollander. Ręce tak, żebym je widział.

– Wstrzyknięto jej śmiertelny wirus – odezwał się Mike. – Jeśli nas stąd nie wypuścicie, zginiemy wszyscy.

– Doktor Miller ostrzegł nas, że możecie tego próbować – odparł spokojnie mężczyzna. – Ach, coś mi się przypomniało.

Trzymając wycelowany pistolet, wyciągnął rękę do Lucy.

– Pozwoli pani torebkę, pani doktor. Kierowca rozmawiał cicho przez telefon.

– Jesteśmy w drodze.

Zwrócił się do mężczyzny z bronią:

– Chce wiedzieć, czy je wzięła.

Nie spuszczać oka z pasażerów, uzbrojony facet wolną ręką grzebał w przepastnej torebce Lucy.

– Tak, mamy je – potwierdził.

Za rogiem ruszył czarny range rover i skierował się na zachód.

Samochód jechał na południe wzdłuż rzeki Hudson; nic nadzwyczajnego: jeszcze jeden nocny taksówkarz usiłujący zarobić parę dolców. Minawszy Canal Street, kierowca skręcił na wschód i przez moment Lucy z przerażeniem pomyślała, że zabierają ich z powrotem do laboratorium IMA. Ale taksówka wzięła szybki zakręt najpierw w prawo, potem w lewo i zatrzymała się przed zapuszczonym dwukondygnacyjnym budynkiem otoczonym z obu stron podobnymi przybytkami. Dwóch uzbrojonych mężczyzn, na wpół ukrytych w cieniu metalowego zadaszenia, ostrożnie wysunęło się do przodu.

Jeden z nich podszedł do samochodu i zajął przez szybę od strony pasażera.

– Vince? – spytał cicho.

– A niby kto ma być? Pomóż mi z nimi.

Goryle pomogli Vince'owi wyciągnąć Lucy i Mike'a z tylnego siedzenia i zaprowadzili ich

w górę po sześciu cementowych stopniach na wąską rampę załadunkową. W solidnej metalowej framudze tkwiły stalowe drzwi oddzielające rampę od wnętrza magazynu. Jeden z ochroniarzy otworzył drzwi i stanął z boku, zaś Vince powiodł swoich więźniów przez wejście, trzymając się blisko nich z naładowanym pistoletem. Taksówka rozplynęła się w mroku, jeszcze zanim strażnicy, zamknąwszy na powrót drzwi, zajęli swoje pozycje w głębokim cieniu pod dachem.

Wnętrze starego magazynu było słabo oświetlone i zimne. Niebieskawa poświata spływała z okrytych kloszami słabej mocy żarówek zwisających z niskiego sufitu. Paki z towarem stały poupychane to tu, to tam w mrocznym pomieszczeniu, a mdląco słodki, nieprzyjemny zapach gnijących bananów dawał się niemal dotknąć.

Bill Miller stał w plamie światła i rozmawiał przez komórkę. Marynarkę miał zdjętą, a jeden rękaw koszuli podwinięty.

– Wyruszaj na morze – mówił, a jego słowa odbijały się echem od starego, metalowego sufitu i betonowej posadzki. – Niech łódź uruchomi silniki i będzie w pogotowiu. My... Au! Jezu, Carl.

– Przepraszam.

Carl w chirurgicznych rękawiczkach i plastikowej masce założonej na głowę jak daszek mający chronić przed słońcem, wyciągnął igłę i ostrożnie odłożył strzykawkę na wysłaną tkaniną tacę stojącą na najbliższym kartonie.

Bill skończył rozmowę i położył telefon obok tacy.

– Widzę, że przybyli nasi goście.

Odwinął rękaw i sięgnął po marynarkę. Obok niego, gapiąc się w ciemność, stała Renée.

– Lucy już tu jest? – rzekła nerwowo. – Ale ja nie dostałam jeszcze zastrzyku...

Zwróciła się ze złością do Carla.

– Pospiesz się. Nie chcę tego złapać.

– To i tak w ten sposób nie działa – odparł Carl. – Zresztą ty nie potrzebujesz...

Dostrzegł wzrok Millera.

– No dobrze – ustąpił, napełniając nową strzykawkę.

– Nie!

Lucy rzuciła się w ich stronę, podczas gdy Carl wbijał igłę w ramię Renée.

– Przestań!

Kula zaświstała tuż obok niej i, rozcinając kurtkę, zadrasnęła ją w bark. Potknęła się, łapiąc się za ramię, ale parła dalej w stronę Renée, podczas gdy Carl w pośpiechu wyciągnął igłę i cofnął się.

– Lucy!

Mike ruszył naprzód, ale Vince szarpnął go do tyłu, przyciskając silne przedramię do jego krtani. Wymierzył pistolet w Lucy, gotów do następnego strzału.

– Nie strzelaj – zawołał Bill. – Cholerny dureń – mruknął. – Trafi w końcu kogoś z nas.

Vince zmarszczył brwi, ale opuścił pistolet, gdy podeszła Renée i unieruchomiła Lucy,

splatając jej ręce za plecami.

– Albo nas zachłapie – odezwał się Carl z ciemności, w której się schronił.

Renée spojrzała w stronę, z której dobiegł jego głos, nie wiedząc, o co chodzi.

– Zachłapie?

– Jej krwią – wyjaśnił Carl. – Wirus przenosi się przez krew i płyny ustrojowe.

Renée popatrzyła na rozdartą kurtkę Lucy.

– Ale my wszyscy dostaliśmy zastrzyk – rzekła. – Więc czego tu się bać?

– Szczepionka nie działa tak błyskawicznie – odpowiedział znużony Carl.

Renée z okrzykiem puściła Lucy i odepchnęła ją od siebie. Lucy poleciała w przód, czując pulsujący ból w ramieniu.

– Nie ruszaj się z miejsca – ostrzegł ją Bill – albo ten pan z pistoletem zastrzeli twojego kochanka.

Vince chrząknął na znak, że się zgadza.

– Carl? – Bill rozejrzał się za brakującym naukowcem. – Carl, gdzieś ty się, kurwa, podział?

Anders wyłonił się zza stosu kartonów.

– Na litość boską, mamy tu moribundi. Nie jestem w kombinezonie. Nie mam zamiaru ryzykować...

– Zrobisz, co ci każę – odparł rozzłoszczony Miller.

Z niesmakiem popatrzył na badacza.

– I kto by się domyślił, że całe dni spędzasz w gorącym laboratorium?

– To co innego – zbuntował się Carl. – Mam na sobie ochronny kombinezon, jestem...

– Zamknij się i przygotuj zastrzyki – rozkazał mu rozdrażniony Bill.

Potem zwrócił się do Lucy.

– Przygotowaliśmy dla ciebie i twojego chłopaka środek nasenny. Jego porcję zaprawimy moribundi. Dzięki środkowi na uspokojenie łatwiej nam będzie was zabrać na górę do laboratorium.

– Na górę? – Lucy rozejrzała się dokoła zaciekawiona. – To znaczy, że ten budynek też jest połączony?

– Połączony z czym? – spytała Renée.

– Z laboratorium – wyjaśniła Lucy. – Widzisz, misja...

– Zamknij się – rozkazał Bill. Zrobił krok w przód i mocno uderzył ją w twarz. – Jesteś zbyt bystra na swoje własne nieszczęście.

Lucy cofnęła się z piekącym policzkiem. Za swoimi plecami słyszała, jak Mike przegrywa walkę o uwolnienie się z żelaznego uchwytu Vince'a. Tak długo jak goryl trzymał pistolet przytknięty do jego głowy, Lucy była bezsilna.

– To zresztą i tak nie ma już żadnego znaczenia – mówił Bill. – Zamykam pracownię. Odkrycie waszych ciał, twojego i Ricka, uświadomi mi, jak niebezpieczne może być prowadzenie laboratorium poziomu czwartego. Będę załamany po stracie dwojga z moich

najlepszych naukowców i zwinę interes. – Uśmiechnął się. – Carl może dokończyć swoją robotę gdziekolwiek. Choćby i na morzu.

Lucy wciąż się cofała.

– Swoją robotę? – zapytała. – To znaczy szantażowanie świata za pomocą peruwii moribundi?

Zobaczyła, jak Renée coraz szerzej otwiera oczy i zwraca się do Billa z wypisanym na twarzy pytaniem. Nie jest źle; gdyby tylko udało się jej przeciągnąć hrabinę na swoją stronę...

– Dlatego zaszczepiłeś się już teraz peruwia B: żeby zarazić resztę świata moribundi, a siebie i swoich przyjaciół wynieść na szczyty władzy.

– O czym ona mówi? Chcesz zarazić świat jakimś wirusem?

– Kłamie – odparł Bill.

– To prawda – zapewniła Lucy. – Pomyśl tylko, Renée. Jaka organizacja charytatywna handlowałaby narkotykami, żeby finansować swoją działalność?

– Nie słuchaj jej.

– Handel narkotykami to jedno – ciągnęła Lucy, zagłuszając go. – Ale uczestniczenie w międzynarodowym terroryzmie to zupełnie coś innego. Czy twój szef na pewno by na to poszedł?

– Dość tego – zawołał rozwścieczony Bill, zbliżając się do Lucy, ale hrabina stanęła między nimi.

– Pozwól jej skończyć – zażądała. – Mów, Lucy.

– Zejdź mi z drogi, Renée; nic nie rozumiesz. Carl, szykuj zastrzyki. Trzeba z tym skończyć.

– Zaczekaj – zabrzmiał w zagrzybionym pomieszczeniu głos Mike'a. – Zawrzyjmy układ.

Bill powiódł wzrokiem po podłodze magazynu do miejsca, gdzie stał Mike z przystawionym do skroni pistoletem i jedną ręką w kieszeni.

– Układ? – uśmiechnął się ponuro. – Nie masz nic, z czym mógłbyś do niego przystąpić.

– Mylisz się. Znaleźliśmy pewne cenne przedmioty, które Didier przemycił podczas swojej ostatniej podróży.

– Didier szmugłował przecież narkotyki...

– Tylko dlatego, że sam mu je podrzucałeś. Gdy celnicy je znaleźli, zadzwonili do Biura do Walki z Narkotykami i nie szukali dalej.

– Ale ty nie przestałeś? Znalazłeś coś? I tak się szczęśliwie składa, że masz to teraz przy sobie?

– To prawda.

– Jak miło. Zabiorę ci to, kiedy będziesz nieprzytomny. Po co miałbym z tobą pertraktować?

– Bo zniszczę je. Bez trudu. To bardzo małe i bardzo kruche przedmioty.

– Wolałbym dać ci zastrzyk – powiedział Bill do Mike'a – ponieważ to bardziej pasowałoby do oficjalnej wersji zdarzeń. Ale równie dobrze mogę cię zastrzelić.

Wyjął z kieszeni marynarki mały pistolet.

– Rzuć mi je.

– No dalej, strzelaj – podpuszczał Mike. – Mam je teraz w prawej ręce. Wystarczy, że je ścisnę. Świadome działanie czy śmiertelne drgawki, skutek będzie ten sam. Szkoda by było. To prawdziwe rarytasy.

– Do diabła – zawołała gniewnie Renée. – Zastrzel go i wynośmy się stąd.

– Co to takiego? – spytał jednak Mike’a Bill.

– Nie bądź głupcem – ostrzegła hrabina. – Nie widzisz, że on...

– Przyprowadź go tu, Vince – polecił Bill, nie zważając na Renée. – Powoli. Lucy, nie ruszaj się.

Przesuwał lufę pistoletu, celując to w niego, to w nią. Wycelował w końcu w Mike’a ze słowami:

– Kryj ją, Vince. Dobra, Rick, zobaczmy, czy to, co przyniosłeś, warte jest twojego życia.

– Nie mojego. Lucy.

– Lucy umiera na moribundi, nie pamiętasz? Nic nie możesz dla niej zrobić. Ale ty wciąż masz szansę. Jeśli tylko to, co masz, jest tak cenne, jak twierdzisz.

Mike powoli wyciągnął z kieszeni rękę z zaciśniętymi palcami i wyciągnął pięść do Millera.

– Skończ z tymi bzdurami – warczała Renée. – Nie możesz go puścić wolno i on o tym wie. Gra z tobą na zwłokę, bawi się...

– Pieczęcie ze starożytnej Mezopotamii – oznajmił Mike, otwierając dłoń. – Ekspozyty muzealne.

– Jezu.

Ręka, w której trzymał broń, opadła, a drugą Bill wyciągnął w stronę maleńkich skarbów.

– Nigdy nie widziałem...

Zagrzmiał wystrzał i Billa odrzuciło, a na wypchanym ramieniu marynarki pojawiło się równe rozcięcie.

– Ostrzegałam cię – odezwała się Renée. – A teraz zrobimy to po mojemu.

Ale Vince był na liście płac Billa, nie Renée, mierząc obok Lucy, wypalił w hrabinę. Lucy dała nura w bok, a Renée strzeliła do Vince’a. Siła dwóch ciężkich pocisków odrzuciła jego ciało w tył, gdzie padło bez życia na posadzkę obok stosu pudeł z bananami.

Bill wygrzebał się już z szoku wywołanego faktem, że do niego strzelano, i celował w Renée. Jedna z kul trafiła ją w szyję, skąd wysokim łukiem natychmiast trysnęła krew.

Carl popędził gdzieś, żeby się ukryć, zrzucając tacę i rozwalając przybory po podłodze, podczas gdy Lucy instynktownie ruszyła do umierającej kobiety.

– Odejdź! – krzyknął Mike. – Odsuń się.

Lucy zdziwiła się, lecz szybko odskoczyła przerażona tym, co byłaby zrobiła. Renée dostała zastrzyk z moribundi. Jej tryskająca krew niosła śmierć.

Źle odczytawszy ostrzeżenie, jakie Mike posłał Lucy, Bill rzucił się do przodu i otoczył jej szyję ramieniem.

– Nie ruszaj się – ostrzegł. – Carl, bierz pieczęcie.

– Jakie pieczęcie? – Carl kuczał tchórzliwie obok kartonu, na którym stała taca z fiolkami.

– Chodzi mu o to – odpowiedział Mike. – Łap.

Rzucił bezcenne drobiazgi wysoko ponad podnoszącą się postacią Carla i przyskoczył do Millera, przewalając go na stos pudeł z bananami. Kartony popękały, ale Bill mocno trzymał Lucy, ciągnąc ją za sobą i używając jako tarczy, która chroniła go przed ciosami Mike'a, gdy całej trójce zaczęły walić się na głowy przejrzałe owoce.

Wszyscy troje mocowali się przez chwilę, zanim Bill zdołał podnieść rękę z pistoletem i uderzyć Mike'a w bok głowy.

Ten padł nieprzytomny, a Miller podniósł się, nie rozluźniając chwytu na gardle Lucy, ręką z pistoletem mocno oplatając jej ciało. Ramię pulsowało jej od bólu i czuła, jak pod kurtką cienką strużką spływa krew.

– Twój chłopak odpadł – powiedział jej do ucha Bill. Mdły, słodki zapach pogniecionych bananów przesiąkł jego ubranie. Na posadzce pod ich stopami Mike jęknął, ale pozostał nieprzytomny.

– Tak się cieszę, że nie musiałem go zastrzelić. Damy mu zastrzyk, zanim się ocknie. Dalej, Carl.

– Nie rób tego – przestrzegła Lucy wystraszonego naukowca, który ledwo oderwał oczy od krwawej sceny i drżącymi rękami zaczął zbierać porozrzucane fiolki i strzykawki. – On zastrzelił Renée. Ciebie też zabije. Nie chce żadnych świadków.

– Zamknij się – nakazał Miller.

Do Carla zaś powiedział:

– Nie słuchaj tych bzdur. Nasz plan nie wypali bez twojego udziału.

– Akurat – wtrąciła się Lucy. – Przygotowałeś już wirusy, Carl. Do czego możesz być mu jeszcze potrzebny?

Miller zacisnął ramię pod jej szyją tak, że zaczęła się dusić.

– Prawdziwy z ciebie wrzód na dupie, Lucy Nash. Jesteś wścibska. Kłamiesz. – Zrobił przerwę. – I nie jesteś nawet dobra w łóżku.

– Co? – zdołała wysapać Lucy.

– Rzecz jasna, nie byłaś wtedy przytomna, więc może mój sąd nie jest do końca obiektywny.

– O... czym ty mówisz? – wydusiła z siebie.

– Tamtej nocy, kiedy przyszedłaś mi powiedzieć o misji i ukrytym laboratorium. Taka ufna. Taka głupia. Środek nasenny w kakao zadziałał jak marzenie. To ten sam, którego użyjemy dzisiaj...

Uzbrojoną rękę wsunął jej pod kurtkę.

– Świetnie się razem bawiliśmy – mówił, pieszcząc jej pierś lufą pistoletu. – Nie wiesz? Nie pamiętałaś nic nazajutrz?

– Ty kanalio – fuknęła Lucy, przypominając sobie dziwny, niewyjaśniony ból. – Zgwałciłeś mnie.

– I napawałem się każdą tego minutą.

Zacząła znowu walczyć, ale Bill wbił jej pistolet w żebra tak mocno, że stęknęła z bólu.

– Gdybyś nie miała moribundi – ciągnął – zaproponowałbym, żebyśmy dzisiaj zrobili to samo. Choć, tak jak mówiłem, ty w zasadzie nie brałaś udziału w zabawie...

Spojrzał na Carla.

– Rany, człowieku, jak długo można napępiać strzykawkę? Twarz Andersa, zwykle blada, stała się trupio biała.

– Już prawie gotowe... tylko...

Urwał i dodał kilka centymetrów sześciennych bladioróżowej cieczy do bezbarwnego płynu, który był już w strzykawce, po czym drżącymi rękami podał ją Billowi, uciekając wzrokiem od kałuży krwi wokół ciała Renée.

– Po co mi to dajesz, idioto – krzyknął zniecierpliwiony Miller. – Wstrzyknij to jemu. Co się z tobą dzieje?

– Ja, ehe, nie spodziewałem się... tego wszystkiego. Carl zakołysał strzykawką, patrząc na krwawą jatkę na posadzce. Oddech miał przyspieszony i płytki, oczy błędne, podkrążone na czerwono.

– Słabo się czuję – dodał.

Oparł się ciężko o pudła z bananami z kapiącą strzykawką w trzęsących się palcach.

– Możesz sobie zemdleć później. Zrób zastrzyk temu gnojkwowi.

Ale Carl się nie ruszył.

– W porządku, ja to zrobię.

Anders z wdzięcznością wyciągnął do niego rękę ze strzykawką.

– Nie, połóż ją tam na ziemi, obok niego. O tak właśnie.

Bill zawahał się.

– Będziesz musiał zabrać ode mnie Lucy. Wpatrywał się w Carla.

– Możesz to zrobić? A może powinniśmy jej najpierw podać środek nasenny. Daj mi tę strzykawkę dla niej.

Carl podszedł do tacy.

– Nie ma jej tu. Och, kiedy ta taca się przewróciła...

Rozejrzał się po podłodze.

– Nie wiem, gdzie...

Bill przyglądał mu się groźnie.

– Napępnij drugą strzykawkę – dodał Carl szybko.

Za nimi Mike stęknął, rozejrzał się nieprzytomnie i opadł z powrotem.

– Nie ma czasu – warknął Bill. – Musimy załatwić Ricka teraz, póki się jeszcze nie ocknął.

Jego wzrok powędrował do drzwi. Czy powinien wysłać Carla po jednego ze strażników?

Mike znowu jęknął i otworzył oczy. Lucy, czując, że Bill odwrócił nieco od niej uwagę, zaczęła wykręcać się to w jedną, to w drugą stronę, lecz on zacisnął uchwyt na jej gardle,

odciągając głowę do tyłu.

Robiąc to, doskonale wiedział, na jakie ryzyko naraża się, trzymając ją tak blisko. W przeciwieństwie do Carla, nie miał rękawiczek ani maski. Nagle zapragnął się jej pozbyć.

– Weź się w garść – wyszczekał do Carla – i chodź mi pomóc.

Carl wziął kilka głębokich wdechów.

– Już mi lepiej.

Wsunął okrytą lateksem rękę pod ochronną szybkę i otarł wilgotne czoło.

– Już dobrze. O, cholera...

– Co znowu? – zapytał zniecierpliwiony Bill.

– Mam rozprutą rękawiczkę. Muszę ją zmienić. Mam gdzieś zapasowe...

Gmerając na tacy, przewrócił ją i posłał zawartość na posadzkę.

– Do jasnej cholery, Carl – wybuchnął Miller, żałując, że nie może mu pomóc Vince, i przeklinając w duchu Renée. – Po prostu podejdź tu i zabierz ode mnie Lucy. I nie wypuszczaj jej, na litość boską.

Z bronią przez cały czas w pogotowiu ostrożnie przekazał walczącą kobietę w ramiona Carla.

Lucy była wykończona, prawie pokonana przez strach, ból i brak snu. Rozpaczliwie próbowała wykręcić rękę tak, by sięgnąć do paska spodni na plecach pod kurtką. Nic z tego. A więc to by było na tyle, pomyślała. Koniec.

Lecz gdy spojrzała na przerażoną, choć zdecydowaną twarz Carla, przyszedł jej do głowy pomysł.

Kiedy poczuła, że uścisk Millera zelżał, a oplotło ją ramię Carla, udało się jej wkręcić rękę pod rozpiętą kurtkę i przycisnąć ją do rany po kuli, nie spuszczać przy tym z oka Billa. Gdy tylko zwrócił swą uwagę na Mike'a, uwolniła rękę i wsunęła ją pod maskę Carla.

– Moribundi – wyszeptwała, smarując krwią jego policzek, i poczuła, jak rozluźnia uchwyt, odsuwa się od niej przerażony, krzyczy, podczas gdy jej udaje się wyrwać; owionął ją jego oddech, gdy mocno wbiła mu pod żebra łokieć, i rzuciła się w stronę Mike'a, minęła go i pobięła się ukryć, kopiąc po drodze strzykawkę i posyłając ją gdzieś w ciemności.

– Ty kretynie! – wrzasnął Bill.

– Zaraziła mnie. Ja umrę! – Głos Carla był wysoki i spanikowany.

– Skórę masz całą – rzekł pewnie Miller. – Nic ci nie będzie.

– Muszę się odkazić. Muszę umyć twarz.

Gdzieś na zewnątrz zabrzmiał wystrzał. Obaj mężczyźni poderwali się.

– Co to, kurwa, było?

– Nie wiem. Ale muszę się zdezynfekować.

Z dłonią zaciśniętą na pistolecie Bill wpatrywał się w mroczną głębię magazynu.

– Skorzystaj z umywalki ze środkiem chemicznym po drodze do wyjścia, ale szybko, rozumiesz? Łódź czeka. Każ im zabrać cię na statek.

– A co... z tym wszystkim? Co z tobą?

Carl dygotał.

– Ciało Renée zaprowadzi ich do Mafii – odparł Miller. – Jeśli Tortoriello nie będzie chciał rozgłosu na temat swojej roli w rozprowadzaniu narkotyków, oficjalna wersja będzie głosiła, że hrabina zginęła w wojnie gangów. Lucy będzie martwa za kilka godzin; Rick też, jeśli tylko zaraz dam mu zastrzyk.

Chowając broń do kieszeni, nachylił się nad zwaloną tacą.

– To ta fiołka?

– Tak.

– W porządku. Idź już.

Zakładając parę chirurgicznych rękawiczek, wziął nową strzykawkę i nabrał niewielką ilość płynu.

– Zaczekaj – odezwał się jeszcze do Carla. – Zabierz patogeny, które ukradła Lucy.

– Gdzie są?

Ze strzykawką w dłoni Bill rozejrzał się dokoła i dostrzegł torebkę, którą Vince przyniósł z taksówki. Wskazał ją brodą.

– Tam.

Carl wziął torbę i zaczął grzebać.

– Weź to i idź – popędzał Bill. – No już. Już!

– Ale one są nie zawinięte. – Carl dyszał, gdy wyciągał z torebki garść fiolek. – Nawet ich nie... Hej, to antybiotyki. Bill, to są antybiotyki!

Z twarzą purpurową z wściekłości Bill wyrwał Carlowi z ręki fiołki, obejrzał szybko i cisnął nimi o niskie sklepienie.

– Weź próbówki z tacy – polecił. – Na początek wystarczy. Resztę dorobisz w laboratorium na statku. Ruszaj się.

Patrzył, jak Carl bierze próbówki i znika za małymi drzwiami prowadzącymi do wewnątrz budynku. Gdy się odwrócił, Mike siedział, chwiejąc się lekko. Głowę z jednego boku miał we krwi i usiłował skupić spojrzenie. Znów wyciągając pistolet, Bill przyglądał się młodszemu mężczyźnie.

– Zdaje się, że wciąż jeszcze masz czym pohandlować – powiedział.

– Ale ty nie masz – odparł Mike, z coraz bardziej przytomnym wyrazem twarzy rozglądając się dokoła. – Lucy uciekła.

– Niedaleko.

Zastanowił się chwilę. I dodał:

– A jak tak teraz myślę, to chyba jednak mam jakiś atut. Lucy? – zawołał w mrok. – Nie zarazilem jeszcze Ricka. Chcesz się potargować?

– Nie odpowiadaj – krzyknął Mike.

– Moribundi niesie okropną śmierć – wołał Bill. – Oczywiście sama się o tym przekonasz, ale Rick nie musi. Daj mi próbówki, które wyniosłaś z laboratorium, a on odejdzie wolny.

– Nie wierz mu, Lucy. Nie ma mowy, żeby mnie wypuścił.

– Nieprawda. Żadne z was nic już dla mnie nie znaczy. Carl ruszył w drogę i ma przy sobie dość wirusa, by zabić całkiem sporo ludzi. Plan wchodzi w życie nieco wcześniej, niż zakładaliśmy, ot i wszystko. Opowiesz o tym, co wiesz? Doskonale. W ten sposób pomożesz mi przekonać ludzi, że moje groźby powinni traktować poważnie.

Zamilkł na chwilę.

– No dobrze, Lucy. Nie dajesz mi wyboru. Zastrzyk czy kulka w łeb, Rick musi zginąć.

– Czekaj.

Lucy wstąpiła w krąg światła.

– Możesz mieć te wirusy.

– Nie – wykrzyknął Mike.

– Są w garażu pod budynkiem, w którym mieszkam.

Mike jęknął, ale nie zwrócił na to uwagi.

– Są schowane w bagażniku samochodu Mi... Ricka. Kluczyki mam w tylnej kieszeni spodni. Muszę po nie sięgnąć. W porządku?

– Sięgaj – odparł Bill.

Mike siedział bardzo cicho.

– Ale obiecujesz, że go uwolnisz?

Bill potaknął.

– W porządku.

Lucy sięgnęła prawą ręką za plecy do tylnej kieszeni dzinsów i szarpnęła.

– Utknęły. Muszę spróbować obiema rękami.

– Ja to zrobię.

Zrobił krok w jej stronę, ale Lucy wróciła do cienia.

– Nie zbliżaj się do mnie – ostrzegła. – Jeśli chcesz kluczyki, pozwól mi to zrobić po mojemu.

Bill zatrzymał się.

– Dobrze.

Lucy powoli wysunęła się naprzód, sięgając za siebie drugą ręką. Brzeg kurtki na plecach podniósł się. Lewą rękę nagle wyciągnęła przed siebie, pobrząkując kluczykami.

– Masz! – krzyknęła, ciskając kluczami mocno w głowę Billa, a gdy ten skulił się i dał nura, wypaliła z pistoletu swojego ojca raz i drugi, wołając do Mike'a, żeby się odsunął z dala od tryskającej krwi, i strzeliła ponownie.

W ciszy, która potem nastąpiła, głośno zahuczało walenie tarana o drzwi od podwórza.

Lucy stała, chwiejąc się, z dymiącym pistoletem wiszącym w bezwładnej dłoni i wpatrywała się w zmasakrowane ciało Billa Millera. Mike podniósł się i podszedł do niej, obejmując ramieniem jej barki i odsuwając dalej od zakażonej wirusem krwi.

Pod Lucy zaczęły uginać się nogi, gdy prowadził ją do kartonu pod ścianą. Opadła na pudło i

oparła się o niego.

– Skąd się wziął ten pistolet? – spytał cicho.

– Należał do mojego taty.

Spojrzała w dół na broń, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu.

– Nie byłam pewna, czy będę potrafiła to zrobić – rzekła słabym głosem. – Wydaje ci się, że wiesz, do czego jesteś zdolny, ale dopiero gdy musisz...

Zamilkła.

– Nigdy wcześniej tego nie używałaś? Jesteś urodzonym strzelcem.

– Strzelałam do puszek i butelek, i tego typu rzeczy, pewnie. Nie o tym mówiłam. Chodziło mi o strzelanie do ludzi, zabijanie... Nawet w samoobronie. Nie byłam pewna, czy będę umiała to zrobić.

Zadrżała.

– Jestem lekarzem – dodała.

– I usunęłaś nowotwór, żeby ocalić pacjenta.

– Pacjent nie jest jeszcze do końca bezpieczny – odparła Lucy. – Dopóki Carl jest na wolności...

– A jak twoje ramię?

– Boli, ale to chyba nic groźnego.

– Nie wyglądasz najlepiej – stwierdził, przyglądając się jej, Mike. – Masz czerwone oczy.

– Czuję się paskudnie. Chyba mam gorączkę. – Odsunęła się od niego raptownie z wystraszoną miną. – Lepiej trzymaj się z daleka.

– Bez paniki. Przecież to ten dobry wirus.

– Mam nadzieję, że to tylko to – rzekła, pamiętając, jak otarła rękę o spoconą twarz Carla.

Za ich plecami nie ustawało walenie w drzwi, ale w skrajnym wycieńczeniu do Lucy nic nie docierało.

– Żadna forma peruwii nie jest „dobra” – wymamrotała. – Teraz to szczepionka, ale kto wie, czy się znowu nie zmutuje. Oboje musimy się odkazić. I poddać się kwarantannie. A magazyn musi zostać natychmiast zamknięty i szczelnie zaplombowany.

Spojrzała na zwłoki. I spytała:

– Możesz sięgnąć telefon Billa? Zadzwoń do Toma?

– Chyba nie będzie to konieczne – odrzekł Mike w chwili, gdy stalowe drzwi runęły do środka.

Podbiegł do postaci w czarnych kombinezonach, wykrzykując: – Nie podchodźcie do ciała!

– Mike? To ty?

– Na litość boską, Tom, zatrzymaj ich. Krew jest zarażona. Tom rzucił rozkaz i zwrócił się z powrotem do Mike'a:

– Jest z tobą Lucy?

– Jest tam.

– Myślałem, że jesteście cali i zdrowi na Dziewiętnastym Posterunku.

– Nie dotarliśmy. Jak nas znaleźliście?

– Prawdę mówiąc, wcale was nie szukaliśmy. Ludziom obserwującym laboratorium zdawało się, że słyszeli strzały i wysłali za róg człowieka, żeby to sprawdził. Znaleźli samochód Millera zaparkowany na końcu przecznicy, ale nikogo, kto mógłby strzelać. Nie przyszło im do głowy, że to miejsce może mieć jakiś związek z samochodem Millera; pomyśleli, że pan doktor ich wykołował i porzucił auto. Gdy się o tym dowiedziałem, wysłałem grupę, żeby sprowadziła wóz, a jeden z tych kowboi – wskazał brodą na rampę załadunkową – zaczął strzelać. Wtedy wszystko zaczęło się układać w jedną całość. Przerwał. I zauważył:

– Śmierdzi tu jak cholera.

Odwrócił się i popatrzył na krwawą scenę w kręgu chłodnego światła.

– Co tu się, u licha, stało?

– Miller nie żyje, Renée de Palma też. Ten tam to Vince, wynajęty goryl.

Tom pokręcił głową.

– Jak do tego doszło?

– Renée załatwiła Vince’a, Miller załatwił Renée, Lucy załatwiła Millera... Z tego, co się działo w międzyczasie, nie wszystko pamiętam. Tom odwrócił się i wpatrywał się w Lucy.

– Zastrzeliła go?

Podszedł i delikatnie wyjął z jej dłoni pistolet. Gdy nie zareagowała, nachylił się i przez moment studiował jej twarz.

– Postąpiła pani właściwie – powiedział cicho. – Zrobiła to, co musiała zrobić.

Otworzył szeroko oczy, gdy dostrzegł rozpruty pociskiem rękaw.

– Jest pani ranna?

– Tak, ale to nic groźnego – odparła. – Niech pan lepiej tego nie dotyka. Złapaliście Carla Andersa?

– Nie, nie pokazał się jeszcze w laboratorium. Nasi ludzie wciąż...

– On jest tutaj – powiedziała. – Na górze.

– Co? Gdzie na górze?

– Nie jestem pewna – wydusiła z siebie Lucy. – Laboratorium łączy się z Misją „Gwiazda Nadziei”... ukryte schody są za szafą w składziku. Miller mówił coś o zabranii nas na górę do laboratorium, więc przypuszczam, że to pomieszczenie też jakoś się z nim łączy. Carl wyszedł tamtędy...

Pokazała na uchylone drzwi.

Tom wykrzyczał rozkaz do jednego ze swoich ludzi, który biegiem poprowadził przez przejście trójkę innych.

– Potrzebna będzie grupa odkażająca, i to szybko – mówił do Toma Mike. – W kombinezonach ochronnych. Będzie też konieczny specjalny transport i ostry dyżur w szpitalach. I przenośne urządzenie do dezynfekcji.

– Załatwione – zapewnił Tom, skinieniem ręki odsyłając swoich ludzi pod ścianę.
Sięgnął po krótkofalówkę.

– Jedyńka do bazy. Odbiór.

W aparacie zaskrzeczała odpowiedź, ale Lucy schyliła się i położyła na nim rękę.

– Chyba nie powinien pan tego załatwiać tą drogą – powiedziała cicho. – Podam kilka numerów telefonu, pod które powinien pan zadzwonić.

Tom przyklęknął obok niej i wyciągnął z kieszeni kombinezonu ołówek i notes.

– Hej, słyszycie...?

Mike odwrócił się w stronę zwłok i nasłuchiwał. Tom gestem nakazał milczenie, a w ciszy, która nastąpiła, rozległ się nikły pisk telefonu komórkowego.

– Komórka Millera – stwierdził Mike.

Ruszył w jego stronę.

– Nie – zatrzymała go Lucy. – Nie dotykaj.

Tom wyjął parę gumowych rękawiczek używanych przez policję na miejscu przestępstwa.

– Mogą być?

– Tak.

Mike naciągnął je i, trzymając się z dala od krwi, wziął do ręki telefon i kilka tamponów nasączonych alkoholem z tacy Carla. Przetarł urządzenie i pomodlił się w duchu.

– Tak? – odezwał się cicho.

– Miller? To ty? Ledwo cię słyszę.

– Carl – wyszeptał Mike, zakrywając ręką telefon. – Mów – nakazał dzwoniącemu z nadzieją, że mocne zakłócenia zniekształcą jego głos.

– Jestem na łodzi. Dotarliśmy już prawie do statku. Mam odesłać dla ciebie motorówkę?

– Powiedz, że tak – podszepnął Tom.

– Tak, odeślij.

Chwila ciszy, a potem: – Nie jesteś Miller – oskarżającym tonem stwierdził Carl. – Kim, u diabła, jesteś?

– Tu FBI – oznajmił Tom, przejmując od Mike'a telefon. – Miller nie żyje. Laboratorium zostało zaplombowane. Wiemy też o Misji „Gwiazda Nadziei”. To już koniec, Anders. Poddaj się.

– Kłamiesz.

Przerwa. A potem:

– Chcę mówić z Millerem.

– On nie żyje.

– Gówno prawda.

Kolejna przerwa.

– Gdzie jesteście?

– A gdzie ty jesteś, Carl?

– Nieważne. Za rogiem niedaleko laboratorium jest magazyn. Znajdziecie tam Lucy Nash. Umiera na chorobę zwaną peruwia moribundi.

– To nieprawda – wyszeptał Mike do Toma, który kiwnął ręką, żeby się nie odzywał.

– Na moribundi nie ma lekarstwa – ciągnął Carl. – Wiem coś o tym; sam ten wirus stworzyłem. Mam przy sobie fiolkę, dzięki której mogę zabić tysiące ludzi. Daj mi do telefonu Millera albo uwolnię zarazki.

Tom zakrył telefon i popatrzył pytająco na Lucy.

– Nie może go tak zwyczajnie wypuścić w powietrze – powiedziała. – Wirus przenosi się tylko przez krew i płyny ustrojowe. Zresztą zamieniłam próbówki. Zdaje mu się, że ma moribundi, ale tak naprawdę w fiolce jest szczepionka. Tylko, na litość boską, niech mu pan tego nie mówi.

– Miller nie żyje i taka jest prawda – Tom mówił do telefonu. – Wiemy, co planował, i wiemy, że bez niego to się nie uda. Poddaj się. Nie możesz...

– Mogę i zrobię to – odparł Carl. – Z Millerem czy bez. Zasłiśmy za daleko. Nie ma już odwrotu.

W telefonie coś trzasnęło i Carl się rozłączył.

– Dorwiemy go – zapewnił Tom, wyjmując własny telefon i zajadle wybierając numer. – Straż Wybrzeża, Marynarka Wojenna...

– Niech pan im powie, żeby nie wchodzili na pokład – przestrzegła szybko Lucy. – Chyba że w kombinezonach ochronnych. Nie chodzi tylko o fiolki z wirusem. Carl umiera.

Tom podniósł wzrok.

– Wstrzyknął sobie najbardziej śmiertelny szczep. Myślał, że to szczepionka. Podał go również Billowi i Renée. Carl umiera na moribundi.

Tom rzucił Mike'owi telefon Millera.

– Wy zadzwońcie i zamówcie, co trzeba. Ja zajmę się Carlem.

Zmarszczył nos.

– Co to, u licha, za smród?

– Gnijące banany – wyjaśnił Mike. – Całe pomieszczenie jest nimi zavalone.

Popatrzył na zachlapaną krwią owoce.

– Do końca życia nie wezmę do ust banana.

Promienie słońca podskakiwały na foliowym parawanie otaczającym szpitalne łóżko. Przykryta cienką kołdrą Lucy zjadła ostatnią łyżeczkę galaretki, kichnęła dwa razy i opadła z powrotem na poduszki. Otworzyły się drzwi i zajrzał Mike.

– Masz ochotę na gości? Gruba folia tłumiła jego głos.

– Jest ze mną Tom.

– Pewnie – odparła, kiwając ręką, by weszli do pokoju.

Mike przysunął krzesło blisko łóżka.

– Jak się czujesz?

– Podle, niegrypowo podle, a nie dziwnie, śmiertelnie, nieuleczalnie podle. Tak więc jeśli nawet wy dwaj możecie włóczyć się po ulicach miasta, które nigdy nie zasypia, podczas gdy ja będę uwięziona w tym przeklętym namiocie przez najbliższe trzy tygodnie, to chyba nie mogę narzekać.

Uśmiechnęła się do Mike'a. W jego krwi nie wykryto ani śladu wirusa i po gruntownym odkażeniu i spaleniu wszystkich ubrań został wypuszczony na wolność. Lucy natomiast, podobnie jak on straciwszy swoje rzeczy, została, tak jak się tego spodziewała, poddana kwarantannie w Nowojorskim Szpitalu Ogólnym, gdzie badania potwierdziły obecność w jej krwi jedynie łagodniejszego szczepu, peruwii B. Choć przez pierwszych dziesięć godzin tej niewoli spała jak zabita, teraz pomysł przeleniuchowania kolejnych tygodni wcale się jej nie podobał.

– Jak ramię?

– Nie tak źle, jak mi się zdawało. Kula tylko je drasnęła. Jak wyszło przekazanie pojemnika z wirusami?

– Doskonale. CDC załatwiło sprawę szybko i dyskretnie – doniósł Mike. – Trudno mi było ich przekonać, że pudło przeszło siedmiominutowy cykl odkażania, ale gdy uwierzyli, że mówię poważnie, byli chyba bardzo wdzięczni.

– Mogę to sobie wyobrazić – uśmiechnęła się Lucy.

– Z początku zmyliła ich karetka – wtrącił się Tom. – Myśleli, że doszło do jakiegoś wypadku z wirusem. Gdy tylko zdali sobie sprawę...

– Jaka karetka? Mike spojrzał na Toma.

– Miałem nadzieję, że powiem ci o tym później, jak poczujesz się lepiej – powiedział do Lucy.

– Teraz już za późno. Mów.

Mike westchnął.

– Gdy podjechaliśmy do twojego domu, pogotowie zajmowało się akurat bezdomnym mężczyzną na ulicy. Rankiem ktoś zgłosił na policję, że leży pijany w wejściu do domu. Ale lekarze z pogotowia stwierdzili, że zmarł w ciągu nocy. Uważają, że prawdopodobnie zamarzł.

– Ray.

To było stwierdzenie, nie pytanie, i Mike tylko pokiwał głową.

– Ty też uważasz, że zamarzł? – spytała Lucy.

– To całkiem możliwe. Zeszła noc była upiornie zimna.

Ścisnął jej rękę przez foliową płachtę.

– A tak przy okazji, grupa odkażająca magazyn znalazła pieczęcie – oznajmił, pragnąc zmienić temat. – Mówiłem Tomowi, że może zechcesz podarować je jakiemuś muzeum.

– Należą do mnie?

– Formalnie chyba tak. Chciałabyś je sprzedać?

- Być może – zastanowiła się Lucy. – Taka fura pieniędzy mogłaby pomóc wielu Ludziom.
- Nie musisz decydować się od razu. Najpierw wydobrzej.

Lucy pokiwała głową.

- Widzę, że obaj unikacie tematu najważniejszego. Żadnych wieści o Carlu?

Tom pokręcił głową.

- Jak szybko zabija ten wirus? Czy możliwe, że już jest martwy?

- Nie martwy, ale pewnie dogorywa. Namierzyliście statek?

– Tak nam się wydaje. Niewielki frachtowiec pod liberyjską banderą, będący własnością korporacji, która pasowałaby do schematu. Zaprowadził nas do faceta o nazwisku Kiamos. – Zerknął na zegarek. – Statek jest otoczony przez kutry Straży Wybrzeża i łódź Marynarki Wojennej ze sprzętem do odkażania i personelem USAMRIID na pokładzie. Gdyby próbowali uciec w stronę lądu albo na pełne morze, złapiemy ich. Poczuję się znacznie lepiej, gdy się to wszystko skończy.

– Zdziwiająco, że media o niczym jeszcze nie wiedzą – stwierdził Mike. – W wiadomościach nie słyszałem ani słowa.

– Jak dotąd mieliśmy szczęście. Ale to nie potrwa długo. Weszła pielęgniarka z kroplówką z roztworu soli fizjologicznej, który powiesiła na stojaku.

- Czy któryś z panów nazywa się Wrightson? – spytała.

– To ja – zgłosił się Tom, wstając.

– Łączą rozmowę do pana z dyżurki pielęgniarek. Proszę tylko nie rozmawiać zbyt długo – dodała, wychodząc. – Doktor Nash musi odpoczywać.

- Co to? Czy ja mam dwanaście lat? Rozmawiaj, jak długo chcesz, Tom.

Telefon zadzwonił i Tom podniósł słuchawkę.

– Mówi Wrightson. Co się stało?

Przez chwilę słuchał, a jego twarz coraz bardziej chmurniała.

– Rozumiem. Wszystkich? Dobry Boże. Tak, natychmiast wracam do biura.

Odłożył słuchawkę.

– No, mamy go – obwieścił. – Próbowali uciekać. Zostali zatrzymani i nasi ludzie weszli na pokład. – Sięgnął po płaszcz. – Anders podał wszystkim na pokładzie to, co brał za szczepionkę. Są już skończeni.

Westchnął. I dodał:

– Większość z nich to zwykli marynarze. Nie mają pojęcia, co się wokół nich dzieje i dlaczego.

– Twoi ludzie znaleźli fiolki z wirusem? – spytała Lucy ze smutkiem w oczach.

Tom potaknął.

– Znaleźli też na pokładzie gorące laboratorium, małe, ale praktyczne. Carl rozpoczął już replikację wirusa.

– Miller planował przeniesienie operacji na morze – poinformował Mike – zaraz po

ogłoszeniu swych zamiarów światu. Wszystko jest na tej dyskietce, którą ci dałem.

– Co teraz zrobicie? – spytała Toma Lucy.

– Zatrzymamy statek na morzu, dopóki wszyscy nie umrą. Kilkoro pracowników USAMRIID zaproponowało, że zostaną i na ile to możliwe, ulżą im w cierpieniu...

Urwał.

– Mów dalej. Najgorsza jest niewiedza.

– Ciała zostaną usunięte, cały statek zaplombowany i odkażony, laboratorium zdemontowane, wirusy zniszczone.

– A media?

– Powie im się jak najmniej.

– Ten Kiamos – wtrącił Mike. – Dorwiecie go, rzecz jasna. I całą resztę.

– Tak sądzisz? – Tom z cynizmem uniósł jedną brew. – Pamiętaj, że na tej twojej dyskietce nie było żadnych nazwisk. Kiamos będzie twierdził, że wypożyczył Millerowi łódź, która miała służyć za pływający szpital czy stację badawczą. Skąd miał wiedzieć o prawdziwych zamiarach doktora Billa? Oczywiście wszelkie pieniądze, jakie dawał Millerowi, przekazywane były jako darowizny dla IMA. Na cele charytatywne.

– Ale my wiemy lepiej.

– Tak. I dzięki sprawozdaniom finansowym IMA będziemy wiedzieli, komu patrzeć na ręce.

Wzruszył ramionami, dodając:

– Jednak to wszystko, co jesteśmy w stanie zrobić.

– A co się stanie z IMA? – myślała na głos Lucy. – Nie licząc Millera i Andersa, organizacja dobrze służyła ludziom.

– Przypuszczam, że gdyby znalazły się fundusze... – odezwał się Mike.

– Wierzysz, że ktoś jeszcze zgodzi się sponsorować szlachetną działalność IMA? – skwitował ponuro Tom, zakładając płaszcz. – Zaufałbyś jeszcze takiej instytucji? Skąd wiedziałbyś, że mają naprawdę czyste intencje?

Podszedł do drzwi i otworzył.

– Myślicie pewnie, co za cyniczny sukinsyn. I oczywiście macie rację. Ale... naprawdę wierzycie, że można być kiedykolwiek pewnym tego, co kryje się w sercu innego człowieka?

– To dość ponura wizja świata – stwierdził Mike, gdy za Tomem zamknęły się drzwi.

– Pewnie wynika z tego, z czym styka się na co dzień. Mimo wszystko jest w tym sporo racji. Mike wzruszył ramionami.

– Być może w odniesieniu do IMA. Ale ja wiem, co jest w twoim sercu. I wiem, co jest w moim.

Lucy uśmiechnęła się do niego.

– Och, ja też wiem, co jest w twoim sercu – powiedziała. – Wciąż nie jestem tylko pewna twojego nazwiska. Na pewno jesteś Mike Rossetti? A może za chwilę wejdiesz do budki telefonicznej i wyłonisz się z niej jako Clark Kent? Albo stwierdzisz, że wolisz być Danem

Quayle'em albo Harrym Reasonerem, albo Melem Gibsonem? Chociaż Mel Gibson byłby całkiem... Hej, nie wolno ci tutaj wchodzić. A jeśli wróci pielęgniarka? Będziesz musiał poddać się kwarantannie razem ze mną. Co na pewno byłoby znacznie przyjemniejsze niż przebywanie tu w pojedynkę. W porządku, kimkolwiek jesteś, przekonałeś mnie. Uważaj tylko na moje ramię...

Podziękowania

Jak zawsze bardzo dziękuję mojemu bratu, doktorowi Robertowi Fisherowi z Minneapolis, za to, iż dzielił się ze mną swą fachową wiedzą medyczną. Jestem wdzięczna również wybitnemu kardiochirurgowi, doktorowi Barry'emu Goldowi, za możliwość nasycenia się atmosferą sali operacyjnej podczas podglądania tego, jak dokonuje rzeczy niemożliwych, a także doktorowi Barry'emu Hartmanowi, słynnemu specjalście w dziedzinie chorób zakaźnych, który z taką hojnością poświęcił mi swój czas i wiedzę. Cecelia Wennerstrom i Chester Huie zaprosili mnie do swoich laboratoriów wirusologicznych i cierpliwie odpowiadali na wszystkie moje pytania. Także Linda Urmacher, szczodra przyjaciółka i doskonały naukowiec-ochotnik, dostarczyła mi wiele interesujących danych. Wszelkie ewentualne błędy popełniłam ja, nie oni.

Jak zwykle wysoce sobie cenię wkład mojego agenta, Roberta Diforio, i wydawcy, Hilary Ross. Również moja córka, Sarah, i matka, Tema, nie szczędziły mi jak zwykle swej miłości i zachęty.